Wydanie na święta – aż 148 stron

NAJPIĘKNIEJSZE POLKI 100-LECIA

ADAM GLAPIŃSKI W SZCZERYM WYWIADZIE

MÓJ DZIADEK WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI. OPOWIEŚĆ RODZINNA

SECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 51-52 (316-317) 2018
17–26 grudnia
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)



ŚLEDZTWO GRZEGORZA GÓRNEGO

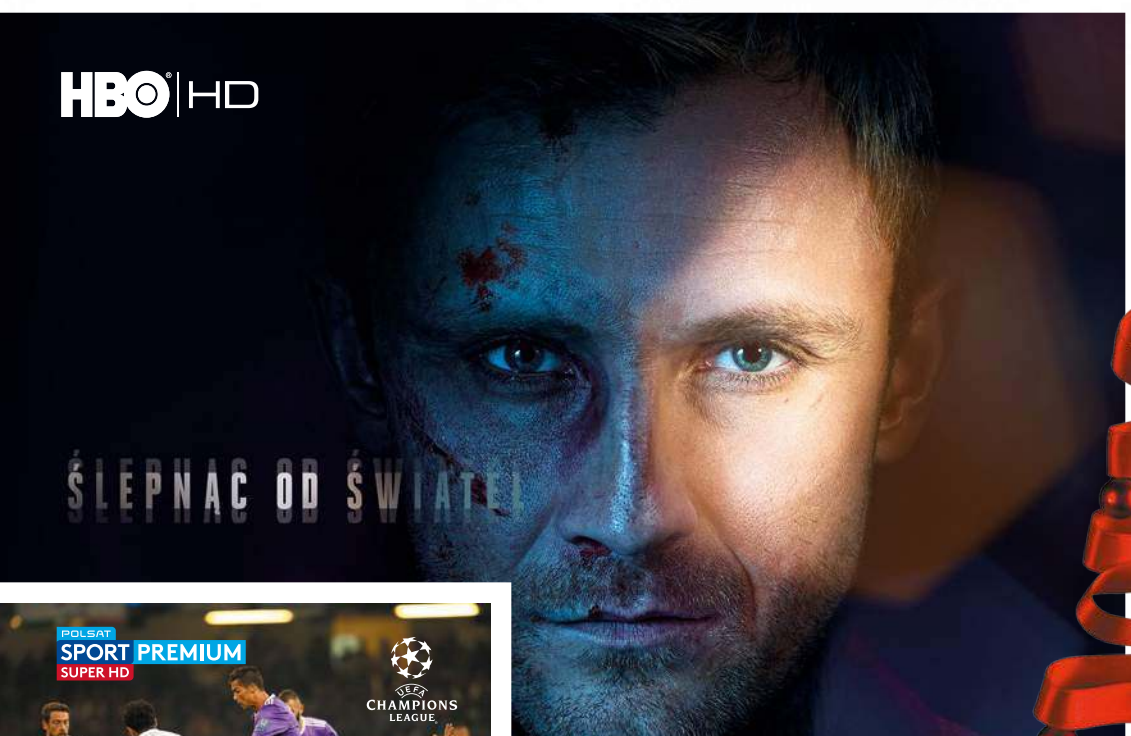
Tajemnice Maryi

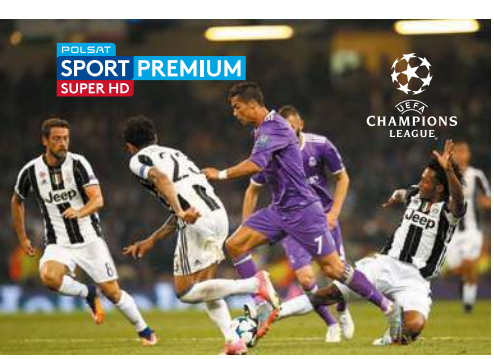
TO ZADZIWIAJĄCE, JAK MAŁO WIEMY O ŻYCIU NAJBARDZIEJ ZNANEJ KOBIETY W DZIEJACH ŚWIATA. POZNAJMY HISTORIĘ MATKI BOSKIEJ

INDEKS 287393 ISSN 2544-2694

CYFROWY POLSAT

Świąteczne promocje!
Telewizja na start
6 miesięcy bez opłat!





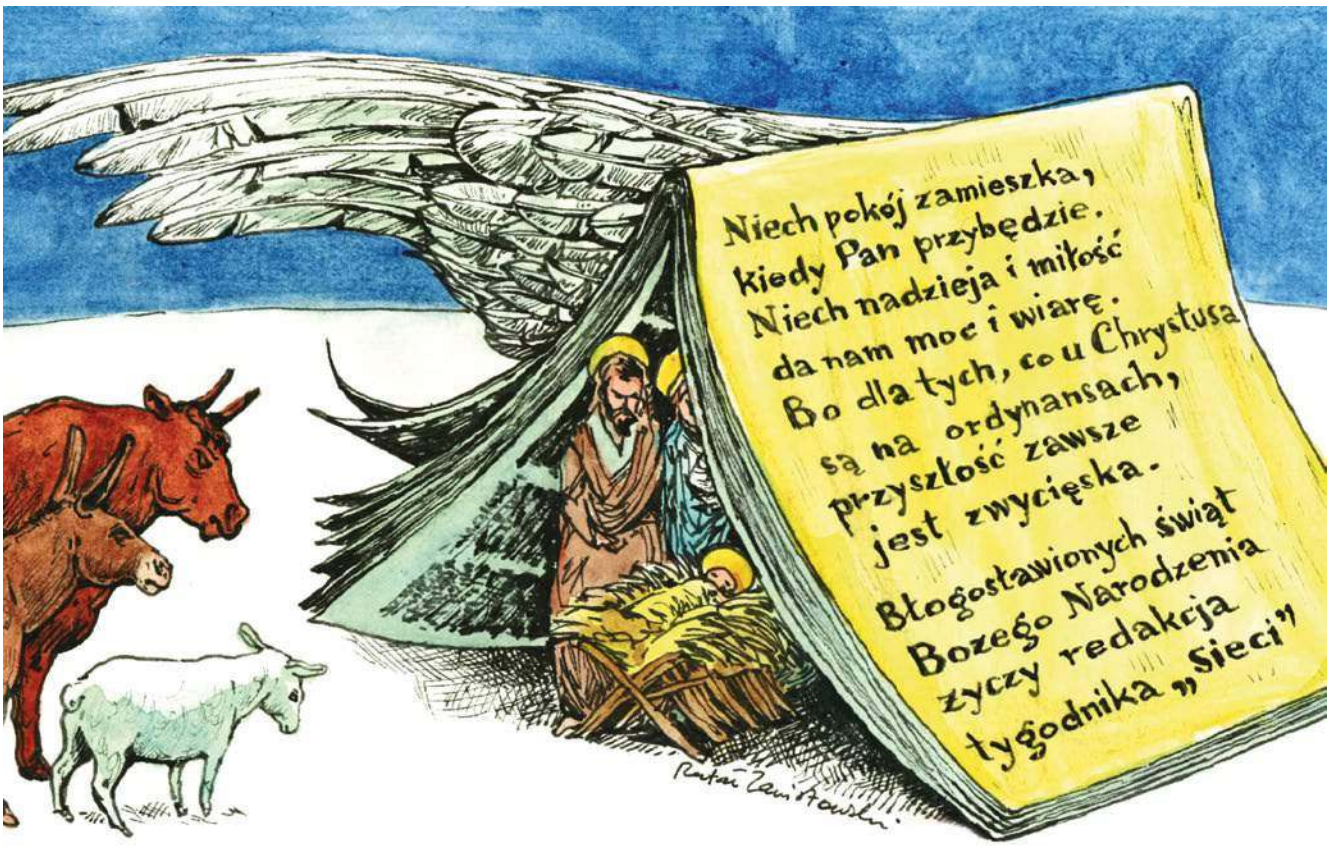






Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Ślepnąc od świateł" © HBO Europe s.r.o. 2018. „Legion samobójców" © 2016 Warner Bros. Entertainment Inc. and RatPac Entertainment, LLC. „Lego Ninjago" I LEGO the LEGO logo and the Minifigure are trademarks of the LEGO Group © 2011. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl cf2a5688ce



Szaleństwo odległych struktur

Dwie informacje z ostatniego tygodnia, dwie przeciwstawne tendencje. Pierwsza: pod auspicjami ONZ przyjęto Światowy Pakt w sprawie Migracji (Global Compact for Safe and Orderly Migration – GCM). Zakłada on, że każdy człowiek będzie mógł sobie wybrać miejsce do życia. Czytając wprost, oznacza to plan wielkiego wymieszania narodów, migracyjnego armagedonu, o skali przekraczającej nawet to, co czynił zbrodniczo Józef Stalin. Obywateli nikt nie pytał, co o tym sądzą. Na szczęście kilka krajów, w tym Polska, sprzeciwia się temu szaleńczemu pomysłowi.

I druga: rząd włoski zdołał jednak zatrzymać proceder rzekomego ratowania (w rzeczywistości – dowożenia) rozbitków na Morzu Śródziemnym przez wyspecjalizowane organizacje, często dogadane z przemytnikami ludzi. Mimo potężnej medialnej presji, mimo unijnych nacisków zdesperowani Włosi zrobili krok ku skuteczniejszej ochronie własnych granic (więcej o tym znajdą państwo w tekście Aleksandry Rybińskiej na s. 56–58).

Jak widać, w sytuacjach kryzysowych wciąż to właśnie państwa narodowe są jedynymi organizmami zdolnymi do skutecznej służby obywatelom. I tylko w nich głos opinii publicznej, wola mieszkańców coś znaczą. Struktury oenzetowskie, unijne bywają pożyteczne, bywają niemądre, ale zawsze są bardzo daleko, otoczone kordonem pośrednich ciał. Presja na nie jest trudna i długotrwała, a mechanizmy demokratyczne są bardzo zawodne.

Michał Karnowski

Smętna warszawska lekcja

Opozycja (mam na myśli zarówno tę partyjną, jak i tę medialną, a także sądową – NSA uzurpował sobie prawo merytorycznej oceny zgodnych z literą prawa działań władzy, nie udając nawet za bardzo, że argumenty, na które się powoływał, są tylko pretekstem) zaangażowała się w działania na rzecz niedopuszczenia do zmiany czczących komunizm nazw stołecznych ulic. To sytuacja znamienna.

Niektórzy twierdzą, że nie byłoby obecnego skandalu, gdyby PiS okazało wstrzemięźliwość i nie przemianowało alei AL akurat na Lecha Kaczyńskiego. Bardzo w to wątpię, nie o to szło. Bo platformerska Rada Warszawy miała przecież rok, aby zgodnie z ustawą nazwy ulic pozmieniać. Mogła zrobić z nimi, co chciała, nadać im nowe nazwy, nieniosące żadnych treści. Nie zrobiła tego w pełni świadomie – aby eskalować konflikt z PiS. Bo było przecież oczywiste, że kiedy termin wyznaczony władzom miasta minie, pisowski wojewoda podejmie samodzielną decyzję, a wtedy będzie można krzyczeć o deptaniu samorządności.

Ta logika totalnej wojny niszczy wszystko. I każe nawet ludziom zaangażowanym niegdyś w walkę z pezetpeerowską dyktaturą dziś występować w obronie komunistycznych nazw albo co najwyżej milczeć. Wielu po tamtej stronie to uwiera, ale kapitulują przed dobrem nadrzędnym, jakim jest dla nich zwalczanie „kaczyzmu”.

To ponura lekcja polityki w wersji totalnej.

Piotr Skwieciński

8/0418/F

eprasa.pl cf2a5688ce

SIECI

spis treści



38 *Z Adamem Glapińskim rozmawiają Michał i Jacek Karnowscy*



60 Najpiękniejsze Polki stulecia *Jolanta Gajda-Zadworna*



80 Światowe wojny szachowe *Stanisław Janecki*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KEBAB PO ŻYDOWSKU**
Krzysztof Feusette

10 **POMNIK CUDU NAD WISŁĄ!**
Jan Pietrzak

12 **ŻÓŁTA DESPERACJA**
Bronisław Wildstein

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

16 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

17 **SZTUKA POD KAŻDĄ STRZECHĘ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

BOŻE NARODZENIE

22 **TAJEMNICE MARYI**
Grzegorz Górny

26 **Z KS. ANDRZEJEM ZIÓŁKOWSKIM**
rozmawia Piotr Słabek

KRAJ

30 **KACZYŃSKI 2019**
Stanisław Janecki

34 **NIEPRZYJEMNY DYLEMAT KATARZYNY LUBNAUER**
Jan Rokita

38 **Z ADAMEM GLAPIŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

44 **NASZA WINA?**
Piotr Skwieciński

48 **POLSKA TO NIE TYLKO CHOPIN**
Konrad Kołodziejski

50 **Z KONRADEM SMUGĄ**
rozmawia Ryszard Makowski

ŚWIAT

56 **PORAŻKA IMIGRACYJNYCH IDEOLOGÓW**
Aleksandra Rybińska

POD CHOINKĘ

60 **NAJPIĘKNIEJSZE POLKI STULECIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

67 **TRUJĄCE SŁOWO, CZYLI SUMA NASZYCH LĘKÓW**
Maja Narbutt

70 **MICHAEL BYŁ MOIM ANIOŁEM STRÓŻEM**
Jaromir Kwiatkowski

74 **Z WNUKIEM BOLESŁAWA WIENIAWY-DŁUGOSZOWSKIEGO**
rozmawia Izabella Parowicz

80 **ŚWIATOWE WOJNY SZACHOWE**
Stanisław Janecki

84 **BOSI PIRACI MÓRZ POŁUDNIOWYCH**
Tadeusz Brzozowski

88 **ZŁOTO WRACA DO ŁASK**
Jadwiga Marcińska

92 **WZLOTY I UPADKI BARTOSZA KURKA**
Cezary Kowalski

96 **TUROŃ & CO.**
Przemysław Barszcz

100 **Z MARTĄ SZTOKFISZ**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

103 **CHOINKA IDEALNA**
Przemysław Barszcz

104 **PRZEGLĄDAJĄC SIĘ W STAWIE**
Anna Monicka

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

106 **DZIELMY SIĘ SOBĄ**
Krzysztof Logan Tomaszewski

108 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

110 **POLECA**
Łukasz Adamski

112 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

NA KONIEC

136 **KUBA ROZPRUWACZ I MOZART**
Piotr Skwieciński

138 **MEDIA I WYBORY**
Wojciech Reszczyński

139 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

140 **TV KOSTNICA**
Aleksander Nalaskowski

141 **BIZNES SIĘ KRĘCI**
Wiktor Świetlik

143 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

144 **PILNUJMY ŚWIĄT**
Ryszard Makowski

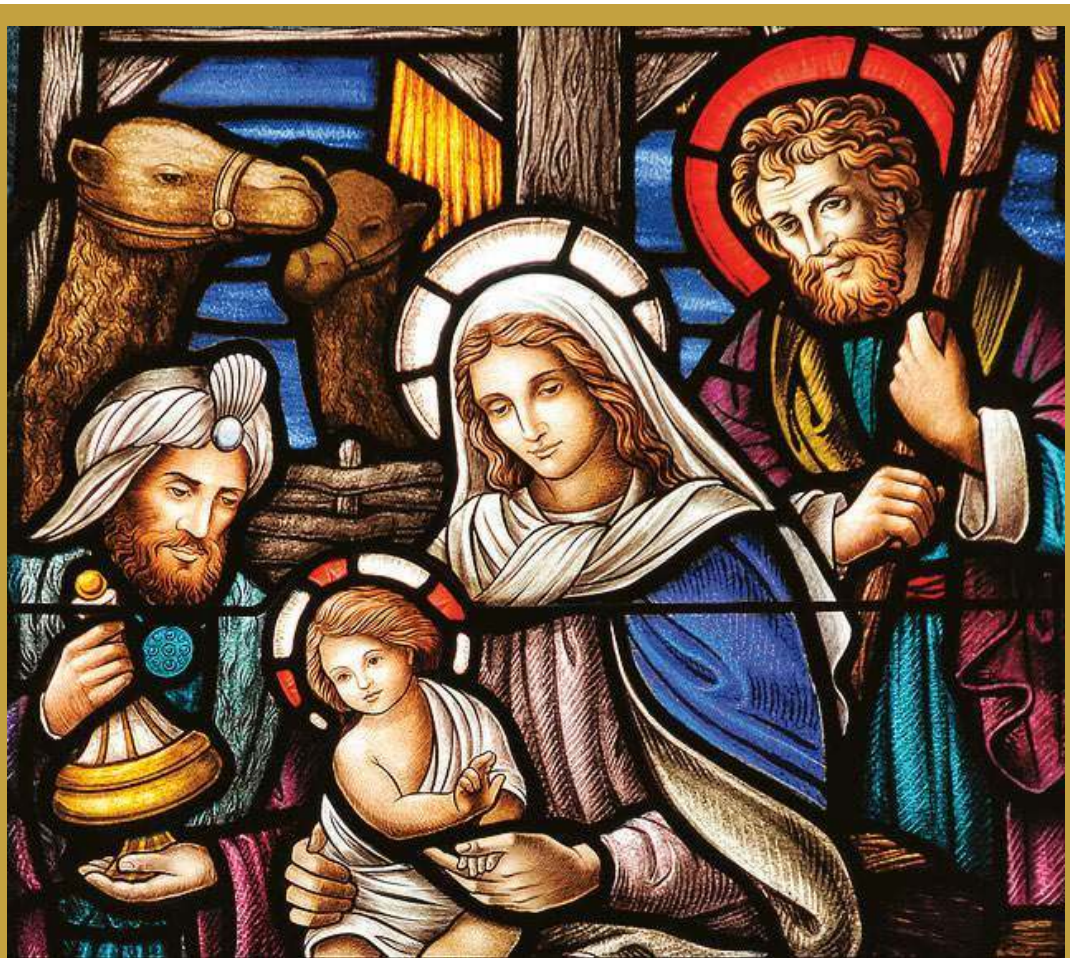
145 **KANTYCZKA MAŁA**
Leszek Długosz

146 **SZTUCZNA JASNOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

36/0218/F

Następne wydanie tygodnika ukaże się 27 grudnia. Wesołych świąt Bożego Narodzenia!

eprasa.pl cf2a5698ce



Ciepłych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz samych sukcesów w nadchodzącym Nowym Roku

życzą

Zarząd, Rada Nadzorcza i Pracownicy Cedrob S.A.

CEDROB

eprasa.pl cf2a5688ce



Sygnalista nadaje

W ramach pokazywania środkowego palca całej prawicy medialny mainstream nagrodził tytułem Dziennikarza Roku Bertolda Kittela, reportera „Superwizjera" TVN. Oczywiście za reportaż ukazujący tzw. świętowanie urodzin Hitlera gdzieś w lesie na południu Polski. Poważne wątpliwości, czy aby nie była to inscenizacja, do tego za pieniądze, nie okazały się oczywiście najmniejszą przeszkodą. W końcu już od wielu lat jest to nagroda za właściwe odczytanie niepisanych poleceń.

Co ciekawe, w tym roku jak za dawnych dobrych czasów nagrodzono wyłącznie samych swoich. Całkowicie pominięto dwie grupy: modnych symetrystów oraz łaszącą się do mainstreamu prawicę. Widocznie obie spełniły swoje zadanie i przestają być potrzebne. Prawicowcom, którzy nie wytrzymali ciśnienia i podkulili ogony, pozostaje złudna nadzieja, że jeśli wygra opozycja, zostaną oszczędzeni. Można żyć i tak, ale co to za życie?

Długie, pełne ważnych liczb przemówienie premiera z okazji wniosku o wotum zaufania założony przez Niemców „Fakt" podsumował wyjątkowo agresywną okładką: „Wciska nam propagandę sukcesu. A wściekli rolnicy blokują autostradę. W szkołach chaos. Prąd ma zdrożeć. Władza knebluje media". Do tego wykrzywiona twarz premiera Morawieckiego. Dobra ilustracja tego, gdzie jesteśmy na mniej niż rok przed wyborami. Bycie miłym nie spotkało się z miłym przyjęciem.

Być może tak musiało być, być może nie dało się inaczej, ale jednak medialny mainstream dostał powyborczą legitymizację właściwie za darmo. Za parę przysług głównie związanych z niszczeniem wewnętrznej konkurencji. Do tego to nawet dopłacono. W rezultacie mainstream jest dziś bardziej butny i pewny swego, niż był przed wyborami 2015 r. I także znacznie bardziej syty.

Samymi liczbami, nawet najbardziej imponującymi, prawica wyborów nie wygra. Bez wpisania na sztandary choćby kilku wiarygodnych haseł odnoszących się do wartości (imigracja, obrona rodziny przed gender, tradycja i wiara), bez wytoczenia kilku ważnych bitew obóz rządzący czeka porażka, o ile nie klęska. Bo same liczby dobrze wypadają w fokusach, ale jednak nie mobilizują, nie porywają, nie tworzą prawdziwej różnicy. Paradoksalnie, one usypiają. Trochę jak z Kościołem, który jeśli zamienia się w organizację charytatywną, wcześniej czy później umiera. I to w ciszy.

Jeśli opozycja wygra, będzie jak w Warszawie. Czyli „tramwaj różnorodności", skrajna lewica w kulturze i podwyżki wszędzie tam, gdzie się da. Już wiemy nawet, jak to nazwą. Otóż zdaniem wiceprezydenta Warszawy Pawła Rabieja nowe władze po prostu „wycofują się z błędów rozdawnictwa". Dla jasności: mogą to jedynie być błędy albo samego Trzaskowskiego, albo Hanny Gronkiewicz-Waltz. Byłoby zabawnie, gdyby pierwsze polskie „żółte kamizelki" pojawiły się w Warszawie i uderzyły w PO.

Myśl o „żółtych kamizelkach" obalających władzę kusi jednak przede wszystkim obecną opozycję. „Prąd u nas będzie 70 proc. droższy. Założymy kamizelki czy przyjmiemy to pokornie?" – zastanawiała się ostatnio ***Róża Thun***, jak wiadomo, uboga, skromna, gotowa do wyrzeczeń zwolenniczka społecznego solidaryzmu. Wcześniej podobne marzenie o ulicznej rewolcie zdradzili

Niektórych szans naprawdę szkoda. Polski rząd, słusznie, oparł się silnej presji i nie podpisał Światowego Paktu w sprawie Migracji (Global Compact for Safe and Orderly Migration – GCM). Powstaje pytanie, dlaczego rządząca prawica – zamiast się chwalić – akurat o tej sprawie milczy, i to wręcz wstydliwie? A przecież teza, że rząd ulega w kwestii imigracji, to główny silnik groźnej dla PiS koalicji narodowców i Korwina.

eprasa.pl cf2a5688ce

narodowcy. To byłby piękny Majdan: salonowcy i ONR razem przeciw PiS. Miałby zalety, bo przynajmniej sytuacja stałaby się czytelna.

Po ewentualnej zmianie władzy zaczną jednak nie od podwyżek, ale od mediów. Zdaniem ***Tomasza Lisa*** w TVP czystka powinna być głębsza niż po upadku komuny: „To powinien być nowy rok '89 czy '90, nawet na większą skalę. Bo wtedy kiedy my, młodzi, było nas parę osób, pojawiliśmy się na placu Powstańców, to z lewej, z prawej, z tyłu i z boku miałem państwa z »Dziennika Telewizyjnego« i tak się trochę dziwnie czułem" – twierdzi redaktor. Trzeba przyznać, że świetnie ukrywali ten dyskomfort. Przez całe dekady wyglądało to wręcz na pełną komitywę.

Ale Lis ma rację: jeśli wygra opozycja, na długo pożegnamy się z pluralizmem. Będzie tak jak np. w Słowenii, gdzie wszystkie ważniejsze media zwalczają prawicową opozycję, Kościół i wrogów Niemiec. A jedyną prywatną telewizją bliską opozycji zajmuje się... parlamentarna komisja śledcza. Dla jasności: Słowenia zajmuje dziś 32. miejsce w rankingu wolności słowa Reporterów bez Granic, a Polska 58. Nie ma się co dziwić, bo to tak naprawdę ranking bezpieczeństwa mainstreamu. Im wyżej, tym duszniej.

Do rolników na A2 pojechał minister rolnictwa ***Jan Krzysztof Ardanowski***. „Nie rozumiem tego protestu. Jestem jednym z was" – przekonywał. Ale miasto zmienia każdego. Podczas kongresu w Rzeszowie minister mocno zaskoczył uczestników jednej z debat, deklarując, że kto wie, być może już niedługo świat w ogóle zaprzestanie produkcji mięsa. Dlaczego? Bo jest ona i nieefektywna, i nieekologiczna. Żeby obraz był pełny: mówił to podczas panelu poświęconego rozwojowi hodowli trzody chlewnej w Polsce.

Zwycięstwo Platformy będzie także próbą przynajmniej częściowej rehabilitacji PRL. Bo to nieprawda, że oni walczą z dekomunizacją ulic tylko dlatego, by dokuczyć PiS. Nie, tu nie chodzi tylko o Lecha Kaczyńskiego, lecz także o Armię Ludową, bardzo bliską takim ludziom jak Ewa Gawor. I nieprzypadkowo pozwalają, by zamiast ulicy „Inki" była ulica „Małego Franka". Szczerze wolą bohatera Gwardii Ludowej niż sanitariuszkę 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej.

Przyszłość może być także przeszłością. W SLD kombinują szeroką listę na eurowybory. Włodzimierz Czarzasty konferował w tej sprawie z Włodzimierzem Cimoszewiczem i Krzysztofem Janikiem. Zapowiada się więc kolejna grupa rekonstrukcyjna w polityce. Ale coś w tym jest: młodzież mamy raczej nieuzdolnioną politycznie. Albo nieznośnie cyniczna i zachłanna, albo wrażliwa jak płatki śniegu na wiosnę. A polityka to przecież sztuka balansu między ideą a konkretem.











Przyszłość gdzieniegdzie już widać. Syn publicysty Stanisława Michalkiewicza, Mateusz, przeprosił na łamach „Gazety Wyborczej" za słowa swojego ojca nt. odszkodowania dla ofiary księdza. Słowa były rzeczywiście nieakceptowalne, ale publiczne upokarzanie ojca to jeszcze większa hańba. Cóż, dzieci zawsze są zarówno dziećmi swoich rodziców, jak i dziećmi swoich czasów. A te mamy wyjątkowo konformistyczne.

Przykładowo piosenkarka Justyna Steczkowska na swoim ostatnim koncercie na warszawskim Torwarze wystąpiła w białej koszuli z plamą krwi i czerwonym napisem „Konstytucja". Może i byśmy się przejęli tym dramatycznym gestem, gdyby nie wspomnienie o sesji zdjęciowej, którą pani Steczkowska urządziła przed laty na warszawskich Powązkach – tuż po śmierci swojego ojca. Cóż, gasnący artyści, zwłaszcza gdy nie dokonali niczego wielkiego, są zdolni do wszystkiego.

W Strasburgu – zimowej stolicy Francji – islamski terrorysta zaatakował jarmark bożonarodzeniowy. Europoseł ***Janusz Lewandowski*** nie krył przerażenia: „Tradycyjna wigilia PO-PSL w pobliżu europarlamentu. Kolędy, życzenia i nagle zagrały smartfony: strzelanina w mieście, są ofiary, europarlament zablokowany. Jarmark świąteczny, ściągający 2 mln gości – cel wymarzony! Na szczęście my daleko" – błysnął na Twitterze. Słowa „my daleko" bardzo celne. To prawdziwe motto europejskich elit, które tak to wszystko urządziły, że same świetnie się bawią, a klasa pracująca musi się zmagać z masową imigracją, drogą benzyną i zdemolowanymi przez brak dyscypliny szkołami.

Gdy nie idzie, zawsze można się wyżyć na Polsce lub Węgrzech. ***Frans Timmermans*** złowieszczo obiecał, że „nigdy nie opuści narodu polskiego w jego walce o demokrację i wolność". I dodał: „Zwyciężymy także na Węgrzech!". To pierwsze jest prawdą, to drugie już niekoniecznie. Najciekawsze były jednak słowa odnoszące się do przyszłości świata. Otóż zdaniem wiceprzewodniczącego KE Europę i Afrykę „łączy wspólne przeznaczenie". Czytaj: spodziewajcie się gości liczonych w milionach. A może w dziesiątkach milionów. To naprawdę są szaleńcy.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Mateusz Zelnik, Andrzej Wiktor, Krzysztof Skłodowski

eprasa.pl cf2a5688ce

Kebab po żydowsku



KRZYSZTOF FEUSETTE

Święta, święta i po świętach... Przepraszam, PO świętach, bo „po" piszemy teraz drukowanymi literami. I wcale nie dlatego, że tylko takie docierają do części elektoratu tej światłej, jak wiatrak Moulin Rouge, partii. Dlaczego PO świętach, skoro dla nas, w miarę normalnych ludzi, jeszcze się nie zaczęły? Bo – powiedzmy to sobie szczerze, jak szczerzy się poseł Scerba na widok nowych zębów posła Schetyny – co tu świętować?

Pisemny organ (wszelkie podobieństwo do innych organów przypadkowe) Związku Nauczycielstwa Polskiego wydał już odpowiednie rozporządzenia. A skoro nawet nauczycielstwo polskie (celowo podkreślam przynależność narodową, bo wiem, że nic tych „związkowców" równie nie denerwuje) uznało, że święta, owszem, ostatecznie niech się odbędą, ale pod pewnymi warunkami, to czym my, w miarę normalni ludzie, możemy na to odpowiedzieć? Chyba tylko udawać, że niczego nie obchodzimy. Ktoś dopowie: raczej nikogo. I będzie miał rację.

Oto bowiem pewna grupa osłów i pewien odsetek bydła (bo jak inaczej nazwać gorszy sort cieszący się w internecie ze śmierci posłanki Jolanty Szczypińskiej, cudownie ciepłej kobiety, którą żadna kodziara, anonimowa zarówno w domu, jak i w internecie, nigdy nie zostanie?) – to właśnie towarzystwo wymyśliło coś, na co nie wpadli nawet najczerwieńsi komuniści. Święta – owszem, ale inne. Już kiedyś niejaka Bratkowska wymarzyła sobie, by właśnie w Wigilię urządzić publiczną aborcję. Dziś jej miejsce postanowił zająć periodyk Związku Nauczycielstwa Polskiego, nazwany „Głosem Nauczycielskim", który uważa, że wtedy, gdy my, w miarę normalni ludzie, świętujemy przyjście na świat Jezusa, to jednocześnie obrażamy tych, którzy nie świętują. To znaczy świętują, ale kiedy indziej i coś innego. Więc jeśli już musimy, powinniśmy w pierwszym rzędzie, z gruntu mając na uwadze, zastanowić się – jak.

A zatem – na pewno nie szopką w kształcie betlejemskiego żłóbka, ale jakąś instalacją związaną po prostu z... zimą. Niestety nie wiadomo, czy można do tego wykorzystać figurki bałwanów z ZNP. Jeśli choinka, nie daj Boże, to ostrożnie z ozdobami. Zdarzy się czasem jakiś widoczek na bombce czy krzyż, znowu nie daj Boże, i obraza uczuć religijnych gotowa. A przecież – głosi ZNP – muzułmanie czy nawet plemiona Afryki południowej (autentyk – naprawdę o nich piszą!) – też mają swoje uczucia i my te ich uczucia swoimi uczuciami gnębimy. Bo jak ma się czuć taki Abdul (lat 59 i z paszportem wnuczki), gdy idzie sobie spokojnie warszawską ulicą (spokojnie – bo premier Kopacz nie zdążyła mu, niestety, ściągnąć do Polski „każdej ilości" matek z brodami do pasa i ich bobasów po czterdziestce), a potem, nagle, przechodząc obok szkoły, usłyszy, że „Bóg się rodzi, moc truchleje", bo „przybieżeli do Betlejem"? Przecież on się załamie. Powtórzmy zatem cytaty z organu ZNP: „Zamiast jasełek – przedstawienie odnoszące się do zimy czy Nowego Roku; zamiast uroczystości w duchu jednej religii – zabawy, prezentacje, rozmowy czy zajęcia plastyczne przybliżające dzieciom z równym szacunkiem różne wyznania i światopoglądy. Można w to włączyć informacje związane z wierzeniami starosłowiańskimi – 22 grudnia przypada przesilenie zimowe związane ze Świętem Godowym...". A gdyby jakiś Jasio, lat siedem, zapytał niefortunnie, o co chodzi z tymi „godami", to mu się gębę zatka watą z instalacji.

Szczególnie ciekawe organowi ZNP wydaje się afrykańskie święto Kwanzaa, „związane z postem i obdarowywaniem prezentami". Redakcja nie precyzuje, czy Kwanzaa nie obraża przypadkiem uczuć religijnych dzieci w Kwanzza niewierzących, ale łatwo się domyślić, że nie. Obrażamy wyłącznie my. I to do tego stopnia, że na naszych, pożal się Boże, bożonarodzeniowych jarmarkach tyle jest katolickiej agresji, iż trzeba je odciąć od zirytowanych muzułmanów zaporami z betonu. W Polsce jeszcze nie, ale w Niemczech już nikt bez takich blokad na jarmark po bombki nie wejdzie. Swoją drogą, czy słowo „bombki" nie obraża przypadkiem uczuć religijnych wcześniej wspomnianego Abdula?

Czas więc powiedzieć to jasno i otwarcie, jak otwarte są głowy w ZNP: najlepiej byłoby świąt w ich obecnej formule po prostu zakazać. Jeśli drzewko – to lipa państwa Bąków, zamiast szopki – tęcza z drutu, zamiast Dzieciątka – piesek albo chomiczek, które o północy w odpowiednich wdziankach wyskandują: „Koń – ty tutaj? Koń – ty tutaj!", co będzie pięknym pomostem pomiędzy dawnymi i nowymi czasami, gdy pewien mecenas miał u boku gości zamawiających po pięć piw jedną ręką, a dziś nikt nie postawiłby już niczego ani jemu, ani na niego.

Idźmy dalej śladem sześciu króli: zamiast kolęd – największe przeboje Kolendy-Zaleskiej, zamiast opłatka z najbliższymi – wymiana e-maili na Facebooku, zamiast Gwiazdy Betlejemskiej – młody Stuhr (w końcu też gwiazda) całujący się ze starym Wojewódzkim (bo młodego na razie nie ma). Zamiast prezentów – autoprezentacja, zamiast karpia – kebab po żydowsku, a Herod niech nareszcie zostanie herosem.

I niech to się po cichu kręci, jak ten wiatraczek pod półksiężycem ze „świątecznych" plakatów warszawskiego Ratusza, i jako rzecze wolny, niezależny od Boga, honoru i ojczyzny, organ Związku Nauczycielstwa Polskiego. A o północy zamiast pasterki – „Kierwin sam w domu" czy jak tam się ten śmieszny dzieciak nazywał. Spieszę więc życzyć państwu z całego serca wesołych, pięknych i spokojnych świąt Bożego Narodzenia – dopóki jeszcze można.

18/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce

Czy można płacić kartą?



Agnieszka

weterynarz, chciałaby zdrowia dla wszystkich zwierząt i wygody dla klientów, ale bez terminala rozkłada ręce

Wreszcie powiedz **TAK** i zyskaj zadowolonych klientów!

Teraz możesz mieć terminal płatniczy za darmo[1]

przez **18 miesięcy.**

Konto Przekorzystne Biznes za darmo po spełnieniu jednego z warunków[2].

Promocja[3] – zyskaj **100 zł** za podpisanie umowy o terminal i **100 zł** za pierwszy przelew do ZUS.



Bank Pekao

Docenisz różnicę

[1] Oferta jest skierowana do klientów, którzy w ciągu ostatnich 12 miesięcy nie przyjmowali płatności kartami płatniczymi.

[2] Wystarczy, że w każdym miesiącu zostanie spełniony jeden z warunków: wpływy na rachunki klienta min. 2000 zł (z wyłączeniem wpływów z tytułu rozliczenia depozytów terminowych lub udzielonych kredytów i pożyczek oraz przelewów między rachunkami klienta w banku), przelew z rachunku do ZUS lub US, wpływ na rachunek z terminala wydanego przez bank, transakcja wymiany walut w banku, opłacenie raty leasingu w Pekao Leasing.

[3] Szczegółowe warunki promocji dostępne w regulaminach promocji na stronie: www.pekao.com.pl/konto-terminal. Promocja trwa do 31 marca 2019 r.

Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.

eprasa.pl cf2a5688ce

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Pomnik Cudu nad Wisłą!



Jan Pietrzak

Mocno zabrzmiało w mediach istotne przemówienie Jarosława Kaczyńskiego. Prezes zwrócił uwagę m.in. na łamanie konstytucji przez opozycję. Czuję nieskromną satysfakcję, ponieważ wielokrotnie pisałem, że wzywanie do totalnego oporu wobec demokratycznie wybranej władzy jest łamaniem tejże konstytucji. Totalna opozycja jest negacją aktu wyborczego, ergo: łamie konstytucję.

Posłowie opozycji biorą takie same pensje od suwerena jak posłowie rządzącej partii i ślubowali pracę dla Polski. Oni od trzech lat otwarcie, nawet z pewną dumą – Polsce szkodzą, Polskę niszczą. Niczego pozytywnego dla swoich wyborców nie uczynili. Tak więc celem kampanii wyborczych 2019 r. jest ograniczenie możliwości szkodników, agentów, złodziei itp., którzy nawet z poziomu samorządu nauczyli się niszczyć polską wspólnotę.

Przypomnę o sprawie pomnika Bitwy Warszawskiej. Ponieważ terenami miejskimi dysponują samorządy, w pewnym momencie Towarzystwo Patriotyczne wstrzymało kampanię propagującą tę niezbędną narodową inwestycję. Wydawało się możliwe, że warszawiacy odsuną od władzy partię złodziei kamienic i sprawa pójdzie w szybkim tempie do przodu.

Z wielu zagadkowych powodów władzę stołeczną w dalszym ciągu trzymają wrogowie polskich bohaterów. Właśnie przywrócili komunistyczne nazwy ulic. Nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się z apelem do rządu o wzięcie tego zbożnego dzieła na swoje barki. W trybie „społecznym", entuzjazmem patriotycznym tego już nie wykonamy; zbyt mało czasu. Niezbędna jest decyzja władz państwowych. Podpowiadam: najprościej jest postawić Łuk Triumfalny w nurcie Wisły, ponieważ rzeki nie podlegają samorządom, lecz Ministerstwu Środowiska. Nie jest żadnym problemem technicznym postawienie dwóch filarów, a nad nimi imponującego monumentu. Nie jest to również problem finansowy. To zobowiązanie wobec bohaterów sprzed 100 lat, o których tyle wielkich słów wypowiedziano w mijającym roku. „Exegi monumentum" – pisał Horacy, stawiając sobie pomnik z poezji, trwalszy niż spiż. Mamy w polskiej historii piękne pomniki wzniosłych słów, brak nam pomników z brązu i granitu, bo trudno je było stawiać w konspiracji, pod okupacją.

Kochani, piszcie listy do posłów i senatorów, do rządu i samorządu, oblegajcie media i biskupów. Cud nad Wisłą musi mieć nad Wisłą pomnik!

Sójka to ma głos

Z piosenkarką i autorką tekstów Patrycją Markowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Sójka. Marcin Sójka. Człowiek z pani drużyny zdobył tytuł The Voice of Poland.

Patrycja Markowska: Duma mnie rozpiera... Woooow! I tyle splendoru, za jego sprawą, także na mnie teraz spływa.

Co jest w tym wykonawcy, że wzbudził tyle emocji, nawet u tak oswojonej ze sceną trenerki?

Poza wielką mocą głosu ma w sobie pokorę i wrażliwość. Potrafił dotrzeć do wielu ludzi. W sztuce, w muzyce, nie liczą się pomiary, jak w sporcie. Kto dalej skoczy. Każdy z naszych finalistów jest obdarzony ogromnym talentem, ale to Marcin poruszył czułą strunę u największej grupy słuchaczy. To jest w muzyce najważniejsze. Można mieć superwokal i nic z tego nie wynika, a u Marcina wynika bardzo dużo.

W finale, do ostatniego dźwięku, zaskakiwał (nie tylko w singlu „Zaskakuj mnie"). Jakby wciąż nie odsłonił wszystkich swoich możliwości.

To też jest jego potencjał. Całe życie mamy na to, żeby odkrywać przed sobą nowe rejony, pokłady talentu. Tina Turner powiedziała ostatnio w wywiadzie, że przed emeryturą poszła na lekcje wokalu i okazało się, że do tej pory... źle śpiewała, nietechnicznie. Oczywiście, to było z przymrużeniem oka, bo dotyczy jednej z największych wokalistek, ale pokazuje, że pokora, a za nią potrzeba rozwoju, są równie ważne, co talent.

32-latek z Siedlec, zatrudniony w tamtejszym Centrum Kultury i Sztuki, namówiony do udziału w programie przez żonę i dzieci, został The Voice of Poland. Czego można mu teraz życzyć?

Żeby był na scenie. Po prostu. Dla nas wszystkich.

Fot. Jacek Kurnikowski/AKPA

18/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce

Czy można płacić kartą?



Marek

mechanik samochodowy,
nie wie, jak zatrzymać klientów,
którzy chcą płacić kartą

Wreszcie powiedz **TAK** i zyskaj zadowolonych klientów!

Teraz możesz mieć terminal płatniczy za darmo[1]

przez **18 miesięcy.**

Konto Przekorzystne Biznes za darmo po spełnieniu jednego z warunków[2].

Promocja[3] – zyskaj **100 zł** za podpisanie umowy o terminal i **100 zł** za pierwszy przelew do ZUS.



Bank Pekao
Docenisz różnicę

[1] Oferta jest skierowana do klientów, którzy w ciągu ostatnich 12 miesięcy nie przyjmowali płatności kartami płatniczymi.
[2] Wystarczy, że w każdym miesiącu zostanie spełniony jeden z warunków: wpływy na rachunki klienta min. 2000 zł (z wyłączeniem wpływów z tytułu rozliczenia depozytów terminowych lub udzielonych kredytów i pożyczek oraz przelewów między rachunkami klienta w banku), przelew z rachunku do ZUS lub US, wpływ na rachunek z terminala wydanego przez bank, transakcja wymiany walut w banku, opłacenie raty leasingu w Pekao Leasing.
[3] Szczegółowe warunki promocji dostępne w regulaminach promocji na stronie: www.pekao.com.pl/konto-terminal. Promocja trwa do 31 marca 2019 r.
Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.
Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.

eprasa.pl cf2a5688ce

BRONISŁAW WILDSTEIN

Żółta desperacja

Emmanuela Macrona uznać można za wcielenie mentalności europejskich elit. To taki francuski Ryszard Petru, z tym że Polacy nie dali się na swoją wersję nabrać

„Szokujące sceny na marszu w Katowicach" – rozpacza sobotnia (8.12), internetowa czołówka dziennika „Fakt". Na głównej fotografii jakiś wściekły typ przepycha się z policjantem. 3 tys. manifestantów i setki mundurowych – dramatyzuje dziennik. Doszło do starć. Zatrzymano trzy osoby.

Tego dnia całą Francję zdominowały manifestacje „żółtych kamizelek", które trwają już od kilku tygodni. W Paryżu po ostrych starciach z policją zatrzymano około tysiąca osób i naliczono ponad 100 rannych. Demonstranci zaatakowali także siedzibę UE w Brukseli.

To nie zaszokowało „Faktu". Może Mark Dekan, prezes wydającego „Fakt" szwajcarsko-niemieckiego konsorcjum, największego w Polsce potentata prasowego, w swoim cotygodniowym liście do pracowników poinformował ich, że to, co się dzieje na zachodzie Europy, to symptom demokracji w przeciwieństwie do tego, co w naszym kraju?

„Żółte kamizelki" to ciekawy fenomen, który pojawił się zupełnie spontanicznie, oddolnie, nie wiadomo skąd ani jak, działa bez przywództwa i organizuje się naprędce. Dało to już asumpt do głupawych teoryjek spiskowych. W rzeczywistości ruch jest konsekwencją obecnego stanu Europy Zachodniej. To zaczopowany system oligarchiczny, w którym prawica została w całości skolonizowana przez lewicę, a dominująca ideologia powoduje, że partie establishmentu różnią się wyłącznie nazwami i nazwiskami liderów. W sytuacji tej ugrupowania protestu jak Front Narodowy we Francji, przemianowany ostatnio na Zgromadzenie Narodowe, diabolizowany przez media i ośrodki opiniotwórcze, choć zyskuje popularność, ciągle sytuuje się na marginesie życia politycznego. W takich warunkach spontaniczny wybuch niezadowolenia wydaje się dosyć naturalny.

Protest „żółtych kamizelek" ma charakter ekonomiczny i trudno wyobrazić sobie, aby tego typu ruch, zwłaszcza w pierwszej fazie, mógł się odwoływać do innych spraw, chociaż żądaniem protestujących jest także ustąpienie prezydenta Macrona. Ich rewindykacje mogą się wydawać Polakom co najmniej wygórowane, jeśli nie ekscentryczne, zwłaszcza że Francja coraz bardziej żyje na kredyt i kolejne rządy próbują podejmować, jak dotąd bezskuteczne, reformy oszczędnościowe.

Warto jednak zdać sobie sprawę, że poziom życia niższych i średnich warstw społecznych w tym kraju pogarsza się, a ich przedstawiciele obserwują gigantyczne, ideologicznie motywowane marnotrawstwo środków publicznych na co najmniej wątpliwe wydatki ekologiczne czy pomoc imigrantom. I, przede wszystkim, zderzają się z gigantyczną arogancją władz. Przyczyną protestu była podwyżka cen paliw, ale demonstranci często przypominali, że tylko nieco wcześniej zakupiona została dla prezydenta nowa zastawa stołowa za 0,5 mln euro. Nie jest to znaczący wydatek w skali państwa, ale w momencie nawoływania przez władzę do oszczędności wygląda jak szyderstwo z jej strony.

Emmanuela Macrona uznać można za wcielenie mentalności europejskich elit. To taki francuski Ryszard Petru, z tym że Polacy nie dali się na swoją wersję nabrać. Francuzi swojemu, który w niczym nie był lepszy od polskiego oryginału, dali się uwieść.

Ten protegowany poprzedniego prezydenta w odpowiednim czasie odciął się (oficjalnie) od swojego patrona i zaproponował, podobno, nową jakość. Na czym miała ona polegać poza wezwaniami w rodzaju „Republika naprzód!" – to nazwa zwycięskiego ugrupowania Macrona – nie dowiemy się. Puste hasła w rodzaju: „Tak, możemy!" Baracka Obamy stały się znakiem rozpoznawczym zachodniego establishmentu. Za pomocą marketingowych sztuczek kreowana jest iluzja zmiany, aby wszystko zostało po staremu.

Dodatkowym impulsem do protestu jest sobiepaństwo elit UE, które dają odczuć zwykłym obywatelom Zachodu, że nie mają oni nic do powiedzenia. Nikt bardziej nie działa na rzecz rozpadu jakiejkolwiek europejskiej wspólnoty niż obecna kanclerz Niemiec, sędziowie TSUE i ogólnie postacie w rodzaju Fransa Timmermansa. Macron nawołuje do ściślejszej integracji, a więc do likwidacji resztek demokracji, które pozwalają jednak obywatelom państw zachodnich na zmianę władzy, chociaż mają oni kłopot ze znalezieniem realnej alternatywy do tego, co jest. Nic dziwnego, że wszystkie obecne protesty zwracają się także przeciw Unii w jej obecnym kształcie.

No ale przecież problemy ma polska demokracja...



Fot. Andrzej Wiktor

Gdzie i jak kupić tygodnik „Sieci”



Drodzy Czytelnicy,

od kilku tygodni zgłaszają nam Państwo pewne problemy z dostępnością tygodnika „Sieci” w niektórych punktach sprzedaży. Za informacje dziękujemy i zapewniamy, że reagujemy na nie natychmiast, analizujemy i szukamy sposobów bezawaryjnego dostarczania pisma do kiosków. W związku z problemami jednego z dystrybutorów prasy – spółki Ruch SA – postanowiliśmy jednak znacząco zmienić sieć dystrybucyjną, tak by Państwa ulubiony tygodnik był dostępny w jak największej liczbie kiosków, sklepów i saloników prasowych. Działamy tak, żeby – mimo trudności we współpracy ze spółką Ruch SA – tygodnik „Sieci” znalazł się w punkcie sprzedaży w Państwa najbliższej okolicy. Namawiamy Państwa do prenumeraty gwarantującej pewność dostawy bieżącego wydania, a także do skorzystania z Sieci Przyjaciół i wykupienia dostępu do e-wydań tygodnika.

Łatwo nas znaleźć

Tygodnik jest dostępny w punktach sprzedaży, do których prasę dostarczają działające na terenie całego kraju spółki dystrybucyjne, takie jak Kolporter, Garmond Press, Pol Perfect (Empik), Lagardere Travel Retail (Saloniki Prasowe „Inmedio”). Jesteśmy w kioskach, salonach prasowych, w tym w punktach zlokalizowanych w centrach handlowych, w sklepach spożywczych, w super- i hipermarketach, na największych stacjach benzynowych i w urzędach pocztowych. Razem w ponad 24 tys. punktów, takich jak Auchan, Avita, Baltona, BP, Carrefour, Circle K, Delikatesy Centrum, Dino, Leclerc, Eko, Elea, ELDE, Empik, Frac, Gildia Hitpol, Inmedio, Intermarche, Kaufland, sieć DSW Kolportera: Top-Press oraz Saloniki Kolportera, Lukoil, Lewiatan, Ligo, Media Star, Media Press, Mila, Piotr i Paweł, PKN Orlen, Polo, Relay, Spar, Stokrotka, Świat Prasy, Shell, Tabak, Topaz, Tesco, Twój Market Żabka.

Zachęcamy również do skorzystania z poniższych ofert zakupu tygodnika:

- **Prenumerata tygodnika „Sieci” z dostawą do domu, do 40 proc. taniej.**

Dzięki prenumeracie wydawniczej zyskują Państwo pewność, że otrzymają każde wydanie naszego tygodnika, które dostarcza do domu/firmy Państwa listonosz. Szczegóły znajdą Państwo na stronie: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata.html. Informacji udzielamy też pod numerem tel. 22 616 15 70 w dni powszednie w godz. 10.00–16.00. Prenumeratę wydawniczą można zamówić i opłacić przez internet: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata.

- **Pytajcie Państwo także o prenumeratę pocztową w najbliższym urzędzie pocztowym.**
- **E-subskrypcja tygodnika „Sieci” – Sieć Przyjaciół już od 9,90 zł za miesiąc.**

Sieć Przyjaciół to społeczność czytelników serwisu wPolityce.pl i tygodnika „Sieci”. W ramach dostępu do Sieci Przyjaciół otrzymują Państwo: dostęp do e-wydań (pliki PDF) tygodnika „Sieci”, miesięcznika „wSieci Historii” oraz na czas trwania subskrypcji dostęp do specjalnych e-wydań „Sieci Extra”. Z publikacji można korzystać zarówno na komputerze stacjonarnym (także na laptopie), jak i na urządzeniach mobilnych (tablety, smartfony, e-czytniki, które obsługują format PDF).

Zamówienia i szczegóły ofert: https://siec.wpolityce.pl.

- **E- wydanie tygodnika „Sieci” – możliwość zakupu pojedynczych wydań tygodnika.**

E-wydanie umożliwia korzystanie z tygodnika na ekranach tabletów i telefonów komórkowych. To wygodna i szybka forma dostępu do bieżącego wydania. Pojedyncze e-wydania dostępne są w serwisach dystrybutorów: eprasa.pl, ekiosk.pl, Nexto.pl, eGazety.pl.

Zgłoś problem

Jeżeli natrafią Państwo na problemy w zakupie tygodnika „Sieci”, prosimy o informację mailową lub telefoniczną. Zgłoszenia telefoniczne przyjmujemy pod numerem: 22 616 15 70 w dni powszednie w godz. 10.00–16.00. Zgłoszenia mailowe odbieramy pod adresem: prenumerata@fratria.pl.

Zależy nam na stałym kontakcie z Państwem i szerokiej dostępności naszych tytułów – tak by bieżące wydanie docierało do Państwa szybko i sprawnie, by było dostępne w najbliższym kiosku, saloniku prasowym, sklepie. Do zobaczenia na łamach tygodnika „Sieci”.

Jacek Karnowski, redaktor naczelny

eprasa.pl cf2a5688ce

UE

Pakt dzieli Europę

Sprawa „Globalnego Paktu Migracyjnego" ONZ spowodowała rozpad koalicji rządzącej w Belgii. To tylko najbardziej spektakularny jego efekt – ów pakt, choć jest dobrowolny i teoretycznie niewiążący, wzbudził ogromne kontrowersje w części krajów UE.

Jego podpisania na szczycie w Marrakeszu odmówiły m.in. Polska, Austria, Bułgaria, Czechy, Łotwa, Słowacja, Włochy, Węgry i Szwajcaria. Włochy odmówiły wręcz wysłania swojego przedstawiciela na szczyt, co spotkało się z ostrą krytyką unijnego komisarza ds. migracji Dimitrisa Avramopoulosa. Dania i Holandia zgodziły się zatwierdzić dokument dopiero po burzliwych debatach na krajowej scenie politycznej.

W Belgii prawicowy Nowy Sojusz Flamandzki (N-VA) opuścił koalicję „w akcie protestu" po tym, jak premier i lider liberalnego i frankofońskiego Ruchu Reformatorskiego (MR) Charles Michel pojechał do Marrakeszu i złożył podpis pod dokumentem. Wcześniej większość belgijskich posłów poparła ideę dokumentu ONZ. Po wyjściu z koalicji N-VA rząd tworzą już tylko trzy partie – MR, a także wywodzące się z Flandrii ugrupowania Chrześcijańscy Demokraci i Flamandowie (CD&V) oraz Flamandzcy Liberałowie i Demokraci (VLD). Razem: zaledwie 52 posłów w 150-osobowym parlamencie. Tyle, że wybory i tak są zaplanowane na wiosnę przyszłego roku, a Michel jest przekonany, że spokojnie „dotrwa do tego czasu" na czele rządu mniejszościowego.

Rozpad belgijskiej koalicji rządzącej z powodu paktu obrazuje głęboki konflikt, który nastąpił w ostatnich latach w Europie i zastąpił klasyczny podział na lewicę i prawicę, doprowadzając do degrengolady tradycyjnych partii ludowych: podział na globalistów i zwolenników społeczeństwa zamkniętego. Tych, którzy chcą społeczeństwa wielokulturowego i tych, którzy widzą w nim zagrożenie. A zdaniem krytyków paktu może stać się zachętą do nielegalnej migracji, część jego zapisów ma bowiem wydźwięk czysto ideologiczny – choćby walka z „negatywnymi narracjami na temat imigracji" czy „promowanie postaw proimigranckich w mediach". Ponadto migracja jest w nim określana jako zjawisko jednoznacznie dobre i pożądane. Można więc przypuszczać, że wdrażane będą przede wszystkim te przepisy, które podkopują suwerenną politykę migracyjną poszczególnych państw.

To, że pakt jest niewiążący, także nie przekonuje jego przeciwników. Za pomocą takich dokumentów bowiem tworzy się tak zwane miękkie prawo, które służy ugruntowywaniu i upowszechnianiu zwyczajów prawnych. Z czasem wiele „niewiążących dokumentów" staje się w ten sposób normą prawa międzynarodowego.

Aleksandra Rybińska

Wielka Brytania

Zjednoczone Królestwo Króla Maciusia?

Jak uzdrowić coraz bardziej kulejącą liberalną demokrację? Szef Wydziału Polityki i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu w Cambridge David Runciman znalazł już odpowiedź na to pytanie. Jego zdaniem należy obniżyć czynne prawo wyborcze do szóstego roku życia.



Tak, to nie pomyłka, prof. Runciman, autor książki „Jak kończy się demokracja", naprawdę uważa, że sześciolatki mogą podejmować samodzielne decyzje na temat przyszłości państwa. „Mówię całkiem serio. Chciałbym, aby każda osoba, która potrafi czytać, miała prawo głosu" – wyjaśnia. Jak twierdzi, obecne kryterium wieku dyskryminuje młodzież i dzieci. Ta nierównowaga wiekowa doprowadziła – jego zdaniem – do kryzysu demokracji. W tej chwili polityka znajduje się w rękach tych, których z racji wieku interesuje już tylko teraźniejszość. Tymczasem od podejmowanych przez nich decyzji zależą losy kolejnego pokolenia.

Taka argumentacja nie jest w Wielkiej Brytanii nowością. Podczas październikowych demonstracji zwolenników Unii mocno eksponowano najmłodszych uczestników marszu, którzy oburzali się, że w 2016 r., gdy oni sami nie uzyskali jeszcze prawa głosu, inni zdecydowali o ich przyszłości. Dlatego pojawił się pomysł, aby obniżyć czynne prawo wyborcze w Wielkiej Brytanii do 16 roku życia (dziś – tak jak w Polsce – wynosi ono 18 lat). Niektórzy argumentowali, że gdyby prawo głosu miały szesnastolatki, to zapewne nie doszłoby do Brexitu.

Prof. Dunciman jest tu jednak sceptyczny: „Być może gdyby szesnastolatki mogły wybierać, to premierem byłby dzisiaj Jeremy Corbyn. Ale gdyby głosowały w referendum, to ich głosy nie wystarczyłyby do odrzucenia brexitu". Dlatego – jego zdaniem – rozszerzenie prawa głosu o dwa roczniki to za mało. „Mamy bowiem do czynienia ze zbyt dużą strukturalną nierównowagą, której drugi koniec wyznaczają osiemdziesięciolatkowie, a nawet ludzie stuletni" – mówi. Ludziom starym nikt nie odbiera głosu, choć wielu z nich może być pogrążonych w demencji i podejmować absurdalne decyzje przy urnach. Z tego punktu widzenia – dowodzi prof. Dunciman – głos sześciolatka wcale nie musi być bardziej ryzykowny. Co nam zagraża? – pyta. „Przynajmniej wybory staną się bardziej ekscytujące, dostarczą więcej radości".

Czyżby? A może chodzi o to, że europejska klasa polityczna traci zaufanie dotychczasowych wyborców? Bo jak inaczej wytłumaczyć desperacki pomysł powierzenia losów liberalnej demokracji w ręce dzieci? Sięganie po najgłębsze rezerwy zwykle świadczy o tym, że jest już bardzo źle.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl cf2a5688ce

Izrael

Syjonistyczna woda

Premier Netanjahu wystąpił ostatnio z zaskakującą propozycją wobec Iranu. Zaproponował mianowicie nienawidzącej żydowskiego państwa islamskiej republice, by przyjęła izraelską pomoc w dziedzinie walki z suszą i nawadniania suchych obszarów.

Jest to posunięcie, skierowane przede wszystkim do opinii zachodniej, mające wpłynąć na zmianę jej postawy wobec Izraela, zwrócenie jej uwagi na humanitarny wymiar polityki Jerozolimy. Wymiar skądinąd naprawdę (wśród wielu innych) istniejący; w czasie wojny domowej w Syrii państwo żydowskie przyjmowało na leczenie rannych Syryjczyków, cywili, żołnierzy i bojowników z różnych formacji. Jest to też odpowiedź na obłąkańczą propagandę Teheranu, w myśl której to, że w Iranie zmniejszyła się liczba opadów deszczu, powodują swoimi diabelskimi metodami... tak, jest, zgadłeś, Watsonie – syjoniści.

Ale propozycja Netanjahu ma też sens realny, pośrednio dotyczący również i nas.

Bo cały niemal Bliski Wschód, a także sporą część Afryki, ogarnia, powodowana zmianami klimatycznymi, ale często potęgowana bezmyślnością rządzących, susza. I przyjmuje ona, z roku na rok, coraz bardziej katastrofalny obraz. Już dziś władze Iraku czasowo zakazały rolnikom w niektórych prowincjach dokonywać zasiewów – bo rośliny przecież piją wodę...

Potęgowanie się suszy było jedną z głównych przyczyn skierowanej do Europy fali migracyjnej lat 2014/15. Jeśli ta sytuacja się pogorszy – a wszystko wskazuje, że tak będzie – zagrożeni śmiercią ludzie mogą rozpocząć wędrówkę ludów przekraczającą skalę znaną nam sprzed czterech lat. Przy czym Iran, z niziutkim przyrostem naturalnym i starzejącą się ludnością, nie będzie głównym problemem. Ale w państwach arabskich sytuacja jest pod tym względem inna – tam wciąż jeszcze królują wysoki przyrost i młodość...

Otóż Izrael jest absolutnym światowym liderem w dziedzinie technologii pozyskiwania wody i jej oszczędzania. Gdyby istotnie zechciał podzielić się nią ze swymi sąsiadami i gdyby ci tę ofertę „syjonistycznego tworu okupacyjnego" przyjęli, i potrafili z niej skorzystać, to po pewnym czasie imigracyjny nacisk na Europę zelżałby.

Czy się podzieli? Czy przyjmą? Czy potrafią?

Piotr Skwieciński



Fot. Shutterstock x2

Armenia

Wielki krok „Mojego kroku"

Wybory w Armenii przyniosły miażdżące zwycięstwo partii Mój Krok, która zdobyła 70,4 proc. głosów, uzyskując większość konstytucyjną. Na czele ugrupowania stoi Nikol Paszynian – przywódca „aksamitnej rewolucji", która wiosną obaliła rząd Republikańskiej Partii Armenii (RPA). On sam został premierem, jednak po kilku miesiącach stwierdził, że nie da się rządzić przy parlamencie, w którym zasiada większość wybrana jeszcze przed rewolucją. Dlatego podał się do dymisji i rozpisał przedterminowe wybory.

Przyniosły one totalną klęskę dotychczasowego obozu władzy. Wszechwładna jeszcze niedawno RPA uzyskała zaledwie 4,7 proc. głosów i nie dostała się do parlamentu. Zasiądą w nim tylko trzy ugrupowania zamiast dotychczasowych sześciu. Oprócz zwycięzców znajdą się tam dwie partie wspierające dotąd Paszyniana: Kwitnąca Armenia oligarchy Gagika Carukiana (8,3 proc.) i Oświecona Armenia pod wodzą Edmona Marukiana (6,4 proc). Wszystkie mandaty przypadły więc siłom popierającym „aksamitną rewolucję". Premierem zostanie znów Paszynian.

Konstytucyjna większość daje mu narzędzia do zrealizowania celów, które obiecał: naprawy państwa, reform gospodarczych, walki z korupcją. Będzie to trudne, bo nadal wielkie wpływy mają oligarchowie, związani z RPA. Część z nich została aresztowana, np. były prezydent Robert Koczarian, którego majątek szacowany jest na 4 mln dol. Inny oligarcha, b. szef Komitetu Celnego Aleksander Sarkisjan (notabene brat kolejnego eksprezydenta) zgodził się dobrowolnie oddać do budżetu państwa 20 mln dol.

Sygnałem alarmującym jest niska frekwencja, znacznie niższa niż w kwietniu 2017 r. Oznacza to, że większość obywateli nie wierzy w zmiany, ale ci, którzy wierzą, nadzieję upatrują w Paszynianie. Nie należy spodziewać się natomiast zwrotu geopolitycznego w kierunku Zachodu, ponieważ Rosja jest jedynym gwarantem, iż Karabach (teren, będący przyczyną wojny z Azerbejdżanem) pozostaje pod ormiańską kontrolą.

Grzegorz Górny

RZECZY POSPOLITE

Polskich świąt!



Tomasz Łysiak

Właściwie nie dziwią wypadki, jakie od kilku tygodni obserwujemy na ulicach Paryża i innych miast. Francja zbiera owoce nie tylko spójnej z brukselskimi wytycznymi polityki ostatnich lat, lecz de facto swojego upadku, jaki zaczął się w okresie rewolucji francuskiej. Państwo wykwitłe na sukcesach Pani Gilotyny (liczonych tysiącami ściętych głów) i ludobójczych rzeziach wymierzonych w konserwatywny świat (Wandea) nigdy nie wyrosło z chorób rewolucyjnych, zarażając przy tym pozostałe kraje Europy. Laicyzacja państwa i napływ imigrantów zrobiły swoje – Francja topiła się i topi pod ciężarem swoich wartości, w których Wolność jest rozumiana na opak, będąc de facto samowolą; Równość jest rozumiana na opak i stanowi wyniesienie tego, co słabe i niegodne, na poziom tego, co dobre, mądre, piękne, i wreszcie Braterstwo rozumiane na opak i będące zgodą na oddanie ojczyzny na łup innym kulturom.

Obrazki dzikiej rewolty francuskiej przerażają barbarzyńskimi akcentami po obu stronach barykady – z jednej strony widzimy bandy wyrostków rabujące sklepy, z drugiej policjantów bijących „żółte kamizelki", strzelających do nich z broni na naboje gumowe, tłukących bez litości kobiety i inwalidów. I nie ma żadnej reakcji Brukseli. W końcu Francja jest ojczyzną „wolności".

Tymczasem ktoś w Polsce upublicznił zdjęcie dzieci idących z przedszkola i przechodzących przez pasy na drugą stronę jezdni. Wszystkie maluchy, w żółtych kamizelkach, uśmiechnięte i bezpieczne. Nadużycie, jeśli chodzi o siłę obrazów i metaforę? Wcale nie.

Polska jest bezpiecznym, spokojnym krajem, do którego coraz częściej w poszukiwaniu stabilności i spokoju przyjeżdżają obywatele innych państw Europy.

Równie dobrym znakiem, symbolem różnic, jakie widać w sposobie życia tu, nad Wisłą, i w zachodnich wielkich miastach, są jarmarki świąteczne. We Włoszech, Francji czy w Niemczech wszędzie ustawiono antyterrorystyczne betonowe bloki, stały już element „dekoracji" świątecznych. Ludzie piszą na nich „Danke Merkel". U nas, na szczęście, betonu jeszcze nie ma i nikt nie zakazuje stawiania choinek! A zatem tym radośniej życzę Państwu pięknych, dobrych, prawdziwie polskich świąt Narodzenia Pańskiego!

Prezent



Piotr Cywiński

To było ładnych parę lat temu, też przed świętami. Pewien Niemiec, ojciec moich znajomych, poprosił mnie ni z tego, ni z owego o przywiezienie płyt z polskimi kolędami. Prośbę spełniłem. Wręczając, nie omieszkałem jednak zapytać, skąd u niego to życzenie. Okazało się, że był to pan z charakterystycznym tatuażem, który po wojnie był w Polsce skazany na śmierć. Na wykonanie wyroku czekał w celi śmierci z żołnierzami Armii Krajowej. Na nich wyroki wykonano, on został wypuszczony do (wówczas) NRF dzięki porozumieniu kanclerza Adenauera z sowiecką Rosją o uwolnieniu niemieckich jeńców. A skoro z ZSRS, to i z PRL. Pan poznał polskie kolędy i od współwięźniów się ich nauczył.

Co ma do tego kuchnia polska? Niedawno znajomi Niemcy, którzy bywają w naszym gościnnym kraju, nieźle go znają i lubią naszą kuchnię, poprosili mnie o polską książkę kucharską w języku niemieckim lub angielskim. Pobiegałem więc po empikach, żeby znaleźć coś odpowiedniego, pięknie wydanego, z efektownymi ilustracjami, pobuszowałem w internecie i... nic! Daremny trud! Czasy wojny mamy dawno za sobą. Okazuje się, że łatwiej mi było spełnić życzenia za nieboszczki „ludowej", za którą nie tęsknię, o polskie kolędy na płytach niźli o atrakcyjną pozycję wydawniczą, dzięki której mamy okazję dać się poznać z kulinarnej, i nie tylko z kulinarnej, strony.

Wreszcie znalazłem! On-line! Kupiłem przez internet „Authentic Polish Cooking", bieda-wydanie, z niezbyt apetycznymi bieda-ilustracjami, książeczkę wydaną w... New Yorku, a wydrukowaną w... Chinach, w oryginale za 15.99 $, u nas ponad 80 zł z przesyłką. Kupiłem na ślepo, narzekać nie mogę, ale na efektowny, reprezentacyjny, nie powiem powalający, prezent toto się raczej nie nadaje.

Że się czepiam? Przecież jest w niej wszystko, od „A", jak (pisownia oryginalna) „Angel wings/chrust", przez „Beff stroganoff" i „Cod a la Nelson/dorsz a la Nelson", i dalej „Gulash", „Greek-style fish/ryba po grecku", po „Turkey garden salad/sałatkę z indykiem" i „Zuzchini with ground meat/cukinię faszerowaną mięsem mielonym" – całość opatrzona zachętą: „Learn to make a full-flavored meal that is perfectly Polish („Naucz się jadać doskonale polski, pełnowartościowy posiłek"). „Oto właśnie cały człowiek, winę nogi zwala na but" – pisał Samuel Beckett w „Czekając na Godota". O polskiej kuchni nie pisał, tak tylko jakoś głupio mi się to wszystko skojarzyło...

eprasa.pl cf2a5688ce



Sztuka pod każdą strzechą

Na polskim rynku sztuki padł rekord. Obraz Wojciecha Fangora, malarza, grafika, plakacisty, rzeźbiarza, zatytułowany „M 39", wyceniany na kwotę 2 mln zł, uzyskał na aukcji cenę ponad 4,7 mln zł, przebijając tym samym najdrożej dotąd wylicytowane „Macierzyństwo" Stanisława Wyspiańskiego, za które w grudniu 2017 r. zapłacono 4,36 mln zł.

Wartość dzieł polskiego twórcy, zmarłego w 2015 r., wzrasta. Trzy lata temu obraz zatytułowany „M 58" uzyskał wartość niespełna 1 mln zł.

Wojciech Fangor był jednym z najbardziej uznanych polskich artystów XX w. Tworzył malarstwo figuratywne i abstrakcyjne. W latach 50. zasłynął jako plakacista, by następnie stać się światowym pionierem instalacji przestrzennych. W kolejnym dziesięcioleciu skoncentrował się na obrazach abstrakcyjnych kojarzonych z op-artem. Sztuka Wojciecha Fangora była na tyle wyjątkowa, że w 1970 r., jako jedyny dotychczas polski artysta, miał indywidualną wystawę w nowojorskim Muzeum Guggenheima.

Mało kogo stać na drogą sztukę. Jak sprawić, abyśmy mogli sobie pozwolić na posiadanie czegoś wyjątkowego i na dobrym poziomie?

Warszawiacy z pracami Fangora mogą obcować na co dzień. Dzieła artysty podziwiać można na stacjach II linii metra. Fangor zaprojektował napisy z nazwami stacji, umieszczone na ścianach peronów.

Dziś prace nieżyjącego od trzech lat twórcy przeżywają renesans zainteresowania wśród kolekcjonerów licytujących nad Wisłą.

Sukces twórczości Wojciecha Fangora, której wartość w ostatnich latach potężnie rośnie, może być porównywany z podobną tendencją – ogromną popularnością malarstwa Tamary Łempickiej, artystki polskiego pochodzenia tworzącej w estetyce art déco.

Siedem lat temu jej obraz „Le Rêve" został sprzedany za 8,5 mln dolarów. Rok później „Portret Madamme M." oraz odnaleziony po dekadach „Nu adosse I" osiągnęły wartość 13 mln dolarów. W 2018 r. obraz „La Musicienne" wylicytowano za ponad 9 mln dolarów, co spowodowało, że stał się on najdroższym dziełem twórcy o polskich korzeniach. W dniu urodzin artystki jej wizerunek znalazł się na stronie głównej najczęściej użytkowanej wyszukiwarki internetowej, a reprodukcje dzieł Tamary Łempickiej należą do najchętniej wybieranych dekoracji wnętrz, mimo swej nieoczywistej estetyki. Stały się bowiem synonimem dobrego smaku. A ona sama przeniknęła do popkultury.

Rynek sztuki w ostatnich latach budzi zainteresowanie coraz większego grona kolekcjonerów i osób upatrujących w zakupie dzieł malarstwa, rzeźby, grafiki czy fotografii sposobu na lokatę kapitału. Polacy dołączają do elitarnego grona wysoko cenionych twórców i inwestorów. Coraz więcej ludzi odczuwa potrzebę posiadania jednostkowych dzieł, które pozwalają nadać wnętrzu niepowtarzalny charakter, dostosowany do osobowości i wrażliwości jego właściciela. Mało kogo stać jednak na drogą sztukę. Jak sprawić, abyśmy mogli sobie pozwolić na posiadanie czegoś wyjątkowego i na dobrym poziomie?

Rozwiązaniem wydaje się szersze, publiczne promowanie młodych twórców. Służyć temu mogą przestrzenie miejskie, np. środki komunikacji, słupy ogłoszeniowe, citylighty, wypełniające się młodą sztuką nie tylko od święta.

Marta Kaczyńska-Zielińska

8 grudnia po wieloletniej walce z chorobą odeszła od nas

JOLANTA SZCZYPIŃSKA

poseł na Sejm IV, V, VI, VII i VIII kadencji.
Była Człowiekiem wielkiego ducha i odwagi.
W czasach PRL opozycjonistka,
w niepodległej Polsce poświęciła się służbie Ojczyźnie.
Jola była dobrą, życzliwą i pełną ciepła kobietą,
nawet w cierpieniu zaangażowaną w sprawy innych ludzi.
Zawsze gotowa oddać serce potrzebującym
i nieść pomoc słabszym.

Jesteśmy jej wdzięczni za niezłomną pracę dla Polski
i świadectwo życia.

Niech odpoczywa w pokoju.

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

21/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Święta surowo zabronione



Władze szkoły w Omaha, w stanie Nebraska, zabroniły świątecznych dekoracji w kolorze czerwonym, bowiem te mają się kojarzyć z chrześcijańskimi świętami. Dyrekcja zadała sobie trud, by w specjalnym dokumencie opisać, czego nie wolno robić w szkole przed zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia. „Prosimy, pamiętajcie, że w naszej szkole nie obchodzimy Bożego Narodzenia ani żadnych innych. W okresie przed świętami nie podejmujcie żadnych aktywności. Uczą się u nas wyznawcy różnych religii i naszym zadaniem jest pracować tak, by nie czuli się oni wyobcowani" – napisano, a o sprawie informuje portal Pch24.pl. Władze szkoły zakazały zmiany dekoracji na tematyczną, co więcej zabroniono używania kolorów czerwonego i zielonego, bo te najbardziej kojarzą się ze świętami. To jednak nie koniec absurdalnych pomysłów szkolnych urzędników. Uczniowie z Omaha nie mogą przynosić ani wywieszać świątecznych słodyczy, zwłaszcza lizaków w kształcie litery „J", bo te zdaniem władz szkoły kojarzą się z pierwszą literą imienia Jezusa, a ich eksponowanie może być dyskryminujące. Ciekawe, czy w tej szkole Halloween też jest surowo zakazane, czy może upiory nikomu nie przeszkadzają? W każdym razie dla uczniów tej placówki to będzie upiorne Boże Narodzenie.

34 proc.

– tylu Polaków planuje wydanie na organizację świąt od 200 do 500 zł, co czwarte gospodarstwo domowe przeznaczy na ten cel do 1 tys. zł, zaś 16 proc. rodaków niespełna 200 zł.

68 proc.

– tylu Polaków sfinansuje tegoroczne święta głównie z bieżących dochodów.

64 proc.

– tylu Polaków spędzi święta w domowym zaciszu (dane na podstawie „Świąteczne finanse Polaków 2018", badanie SW Research na zlecenie Grupy Kruk).

Prezenty na cenzurowanym



W jednej ze szkół w Wielkiej Brytanii w hrabstwie North Yorkshire zakazano wszelkich świątecznych tradycji. Miało nie być ani świątecznych kartek, ani zabaw, ani prezentów, ani choinki. Tak zdecydowała Chris Paul, jedna z nauczycielek ze szkoły Lady Lumley's w Pickering, argumentując, że „lawina komercjalizacji" zmieniła ideę tego święta, a dyrekcja stanęła po stronie nauczycielki. O sprawie informował portal Londynek.net. Jednak szkoła została zalana protestami od rodziców. Dyrekcja dostała ponad 500 listów i e-maili. Presja ze strony dorosłych była na tyle duża, że dyrekcja ugięła się i pozwoliła na świętowanie Bożego Narodzenia. Uf... W tym roku Boże Narodzenie ocalone.

Włosi walczą o święta

W Terni we Włoszech jedna ze szkół nie pozwoliła na umieszczenie na swoim terenie tradycyjnej szopki, tłumacząc to szacunkiem dla dzieci innych kultur. W tej sprawie jednak błyskawicznie zainterweniował włoski rząd. Minister spraw wewnętrznych Włoch Matteo Salvini uznał, że takie zachowanie to idiotyzm, i napisał na Facebooku: „Nie chodzi tylko o religię, chodzi o historię, korzenie, kulturę. Nie poddam się". Z kolei włoski minister edukacji Marco Bussetti podczas przemówienia w Rzymie do Stowarzyszenia Szkół Katolickich stanął w obronie krzyża w szkołach. „Krucyfiks jest dla mnie symbolem naszej historii, naszej kultury, naszych tradycji" – powiedział minister. O sprawie informuje Deon.pl. Na szczęście jeszcze nie cała Europa zwariowała.

eprasa.pl cf2a5688ce

Bez szopki

„Klienci jednego z centrów handlowych w Szkocji nie zobaczą w tym roku bożonarodzeniowej szopki. »Chcemy być religijnie i politycznie neutralni« – tłumaczy swoją decyzję kierownictwo galerii" – informuje Londynek.net. Kierownictwo Thistles w Stirling chwali się, że słynie z religijnej i politycznej poprawności wśród lokalnej społeczności, stąd decyzja o niewystawianiu szopki. Podobno klienci mają czerpać przyjemność ze spędzania wolnego czasu bez poddawania się indywidualnym przekonaniom religijnym. Ciekawe, że kierownictwu Thistles jakoś nie przeszkadza zbijanie kokosów na tych paskudnych świętach.



Tradycyjna wigilia PO-PSL w Strasburgu w pobliżu europarlamentu. Kolędy, życzenia i nagle zagrały smartfony: strzelanina w mieście, są ofiary, europarlament zablokowany. Jarmark świąteczny, ściągający 2 mln gości – cel wymarzony! Na szczęście my daleko – skomentował zamach w Strasburgu europoseł PO Janusz Lewandowski. Empatia – level master.

Wigilia z miejscówką

„W Essen-Haarzopf w Zagłębiu Ruhry w nabożeństwach ewangelickich w Wigilię Bożego Narodzenia będzie można uczestniczyć wyłącznie za miejscówką. Tak zadecydowała wiceprzewodnicząca rady parafialnej Christine Imhof" – informuje portal Dw.com. Wszystko to wynik zamieszania, jakie zdarzyło się rok wcześniej przed kościołami ewangelickimi w dzielnicy Haarzopf i Fulerum w Essen. Na nabożeństwa przyszło zbyt dużo ludzi i ze względów bezpieczeństwa nie wpuszczono ich do świątyni. Stąd pomysł, by w tym roku wprowadzić miejscówki. A jak ktoś się nie załapie? Uczci sobie święta za rok.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Śmieszność i honor



Dominik Zdort

Dla osób wybitnych i zasłużonych mam dobrą radę, uważajcie na Gdańsk. Gdyby komuś przyszło do głowy ofiarować wam tytuł honorowego obywatela tego miasta – nie przyjmujcie. To ryzykowne.

Parę dni temu rada miejska stolicy Pomorza zabrała się do odbierania tej godności nieżyjącemu już ks. prałatowi Henrykowi Jankowskiemu, dawnemu duszpasterzowi opozycji, a równocześnie kapłanowi, którego dotyczą poważne podejrzenia o pedofilię, przede wszystkim homoseksualną. Na tyle obciążające, że odebranie mu tytułu wydaje się uzasadnione.

Ks. Henryk Jankowski nie jest pierwszym honorowym obywatelem Gdańska, który tytuł traci. I być może nie ostatnim.

W okresie Wolnego Miasta Gdańska na listę wpisano cztery osoby, głównie funkcjonariuszy III Rzeszy z Adolfem Hitlerem na czele. Dekret Krajowej Rady Narodowej z marca 1945 r. stwierdził, że na terenie miasta tracą moc wszystkie przepisy obowiązującego wcześniej ustawodawstwa. Dziś władze Gdańska uważają, że oznaczało to także odebranie godności honorowego obywatelstwa, choć pozostają wątpliwości. Bo konkretnych uchwał nigdy nie unieważniono...

W czasach Polski Ludowej Gdańsk także nadał tylko cztery tytuły: Bolesławowi Bierutowi i trzem sowieckim wysokim oficerom. W grudniu 1990 r. rada miasta w swojej uchwale wyliczyła przepisy z czasów PRL, które nadal obowiązują. Tych nadających tytuły honorowego obywatela na liście nie było. Ale też nigdy konkretne uchwały nie zostały wskazane jako nieważne...

Nie chcę się czepiać, a tylko pokazać, że historyczne koleje losu doprowadziły do tego, iż wokół tytułu nadawanego przez Gdańsk jest wiele niejasności i nie ma on dziś wielkiego znaczenia (tym bardziej że po 1989 r. mamy nadprodukcję, bo ponad 50 kolejnych „obywateli"), a jego przyjęcie wiąże się jedynie z ryzykiem śmieszności.

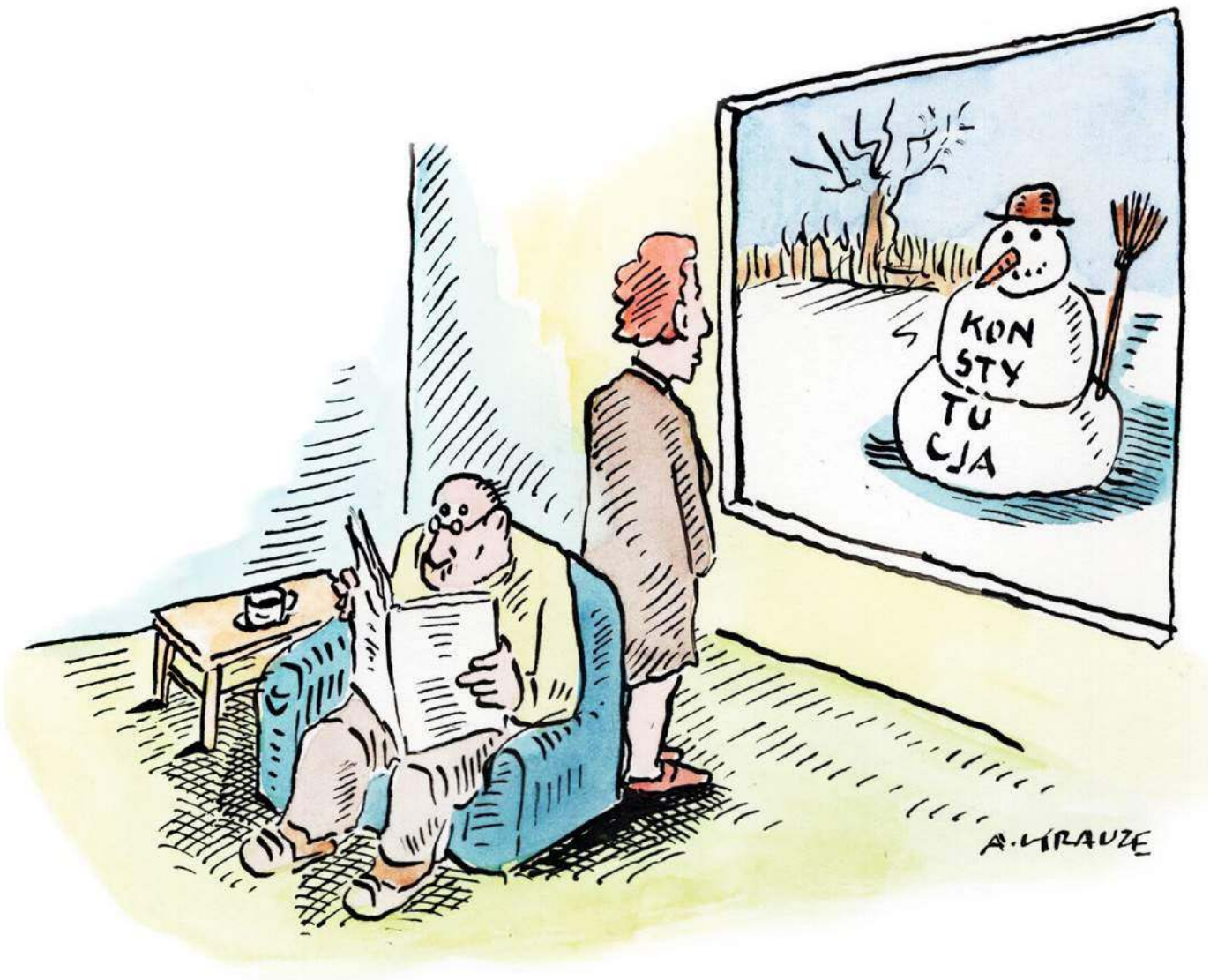
Byłoby może poważniej, gdyby potraktować te wyróżnienia jak Pokojową Nagrodę Nobla, której odebrać się nie da. Dlatego ta godność wciąż przysługuje San Suu Kyi, choć odpowiada ona za prześladowanie muzułmanów w Birmie, i Barackowi Obamie, choć utrzymywał więzienie w Guantanamo. Lech Wałęsa, mimo że dziś już nie ma wątpliwości, iż był agentem SB, również nie utracił nagrody.

Wciąż jednak może stracić tytuł honorowego obywatela miasta Gdańska. Wystarczy, że za jakiś czas inaczej powieją polityczne wiatry.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl cf2a5688ce

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cf2a5688ce

Deprawacje i insynuacje



Fot. Andrzej Wiktor

Trwa kolejna edycja programu „Poznań od tyłu". Prym w akcji wiedzie tzw. Grupa Stonewall. Po udanym ataku deprawacyjnym na jedną ze szkół (warsztaty „o dyskryminacji" – płciowej, rzecz jasna) propagatorzy seksu jednopłciowego i sadomaso usiłowali siać propagandę gender w III Liceum Ogólnokształcącym. Na szczęście poinformowani przez media rodzice zablokowali inicjatywę i szkoła odwołała zajęcia. Agitatorzy ze Stonewall wpadli w rozpacz i wydali kalendarz. Rzecz dla ludzi o mocnych nerwach i całkowitym braku poczucia estetyki. Na jednym ze zdjęć pozuje homoseksualista w samej bieliźnie, na tle porozrzucanych dookoła dziecięcych zabawek (konik, miś, figurka Batmana), przymierzający damskie szpile na potężnych koturnach o dwa numery za duże. Szkoda, że ci seksedukatorzy nie pojawiają się w szkołach w kreacjach z kalendarza. Wtedy może zareagowałby resort edukacji. Mam nadzieję, że z okazji zbliżających się świąt Stonewall wyśle choć egzemplarz tego „dzieła" szefowej MEN.

„Gazeta Wyborcza" instruuje swoich czytelników, jak należy prawidłowo interpretować wyjaśnienia sekretarza generalnego ONZ Antónia Guterresa w sprawie podpisanego właśnie globalnego paktu imigracyjnego (deklaracja z Marrakeszu). Właśnie jest na etapie walki z mitem, jakoby dokument ten do czegokolwiek zobowiązywał sygnatariuszy. Stary i zgrany chwyt. Nie po to przecież 164 państw podpisuje traktat, żeby nic z tego nie wynikało. Wręcz przeciwnie. Zadaniem paktu jest przecież zmiana polityki migracyjnej na świecie i stworzenie tzw. miękkiego prawa, które będzie później kształtowało międzynarodowe zwyczaje w kwestiach migracji. Na szczęście takie państwa jak Polska, Węgry czy Stany Zjednoczone nie parafowały tego łomu, którym politpoprawne głowy państw wywalają drzwi do swoich krajów dla napływu światowej nędzy i radykalnego islamu. Ale fani propagandy z Czerskiej będą teraz przekonywać na rodzinnych przyjęciach, że Polska znowu podpadła całemu światu, bo nie chciała podpisać nic nieznaczącego dokumentu. Wszak wiadomo, że „Na początku było Słowo"... ale z „Gazety Wyborczej".

Dziennikarz Fabian Eberhard, powołujący się m.in. na tajny dokument służb NDB, przestrzega, że od pewnego czasu w Szwajcarii tworzone są ukryte komórki, które mogą być wykorzystywane przez stronę rosyjską – zarówno w celach paramilitarnych, jak i do prowadzenia klasycznych operacji szpiegowskich. Komórki te zorganizowane są wokół klubów propagujących rosyjski sport walki Systema. Ich zadaniem jest selekcja kandydatów, typowanie na przyszłych współpracowników oraz infiltracja przez ludzi związanych z Systemą i tworzenie agentury wpływu. Pytanie za 10 punktów: w którym kraju europejskim jest najwięcej ośrodków Systemy? Odpowiedź wydaje się oczywista: Niemcy (ponad 60 placówek). I weź tu blokuj Nord Stream 2.

Andrzej Rafał Potocki

Z ogromnym smutkiem żegnamy

JOLANTĘ IRENĘ SZCZYPIŃSKĄ

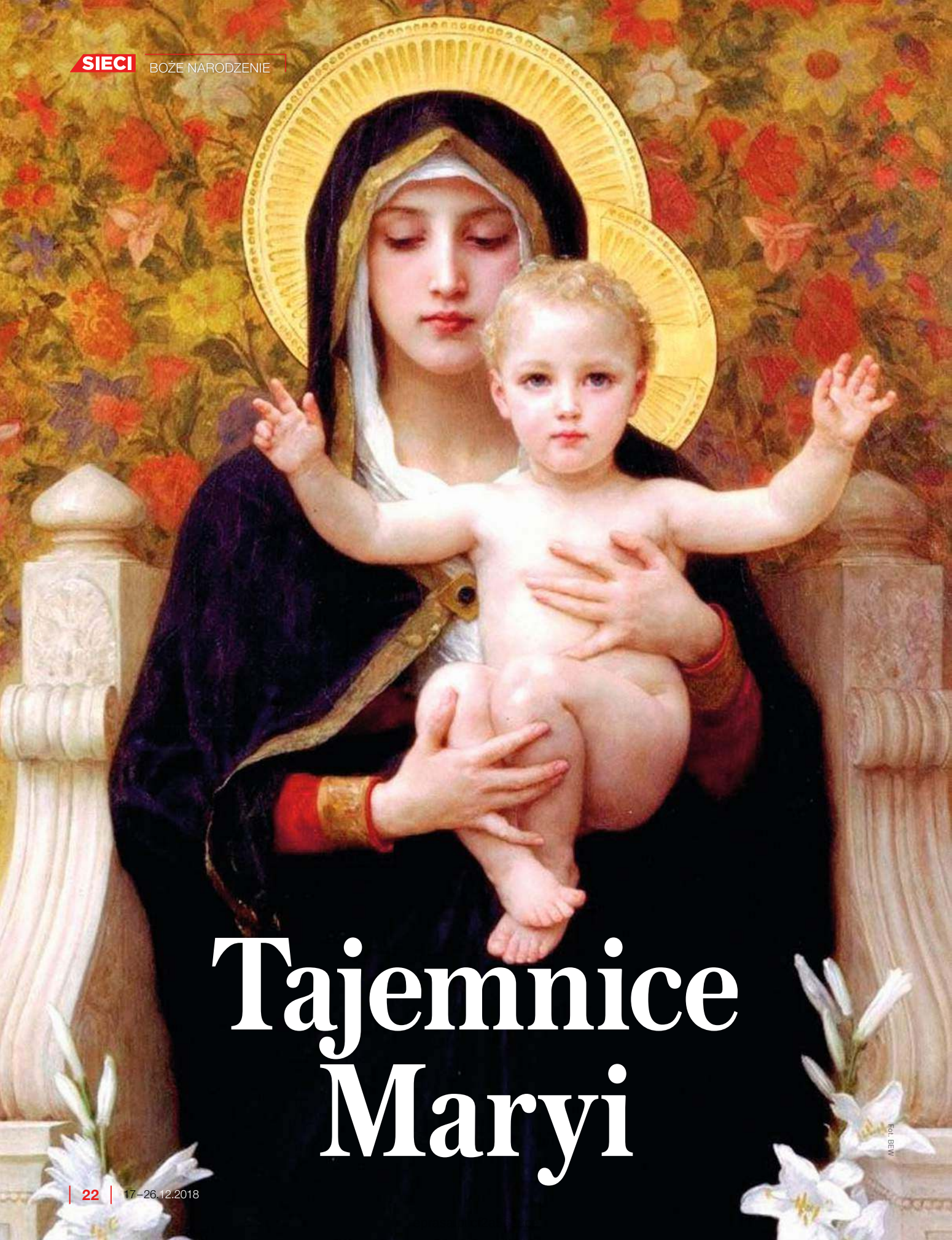
niestrudzoną i nieugiętą opozycjonistkę.
Człowieka „Solidarności".

Wrażliwą, pełną dobroci, ciepła i życzliwości osobę.
Otoczmy pamięcią i modlitwą tę Piękną Postać,
która w pokorze znosząc własne cierpienia, nie zapominała o innych.
Zawsze dzieliła się swym wielkim sercem z potrzebującymi
i do końca poświęcała się służbie Polsce.
Żegnamy Panią, Pani Poseł

Elżbieta Rafalska
Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
oraz członkowie Kierownictwa Ministerstwa

22/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce



Tajemnice Maryi

Fot. BEW

Jest najbardziej popularną i rozpoznawalną kobietą w dziejach świata. Żadna inna przedstawicielka płci pięknej nie doczekała się tak wielu hołdów, wyrazów czci, oznak wdzięczności. Tylu rzeźb, obrazów, pieśni i utworów literackich. Żadna nie była darzona autentyczną miłością przez tylu ludzi na wszystkich kontynentach



GRZEGORZ GÓRNY

Jej twarz zobaczyć można wszędzie. Za każdym razem wygląda inaczej – w Guadalupe, Częstochowie, Montserrat, Fatimie czy La Salette – tak jakby wizerunki przedstawiały różne kobiety. A jednak wystarczy rzut oka, by nie mieć wątpliwości, że to właśnie ona. Jest w niej coś, czego nie ma w żadnej innej osobie na świecie. Miriam z Nazaretu. Mater Dei. Our Lady. Maryja.

ŚLADAMI APOKRYFU

Choć tak znana, jest jednak mało znana. Na podstawie świadectw z epoki wiemy o niej bardzo niewiele. Właściwie większość jej życia tonie w mroku tajemnicy. Pojawia się jedynie w kilku epizodach spisanych przez ewangelistów. Najwięcej miejsca poświęcają jej św. Mateusz i św. Łukasz, opisując okoliczności narodzenia Jezusa i Jego dzieciństwa. Nie da się jednak napisać historycznej biografii Maryi w oparciu jedynie o Ewangelie. Badacze zmuszeni są więc sięgnąć do innych źródeł, głównie pism apokryficznych powstałych w okresie wczesnochrześcijańskim, które z różnych przyczyn nie zostały włączone do kanonu Biblii.

Najważniejsza z nich to księga zatytułowana „Pochodzenie Maryi. Apokalipsa Jakuba", znana bardziej od XVI w. jako Protoewangelia Jakuba. Tytułowa postać wiązana jest z apostołem Jakubem Młodszym, który pojawia się w Ewangeliach jako „brat Pański". U św. Mateusza znajdujemy fragment, gdy Jezus naucza w synagodze w Nazarecie, a mieszkańcy miasteczka zdumieni pytają: „Czyż nie jest On synem cieśli? Czy Jego Matce nie jest na imię Maria, a Jego braciom Jakub, Józef, Szymon i Juda? Także jego siostry czy nie żyją wszystkie u nas?".

Autor przywoływanej Protoewangelii Jakuba pozostawił nam zapis, że św. Józef, nim poślubił Maryję, był już wcześniej żonaty i doczekał się gromadki dzieci. Małżonka jednak zmarła i został wdowcem. Jednym z synów Józefa był właśnie wspominany Jakub Mniejszy – późniejszy apostoł i pierwszy biskup Jerozolimy. Tak utrzymywali również chrześcijańscy pisarze z IV stulecia: Epifaniusz z Salaminy i Euzebiusz z Cezarei. Ten ostatni w swej „Historii kościelnej" pisze wprost: „Jakub, zwany bratem Pańskim, bo i jego nazywano synem Józefa, Józef zaś uchodził za ojca Chrystusowego".

Protoewangelia Jakuba spisana została w języku greckim prawdopodobnie między 140 a 170 r. Opisuje narodziny i młodość Maryi, zwiastowanie i narodzenie Jezusa, a kończy się ucieczką Świętej Rodziny do Egiptu. Jest – obok tekstów św. Ignacego Antiocheńskiego, św. Justyna Filozofa i św. Ireneusza z Lyonu – jednym z niewielu pism z II w. mówiących o Matce Bożej. Źródłem tradycji ustnej, która znalazła wyraz w owej księdze, jest najprawdopodobniej rodzina Józefa czerpiąca informacje od swych przodków – bezpośrednich świadków opisywanych wydarzeń.

Protoewangelia Jakuba – w odróżnieniu od innych apokryfów uznanych przez Kościół jednoznacznie za fałszerstwo lub wyraz błędnej nauki – cieszyła się od początku dużym autorytetem, zwłaszcza wśród chrześcijan Wschodu. Z tego właśnie pisma wywodzi się także część oficjalnej tradycji katolickiej, która ma swoje odzwierciedlenie w kalendarzu liturgicznym. O tym, że rodzicami Maryi byli Joachim i Anna, których wspomnienie obchodzimy 26 lipca, wiadomo właśnie z Protoewangelii Jakuba. Podobnie jest ze świętem Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny w świątyni jerozolimskiej, które obchodzimy 21 listopada.

PIERWSZA APOLOGIA MARYI

Badacze przypuszczają, że powstanie dzieła mogło być związane z odpowiedzią na zarzuty sformułowane w kręgach żydowskich, odrzucających mesjańską misję Jezusa. Oskarżenia te zostały zawarte choćby w tekstach talmudycznych i powtórzone przez grecko-rzymskiego filozofa Celsusa. Według nich Jezus miał być owocem cudzołóstwa ubogiej prządki żydowskiej i rzymskiego legionisty o imieniu Pantera.

Wydaje się więc, że Protoewangelia Jakuba była pierwszą apologią Maryi – pisemną obroną jej osoby przed pomówieniami ze strony przeciwników chrześcijaństwa. Dzieło przedstawia ją jako dziewicę – i to zarówno przed, w czasie, jak i po narodzeniu Jezusa, samego zaś Chrystusa ukazuje jako potomka znakomitego rodu Dawida. Z faktograficznego punktu widzenia egzegeci uznają apokryf za wiarygodny, ponieważ zawiera wiele konkretnych szczegółów dotyczących żydowskiego życia w tamtych czasach, potwierdzonych przez licznych biblistów i archeologów.

Niektóre motywy zawarte w księdze można odczytywać także jako odpowiedź na pojawiające się wówczas herezje. W II stuleciu rozpowszechniła się np. nauka, zwana doketyzmem, według której Chrystus był tylko pozornie człowiekiem i nie miał rzeczywistego ciała fizycznego, a jedynie eteryczne. Nie mógł więc realnie cierpieć i umrzeć na krzyżu. Podobne poglądy głosiła również sekta ebionitów. W tym kontekście scena z Protoewangelii Jakuba, przedstawiająca Jezusa jako niemowlę ssące pierś matki, nabiera dodatkowego

eprasa.pl cf2a5688ce

znaczenia. Podkreślając człowieczeństwo Chrystusa, zaprzecza teorii doketów i ebionitów.

Wspomniany apokryf opisuje Matkę Bożą z wielką czcią i niezwykłym szacunkiem. Jest wymownym świadectwem, że już w II stuleciu wśród wyznawców Jezusa żywa była pobożność maryjna.

WYMODLONE DZIECKO

Czego dowiadujemy się z Protoewangelii Jakuba? W języku hebrajskim imię Maryi brzmiało Miriam. Podobnie jak Józef pochodziła z rodu Dawida. Jej ojciec Joachim był człowiekiem „niezmiernie bogatym", właścicielem i handlarzem bydła i owiec. Był niezwykle bogobojny i szlachetny. Cierpiał jednak z powodu braku potomstwa. Jego małżeństwo z Anną pozostawało bezdzietne.

Przełomowym momentem w życiu Joachima stała się nieprzyjemna sytuacja, do której doszło podczas Święta Namiotów w Jerozolimie. Arcykapłan miał go wówczas skarcić, że składa dary w świątyni, podczas gdy nie zrodził jeszcze potomka. Skarcony mężczyzna, który był już w podeszłym wieku, przypomniał sobie historię patriarchy Abrahama, obdarowanego na starość przez Boga synem. Postanowił prosić Najwyższego o to samo. Wyszedł więc na pustynię, gdzie rozbił namiot i przez czterdzieści dni i nocy pościł i modlił się o potomstwo. Najstarsze źródło, czyli mszał gregoriański z V w., podaje, że miejscem modłów Joachima była grota Kosiba nad potokiem Wadi Qelt na Pustyni Judzkiej, położona w okolicy zamieszkanej wówczas przez żydowską sektę esseńczyków. Dziś wznosi się tam prawosławny klasztor św. Jerzego.

> Maryja jako trzyletnia dziewczynka została oddana na służbę jako konsekrowana dziewica w świątyni jerozolimskiej. Zajmowała się tam – prócz modlitw – głównie tkaniem szat rytualnych

W pewnym momencie – według Protoewangelii Jakuba – Joachimowi ukazał się anioł z nieba, który zapewnił go, że jego prośby zostały wysłuchane. W tym samym czasie Anna, która pozostała w Jerozolimie, miała w ogrodzie wizję anioła, który także przepowiedział jej narodziny dziecka. Kobieta w zachwycie złożyła ślub, że ofiaruje Bogu swoją pociechę – niezależnie, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka – by służyła Panu do końca swego życia.

Dziewięć miesięcy później urodziła się Miriam. Według tradycji stało się to 8 września 19 r. przed Chrystusem. Tamtego dnia w żydowskim kalendarzu przypadał początek Nowego Roku, czyli święto Rosz ha-Szana. Wczesnochrześcijańskie podania sytuują miejsce przyjścia na świat Maryi w obrębie murów starej Jerozolimy – nieopodal Owczej Bramy i Sadzawki Betesda. Dziś znajdują się tam w bezpośrednim sąsiedztwie dwie świątynie: katolicka i prawosławna. W obu można oglądać dziś groty otaczane kultem jako miejsca narodzin Matki Bożej. Tego typu pomieszczenia wykute w skale były w czasach biblijnych często spotykanym elementem domostw. Dawały konieczne odosobnienie, które było wymagane od matek po połogu. Żydowskie prawo mówiło bowiem, że po urodzeniu dziewczynki kobieta jest rytualnie nieczysta przez 80 dni i nie powinna w tym okresie z nikim się spotykać.

SŁUŻEBNICA PAŃSKA

Protoewangelia Jakuba podaje, że Maryja jako trzyletnia dziewczynka została oddana na służbę jako konsekrowana dziewica w świątyni jerozolimskiej. Zwyczaj taki istniał bowiem w ówczesnym Izraelu. Jeszcze do niedawna badacze żydowscy kwestionowali prawdziwość takiego obrzędu, ale po odnalezieniu rękopisów z Qumran, w których znajduje się wzmianka na ten temat, musieli zmienić zdanie. Miriam zajmowała się tam – prócz modlitw – głównie tkaniem szat rytualnych. To właśnie ona miała utkać zasłonę chroniącą Święte Świętych, czyli najważniejsze miejsce w sanktuarium, do którego mógł wchodzić jedynie arcykapłan, i to tylko raz w roku.

Po skończeniu 12 lat dziewczynki wracały do rodzinnych domów. Wiązało się to z tym, że zazwyczaj w tym wieku stawały się one kobietami, a więc – w związku z miesiączkowaniem – mogły być rytualnie nieczyste. Wiadomo zaś, że nieczyste kobiety nie mogły przebywać na terenie świątyni.

Miriam nie miała jednak dokąd wrócić, ponieważ jej rodzice zmarli. Według tradycji prawosławnej Joachim zmarł, gdy jego córka skończyła dziewięć lat, natomiast Anna odeszła z tego świata dwa lata po nim. Warto wspomnieć, że ojciec Maryi pochodził z królewskiego rodu Dawida, a matka z kapłańskiego rodu Lewiego. Oznacza to, że krzyżują się w niej dwie linie rozwojowe Izraela: królewska i kapłańska. Ich dziedzicem okaże się jej syn – Jezus.

Osieroconą dziewczynką zajęli się jej jedyni żyjący krewni – sędziwe stryjostwo: Elżbieta i Zachariasz (późniejsi rodzice św. Jana Chrzciciela). Postanowili oni znaleźć dla Maryi męża. Ich wybór padł na Józefa z Nazaretu, pochodzącego również z rodu Dawida. Zadecydował o tym znak: na jego głowie miała usiąść wypuszczona z różdżki gołębica.

Ewangelie mówią, że był on z zawodu cieślą. Greckie słowo „tekton", używane na określenie tej profesji, oznacza rzemieślnika zajmującego się nie tylko obróbką drewna, lecz także kamienia. Tacy ludzie wykonywali wiele rozmaitych czynności, np. budowali domy, sporządzali drzwi, naprawiali przedmioty domowego użytku. Jak już wspomniano, był wdowcem posiadającym liczne potomstwo.

Żydowskie prawo przewidywało dwa etapy zaślubin. Pierwszy, zwany „erusin", oznaczał zaręczyny i był czymś w rodzaju przedwstępnej umowy małżeńskiej, deklarującej wzajemną wierność narzeczonych. Jego stroną mogła być dziewczyna, która ukończyła 12 i pół roku. Musiała oczeki-

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. East News/akg-images/Rabatti & Domingie

wać w domu swych rodziców na właściwy akt ślubu, zwany „nisuin", po którym następowała przeprowadzka do męża. Ponieważ Joachim i Anna już nie żyli, Maryja zamieszkała w domu Józefa w Nazarecie, jednak on sam – jak podaje Protoewangelia Jakuba – był w tym czasie nieobecny. Opuścił Nazaret, by stawiać w innych miejscowościach domy. Kiedy powrócił, okazało się, że Maryja jest brzemienna za sprawą Ducha Świętego. Mogła mieć wówczas 16–17 lat.

Istnieją rozbieżności, gdzie rozegrała się scena zwiastowania, gdy Archanioł Gabriel przywitał Maryję słowami: „Bądź pozdrowiona, łaski pełna", by chwilę potem oświadczyć jej, że pocznie i porodzi syna, któremu nada imię Jezus. Jedna tradycja mówi, że stało się to w domku w Nazarecie; druga – że zdarzenie było rozłożone na dwa etapy: najpierw Miriam spotkała posłańca z Niebios przy studni, a następnie już w domu doszło do poczęcia Jezusa.

STAJENKA CZY GROTA?

Po powrocie do Nazaretu Józef stanął przed dylematem. Zastał swą małżonkę w ciąży, ona zaś utrzymywała, że z nikim nie współżyła. Nie mógł uwierzyć, że może go okłamywać, ale zarazem widział fakty. Ponieważ ją kochał, nie chciał jej krzywdy. Postanowił więc oddalić ją potajemnie, by nie narażać jej na ukamienowanie. Ówczesne prawo przewidywało bowiem karę śmierci za cudzołóstwo, a cień takiego podejrzenia mógł paść z łatwością na brzemienną nastolatkę. Dopiero pod wpływem anioła, który ukazał mu się we śnie, Józef zmienił zdanie. Zdecydował się pozostawić Miriam przy sobie.

Niedługo potem doszło do wydarzenia, które opisał następująco w swej Ewangelii św. Łukasz: „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie".

Jeszcze w XX w. krytycy zarzucali św. Łukaszowi, że wymyślił zarządzenie, jakoby podczas spisu należało się zarejestrować w miejscu swego pochodzenia, a nie aktualnego zamieszkania. Nie było bowiem na to żadnych dowodów. W 1989 r. izraelscy naukowcy opublikowali jednak treść archiwum rodzinnego żydowskiej kobiety o imieniu Babata, które odnaleziono w miejscowości Nachal Arugot niedaleko Masady nad Morzem Martwym. Niemiecki papirolog, wykładowca na Uniwersytecie Ben Guriona w Beer-Szewie, prof. Carsten Peter Thiede, po przeanalizowaniu owych dokumentów doszedł do wniosku, że św. Łukasz „dokładnie odtworzył rzymską procedurę rejestracji, łącznie z niezbędnymi, uciążliwymi podróżami oraz językowymi detalami".

Stwierdzenie ewangelisty, że „nie było dla nich miejsca w gospodzie" oznacza, iż nie było tam warunków odpowiednich do przyjęcia porodu. Gospody i karawansaraje miały bowiem zazwyczaj formę otoczonej ogrodzeniem wspólnej przestrzeni dla wszystkich podróżnych, a także dla zwierząt. Rozbrzmiewały tam często rozmowy, śmiechy i śpiewy. W tej sytuacji Józef wybrał stajenkę, która gwarantowała przynajmniej spokój i prywatność.

Wiele osób zadaje sobie dziś pytanie: czy Jezus urodził się w grocie, czy w stajence? Tradycja chrześcijańska wymienia oba miejsca. W okolicach Betlejem nie brakuje bowiem jaskiń, które przez wieki służyły miejscowym pasterzom jako stajnie. Do pieczar tych zapędzano owce, ponieważ latem było w nich chłodno, a zimą ciepło. Grota, w której miał się urodzić Jezus, była podłużna. W jej głębi znajdowała się wydrążona w ścianie niecka, która służyła jako kamienny żłób dla zwierząt. To właśnie mógł być wspomniany przez św. Łukasza ewangelistę żłóbek, do którego Maryja położyła powite niemowlę. Tak więc podania o grocie i o stajence wcale się nie wykluczają. Tam doszło do wydarzenia, które zmieniło losy świata, a które świętujemy co roku 25 grudnia.

eprasa.pl cf2a5688ce

Kawałek chleba...



Święta Bożego Narodzenia to czas spotkania z ludźmi i z Bogiem. O tym, co najważniejsze w czasie świąt, z ***księdzem Andrzejem Ziółkowskim***, misjonarzem, kaznodzieją, rekolekcjonistą, rozmawia Piotr Słabek

Fot. Shutterstock



Zbliża się czas świąt Narodzenia Pańskiego. To bardzo ciepłe i radosne święta. Istnieje wiele tradycji i zwyczajów związanych z tym okresem. Jak uważasz, co jest istotą tych świąt?

Ks. Andrzej Ziółkowski CM: Ojej! Piotrze, zadajesz mi bardzo trudne pytanie! Czuję się trochę tak, jakbym był na egzaminie z liturgiki.

Nie dziw się, ale coraz częściej słyszymy o magii świąt, o radości, o 12 potrawach, a tak naprawdę rzadko się zastanawiamy nad istotą tych świątecznych dni.

Z tą „magią" to trafiasz w sedno! Ja też słyszę z prawej i z lewej strony o magii, o jakiejś fantastycznej sile, energii, która spływa z wysoka. O drzewku, pod którym znajdujemy prezenty.

Skąd się to bierze?

Wsącza się w nas wszystkich „duch tego świata". Wystarczy wspomnieć, że tuż po uroczystości Wszystkich Świętych i po Dniu Zadusznym dostrzegamy świąteczne reklamy, a zaraz potem w sklepach, galeriach, na chodnikach i ulicach świecą się już kolorowe światełka imitujące śnieżynki, quasi-mikołaje kiwają głowami, machają dłonią.

Świetnie wychwyciłeś polski coroczny rytm promocyjno-handlowy. Słyszałem, że w Japonii, gdzie żyje mało chrześcijan, bardzo popularne są świąteczne choinki, ozdoby, św. Mikołaj, a tamtejsze supermarkety nie różnią się pod tym względem od amerykańskich i europejskich. Jaki jest tego sens i przesłanie?

Myślę, że przesłanie jest jedno: to miły, przyjemny czas, mało kto zastanawia się nad symboliką świąt, zwłaszcza w Japonii. Żeby było jeszcze przyjemniej i fajniej, trzeba po prostu kupować, i to jak najwięcej – im więcej się kupi, tym będzie lepiej.

Oczywiście lepiej będzie dla handlowców i producentów, niekoniecznie dla kupujących.

Tak, to właśnie miałem na myśli.

Czego tu brakuje?

W ten sposób wchodzimy w pewną pułapkę i kręcimy się jak chomik w bębnie. Im więcej zakupów, tym więcej potrzeb. Na to wszystko trzeba zarobić, więc by zarobić, trzeba na to poświęcić swój czas. No i w ten sposób nie mamy chwili na to, aby się przygotować do przeżywania świąt Narodzenia Pańskiego.

Masz na myśli Adwent, czyli czas przygotowania?

Tak, bo to jest istotne, aby święta przeżywać nie tylko sercem, lecz i umysłem.

Pytam dlatego, że wielu chrześcijan gubi się w przeżywaniu świąt. Wszyscy znamy to powiedzenie: „Święta, święta...

...i już po świętach". Gubimy zapewne to, co jest zasadniczą prawdą liturgicznego okresu poprzedzającego Narodzenie Pańskie, czyli Adwentu. Otóż oczekujemy nie tylko na święta pamiątki narodzenia Chrystusa, lecz także na Jego ponowne przyjście. W teologii nazywamy to przyjście paruzją. Mamy więc jakby dwa przyjścia Chrystusa: to pierwsze, czyli Wcielenie Słowa, oraz drugie przyjście na końcu czasów, kiedy nastanie nowe niebo i nowa ziemia.

To, co mówisz, jest zbyt...

...skomplikowane?

...zbyt teologiczne.

Tak, to prawda. Sztuką jest mówić o sprawach trudnych prostym językiem. Najlepiej ująć te prawdy między 12 potrawami, które przygotowujemy na wigilijny stół...

...albo w trakcie ubierania choinki...

...przygotowywania prezentów...

...podczas shoppingu, przy zamawianiu zakupów przez internet...

...w planowaniu wielu spraw na przyszłość. W tym przypadku sam ulegam duchowi tego świata i planuję wiele spraw miesiąc, trzy, pół roku, a nawet rok wcześniej. Już teraz mam wypełniony kalendarz na rok 2019 wykładami, wyjazdami, sprawami, spotkaniami... Ech, zły jestem na siebie,

eprasa.pl cf2a5688ce

bo mnie też ucieka to, co najważniejsze – ponowne przyjście Chrystusa.

Sądzisz, że moglibyśmy żyć tak jak nasi bracia na Srebrnej Górze – mnisi kameduli na Bielanach w Krakowie?

No nie, nie dalibyśmy rady! Osiem godzin medytacji, osiem godzin pracy i osiem godzin snu, ale przerywanego medytacją. Jednak nie możemy się w tym szalonym pędzie zagalopować! Co z tego, że wszystko mamy: wigilijny stół, prezenty pod choinką, kolędy w TV, dużo esemesów, e-maili... Co nam z tego przyjdzie, gdy w sercu jest jakieś niewyrażalne pragnienie, aby mieć coś więcej, coś, co nazywamy spokojem duszy i ducha, zdrowiem ciała i umysłu, a przede wszystkim uczucia miłości od Boga i od człowieka. Wiesz co, Piotrze... myślę, że tak naprawdę to po drodze życia powoli gubimy sens oczekiwania na powtórne przyjście Mesjasza. Umyka nam gdzieś ten prawdziwy Adwent, ten czas wnikania w prawdę, że Bóg daje nam siebie w swoim Synu.

Na co warto zwrócić szczególną uwagę w przeżywaniu Bożego Narodzenia? Zapytam bardziej konkretnie: wiadomo, że czas jest zawsze ograniczony. Gdybyś miał do wyboru w tym samym momencie troskę o zewnętrzne przygotowanie do świąt, a więc zakupy, sprzątanie, przygotowanie potraw i prezentów, lub budowę relacji, które też wymagają czasu, odwiedzenie przyjaciół, pojednanie się z kimś bliskim w rodzinie, rozmowę z kimś, kto bardzo potrzebuje twojego czasu, okazanie komuś uwagi, wsparcie w trudnej sytuacji – to co byś wybrał?

Trzeba to wszystko jakoś poukładać, porozdzielać – jest miejsce na przygotowanie spraw i zewnętrznych, i duchowych, oczywiście w pewnej harmonii między sobą. Natomiast sam czas świętowania to dla mnie czas spotkania z ludźmi i z Bogiem. To jest właśnie czas na odwiedziny, na życzliwą i szczerą rozmowę, na cieszenie się swoją obecnością. To czas na wsparcie, okazanie czułości, może prośby o wybaczenie. To, co jest wbrew, że tak powiem, „duchowi świąt Bożego Narodzenia", to jakieś wewnętrzne zamknięcie, skostnienie, zatwardziałość serca, pielęgnowanie gniewu i urazów, ucieczka w bezmyślne oglądanie telewizji lub objadanie się – wszystko kosztem relacji, uważnego słuchania, szczerej rozmowy, dobrego bycia z sobą, wyciszenia się...

Podsumuję: w przeżywaniu świąt warto zwrócić uwagę właśnie na takie piękne wypełnienie ziemskiego życia, na ile tylko potrafimy żyć dla innych – jak najpiękniej, jak najlepiej.

Nie uważasz, że to zbyt wysoko ustawiona poprzeczka?

Nie. W końcu każdy z nas podnosi sobie tę poprzeczkę w życiu osobistym, zawodowym, społecznym, politycznym. Skoro tak, to dlaczego mamy nie podnieść jej w życiu duchowym? Jeśli nasz świat wewnętrzny kuleje, to chwieje się jego zewnętrzna strona. Najpiękniejsze, co możemy dać od siebie Bogu i człowiekowi, to miłość. Wyraża się to w takich cnotach, jak radość, spokój, życzliwość, opanowanie, cichość, dystans do spraw zbytecznych, zaangażowanie w życie rodzinne, społeczne...

...parafialne...

...wspólnotowe i jeszcze w inne. Zwróć uwagę, że ludzie często pędzą na złamanie karku, aby zdążyć z pierwszą gwiazdką na Wigilię, pragną usiąść ze wszystkimi do stołu, złożyć sobie życzenia, podzielić się opłatkiem, cieszyć się z tego, że wszyscy są razem. Czyż to nie jest cud, że Bóg w swoim Synu tak bardzo zniża się do człowieka, iż daje mu odczuć swoją obecność? Gdy byłem dzieckiem, to chciałem, aby Wigilia trwała długo, dłużej niż tylko jeden wieczór. Niestety, trwała zawsze tylko do północy...

...ale za to potem szliśmy na pasterkę i znów ogarniała nas radość, gdyż śpiewaliśmy równo o północy „Wśród nocnej ciszy...", wpatrywaliśmy się w żłóbek...

...ja zawsze chciałem dotknąć figurki owieczek, ale babcia mi mówiła, że nie wolno, bo ze strachu uciekną [śmiech]. Kiedyś miałem spotkanie przy żłóbku z małymi dziećmi, śpiewaliśmy razem kolędy i pastorałki. Nagle jakaś mała dziewczynka, około trzyletnia, rozpłakała się. „Co się stało?" – pytam jej mamę. A ona tak mi mówi: „Ania chce wziąć tę białą owieczkę, więc jej mówię, że nie wolno, bo to jest wystrój żłóbka. Tłumaczę jej, ale ona jeszcze tego nie rozumie". No i jak myślisz, Piotrze, co zrobiłem?

Nie wiem.

Wziąłem tę białą owieczkę ze żłóbka i dałem Ani. Po dwóch dniach owieczka wróciła do żłóbka, bo dziewczynka już się nią nacieszyła. Mam wrażenie, że nasze kościoły są jak muzeum, w którym widzimy napisy: „Proszę nie dotykać figur! Nie zabierać z sobą śpiewników! W czasie liturgii nie wolno przeszkadzać! Zajmujemy miejsce w ławkach!". Jeszcze trochę, a będziemy się czuli w świątyni jak w... jakimś skansenie. Jest tak wiele osób, które przychodzą na pasterkę w tym celu, aby „dotknąć Boga" w tajemnicy Wcielenia, szukają Go, jak tylko potrafią, czekają na kazanie, które pomoże im utwierdzić się w wierze, chcą odczuć wspólnotę zebranych osób. Wiem, że to nie jest tylko rola celebransa, kaznodziei, proboszcza, wikariusza, lecz całej wspólnoty. To jest szalenie trudne, aby akurat podczas pasterki, gdy sporo ludzi przychodzi na liturgię okazjonalnie, aby wtedy budować wspólnotę. Jednak nic by się nie stało, gdyby właśnie tuż po błogosławieństwie księża podzielili się z wiernymi opłatkiem. Tak dużo ludzi na to czeka. Nie wszyscy przyjdą na opłatek z księdzem, bo nie wszyscy należą do Róż Żywego Różańca, tylko wybrani śpiewają w chórze, tylko młodzi należą do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży.

To chyba jest też kwestia liczby wiernych, czasu, zmęczenia...

...no i tego, że ułomki opłatków będą leżały na posadzce...

Boże Narodzenie to święta rodzinne, gdzie wręcz celebruje się ciepłe i bliskie więzi. Jak ten czas mają przeżywać osoby samotne, poranione przez

eprasa.pl cf2a5688ce


Fot. Archiwum prywatne

Ks. Andrzej Ziółkowski CM
– wykładowca teologii pastoralnej i homiletyki w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy oraz homiletyki w WSD oo. Franciszkanów Konwentualnych i Reformatów w Krakowie. Rekolekcjonista. Autor wielu pozycji homiletycznych. Specjalizuje się w głoszeniu kazań dla najmłodszych.

bliskich, uwikłane w głębokie konflikty rodzinne?

Dotykasz trudnego tematu. Odpowiem obrazem. Kiedyś byłem na święta Narodzenia Pańskiego na Białorusi, w miejscowości Szereszewo. Ksiądz Edward, proboszcz, zaprosił na Wigilię osoby samotne. Nas było dwóch – Edek i ja. Około 16.00 zaczęły się schodzić nasze samotne parafianki – wśród nich Białorusinki, Polki, jedna Ukrainka, jedna Litwinka, była Rosjanka. Każda z nich przyszła z tym, co miała w domu: z ciastem, suszonymi grzybami, jakaś pani przyniosła sianko, inna kartofle. Ale nie to jest najważniejsze. Każda z nich po przyjściu witała się z nami i ze łzami w oczach mówiła: „Dziękuję, że mnie zaprosiliście. Dzisiaj nie będę sama. Jaka ja jestem szczęśliwa". Siadała za stołem i nadal płakała – ze szczęścia. Tuż przed rozpoczęciem wieczerzy przyszedł pewien pan – Polak. Imienia nie pamiętam, pochodził z Warszawy. Zaraz po wojnie chciał wrócić do swoich, ale zginęły jego dokumenty. Na nic się zdało tłumaczenie, że jest Polakiem. Wiesz, z czym on przyszedł... z kawałkiem chleba i czystą polszczyzną powiedział: „Przepraszam, wziąłem wszystko to, co mam" – i położył ten kawałek chleba na wigilijnym stole. A mi łzy płynęły jak groch... Przez umysł migiem przeleciały mi wszystkie kazania, homilie, przemówienia, rozdawanie wigilijnych potraw ubogim na krakowskim Rynku, mądre słowa o chrześcijańskiej caritas, jeszcze mądrzejsze artykuły o miłości chrześcijańskiej... To wszystko w tym jednym momencie wyblakło wobec tego jednego gestu samotnego starszego mężczyzny.

Wymowny gest, faktycznie. Wspomniałeś o białoruskiej stronie. Czy możesz się podzielić doświadczeniem zza wschodniej granicy dotyczącym tego, jakie znaczenie w przeżywaniu świąt mają polskie tradycje bożonarodzeniowe, szczególnie dla Polonii. Co w polskich zwyczajach jest niepowtarzalnego?

Osobiście uważam, że najważniejsza jest wspólna Eucharystia. To ona łączy wszystkich, no... prawie wszystkich Polaków, których los zostawił w granicach byłej Rzeczypospolitej. Ale uwaga, zmienia się ta rzeczywistość, bowiem już od kilkunastu lat rzadko mówi się na Wschodzie, że jak ktoś jest Polakiem, to jest katolikiem; jak ktoś Niemcem, to musi być protestantem, jeśli to Rosjanin, to na pewno jest prawosławny, a Ukrainiec grekokatolik. Wszyscy ci, którzy są katolikami, czują się jedną wielką rodziną, której widzialną głową jest papież. Na szczęście zmienia się ta mentalność. Czasami jest podtrzymywana przez ekstremizmy polityczne, ale... zostawmy politykę.

Jak święta Bożego Narodzenia obchodzi się w Rosji, na Białorusi czy na Ukrainie?

Nigdy nie byłem w czasie świąt Bożego Narodzenia w Rosji, więc nie mam osobistego doświadczenia w tym względzie. Utkwiło mi natomiast pewne wydarzenie z Kowla, na Ukrainie. Było to w roku 2000. W katolickie Boże Narodzenie nic się tam nie dzieje, bo prawosławne święta przypadają 6 stycznia. W sylwestra, około północy, wybrałem się z moją siostrą Arlettą i z Niną, parafianką, na spacer po Kowlu. Doszliśmy do centrum miasta. Patrzę, a na środku stoi ogromna „jołka", czyli choinka. Ubrana pięknie, z kolorowymi bombkami, żarówkami. Pod spodem pudełka, jakby paczki, prezenty. Wokół choinki stoją ludzie. I cisza... niesamowita cisza... „Nino, co się stało? Czemu taka cisza?" – pytam. A Nina odpowiada: „Wiesz... dawno temu, po rewolucji, ich dziadkom zabrano radość przeżywania przyjścia na świat Boga, a w to miejsce wstawiono »jołkę«, »Dieda Moroza« [Dziadka Mroza], »Snieguroczkę« [Śnieżynkę], misia i inne baśniowe, magiczne postaci. Już któreś kolejne pokolenie było wychowywane w tamtych klimatach. Nie dziw się, że dla nich ta choinka to swego rodzaju magia... coś się za chwilę wydarzy, może ktoś lub coś przyjdzie".

O tej magii wspominaliśmy na początku naszej rozmowy.

W tym roku, w lutym, marcu i kwietniu, byłem na zachodniej Syberii. W Omsku miałem rekolekcje do katolików. Parafianie pokazali mi stary Omsk. Przez moment wydawało mi się, że jest Boże Narodzenie. Światełka świecą, jodły rosną, ktoś obok sprzedaje jakieś świecidełka, można kupić coś do zjedzenia. Ale to nie były święta Narodzenia Pańskiego, to był czas Wielkiego Postu. Przez moment czułem się zagubiony, bo myślałem, że jestem gdzieś w Europie.

Andrzeju, życzę Ci, byś się nie zagubił w tej różnorodności na misyjnych ścieżkach. Błogosławionych świąt! Dziękuję za rozmowę.

Z wzajemnością! Dziękuję.

Jakie życzenia złożyłbyś naszym czytelnikom?

Pozdrawiam wszystkich i życzę, żeby Pan Bóg pomógł nam w przyjęciu Jezusa Chrystusa tak, by w te święta prawdziwie zrodził się w głębi naszych serc, a radość i pokój z Jego narodzenia były widoczne dla wszystkich poprzez nasze życie. Niech tak się stanie – czyli Amen.

eprasa.pl cf2a5688ce



Rok 2019 w obozie dobrej zmiany będzie należał do Jarosława Kaczyńskiego

STANISŁAW JANECKI

Fot. Shutterstock

Kaczyński 2019

Trzeci rok rządów Zjednoczonej Prawicy mógłby być najspokojniejszy w całej kadencji, ale nie był. Dlatego dużo spokojniejszy ma być rok 2019, mimo że to rok dwóch kampanii wyborczych, w tym najbardziej rozpalającej emocje kampanii do Sejmu i Senatu. Rok 2018 nie był spokojny, mimo że w grudniu 2017 r. premier zmienił się właśnie po to, by ten spokój przynieść, szczególnie w polityce zagranicznej. Dlatego zmienił się także minister spraw zagranicznych. Ale miodowy miesiąc w polityce zagranicznej nie trwał nawet kwartał, aby potem wszystkie problemy wróciły w jeszcze ostrzejszej formie. Lider zjednoczonej prawicy Jarosław Kaczyński nie może więc i nie chce być obojętny na problemy niespokojnego roku 2018 oraz pomysły na uspokojenie sytuacji w wyborczym 2019 r. Uspokojenie w sensie temperatury walki politycznej, także wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy, ale nie programowe. Chodzi również o odpowiedź na pytanie, jakie rezultaty przyniosła wymiana szefa rządu. Temu przede wszystkim było poświęcone wyjazdowe posiedzenie klubu Prawa i Sprawiedliwości w Jachrance. Temu poświęcono pierwszą po wyborach samorządowych konwencję partii (15 grudnia 2018 r.). Kaczyński najwy-

eprasa.pl cf2a5688ce

raźniej uznał, że jeśli trzeba się rozliczyć z rokiem 2018, to jeszcze przed Nowym Rokiem. Częścią tego rozliczenia było głosowanie w Sejmie wniosku premiera Matusza Morawieckiego o wotum zaufania dla jego rządu.

DRUŻYNA KACZYŃSKIEGO

Rok 2019 będzie rokiem Jarosława Kaczyńskiego w obozie dobrej zmiany, podczas gdy lata 2016–2017 należały do Beaty Szydło, a rok 2018 do Mateusza Morawieckiego. Wbrew mitom rozpowszechnianym po stronie opozycji i jej mediów premierzy PiS mieli bardzo wiele do powiedzenia, mieli dużo realnej władzy. Teraz to Kaczyński ma być nie tylko gwarantem spójności i skuteczności Zjednoczonej Prawicy, lecz także tym, który trzyma wszystko w ryzach. Na początku grudnia pojawiła się nawet koncepcja wejścia Kaczyńskiego do rządu, choć nie na stanowisko premiera. Na razie z tego zrezygnowano. Ale kwestia tego, jakie mają być najważniejsze twarze rządu, wciąż jest otwarta. Nikt w obozie Zjednoczonej Prawicy nie ma gwarancji pozostawania na swoim stanowisku, nawet gdyby decyzja o odwołaniu była trudna do wytłumaczenia zwolennikom czy trudna w kontekście decyzji wcześniejszych lub wiążąca się z przyznaniem do błędu. To ma też hamować zapędy różnych osób do tworzenia własnego zaplecza, szczególnie w oparciu o majątek skarbu państwa.

To wszystko oznacza zamrożenie albo wręcz anulowanie funkcjonującego od około dwóch lat nieformalnego konkursu na następcę Jarosława Kaczyńskiego. Ani w ostatnim roku obecnej kadencji, ani w przyszłej prezes PiS raczej nie namaści żadnego delfina i nie przekaże mu części swojej politycznej władzy. Nie dlatego, że sam chce wszystko kontrolować, tylko z tego powodu, że dotychczasowi kandydaci na delfinów nie gwarantują przynajmniej utrzymania obecnego stanu posiadania Zjednoczonej Prawicy. I nie gwarantują pokoju wewnętrznego w obozie dobrej zmiany, ponieważ żaden nie jest akceptowany przez większość. Wzmocnienie roli Kaczyńskiego ma też być gwarancją spójności i skuteczności rządu, głównie poprzez zatrzymanie rywalizacji o wpływy w spółkach skarbu państwa, co było podstawą tworzenia się czy umacniania frakcji. W 2019 r. najważniejsza ma być „drużyna Kaczyńskiego". Także z tego powodu, żeby w partii nie dochodziło do kontestowania ani ignorowania decyzji kierownictwa, jak to się zdarzało w kampanii samorządowej w 2018 r.

KONIEC Z KRYZYSAMI

W zamkniętej części spotkania w Jachrance mówiono przede wszystkim o przeszłości, na partyjnej konwencji – o przyszłości. Najważniejsze problemy mijającego roku to narzucenie przez opozycję dwóch głównych narracji: tej dotyczącej „łamania konstytucji" (a objawiającej się m.in. koszulkami, plakatami i nalepkami z napisem „konstytucja") oraz tej odnoszącej się do polexitu, a związanej głównie ze sporami Polski z Komisją Europejską, w części rozstrzyganymi przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Szczególnie w drugiej części roku te narzucone narracje zdominowały publiczną debatę w Polsce.

Do tego dochodzą częściowo skuteczne próby odwrócenia przez opozycję narracji o aferach, mimo że działały dwie sejmowe komisje śledcze zajmujące się aferami z czasów rządów PO-PSL, czyli do spraw Amber Gold oraz wyłudzeń podatku VAT. Opozycji, nie bez pomocy, a nawet inspiracji ze strony niektórych polityków obozu rządzącego, udało się wdrukować części opinii publicznej, że aferą są nagrody dla ministrów, wiceministrów i urzędników samorządowych. Pod koniec roku w jakimś sensie udało się opozycji zrobić aferę z działania organów państwa w sprawie byłego już szefa Komisji Nadzoru Finansowego Marka Chrzanowskiego, choć te organy bardzo szybko zrobiły to, co do nich należało. Udało się też opozycji zrobić aferę z nagrań sprzed kilku lat z udziałem premiera Morawieckiego, wtedy prezesa banku. W 2019 r. obóz Zjednoczonej Prawicy ma zrobić wszystko, aby nie dochodziło do narzucania „wrogiej" narracji i kreowania afer odwracających uwagę od afer poprzedniej władzy. Narzucanie narracji oznacza bowiem także narzucanie agendy rządzącym: zamiast realizować własny program, angażują się oni w neutralizowanie skutków „wrogiej narracji".

W 2018 r. doszło do kilku kryzysów angażujących w dużej mierze premiera Morawieckiego i wprawdzie szef rządu z większości tych kryzysów wyszedł zwycięsko, ale cała formacja na nich traciła. I to było prawdopodobnie powodem przestróg wypowiadanych przez Kaczyńskiego, by się nie łudzić, że kryzysy kogokolwiek wzmacniają, gdy pognębiają czy choćby tylko angażują rywali wewnątrz obozu dobrej zmiany. Cały obóz władzy na nich traci, przede wszystkim dlatego, że w społeczeństwie zasiewają one niepokój, podtrzymują wrażenie permanentnego i wieloaspektowego konfliktu czy stanu niepewności.

Takie kryzysy przynoszą straty także dlatego, że obóz rządzący musi się w nie angażować, zamiast zajmować się pozytywnym programem przebudowy państwa. W 2018 r. opozycja korzystała na konfliktach w obozie Zjednoczonej Prawicy, dlatego zarówno na posiedzeniach komitetu politycznego, spotkaniach liderów dobrej zmiany, jak i na takich posiedzeniach jak w Jachrance Kaczyński bardzo stanowczo inspirowaniu i prowadzeniu wewnętrznych konfliktów się sprzeciwiał. Równie stanowczo sprzeciwiał się wykorzystywaniu w takich rozgrywkach nieprzyjaznych wobec PiS mediów. Gdyż ostatecznie one i tak nie będą lojalne wobec chwilowego sojusznika, a czasem wręcz dobroczyńcy. Kiedy w Jachrance Kaczyński mówił, że PiS w żadnym wypadku nie jest i nie może być Platformą, przestrzegał też polityków własnej partii, że nie mogą się zachowywać tak jak ludzie PO, a nawet stwarzać pretekstów do takich porównań. Nawet bycie dużo lepszą Platformą byłoby dla PiS zabójcze.

WERYFIKACJA ELEKTORATU

Ostatni rok rządów obecnej kadencji ma być rokiem wygaszenia wewnętrznych i zewnętrznych konfliktów, ale nie pozornego, tylko rzeczywistego. I nie pozornych, lecz rzeczywistych konfliktów. Pozorem były liczne zobowiązania do zakończenia wewnętrznych wojenek, podczas gdy realnie żadnych

eprasa.pl cf2a5688ce

takich kroków nie podjęto, a nawet niektóre spory eskalowały. W 2019 r. żadna grupa w ramach Zjednoczonej Prawicy i żaden lider tej grupy nie będzie miał uprzywilejowanej pozycji. A to oznacza koniec kłopotliwej dla Zjednoczonej Prawicy autopromocji samozwańczych delfinów.

Różne były też stanowiska wewnątrz PiS co do tego, do kogo ma być adresowany główny przekaz partii. Prawo i Sprawiedliwość ma teraz zbadać, w jakich grupach społecznych ma przeciwników, których nie da się przekonać do rządów Zjednoczonej Prawicy, mimo że przez lata te grupy były kokietowane i czyniono wobec nich różne koncesje. Badanie ma zweryfikować, jakie zyski w 2019 r. może dać tzw. miękki przekaz i na czym ma polegać, skoro nie można powtórzyć strategii z poprzednich lat, bo one były osadzone w konkretnych realiach. Część ważnych polityków PiS uważa, że nie potrzeba żadnego miękkiego przekazu, tylko zestawu decyzji podatkowych dotyczących obciążeń, składek socjalnych czy znaczącego zwiększenia kwoty wolnej od podatku. Podobnie jest w wypadku polityki senioralnej czy zdrowotnej, gdzie kilka wdrożonych konkretów może być ważniejsze od wielkich kampanii polegających głównie na wizjach przyszłości.

Przy ostrości obecnych podziałów politycznych może się okazać, że wizje przyszłości na nikogo nie działają i nie przekonują do poparcia PiS, natomiast konkrety – wręcz przeciwnie. Dowodem tego może być bardzo konkretna (rekompensaty) reakcja rządu na podwyżki cen energii elektrycznej w 2019 r. To by anulowało nierozstrzygalny właściwie spór, czy i jak rządzący powinni traktować swój tzw. żelazny elektorat. Może się bowiem okazać, że tylko jego pełna mobilizacja gwarantuje wyborczy sukces, a wszystko inne, w tym kokietowanie tzw. centrum, to tylko złudzenia. Tak jak złudzeniem może być dopasowywanie politycznych liderów Zjednoczonej Prawicy, w tym liderów kampanii wyborczej, do wyborców, na których pozyskanie się liczy, choć nie ma dowodów, że w ogóle da się ich pozyskać. Przesłanek do podobnych wniosków dostarczyła druga tura wyborów samorządowych, w której najważniejsza okazała się mobilizacja zdecydowanych zwolenników, a nie mitycznego centrum czy niezdecydowanych.

Wygaszaniu konfliktów zewnętrznych ma pomóc coraz mniejsza aktywność Komisji Europejskiej przeciw Polsce – z powodu zaangażowania w wybory do europarlamentu (pod koniec maja 2019 r.) i przygotowania do powołania nowej Komisji. Oczywiście nieprzyjazne działania nie wygasną, ale właściwie ograniczą się do Trybunału Sprawiedliwości UE. I będą wykorzystywane w kampanii do europarlamentu, gdzie opozycji chodzi przede wszystkim o to, żeby PiS nie miało na tyle dobrego wyniku, aby wręcz decydowało o tym, jaka frakcja będzie miała stanowisko przewodniczącego Komisji Europejskiej, gdyż mogłoby to wywrócić do góry nogami całą strategię wojny z Polską. Dlatego te wybory są dla PiS ważniejsze niż wszystkie wcześniejsze do europarlamentu. Natomiast w kampanii do Sejmu i Senatu kwestia polexitu powinna już być sprowadzona do właściwego rozmiaru, czyli wyłącznie do maczugi używanej przez opozycję.

> Rządzący obóz ma zademonstrować odporność na pokusy władzy: korupcję, nepotyzm i materialną zachłanność. Oznacza to, że CBA będzie przede wszystkim zajmować się „swoimi”

ROK DOBROBYTU I BEZPIECZEŃSTWA

W 2019 r. niemożliwa ma być legislacyjna partyzantka w obozie władzy, czyli wszystkie propozycje legislacyjne muszą być ściśle kontrolowane przez jeden ośrodek. I chodzi zarówno o ustawy dotyczące technicznej strony sprawowania władzy, jak i te, które mogą wywoływać konflikty społeczne lub międzynarodowe. A nawet uzgodnione ustawy mają być sprawdzane pod kątem zagrożeń, jakie mogłyby wywołać. Zatrzymywane mają być te projekty ustaw, które wzmacniają tylko jeden z ośrodków obozu rządzącego, szczególnie te dotyczące kontroli nad stanem posiadania oraz władztwa skarbu państwa. W 2019 r. ma też być ujednolicony przekaz medialny władzy: mają być wyeliminowane ekstrawagancje różnych posłów Zjednoczonej Prawicy, na których opozycja buduje swoje ataki. Ale przede wszystkim rządzący obóz ma zademonstrować odporność na pokusy: korupcję, nepotyzm i materialną zachłanność. Oznacza to, że CBA będzie przede wszystkim zajmować się „swoimi”, a żadne osoby z centralnej czy samorządowej polityki, którym zostaną postawione zarzuty, w polityce nie będą mogły pozostać.

Celem nadrzędnym obozu rządzącego w 2019 r. jest działanie na rzecz „dobrobytu i bezpieczeństwa”, w tym bezpieczeństwa socjalnego i zdrowotnego. Oznacza to także zakaz angażowania się w spory i projekty mające silny ładunek emocjonalny, podtrzymujące wojny kulturowe i ideologiczne. Rok 2019 ma być przekładaniem świetnych wskaźników wzrostu gospodarczego, wyników budżetu państwa i niskiego poziomu deficytu na sytuację materialną polskich rodzin. Zadaniem rządzących ma być przekonanie obywateli, że polskie społeczeństwo jest najszybciej bogacącym się w UE, najszybciej likwidującym biedę i mającym stabilne perspektywy dobrobytu. Nie z perspektywy makroekonomii, lecz dochodów i możliwości gospodarstw domowych. A wszystko to w bezpiecznym otoczeniu, praktycznie wolnym od zagrożenia terrorystycznego i konfliktów związanych z imigrantami. Gdyby do końca marca 2019 r. nie było zauważalnych postępów w realizacji planu na cały rok, otwarta jest kwestia rekonstrukcji rządu, nawet dużej.

28/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce

POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER

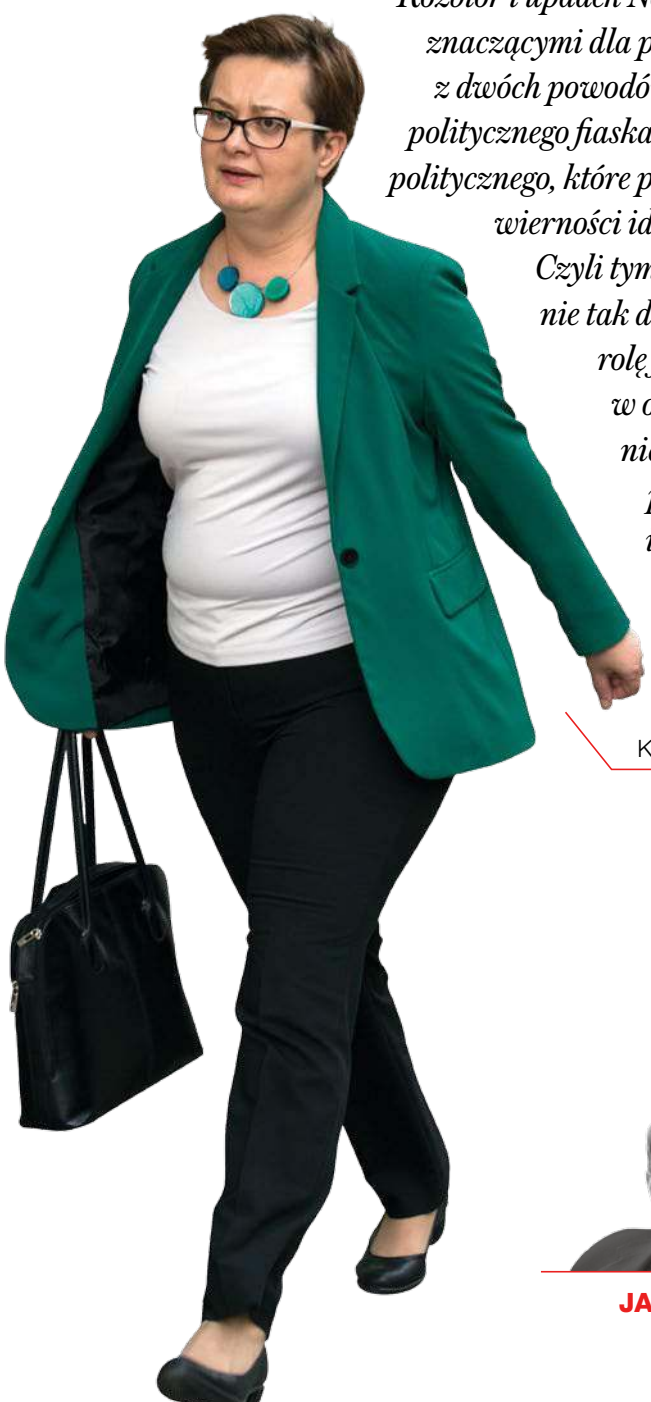
Życzymy pełnych ciepła i radości Świąt Bożego Narodzenia oraz pozytywnej energii w Nowym Roku



eprasa.pl cf2a5688ce

Nieprzyjemny dylemat Katarzyny Lubnauer

Rozbiór i upadek Nowoczesnej są zdarzeniami znaczącymi dla polskiej polityki co najmniej z dwóch powodów. Oto jesteśmy świadkami politycznego fiaska jedynego środowiska politycznego, które próbowało dochować wierności ideałom liberalnym. Czyli tym ideałom, które nie tak dawno odegrały rolę formującą w odrodzeniu niepodległości państwowej i wigoru polskiej gospodarki



Katarzyna Lubnauer



Grzegorz Schetyna



JAN ROKITA

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl cf2a5688ce

Wbrew obiegowej dziś opinii na temat Nowoczesnej partia ta u swych początków nie była bynajmniej „piarowską wydmuszką", wymyśloną na potrzeby bankierów, ale wyrazem autentycznego sprzeciwu młodszego pokolenia wielkomiejskich liberałów wobec narastającego etatyzmu drugiego rządu Donalda Tuska, czego kulminacją była konfiskata w majestacie prawa oszczędności zebranych w funduszach emerytalnych. Zapewne gdyby nie tamta decyzja Tuska, mająca zresztą poparcie zarówno większości Polaków, jak i opozycyjnego wówczas PiS, początkowy sukces Nowoczesnej nie byłby możliwy, a najprawdopodobniej partia by w ogóle wówczas nie powstała.

ZAWIEDZIONE NADZIEJE

Liberalna partia, wierna staremu Balcerowiczowskiemu hasłu „bolesnych reform", była wówczas marzeniem wielu polskich ekonomistów, naiwnie wierzących, że może ona w przyszłości stać się języczkiem u wagi, przechylającym wektor polskiej polityki gospodarczej w stronę rynku, konkurencyjności, a zwłaszcza wzorowanej na Niemczech ostrożności fiskalnej. Po upływie trzech i pół roku od dnia 31 maja 2015 r. (czyli od daty narodzin) jest już jasne, że Nowoczesna żadnej z tych nadziei nie tylko nie spełniła, lecz także najprawdopodobniej nie miała szans spełnić. Dziś wiemy, że cały ten „projekt" okazał się porażką.

Rozbudowa socjalu i ekspansywna polityka fiskalna PiS okazały się (przynajmniej na krótką metę) iść w parze ze świetną gospodarczą koniunkturą i dobrymi wskaźnikami makroekonomicznymi polskiej gospodarki. Nie znaczy to oczywiście, że na dłuższą metę nie będzie to oznaczać poważnych kłopotów w czasie przyszłej, nieuchronnej przecież w kapitalizmie, dekoniunktury. Niemniej jednak ewidentny sukces gospodarczy antyliberalnego rządu PiS sprawił, że Nowoczesnej zabrakło języka opisu polskiej rzeczywistości, który byłby wiarogodny nawet dla grupy „młodych, wykształconych, z wielkich miast". W jakiejś mierze rangi symbolu nabrało to, iż szefowa partii Katarzyna Lubnauer w lutym 2018 r. poczuwała się do powinności dementowania dywagacji swoich działaczy nad perspektywą likwidacji bardzo kosztownego programu 500+, uznając je za „nieporozumienie".

Tymczasem wielki wizerunkowy kryzys twórcy i pierwszego prezesa Nowoczesnej Ryszarda Petru i jego przegrana w listopadzie 2017 r. sprawiły, że rządy nad partią przejął krąg działaczek feministycznych, które pchnęły ją w stronę tzw. liberalizmu światopoglądowego, i to w dość radykalnej, zachodnioeuropejskiej wersji. W ten sposób stronnictwo, które rodziło się jako obrońca wolnego rynku, przepoczwarzyło się w propagatora idei „progresywnych" (jak lubi mówić Lubnauer), w tym zwłaszcza antyreligijnych i libertyńskich. I co ciekawe, znów – tak jak pięć lat temu w przypadku Ruchu Palikota – okazało się, że utrzymanie wewnętrznej spójności, a w konsekwencji politycznej egzystencji tego rodzaju partii, jest nadal w Polsce niemożliwością. A ideowa wolta polegająca na swoistej „podmianie liberalizmów" pod nowym feministycznym kierownictwem, nie okazała się żadną deską ratunku dla partii.

PODWÓJNA GRA SCHETYNY

Tę woltę wykorzystał jednak najzupełniej taktycznie szef sojuszniczej Platformy Obywatelskiej, który orientując się, iż „genderowy skręt" może być sposobem na aneksję Nowoczesnej, bez skrupułów przemodelował ideową retorykę swojej partii z deklarowanej jeszcze niedawno ostrożnej zachowawczości w kwestiach religijnych i obyczajowych na rzecz Lubnauerowskiego „progresizmu". Dosyć cyniczna sztuczka, mająca na celu likwidację potencjalnie niebezpiecznej konkurencji, dość szybko przyniosła wymierne efekty, spektakularnie widoczne w dobrze przygotowanej secesji 1/3 posłów Nowoczesnej i ich wspólnym przejściu 5 grudnia 2018 r. do PO, już wyraźnie bardziej „postępowej" niźli jeszcze parę miesięcy temu.

Precedensowe dla polskiego parlamentaryzmu było bez wątpienia to, iż organizatorką secesji okazała się... sama szefowa frakcji sejmowej Nowoczesnej posłanka Kamila Gasiuk-Pihowicz. Schetyna zastosował wobec Nowoczesnej dobrze znaną z życia politycznego podwójną grę, z jednej strony konstruując sojusz z mniejszym partnerem, w którego ramach dokonywał wobec niego widocznych koncesji mających budzić jego zaufanie (np. zmieniając spektakularnie kandydata na prezydenta Wrocławia). Z drugiej zaś czekał na wzrost coraz bardziej widocznych niechęci personalnych w gronie przywódczyń Nowoczesnej, tak by znaleźć właściwy moment do likwidacji koalicyjnego „juniora". Kiedy teraz taki moment właśnie się trafił, Schetyna zdecydował się na



Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

JOLANTY SZCZYPIŃSKIEJ

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie i Bliskim

składa

w imieniu Samorządu Województwa Lubelskiego
marszałek Jarosław Stawiarski

37/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce

rozbiór Nowoczesnej, licząc zapewne, że partia nie będzie w stanie przetrwać tak ciężkiej secesji, a zwłaszcza fali obelg i zarzutów, jakimi teraz się okładają feministyczne liderki.

Czy 5 grudnia 2018 r. oznacza jednak faktyczny koniec Nowoczesnej? Nie jest to bynajmniej dziś oczywiste. Ściślej mówiąc: secesja i towarzyszący jej konflikt niemal z pewnością likwidują partię jako byt polityczny zdolny do przebicia się w przyszłym roku przez wysoki w polskich wyborach tzw. naturalny próg wyborczy. Innymi słowy – Nowoczesna nie ma już po tym kryzysie praktycznie szans na samodzielną walkę o jakąkolwiek reprezentację parlamentarną. To jednak oznacza, że jej dalszy los może być dwojaki. Albo Schetyna dokończy rozpoczęte przez siebie dzieło, wchłaniając istniejącą jeszcze kadłubową Nowoczesną do PO bądź też w taki sposób wiążąc ją z sobą, aby pozbawić politycznej podmiotowości, oporne jednostki zaś wypchnąć poza politykę. Albo też okaże się, że zdarzenia 5 grudnia w resztówce Nowoczesnej wywołają tak silne emocje „tożsamościowe", że mikropartia stanie się faktyczną zmorą Platformy, na której każdego dnia brać będzie ślepy odwet za doznaną w jej przekonaniu „krzywdę".

Ten pierwszy scenariusz leży oczywiście w interesie Schetyny, który pełną likwidacją podmiotowości Nowoczesnej wyraźnie wzmocniłby swoje własne szanse jako realnego lidera opozycji i potencjalnego kandydata na premiera po przyszłorocznych wyborach. Jest jasne, że taki wariant zdarzeń nie leży w politycznym interesie PiS, dla którego trwanie nawet walczącej retorycznie na śmierć i życie z Kaczyńskim i Morawieckim, ale podgryzającej zarazem PO kadłubowej liberalnej partyjki, byłoby dużym osiągnięciem.

WASALIZACJA LUB POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO

I tu tkwi drugi kluczowy powód, dla którego efekt dziejącego się, choć ciągle niedokończonego rozbioru i upadku Nowoczesnej, ma tak istotne znaczenie dla polskiej polityki. Po wyborach samorządowych wiadomo już, że wynik przyszłorocznego starcia o władzę, a tym samym o zasadniczy kierunek polityczny państwa, jeszcze długo, a być może aż do samego wieczoru wyborczego, pozostanie niejasny. To zatem, kto obejmie za rok władzę nad krajem, może zależeć od przesunięć kilkuprocentowych, a więc takich właśnie, które mogą być skutkiem dalszych losów kadłubowej Nowoczesnej. Dzisiejsza siła dwóch wielkich stron konfliktu jest w miarę wyrównana, z tą różnicą, że opozycja dysponuje jeszcze sporym, niezrealizowanym potencjałem, jakim jest możność wystąpienia w jednolitym bloku wyborczym. Schetyna skutecznie i z taktycznym talentem oparł się lansowanym przez opozycyjne media, intelektualistów, aktorów i niegdysiejszy KOD takim wariantem „jednolitego frontu", który pozbawiałby go kontroli i przywództwa nad całością. To właśnie do tego celu użył swego czasu koniunkturalnie retoryki „umiarkowanego konserwatysty", odróżniającego się wyraźnie od walczących ateistów i „czarnych parasolek". Teraz, po opanowaniu tamtego niebezpieczeństwa, zarządził znów zwrot w lewo w nadziei, że nie tylko nie da sobie wydrzeć dotychczasowej pozycji, lecz zdobędzie nawet rolę lidera całego (czy niemal całego) centro-lewicowego obozu opozycyjnego.

Łapczywość, z jaką PO dokonała rozbioru Nowoczesnej, sprawiła jednak, że w PSL i SLD, a także w różnych słabych, ale ciągle dotąd niezależnych grupkach lewicowych, obudzona została antyplatformowa czujność. Gdyby na dodatek miało się okazać, że żądny odwetu na Platformie kadłubek Nowoczesnej nadal będzie istnieć i wystąpi nawet w przyszłorocznych wyborach, to dla Schetyny bilans operacji 5 grudnia nie wyglądałby wcale pozytywnie.

Ale Lubnauer jako szefowa rozebranego kadłubka sama znalazła się w pozycji krytycznej. Może najlepiej widać to po niespójności jej reakcji na kryzys, które najpierw przybrały kształt ostrych deklaracji o „zdradzie" i „zderzeniu się z drzewem" Koalicji Obywatelskiej, czyli jej sojuszu ze Schetyną, już zaś chwilę później jako „kłamliwe" odpierała zarzuty secesjonistek, iż jej ukrytym celem mogłoby być zerwanie tego sojuszu, którego śmierć sama przecież dopiero co ogłosiła. Parę dni potem na zwołanej pospiesznie kryzysowej naradzie partyjnej znów nawoływała do „stworzenia szerokiej koalicji, żeby odsunąć PiS od władzy".

> Lubnauer wyobraża sobie, że proklamując zerwanie obecnego związku z PO, wylobbuje jakiś nowy, inny związek, który byłby dla niej bardziej korzystny

Najwyraźniej Lubnauer wyobraża sobie, że proklamując zerwanie obecnego związku z PO, wylobbuje jakiś nowy, inny związek, który byłby dla niej bardziej korzystny i nie narażałby jej na ostateczne wchłonięcie przez Schetynę. Lubnauer zdaje się sądzić, iż tak się stanie pod warunkiem, że swoją kadłubową partię dorzuci ona jako jeszcze jedno, choć małe, ale istotne ogniwo opozycyjnego frontu, w którym obecność liderów dwóch partii postkomunistycznych – SLD i PSL – zagwarantuje jej minimum niezależności od Schetyny.

Na razie jednak na taki rozwój zdarzeń się nie zanosi, skoro nieufność Kosiniaka-Kamysza i Czarzastego do Schetyny właśnie teraz urosła. Jeśli taki stan rzeczy się utrzyma, to polityczny dylemat Katarzyny Lubnauer nie będzie należeć do przyjemnych. Musi ona albo dobrowolnie zgodzić na los politycznego wasala Schetyny i przyjąć odeń zapłatę w postaci „biorących" miejsc wyborczych dla siebie oraz niewielkiej grupki swoich akolitów. Albo też z honorem mścić się cichcem na PO i być może na końcu, popełniając przy okazji polityczne samobójstwo, uszczknąć Schetynie dwa bądź trzy punkty, których w przyszłym roku zabraknie mu do odebrania Mateuszowi Morawieckiemu urzędu premiera.

Autopromocja

eprasa.pl cf2a5688ce

DZIELMY SIĘ Z BLISKIMI

TYM CO W NAS NAJLEPSZE



RELACJE które ŁĄCZĄ

24.12 WIGILIA

www.dzienzycia.pl

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

SIECI

PARTNER

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl cf2a5688ce



*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **prof. Adamem Glapińskim**, prezesem Narodowego Banku Polskiego*

Finansowy zamach stanu

Siły polityczne, które chcą powrócić do władzy, myślą o zapewnieniu swojej dominacji już „na zawsze". Ma im to umożliwić wejście Polski do strefy euro. Ale bez zmiany prezesa banku centralnego nie będzie to ani łatwe, ani proste, ani szybkie. A może w ogóle nie będzie możliwe

Opozycja grzmi o „wielkiej aferze KNF", o rzekomej korupcji. Do dymisji podał się szef Komisji Nadzoru Finansowego Marek Chrzanowski. Pan również znalazł się w ogniu medialnej burzy. Co się dzieje?

Adam Glapiński: Rzeczywiście po raz pierwszy od początków transformacji tak mocno i na taką skalę próbowano zaatakować Narodowy Bank Polski. To sprawa, która musi zastanawiać i która może mieć głębsze przyczyny.

Ma pan jakąś teorię?

Dostaję liczne sygnały wskazujące na ciekawe tropy, z których wyłania się szerszy kontekst. Następuje przecież bardzo poważna zmiana naszego otoczenia. Wielka Brytania wychodzi z Unii Europejskiej. Pozostaje wspólnota kontynentalna, z niesamowicie mocną dominacją Niemiec współpracujących z mającą wielkie kłopoty Francją prezydenta Macrona. Jednocześnie strefa euro wciąż ma problemy, nie jest w stanie

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Andrzej Wiktor

się zreformować, funkcjonuje od kryzysu do kryzysu. Trudno się dziwić, bo jedna waluta dla krajów tak różnych jak te z Południa i te z Północy zawsze będzie powodowała napięcia oraz nierównowagi. W tej sytuacji potrzebny jest silny ruch do przodu. A co byłoby największym sukcesem dla Niemiec, Francji i strefy euro, a co jednocześnie jest w zasięgu ręki?

Polska?

Oczywiście wciągnięcie Polski do strefy euro. Nieprzypadkowo partie opozycyjne umieściły wejście do strefy euro jako drugi punkt swojego programu, zaraz po „depisizacji". Dla nowej partii Ryszarda Petru to także rzecz najważniejsza. Wszyscy poprzedni prezesi NBP również wspierają ten kierunek, włącznie z moim bezpośrednim poprzednikiem, który w czasie pełnienia funkcji był stanowczo przeciw, a teraz nagle zmienił zdanie.

Ktoś im sufluje taką hierarchię celów?

To się składa w bardzo logiczną całość. Trudno tego wszystkiego nie skojarzyć z atakiem na NBP. Bo, owszem, po ewentualnym zwycięstwie wyborczym za rok opozycja teoretycznie może rozpocząć marsz w stronę euro, ale bez zmiany prezesa banku centralnego i zmian w Radzie Polityki Pieniężnej nie będzie to ani łatwe, ani proste, ani szybkie. A może w ogóle nie będzie możliwe.

Czy atak na NBP jest praprzyczyną całej sprawy Chrzanowski–Czarnecki, czy też wykorzystano ją jedynie jako wygodny pretekst?

Myślę, że skorzystano z pretekstu. Ktoś jednak dał sygnał, by sprawę KNF rzucić na stół właśnie teraz, siedem miesięcy po nagraniu. Ale wracając do meritum: siły polityczne, które chcą powrócić do władzy, myślą o zapewnieniu swojej dominacji już „na zawsze", może na dekady. Wejście do strefy euro radykalnie ograniczy polską suwerenność ekonomiczną, co razem z innymi elementami zakotwiczy Polskę na stałe w tzw. głównym nurcie europejskim. Nie będzie już pola manewru.

To będzie ubezwłasnowolnienie Polski pod względem gospodarczym?

Prawie całkowicie stracimy suwerenność polityki finansowej, a całkowicie monetarnej. Zostaną nam jakieś marginalne kompetencje. Brak niezależnej polityki pieniężnej odebrałby nam wielki atut, który dziś mamy, czyli zdolność do amortyzacji wahań koniunktury międzynarodowej. Dziś możemy reagować zmianą kursu złotego, waluty dostatecznie silnej i stabilnej. Po wejściu do euro moglibyśmy reagować jedynie wzrostem bezrobocia, spadkiem aktywności gospodarczej, czyli silnymi wahaniami, a w końcu kryzysami.

Nikt nie skorzysta na wejściu do euro?

Skorzystają wielkie banki, wielkie instytucje, głównie zagraniczne, którym spadną koszty transakcyjne. Zyskają ludzie bardzo zamożni, inwestujący za granicą, kupujący tam nieruchomości. Także niektórzy przedsiębiorcy liczący na tani kapitał. Często zresztą to są złudzenia. Straciliby ludzie, którzy dużą część dochodów wydają na dobra podstawowe. Nasza gospodarka stałaby się mniej konkurencyjna. W tej sprawie plan polityczny wydaje się jednak ważniejszy. Bo Polska przestałaby być tym niepokornym uczniem, który szybko zyskuje siłę i jednocześnie ma własne zdanie w sprawach gospodarczych, politycznych, wojskowych, i który czasem się buntuje.

Ale przecież po wejściu do strefy euro nie przestalibyśmy się rozwijać.

Ale nie byłby to już tak szybki rozwój. Strefa euro spłaszcza tempo wzrostu PKB. Nasze marzenie o dogonieniu Niemiec w czasie jednego, dwóch pokoleń stałoby się nierealne. Przecież to, co przeżywamy w Polsce od kilku lat, historyk gospodarczy musi nazwać „cudem gospodarczym".

To pojęcie bywa jednak nadużywane.

Gdyby to się działo w jakimś innym kraju europejskim albo gdzieś w Ameryce Południowej, tak byśmy o tym mówili. Jesteśmy zbyt skromni. Tak szybkie tempo wzrostu, przy stabilnej gospodarce i finansach, jest fenomenem. U nas wszystko odbywa się niemal wzorowo, bez nierównowag. Płace rosną szybko, ale rośnie także wydajność pracy. Mamy bardzo niską inflację. NBP może być z tego dumny, bo to my odpowiadamy za symetryczny rozwój. Polska zaczyna

eprasa.pl cf2a5688ce

być silnym partnerem. Jeszcze nie jest nim w pełni, ale już widać, że może być. Jeśli zostaniemy wciągnięci do strefy euro, będziemy musieli działać pod dyktando krajów najsilniejszych. To one kierują europejską polityką pieniężną.

Polska w ogóle nie powinna wchodzić do eurostrefy?

Sens ekonomiczny pojawiłby się dopiero wówczas, gdybyśmy osiągnęli np. 80 proc. niemieckiego poziomu rozwoju. Dziś wejście do euro oznaczałoby koniec marzeń. Oddanie kierownicy. To propozycja może kusząca dla państw niewielkich, które i tak nie mają szans na samodzielność. A my nie jesteśmy na szczęście tacy mali, by porzucić marzenia. My musimy i chcemy stale zabiegać, walczyć o swój status.

> Było tylko jedno spotkanie, i to oficjalne. Pan Czarnecki odwiedził mnie w moim gabinecie, w rozmowie uczestniczył także prof. Marek Chrzanowski. Praktycznie cała rozmowa dotyczyła naszych doświadczeń jako wykładowców akademickich i autorów książek

Dla innych to bywa denerwujące i ja nawet to rozumiem. Widzę to także jako prezes NBP. Bo ja dziś o nic za granicą nie proszę. Dla naszych partnerów to prawdziwy szok. Wcześniej zawsze czegoś chcieliśmy, a dziś to my zaczynamy pomagać, udzielamy kredytów.

Wracając do sprawy tzw. afery KNF. Zastanawia się pan, dlaczego taśmę opublikowano właśnie teraz? Czy jednak nie było to zbieżne z narastającymi lawinowo kłopotami banków Leszka Czarneckiego?

Tak, to się zbiegło.

Bo – tak też można na to patrzeć – Leszek Czarnecki wymusił pomoc.

Polityka naszego systemu bezpieczeństwa finansowego jest taka sama niezależnie od tego, kto jest właścicielem. Dążymy do tego, by każdy znaczący bank ratować, podtrzymywać. Dopóki jest to możliwe. Dlatego, że w każdym banku depozyty mają zwykli obywatele i polscy przedsiębiorcy.

Ale po coś jednak Leszek Czarnecki rzucił te taśmy. Jeśli chodziłoby o zwykły automatyzm, nie musiałby tego robić, ujawniając przy okazji niektóre ze swoich metod działania.

Mam swoją koncepcję, ale z racji pełnionej funkcji nie mogę o niej mówić. O jednym warto pamiętać: mamy w NBP bardzo rozbudowany dział analityczny, w samym Departamencie Stabilności Finansowej pracuje 80 osób. W Departamencie Operacji Krajowych i Departamencie Systemu Płatniczego mamy pełen podgląd wszystkich rozliczeń, przelewów, wypływów, wpływów itd. Każdy bank jest „fotografowany" szczegółowo na bieżąco. Jeśli jest taka potrzeba, to możemy się dzielić tymi informacjami z KNF, Ministerstwem Finansów i Bankowym Funduszem Gwarancyjnym.

Czyli czerwone lampki palą się bardzo jasno?

Tak. A w raportach kwartalnych to jest wręcz dosłownie oznaczone kolorami. Ale NBP tylko obserwuje. Dopiero jeśli KNF poddaje bank procesowi naprawczemu, to do nas trafia np. prośba o zwolnienie z rezerwy obowiązkowej, co jest dużą ulgą w razie kłopotów. Może także ostatecznie pojawić się prośba o kredyt refinansowy, co zdarzyło się np. w przypadku SK Banku. Pozwala to na zaspokojenie roszczeń klientów, ratuje płynność i zabezpiecza przed upadkiem.

Banki Czarneckiego znane są ze szczególnie agresywnej, chwilami naprawdę bezwzględnej, polityki. Publikowaliśmy na łamach „Sieci" wstrząsające relacje ofiar, ludzi, którzy stracili oszczędności życia, bo zostali złapani w pułapkę tzw. polisolokat albo sprzedano im trefne obligacje.

NBP zajmuje się skalą makro, dba o to, by polski system bankowy nadal był jednym z najbardziej bezpiecznych w całej Europie. Jeśli coś zauważamy, to wysyłamy sygnał do KNF.

Ale ci poszkodowani pytają rozgoryczeni: to do kogo mamy pójść ze swoją krzywdą? Nie ma winnych.

Jest oczywiście droga sądowa. Na pewno system reagowania na nieprawidłowości powinien być sprawniejszy i szybszy. KNF słusznie zwracała na to uwagę.

Czy w sprawie tzw. kredytów frankowych nie można było zrobić więcej? To była ważna obietnica przedwyborcza dobrej zmiany.

Choć nie leży to w kompetencjach NBP, na prośbę prezydenta Andrzeja Dudy włączyliśmy się w poszukiwanie najlepszych rozwiązań. Dużym nakładem sił wypracowano rekomendacje Komitetu Stabilności Finansowej. Ich celem było wprowadzenie mechanizmów ekonomicznych, które skłaniałyby banki do restrukturyzacji walutowych kredytów mieszkaniowych na zasadzie dobrowolnego porozumienia pomiędzy bankami a kredytobiorcami. Restrukturyzacja jest szczególnie zasadna w przypadku kredytobiorców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji finansowej w niezawinionych przez siebie okolicznościach. Większość rekomendacji udało się wdrożyć. Jednak ostatnia propozycja, dotycząca zmian w Funduszu Wsparcia Kredytobiorców, niestety ugrzęzła w Sejmie. Prezydent nie dysponuje taką siłą, by przełamać opór rozmaitych grup interesów i lobbystów.

eprasa.pl cf2a5688ce



Chodzi o próbę podważenia mojego autorytetu i prestiżu, by za rok, po ewentualnym zwycięstwie politycznym, próbować się mnie pozbyć, być może za pomocą jakiejś specjalnej ustawy

Fot. Andrzej Wiktor

Czy obóz rządzący dotrzymał swojej generalnej obietnicy, że zmienią się także reguły gry w sferze finansowej? Że nie będzie zgody państwa na łupienie obywateli, na bezkarność, na złe praktyki banksterów?

W realnym świecie jest dobra wola, ale są też różne siły o różnych interesach. Ostatecznie rodzi się to, co możliwe. Świat finansów, banków to jest potęga w każdym kraju, a w postkomunistycznej Polsce może szczególnie. W naszym systemie bankowym jest ok. 1,6 bln zł. To prawie 90 proc. PKB. Polityka jest sztuką kompromisu. Moim zdaniem systematycznie poprawie ulega sposób działania wielu instytucji państwa, także wymiar sprawiedliwości, gdzie są nadrabiane kilkudziesięcioletnie zaniechania. Również w systemie nadzoru sporo się dzieje. Po każdym negatywnym zdarzeniu dla klientów instytucji finansowych następuje zmiana regulacji, która zabezpiecza przed kolejnymi takimi sytuacjami. Jeszcze daleka droga, ale idziemy w dobrym kierunku. Na pewno nie powinny się u nas zdarzyć ani polisolokaty, ani kredyty walutowe na taką skalę. Choć na pytanie, dlaczego do tego doszło, powinny odpowiedzieć inne organy państwa.

A czy udało się zmienić model rozwoju gospodarczego – na mniej ekstensywny, bardziej innowacyjny?

Nie do końca. Wciąż np. brakuje nam nowych, kolejnych uczelni technicznych, które są kluczowym elementem w sferze rozwoju. W Japonii przesunięto większość pieniędzy z nauk humanistycznych i społecznych, a nawet ekonomicznych, kierując pieniądze na uczelnie techniczne. Wciąż też, za duże pieniądze, kształcimy ludzi, którzy później wyjeżdżają za granicę. Nie ma prawdziwie elitarnej szkoły ekonomicznej. Jesteśmy mocni w informatyce, rozbudowujemy przemysł lotniczy. Powinniśmy mocniej stawiać na przemysł zbrojeniowy, bo to jest nasz interes w sferze bezpieczeństwa, a jednocześnie pozwala na skok technologiczny. Teraz po raz pierwszy mamy w ogóle jakieś możliwości zdecydowanego działania. Dzięki uszczelnieniu, nie tylko VAT-owskiemu, mamy jakieś pole manewru. Jesteśmy dużą gospodarką i już wiemy, że budżetowo jesteśmy bogatsi, niż wcześniej twierdzono.

Czy Marek Chrzanowski pana zawiódł? Tuż po tym, gdy wybuchła sprawa, mówił pan o nim w Rzeszowie: „Nienagannie uczciwy, prostolinijny, patriotyczny, profesjonalny w najwyższym stopniu. Nie wiem, co się stało”.

Znam prof. Marka Chrzanowskiego od trzech lat. Jesteśmy z jednej uczelni, ale tam się nie spotykaliśmy – on pracuje w Katedrze Polityki Gospodarczej, ja jestem szefem Katedry Ekonomii Politycznej i Historii Myśli Ekonomicznej. A to trochę inne światy. Nie byłem też promotorem jego pracy magisterskiej ani doktorskiej, nie występowałem w przewodzie habilitacyjnym jako recenzent lub członek komisji habilitacyjnej. Wszystkie te fakty są ogólnie dostępne.

Czyli podtrzymuje pan swoją opinię na temat byłego szefa KNF?

To jest moja opinia o człowieku. Czekam na wyrok.

eprasa.pl cf2a5688ce

W świecie mediów i gospodarki wszyscy wiedzą, kim jest Leszek Czarnecki. Skąd się wywodzi, jak gra, do czego wydaje się zdolny.

Gdyby panowie zapytali mnie, jak interpretuję to nagranie, tę rozmowę, tobym odpowiedział: nie wiem. Wiem tyle, ile panowie. Wierzę, że wymiar sprawiedliwości bez zbędnej zwłoki rozwikła tę sprawę. To leży w interesie całego społeczeństwa.

Czy spotykał się pan nieoficjalnie z Leszkiem Czarneckim? Sugerowano, że i pana nagrano.

Było tylko jedno spotkanie, i to oficjalne. Pan Czarnecki odwiedził mnie w moim gabinecie, w rozmowie uczestniczył także prof. Marek Chrzanowski. To była krótka, kurtuazyjna, grzecznościowa rozmowa. Praktycznie cała rozmowa dotyczyła naszych doświadczeń jako wykładowców akademickich i autorów książek.

Czy dziś odczytuje pan to jako próbę wplątania pana w sprawę, uwikłania?

Nie, tak tego nie traktuję. Zresztą bardzo rzadko spotykam się z prezesami banków, najczęściej kurtuazyjnie. My zresztą, jako NBP, nie mamy żadnego wpływu na los poszczególnych banków, poza wspomnianą sprawą zwolnienia z rezerwy banków w procesie naprawczym. My regulujemy tylko sferę makro.

Marek Chrzanowski jednak błąd popełnił. Siedzi w areszcie, ma zarzuty, a obóz rządzący został zepchnięty do defensywy.

Popełnił zasadniczy błąd: rozmawiał w cztery oczy, bez świadka. Psychologicznie to rozumiem: wcześniej odbyło się pewnie kilkadziesiąt spotkań oficjalnych, nagrywanych. To spotkanie nie powinno jednak mieć miejsca.

A sprawa „40 milionów"? Sprytnie doklejona?

To jest jakaś fantasmagoria. Nie bardzo rozumiem nawet, z czego ma wynikać ta suma. Zarzut dotyczy innej materii, a nie wspomnianej w pytaniu kwoty.

Marek Chrzanowski siedzi obecnie w areszcie. Dostał twardą sankcję.

Prawo powinno być twarde, nie powinno rozróżniać barw politycznych. Prof. Marek Chrzanowski od razu podał się do dymisji, czyli w tej sytuacji zachował się właściwie.

Opozycja żąda więcej, chce również pańskiej dymisji.

Na początku myślałem, że to może po prostu polityka albo jakieś dawne animozje. Teraz już wszystko układa się w logiczną całość. Chodzi o próbę podważenia mojego autorytetu i prestiżu, by za rok, po ewentualnym zwycięstwie politycznym, próbować się mnie pozbyć, być może za pomocą jakiejś specjalnej ustawy. Bez osłabienia mojej publicznej pozycji to się nie uda, bo zmiana każdego prezesa banku centralnego w trakcie kadencji byłaby skandalem w skali światowej.

> NBP ani ja osobiście w żaden sposób nie zamierzamy ograniczać wolności słowa, w pełni tę wolność słowa popieramy. Musimy jednak chronić Narodowy Bank Polski przed krzywdzącymi i nieuprawnionymi zarzutami

Może chodzi o wymuszenie na panu dymisji?

Przecież nie jestem sztubakiem. Mam swoje lata i pewne rzeczy robią na mnie wrażenie, a inne nie. Boję się Boga, ale poza tym niczego. Mam poczucie odpowiedzialności.

Pana koledzy z innych krajów martwią się stanem demokracji w naszym kraju?

Co dwa miesiące szefowie najważniejszych na świecie banków centralnych spotykają się na zamkniętym posiedzeniu Banku Rozrachunków Międzynarodowych w Bazylei. Nikt nigdy nie zapytał mnie ani o stan demokracji, ani o polexit. Ci ludzie wiedzą, że Polska jest – ze względów choćby geopolitycznych – wyjątkowo zainteresowana w budowie Unii Europejskiej, i że jest u nas pełna demokracja, osłabiona co najwyżej nierównowagą na rynku mediów czy relatywnym niedorozwojem partii politycznych. Nawet w okresie silnych ataków na Polskę nikt nie miał wątpliwości co do naszych intencji. Powoli stajemy się także „nudnym krajem", który pod względem gospodarczym radzi sobie doskonale. Pod tymże względem upodabniamy się do Niemiec.

Słychać głosy, że NBP, podając do sądu media, ogranicza wolność słowa w Polsce. Jak pan odpowie na te zarzuty?

Dla uściślenia: nie media, ale konkretnych dziennikarzy jednego z dzienników i jednego tygodnika. Nie jest też prawdą, jakoby działania NBP, nawet w najmniejszym zakresie, zagrażały wolności mediów. Wolność słowa w Polsce jest osadzona w Konstytucji RP, podobnie jak pozycja Narodowego Banku Polskiego. NBP ani ja osobiście w żaden sposób nie zamierzamy ograniczać wolności słowa, w pełni tę wolność słowa popieramy. Musimy jednak chronić Narodowy Bank Polski przed krzywdzącymi i nieuprawnionymi zarzutami. NBP rutynowo wszczął procedury prawne mające na celu ochronę dóbr osobistych jako instytucji zaufania publicznego. Konieczność obrony dobrego imienia NBP wynika z jego ustrojowej pozycji, z troski o szeroko rozumiane bezpieczeństwo ekonomiczne kraju. Prestiż dobra narodowego, jakim jest NBP, jest niezwykle istotny. Ocenie sądów pozostawiamy to, czy pisanie kłamstw i oszczerstw mieści się w granicach wolności słowa. Poczekajmy na wyrok.

eprasa.pl cf2a5688ce

Czy sprawa „afery KNF" nie jest także próbą wywołania w Polsce dużego kryzysu finansowego? Zbliżają się wybory, to z pewnością pomogłoby opozycji.

Jest taka możliwość. Być może chodziło o rozchwianie systemu finansowego na tyle istotne, aby społeczeństwo to odczuło, a następnie fałszywe ukazanie natychmiastowego wejścia do strefy euro i unii bankowej jako rzekomego gwaranta bezpieczeństwa. Koszty takich działań dla całej gospodarki i państwa byłyby olbrzymie oraz nieodwracalne.

Czy obecna sytuacja nie jest dobrą okazją, by połączyć NBP z KNF?

Wspieram takie oczywiste rozwiązanie od początku swojego urzędowania. KNF jest dziś zbyt słabą instytucją wobec potęgi banków i jak na nasze potrzeby. Połączenie z bankiem centralnym pomogłoby bardzo nadzorowi. Instytucje nadzorcze muszą być sprawne i silne. Większość banków centralnych w UE to także nadzorcy – również Europejski Bank Centralny.

Opozycja nie tylko kreuje „wielką aferę KNF", lecz także łączy tę sprawę z losem SKOK-ów.

W SKOK-ach nie ma nic niewłaściwego ani podejrzanego. To, że mniejsze z nich upadają lub są przejmowane, to naturalna cecha rozwoju obecnego rynku finansowego. Następuje szybka informatyzacja rynku, duże banki zyskują coraz większą przewagę. SKOK-i wyrosły na budowie placówek w małych miejscowościach, były blisko ludzi. One swoją historyczną funkcję spełniły dobrze, także poprzez ograniczenie zasięgu niesławnych „chwilówek". Są plany reformy tego sektora, jego większej integracji. SKOK-i to margines rynku, poniżej 1 proc. całego systemu. Ważniejsza jest sytuacja w sektorze banków spółdzielczych – tam potrzebna jest większa integracja. Banki spółdzielcze to już ponad 7 proc. aktywów sektora bankowego.

Czyli udział znaczący w skali kraju.

Tak. One też mają problemy związane ze skalą działania. Z nich także stopniowo coś nowego się wyłoni. To proces bolesny, ale konieczny i naturalny. Wskazane jest, aby wszystkie integrowały się w ramach Systemów Ochrony Instytucjonalnej, tzw. IPS, które dysponują wewnętrznymi mechanizmami pomocowymi.

Czy jednak reguły powinny być takie same dla słonia i dla mrówki? Dziś tak jest.

Oczywiście, że nie. Ale to nie są sprawy leżące w mojej gestii. Pewne procesy są nieuchronne, ale system powinien być nastawiony na budowanie różnorodności i równowagi.

Kto zawinił w głośnej sprawie SKOK-u Wołomin? Postawiono w niej zarzuty szefom KNF z czasów poprzedniego rządu.

SKOK Wołomin nie upadł dlatego, że był SKOK-iem, ale dlatego, że był przestępczo prowadzony.

> W SKOK-ach nie ma nic niewłaściwego ani podejrzanego. To, że mniejsze z nich upadają lub są przejmowane, to naturalna cecha rozwoju obecnego rynku finansowego

Podsumowując: czy spodziewa się pan kolejnych ataków? Skoro celem jest wejście do euro, a pan jest przeszkodą, spokoju nie będzie.

Spokoju nie będzie, bo przecież nawet bez wprowadzania euro opozycja – gdyby wygrała – mogłaby szybko próbować rozwiązania pośredniego, znanego z Bułgarii czy Danii. Chodzi o stałe powiązanie euro ze złotym. To można zrobić bez zmiany konstytucji. Sądzę, że taki właśnie jest plan. Konsekwencje będą prawie takie same jak przy wprowadzeniu euro, a więc dla Polski fatalne. Możliwe jest wszystko, nawet coś, co można nazwać finansowym zamachem stanu.

REKLAMA





62/1118/F

eprasa.pl cf2a5688ce

Nasza wina?

Trudno mi wyobrazić sobie, aby nikt spośród bywalców plebanii św. Brygidy z lat 80. naprawdę nie dostrzegł, co się tam dzieje. A więc? Chcieli chronić sztandary „Solidarności", a nie zauważali, że właśnie są brukane w najgorszy możliwy sposób?

Fot. Wojtek Łaski/East News



PIOTR SKWIECIŃSKI

Ponure rewelacje dotyczące księdza Henryka Janowskiego wpisują się w ciąg mniej spektakularnych, lecz równie ponurych informacji dotyczących przypadków molestowania seksualnego nieletnich, w tym dzieci, przez innych polskich księży. Ale zarazem i w ciąg działań wrogów Kościoła, ewidentnie usiłujących wykorzystać to zjawisko dla zradykalizowania i rozszerzenia antyreligijnych nastrojów części społeczeństwa. Dlatego pisanie o tym dla kogoś, kto albo jest osobiście związany z wiarą, albo też nie jest, lecz uznaje i ją, i samą instytucję Kościoła za coś społecznie bardzo pożytecznego, za barierę przeciw nihilizmowi, jest nie tylko przykre, lecz także jest czymś w rodzaju stąpania po polu minowym.

Niemniej jednak jest to konieczne, bo widać, że – używając kolokwializmu – dalej tak nie pojedziemy.

1.

Mógłbym napisać, że obrzydliwe informacje o ks. Jankowskim w jakimś sensie mnie nie zaskoczyły, bo zawsze odrzucało mnie od niego do tego stopnia, że w zasadzie cokolwiek złego, czego bym się o nim dowiedział, potwierdziłoby moje intuicje. Mówiąc wprost, zawsze czułem do niego coś na kształt odrazy.

Pojawiło się to uczucie wtedy, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Czyli w 1981 r., w czasie jakiejś warszawskiej demonstracji, gdy tenże kapłan zabrał głos z mównicy czy ze służącej za mównicę furgonetki i rozpoczął słowami: „Kochani! Widzicie mnie po raz pierwszy, ale już żeście o mnie słyszeli. Ja jestem ten słynny ksiądz Jankowski ze Stoczni Gdańskiej!".

Biła z tego pycha i było to bardzo odpychające. Przynajmniej dla młodego inteligenta wychowanego w poczuciu, że właściwa jest pewna powściągliwość. Zwłaszcza w mówieniu o sobie. I zwłaszcza w mówieniu o sobie dobrze.

I od tego momentu ks. Jankowski był u mnie skreślony. A później wszystko, co go dotyczyło, a do mnie docierało (działałem w wydawniczej i studenckiej opozycji, ale w Warszawie, nie byłem tak wysoko, aby z jakichś powodów udawać się do ówczesnej stolicy nielegalnej „Solidarności" – Gdańska), intensyfikowało

6/1018/F

eprasa.pl cf2a5688ce

tę moją o nim opinię. Wieści o dziwacznych mundurach, które nosił, i jeszcze dziwaczniejszych tytułach i orderach, które pozwalał przyznawać sobie dziwacznym ludziom. O otaczającym go dworze. O epatowaniu bogactwem. Krótko mówiąc – o pysze, pysze, pysze.

Potem zaś, po '89 r., już coraz rzadziej dobiegały wieści o tym, jak źle przeżywa fakt, że w niepodległej Polsce nie zrobił kariery, jaką uważałby za godną siebie. O coraz bardziej groteskowych zachowaniach, epatowaniu antysemityzmem (zapewne uważał, że co jak co, ale to znów uczyni go bohaterem mediów...). O specyficznych układach ze specyficznym biznesem.

Jeszcze potem zaś, rok przed jego śmiercią, o tym, że według IPN był zarejestrowany przez SB jako kontakt operacyjny. Czyli nie żeby zaraz konfident w pełnym znaczeniu, ale... spotykał się, dużo gadał i chyba nie mógł mieć wątpliwości co do tego z kim i komu. A to jest absolutne minimum, bo Bogdan Borusewicz przedstawia (w „Newsweeku") dość konkretnie brzmiące oskarżenia (gorliwe podsycanie wzajemnej wrogości Lecha Wałęsy i Anny Walentynowicz, aktywne zainteresowanie się SB pewną działaczką podziemia akurat wtedy, gdy stała się znana ks. Jankowskiemu), w których myśl proboszcz św. Brygidy byłby konfidentem realnym, aktywnym, świadomym swej roli i wypełniającym ją gorliwie.

2.

Jak napisałem, nie cierpiałem go wręcz trzewiowo. Nie powinienem więc dziś być zaskoczony. A jednak... w jakimś sensie jestem.

Bo z opisu wynika, że obrzydliwe zachowania „księdza kanoniera", jak proboszcza ze Świętej Brygidy, nawiązując zarazem do noszonego przez niego tytułu kanonika i jego fascynacji mundurowych nazywano w pewnych sferach Gdańska, trwały długo i były... na pewno nie demonstracyjne, ale ciągłe. Chyba więc trudne do ukrycia.

Trudne do ukrycia zwłaszcza, wyobrażam sobie, dla tych, którzy gośćmi plebanii św. Brygidy bywali nie sporadycznie, tylko stale, przynajmniej w pewnych okresach. Jasne, że Jankowski nie dobierał się do dzieci czy nastolatków publicznie. Ale też, jak wynika z opublikowanych dziś relacji, rozmaitych objawów, że tak powiem, bliskości z nimi bynajmniej nie ukrywał. W skrócie – trudno mi przypuścić, żeby nikt z tych, którzy w latach 80. bywali tam co kilka dni, naprawdę niczego nie dostrzegł.

Chodzi, oczywiście, w pierwszym rzędzie o Pawła Adamowicza, który wtedy był u św. Brygidy ministrantem. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby z tej pozycji można było nie zauważyć zachowań proboszcza. Zwłaszcza ministrantowi utrzymującemu kontakt z innymi ministrantami. Dziś Adamowicz chce burzyć pomnik kanonika. Ale przedtem sam go w jakimś sensie wystawił. Bo zgodę na postawienie statuy wyraziła rada miejska, kontrolowana przez prezydenta. Przez prezydenta, który, podkreślmy to raz jeszcze, nie mógł nie wiedzieć, a milczał.

REKLAMA



epr asa.pl cf2a5688ce

Ale chodzi też o sporą część elity ówczesnej solidarnościowej opozycji. Tej trójmiejskiej, ale nie tylko. Tu już nie będę używać nazwisk, bo tak daleko jak w wypadku Adamowicza posuniętej pewności, że wszyscy oni wiedzieli, nie mam, no i ich większość znajduje się dziś nie po tej, co ja, stronie obecnych barykad, nie chciałbym więc robić wrażenia wykorzystywania sprawy do politycznej nagonki. Ale wtedy tych barykad nie było, byliśmy po tej samej stronie. I dlatego jest to problem moralnie ciężki.

No bo, jeśli prawidłowo rozumuję, to przynajmniej jakaś część tych ludzi, których wtedy uważaliśmy za naszych liderów albo też którzy do pozycji liderów doszli później, musiała coś zauważyć. I mniej więcej zrozumieć, co się dzieje.

Zrozumieć i milczeć.

A tym milczeniem dawać się dalej rozprzestrzeniać krzywdzie.

3.

Tak, rozumiem – wtedy wokół czaiły się komunizm, SB itd. Panowała atmosfera łodzi podwodnej, zanurzonej i wciąż zagrożonej. W takiej sytuacji najważniejsza jest wewnętrzna solidarność, ta przez małe „s", i jedność. Wszystko zaś, co tej solidarności i jedności szkodzi, jest najgorszym złem. Może więc tych domyślających się i milczących, jeśli prawdziwie rekonstruuję sytuację, zrozumieć.

Tylko że jedna rzecz to uznać, że zgodziliśmy się na zło, na krzywdę, bo próba zmiany tej sytuacji przyniosłaby – na innej płaszczyźnie – zło jeszcze gorsze, a druga – wypierać całą tę sytuację. Udawać, że jej nie było. A powtórzę raz jeszcze – trudno mi w tak totalną niewiedzę ówczesnych bywalców Świętej Brygidy uwierzyć.

Wszystko to razem obarcza winą nie tylko samego ks. Jankowskiego, lecz w pewien sposób i w pewnym zakresie ruch, w którym wtedy uczestniczyłem, którego tradycja nadal dla mnie coś znaczy. Przyznam, że trudno mi – i chyba wielu innym osobom mniej więcej mojego pokolenia i biografii – jest z tą świadomością. Stąd zresztą płynie nauka, wykraczająca daleko poza sprawę ks. Jankowskiego i w ogóle kwestię molestowania dzieci przez księży: moralne kompromisy mają zawsze swoją cenę. Bywa ona odłożona w czasie, ale zawsze przyjdzie ją zapłacić. I wtedy jest bardzo gorzko.

4.

Odchodząc od samej sprawy Jankowskiego. Sygnalizowany na wstępie tego tekstu ciąg paskudnych informacji dotyczących seksualnej eksploatacji nieletnich przez kapłanów już teraz potężnie uderza w Kościół. A jeśli jego hierarchia nie zrozumie całej grozy sytuacji i dalej będzie reagować tak jak dotąd, czyli powolnie, nazwijmy rzecz po imieniu – w jakimś zakresie strusio, z nadzieją, że „się przewali" i wrócą dawne czasy, to uderzy jeszcze potężniej.

Już teraz wielu spośród tych, którzy jeszcze kilka lat temu z ogniem broniliby Kościoła, milczy. Nie ze strachu, tylko na skutek przytłoczenia wiadomościami, które okazują się najczęściej prawdziwe. A także urazu do hierarchii, której w tej sprawie wierzyli, a która – raz po razie – okazywała się tego zaufania niegodna, bo niemal zawsze po niewczasie wychodziło na jaw, że dezawuowane początkowo przez nią oskarżenia oparte były na faktach.

Obawiam się, że te zjawiska mogą się jeszcze zintensyfikować. Jakiś czas temu napisałem, że moim zdaniem z wielu powodów skandal kapłańskiej pedofilii miał w Polsce zakres znacznie mniejszy niż na Zachodzie. Nadal mam tę nadzieję. Ale mniejszy to nie znaczy nieistniejący czy prawie nieistniejący, i jest oczywiste, że kolejne przypadki będą ujawniane. Co będzie miało destrukcyjne skutki.

5.

Jak dotąd Kościół instytucjonalny ewidentnie nie potrafi minimalizować strat. Trochę wynika to z zagubienia. Trochę z tego, że sprawujący w nim obecnie władzę zostali ukształtowani w okresie, w którym był on wprawdzie podmywany wzbierającą laicyzacją, ale szło to bardzo powoli, co uspokajało, a zewnętrznie trwał w potędze, co uspokajało jeszcze bardziej. A trochę z tego, że już dawno odeszły w przeszłość czasy interrexa Wyszyńskiego i w polskim Kościele realnie nikt nie sprawuje władzy; stał się on już nawet nie federacją, tylko niemal konfederacją biskupstw, czemu skądinąd sprzyja polityka papieża Franciszka.

Nawiasem mówiąc, sądzę, że obecne utwardzenia stanowiska hierarchii w kwestii ustawy antyaborcyjnej, jednoznaczne wsparcie nacisku wywieranego na rząd przez radykalnych proliferów, jest w jakiejś mierze związane ze sprawą molestowania. W pewnym zakresie jest to ucieczka do przodu. Może wręcz próba przesłonięcia sprawy kompromitującej – inną? Taką, w której Kościół wygląda moralnie lepiej? Pozwalającą na odtworzenie dawnych podziałów, w których hierarchia lepiej się odnajdywała? Wręcz na swego rodzaju zdyscyplinowanie krytyków z własnego obozu, bo przecież trwa bitwa o życie nienarodzonych i w takim momencie krytykować Kościoła się nie godzi...?

6.

Niezależnie od przyczyn – to się nie może udać. Potrzebna jest zasadnicza zmiana postawy.

Potrzebne jest to, czego od dawna domaga się między innymi Tomasz Terlikowski – stworzenie komisji złożonej z osób wobec Kościoła zewnętrznych. Komisji mającej dostęp do wszystkich kościelnych archiwaliów. Komisji, do współpracy z którą zobowiązani byliby wszyscy biskupi, kapłani i świeccy pracownicy instytucji kościelnych.

Bo tylko jasne – ale też szczere i prawdziwe – udowodnienie, że polski Kościół naprawdę chce prawdy i się tej prawdy nie lęka, może uratować go przed ześlizgnięciem się na równię pochyłą, podobną (tylko podobną, bo Polacy są pod wieloma względami inni, ale samo podobieństwo już wystarczy, by uznać tę ewentualność za ponurą) do tej, na której znalazły się potężne niegdyś Kościoły zachodnie.

Byłoby paradoksalne, gdyby przyszli historycy napisali, że to, czego nie udało się zrobić caratowi, hitlerowcom i komunistom, polski Kościół zrobił sobie sam. Zupełnie sam.

13/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce



eprasa.pl cf2a5688ce

Polska to nie tylko Chopin



Fot. Shutterstock

Kultura to bardzo ważny instrument polityki każdego państwa. Nie przypadkiem Hollywood uważane jest za jeden z fundamentów amerykańskiej potęgi w świecie. Oczywiście Polska nie jest w stanie podjąć równoprawnej gry z Ameryką, takiej gry nie jest dziś w stanie podjąć nikt, ale jako 38-milionowe państwo w środku Europy możemy znaczyć więcej, niż nam się wydaje



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Sfera kultury jest bardzo silnie spleciona z polityką i gospodarką. I tak jak w gospodarce brak własnego kapitału prowadzi do uzależnienia ekonomicznego oraz – w efekcie – politycznego od tych, którzy dysponują większymi możliwościami, tak i kultura narodowa może być wypierana przez obce wzorce.

Na co dzień rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, jak wielką rolę w budowaniu pozycji państwa na arenie międzynarodowej odgrywa siła jego kultury. Być może dlatego, że jesteśmy przekonani lub też przekonywani o tym, że jako Polacy nie mamy w tej dziedzinie zbyt wiele do zaoferowania, bo nasza kultura jest zbyt uboga, aby podjąć rywalizację z innymi. Czy rzeczywiście jako 38-milionowe państwo w środku Europy nie mamy w tej sferze nic do powiedzenia?

POLSKA NISZA

Krzysztof Olendzki, prezes Instytutu Adama Mickiewicza, powołanego w 2000 r. do promocji polskiej kultury w świecie, nie zgadza się z zarzutem, że jesteśmy bezbronni. – Polska jest większą potęgą, niż zdajemy sobie z tego sprawę. Patrzymy na nasz kraj przez pryzmat codziennych utarczek politycznych czy problemów z Brukselą. Tymczasem duża część opinii zagranicznej ocenia nas przez dokonania gospodarcze, wzrost PKB czy właśnie poprzez dokonania kulturalne – mówi. – Dla wielu krajów Azji, Bliskiego Wschodu czy Europy Wschodniej jesteśmy państwem, które w krótkim czasie osiągnęło sukces.

Ten sukces można wykorzystać przy promocji polskiej kultury. Oczywiście nie będzie to soft power na miarę hollywoodzką, ale są dziedziny, w których jesteśmy niekwestionowaną potęgą. Jakie? Krzysztof Olendzki wymienia muzykę, design, kulturę cyfrową. – Dzięki naszej długiej pracy London Philharmonic Orchestra czy London Symphony Orchestra mają w swoim stałym repertuarze utwory polskich kompozytorów. Teraz próbujemy powtórzyć ten sukces we Francji, usiłując włączyć polską muzykę do stałego repertuaru najstarszej francuskiej orkiestry

49/0818/F

eprasa.pl cf2a5688ce

symfonicznej Pasdeloup – opowiada o ostatnich dokonaniach Instytutu Mickiewicza. – Do Chin weszliśmy bardzo mocno z polskim jazzem. Ale działamy wspólnie, polscy artyści jazzowi grają z chińskimi, gotowi jesteśmy występować wspólnie również na rynkach trzecich. Ważne jest dla nas, aby to połączone polsko-chińskie combo grało polską muzykę jazzową. Siła polskiego jazzu jest przecież ogromna.

MARZENIE O HOLLYWOOD

Jednak jazz, muzyka symfoniczna to kultura wysoka skierowana do wyrafinowanej, a przez to stosunkowo niewielkiej publiczności. – Ja wiem, że największym marzeniem jest przeniesienie jakiejś polskiej historii do Hollywood. Taki film zresztą już powstaje, chodzi o remake „Jacka Stronga" – mówi Olendzki. Dlatego ważne jest, aby zainteresować Polską ludzi, którzy mogą w przyszłości odegrać dużą rolę w światowej kulturze, utalentowanych debiutantów. Temu m.in. służy inny projekt Instytutu Adama Mickiewicza, o którym opowiada mi Krzysztof Olendzki. Chodzi o musical o Ignacym Paderewskim, który ma zostać zrealizowany w Stanach Zjednoczonych. – Zgłoszono wiele projektów, w tej chwili po eliminacjach pozostało ich siedem. Wszystkie tworzą artyści amerykańscy, oni sami napisali libretta i muzykę, współpracują z rozmaitymi instytucjami, m.in. z UCLA – największą artystyczną uczelnią w Stanach Zjednoczonych, gdzie kształcą się artyści i scenarzyści z Hollywood. Planujemy, aby z tych siedmiu projektów wybrać jeden lub dwa i wystawić je na Broadwayu.

Przy opowiadaniu polskich historii ważne jest jednak, aby zrozumieć specyfikę odbiorcy. Dlatego niektóre projekty realizowane są – tak jak musical o Paderewskim – właśnie przez zagranicznych artystów, którzy znacznie lepiej rozumieją swoich widzów.

Inną taktyką jest zapraszanie do Polski menedżerów kultury z innych krajów i prezentowanie im naszego dorobku w danej dziedzinie. – Oni oglądają, poznają kontekst i sami podejmują decyzję, co chcą pokazać u siebie – wyjaśnia Olendzki. Zdarza się bowiem, że niektóre historie są tak mocno wpisane w nasz kontekst kulturowy, że stają się nieczytelne, a przez to nieatrakcyjne dla zagranicznego odbiorcy.

Gry komputerowe o Bitwie Warszawskiej 1920 r. czy o husarii są za granicą niezrozumiałe. Zamiast tego lepiej czasem stworzyć uniwersalną historię, w której pojawiają się jedynie polskie akcenty: postać, słowo, scenografia. To intryguje i często zmusza do dalszych samodzielnych poszukiwań, bo zwykle gracze chcą się dowiedzieć czegoś więcej.

Takim przykładem mogą być również podcasty zamieszczane na prowadzonej przez Instytut Adama Mickiewicza stronie internetowej Culture.pl. – Musimy stawiać na nieoczywistość, jak np. chcemy opowiedzieć o roli religii w Polsce, to puszczamy „Pasję według

REKLAMA



25 lat
KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt połączenia wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl cl2a5688ce

św. Łukasza" Pendereckiego, a obok tego emitujemy debatę na temat religii – wyjaśnia Olendzki. Podcasty Instytutu transmitowane są już w trzystu stacjach radiowych w USA. To dość tani sposób docierania do szerszego odbiorcy.

PRZYWRACANIE KULTURY

Kultura już od dłuższego czasu jest, podobnie jak polityka historyczna, rodzajem instrumentu politycznego każdego państwa. Inwestycja w kulturę przekłada się bowiem na siłę i pozycję w innych dziedzinach.

Polityka obecnego rządu skierowana jest przede wszystkim na wyrównywanie szans w wymiarze zarówno indywidualnym, jak i regionalnym. Stąd uruchomienie po 2015 r. licznych inwestycji, w tym również kulturalnych, których celem jest przyśpieszenie rozwoju Polski.

W tej chwili Polska wydaje na kulturę 1 proc. rocznego budżetu, co można uznać za bardzo duże osiągnięcie. Nawet jeżeli te pieniądze są w głównej mierze przeznaczane na budowę muzeów, to te muzea odgrywają ważną rolę kulturotwórczą. Muzea, także te tożsamościowe, są bowiem centrami, gdzie tworzą się kompetencje w zakresie kultury. Przykładem może być muzeum Ulmów w Markowej. Ale nie tylko muzea rozwijają Polskę. Wystarczy spojrzeć, jak zmienił się Białystok po tym, jak powstała tam filharmonia.

Na dużą skalę rozwija się także szkolnictwo artystyczne. I nie chodzi tu tylko o naukę o kulturze, ale o coś więcej – o kształcenie do kultury. Brak znajomości kultury własnego kraju i brak kompetencji w zakresie kultury są bowiem jedną z głównych barier wzrostu gospodarczego.

– Gdy Koreańczycy wchodzili z inwestycjami do Polski, to pytali o liczbę szkół artystycznych – opowiada Olendzki. – To pokazuje sposób ich rozumienia kultury, ich świadomość, że bez kultury nie ma rozwoju – tłumaczy.

To wszystko prawda. Nie opowiemy o polskiej kulturze na zewnątrz, jeżeli nie będzie jej w kraju, bo nie będzie po prostu czego wywozić za granicę. Rozwijając kulturę w kraju, budujemy również publiczność, która potrafi docenić dobre dzieło artystyczne. Mając ją, stajemy się atrakcyjnym rynkiem zbytu, co także podnosi naszą pozycję w kulturalnym rankingu Europy.

– Dlaczego nie ma u nas wielu prestiżowych koncertów? Nie dlatego, że nie możemy za to zapłacić. Po prostu menedżerowie uważają, że nasz rynek jest zbyt płytki. Jeśli to się zmieni, to znani artyści będą się domagali, aby być obecnym na polskim rynku – wyjaśnia Olendzki.

> Brak znajomości kultury własnego kraju i brak kompetencji w zakresie kultury są jedną z głównych barier wzrostu gospodarczego Polski

ZAGUBIONY PREISNER

Budowanie obecności polskiej kultury w świecie jest trudnym przedsięwzięciem. Nie tylko dlatego, że siła kultury jest ściśle związana z siłą gospodarczą i polityczną państwa, lecz również ze względu na postępujący kryzys tożsamości narodowej w Europie. Nasza kultura narodowa coraz częściej musi się bowiem zderzać z wielokulturową poprawnością polityczną. – To jest pytanie, na ile utożsamiamy się z Polską, z naszą kulturą. Wielu naszych artystów nie jest w stanie sobie z tym pytaniem poradzić, bo przez ostatnie lata zasnęli z daleka od tożsamości – mówi Olendzki.

Niektórzy z nich dają temu publicznie wyraz, co łączy się często z demonstracjami politycznymi. We wrześniu Zbigniew Preisner, kompozytor i uznany twórca muzyki filmowej, został laureatem nagrody przyznawanej na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Tel Awiwie. Organizatorzy festiwalu poprosili ambasadora RP w Izraelu Marka Magierowskiego o laudację na cześć laureata. Na wieść o tym laureat odpowiedział, że nie życzy sobie laudacji ani w ogóle żadnych spotkań z przedstawicielami państwa polskiego do czasu, gdy władzę sprawuje PiS.

– To są niedojrzałe zachowania ludzi, którzy nie radzą sobie z własnymi emocjami. Znam kilka podobnych żenujących historii, ale nie opowiem ich, bo nie o to w ogóle chodzi. To jest kompletnie nieczytelne dla ludzi, którzy biorą udział w wydarzeniach kulturalnych, to ich żenuje – ocenia Olendzki. – Jedna z polskich ekip teatralnych po zakończeniu spektaklu zaczęła nagle prezentować zagranicznym widzom swoje poglądy polityczne – opowiada. – Widzowie całkiem zbaranieli, bo spektakl nie miał z bieżącą polityką nic wspólnego. To jest kwestia odpowiedzialności za siebie i za kraj, który się reprezentuje.

RAZEM MOŻEMY WIĘCEJ

– Marzy nam się stworzenie wspólnego rynku kultury na obszarze Europy Środkowej – od państw bałtyckich po Bałkany – w różnych dziedzinach. Zdajemy sobie sprawę, że na rynkach globalnych sami niewiele znaczymy. To zadanie na wiele lat – mówi Krzysztof Olendzki. Takie próby są już podejmowane na Ukrainie, gdzie Polacy, wspólnie z miejscowymi artystami, chcą tworzyć alternatywę dla rosyjskiej kultury popularnej, organizowane są koncerty i festiwal (niektóre obwody zachodniej Ukrainy wprowadziły zresztą zakaz rozpowszechniania rosyjskiej muzyki i filmów). – Chcielibyśmy poszerzyć ten projekt o Białorusinów, może o Gruzinów. Chodzi o to, aby stworzyć wschodnioeuropejski soft power, który powstrzyma Rosjan. Tradycja naszego regionu jest przecież zupełnie inna od rosyjskiej czy niemieckiej – wyjaśnia Olendzki.

Budowa silnej pozycji kulturalnej Polski w regionie jest zgodna ze strategią Międzymorza, która jest dziś realizowana głównie poprzez infrastrukturę transportową (via Carpatia, rail Baltica) i energetyczną. Ale jeśli tym projektom infrastrukturalnym będzie towarzyszyć kultura, to znaczenie Polski wzrośnie. Nie tylko w regionie, lecz w całej Europie.

44/0918/F

eprasa.pl cf2a5688ce

Tankuj i kupuj na stacjach ORLEN, zbieraj punkty **i wygrywaj w wielkiej loterii Programu VITAY!**



Odbierz Los za 200 pkt VITAY

Rabat 10 gr/l* paliwa VERVA do każdego odebranego Losu

Wejdź na vitay.pl i weź udział w loterii

CLUB VITAY

Do Promocji można przystąpić wymieniając 200 pkt VITAY na Los na vitay.pl w okresie 03.12.2018-10.02.2019 r. lub do wyczerpania puli Losów. Promocja składa się z Loterii i Sprzedaży Promocyjnej i jest przeznaczona dla Zarejestrowanych Uczestników Programu VITAY. Szczegóły Promocji w Regulaminach dostępnych na vitay.pl
* Rabat jest rabatem minimalnym. Stacje franczyzowe mogą stosować własny rabat, nie niższy niż rabat minimalny wskazany w niniejszym materiale. Rabat obowiązuje przy jednorazowym zakupie maksymalnie 50 litrów paliwa VERVA. Rabat można zrealizować do 31.03.2019 r.

ORLEN

eprasa.pl cf2a5688ce

Skorzystać z szansy



Fot. East News/AP Photo/Sergei Grits

Z reżyserem
Konradem Smugą
rozmawia Ryszard Makowski

Roksana ma szacunek dla dorosłych, ale ma też wielką świadomość samej siebie. Wie, co chciałaby śpiewać, i ma wyjątkową dojrzałość sceniczną. Bardzo ważne jest to, aby rozumieć, po co się wchodzi na scenę

Na ile procent szacuje pan swój wkład w sukces Roksany Węgiel w dziecięcej Eurowizji?

Konrad Smuga: To w 100 proc. sukces Roksany. Ona jest świetna. Bardzo świadoma scenicznie. Ma wyjątkowy głos i wielki talent. Myśmy tylko jej pomogli. To, że w pewnych sprawach nas słucha, świadczy tylko o jej mądrości.

Ceduje pan wszystko na wykonawczynię, ale 13-latka chyba wymaga poinstruowania przez doświadczonego reżysera.

Dorosłe gwiazdy też instruuję, a nie zawsze chcą z tego skorzystać. Chęć słuchania i wyciągania wniosków z tego, co doradzają ludzie o większej praktyce w pewnych kwestiach, to też jest umiejętność. Roksana potrafiła skorzystać z tej szansy, którą dostała od Telewizji Polskiej. Bo to właśnie TVP zatrudniła mnie i najlepszych ludzi, znalazła na to środki i umożliwiła stworzenie show, który okazał się zwycięski na dziecięcej Eurowizji. Natomiast wszystko zależało od Roksany, bo to ona wyszła na scenę, to ona się zgodziła na tę piosenkę, a nie inną, to ona zaakceptowała ten, a nie inny pomysł sceniczny.

Kto jest autorem piosenki „Anyone I Want to Be"?

Autorów jest siedmiu czy ośmiu. Firma Universal Music Polska przygotowała trzy propozycje. W gronie współpracowników wybraliśmy jedną z nich. Roksana chciała inną, ale dała się przekonać, by wykonać utwór wybrany przez nas.

Czyli jednak pana wkład jest znaczący!

Słuchanie reżysera nie jest w Polsce powszechne. To jest taki fajny przykład, że warto słuchać ludzi, którzy mają wiedzę o tej branży.

W wieku 13 lat chyba ma się jeszcze szacunek dla dorosłych?

Roksana ma szacunek dla dorosłych, ale ma też wielką świadomość samej siebie. Wie, co chciałaby śpiewać, i ma bardzo dużą dojrzałość sceniczną. Bardzo ważne jest to, aby rozumieć, po co się wchodzi na scenę.

Czy jest szansa, żeby ten sukces przełożyć na prawdziwą światową karierę?

Myślę, że tak! Nawet gdyby nie wygrała, to też by nie przekreślało jej szans na dużą karierę, ale wiadomo, że taka prestiżowa nagroda jest ogromnym handicapem już na samym początku. Jest rozpoznawalność. Teraz dużo zależy od jej otoczenia. Ona ma dopiero 13 lat. Ma dużo czasu na kolejne sukcesy. Na razie trzeba nie oszaleć, jak to się popularnie mówi, i robić swoje.

Roksana Węgiel sprawia wrażenie osoby bardziej dojrzałej, niż by na to wskazywał jej wiek.

Absolutnie tak i to jest nie tylko wrażenie, ale tak jest. Jest osobą dojrzałą, świadomą i rozsądną. To jest naprawdę piękne.

eprasa.pl cf2a5688ce

Dla jej mentorki z The Voice Kids Edyty Górniak druga nagroda na Eurowizji w 1994 r. nie przełożyła się na karierę międzynarodową.

Tak bywa w życiu, że nie wszystko nam się udaje. To były inne czasy, polski rynek muzyczny był wtedy jak te szczęki na ulicach, gdzie sprzedawano różne towary, czyli de facto nie istniał. Edycie nie miał kto pomóc, nie miał się nią kto zaopiekować i tu leży największy problem. Edyta nie miała wokół siebie profesjonalistów.

EMI Music wydało jej album, który pojawił się na europejskich listach sprzedaży, ale – po obiecującym początku – nie udało się podbić światowych scen.

To jest ten czynnik, na który nie mamy wpływu. Nasz obecny rynek w porównaniu z tamtym sprzed lat to są dwie różne historie. Naprawdę mamy obecnie całe rzesze specjalistów.

Ale mimo że działają u nas najważniejsze globalne firmy fonograficzne, żaden polski wykonawca pop nie zaistniał na świecie.

To jest też kwestia tego, jak centrale tych firm traktują Polskę. Niestety traktują jak siódmy świat, nawet nie trzeci. Dla central tych firm ważne są Niemcy, Francja, Hiszpania, Włochy, Skandynawia. Polska jest na odległym miejscu. Dla tych firm liczy się sprzedaż, a u nas piractwo jest cały czas na wysokim poziomie.

Musimy chyba też brać pod uwagę to, że krajowa oferta muzyczna nie jest aż tak atrakcyjna.

Trudno mi oceniać. Mam bardzo prostą zasadę. Jeżeli coś jest dobre, to się sprzeda.

Disco-polo się sprzedaje i jest atrakcyjne, ale tylko dla pewnej grupy.

Jest to jednak grupa niezwykle liczna i trudno jej gust zupełnie ignorować, szukając masowego odbiorcy.

Robi pan koncert w Opolu. Po tych festiwalach z czasów komuny mamy wielkie przeboje do dziś, a po obecnych tak nośne piosenki się nie pojawiają.

A dlaczego nie ma teraz takich seriali jak „Czterdziestolatek", „Stawka większa niż życie" czy „Zmiennicy"? Jest na to mniej pieniędzy i mniej czasu. Teraz muzyki się nie komponuje, tylko się ją produkuje. Poza tym kiedyś Opole miało dużo większą oglądalność. Jeśli ktoś zaśpiewał tam piosenkę, to 95 proc. społeczeństwa ją znało.

Kiedyś nie było takiej scenografii, takich świateł, ale wychodził Stan Borys z „Jaskółką uwięzioną" i ludzi przeszywał dreszcz. Teraz mamy scenografię, światła... ale brakuje przekazu.

Oprawa jest równie ważna jak piosenka. Teraz piosenki powstają chyba zbyt szybko. Kiedyś tekściarze dyskutowali z artystami o tekście, analizowali go. Teraz przychodzi tekst mailem do studia i jest od razu nagrywany. Kiedyś aktorzy przygotowywali rolę, nawet do serialu. Teraz przychodzą i nie zawsze wiedzą, co będą grali. Pogoń za zyskiem powoduje, że jest mniej czasu na pracę koncepcyjną i artystyczną.

Ale to chyba właśnie media publiczne są po to, żeby tym ambitniejszym artystom stworzyć warunki do działania.

Warunkiem, żeby tak było, jest normalne finansowanie mediów publicznych. Na razie media publiczne muszą konkurować z mediami komercyjnymi, ponieważ w dużej mierze utrzymują się ze sprzedaży reklam. To powoduje ogromne ciśnienie na wynik oglądalności. Co z tego, że stworzymy programy wyrafinowane artystycznie, jak nikt tego nie będzie oglądał. Media publiczne w wielu krajach to 1–2 proc. udziału w rynku. Biorąc wzór z BBC, wiemy, że pierwsze dwa kanały pomiędzy 17.00 a 23.00 muszą być megakomercyjne. Dzięki temu TVP zarabia na promowanie TVP Kultura czy TVP Historia.

To jest z pewnością ogromny atut TVP. Czy jednak nie za dużo jest programów opartych na kupionych, gotowych formatach?

Format daje bezpieczeństwo, że nie popełni się pomyłki. Program „Rolnik szuka żony", który robię, także jest formatem. Absolutny hit. Ostatni odcinek zgromadził ponad 4 mln telewidzów. Program, gdzie stawiamy dwie kamery w polu, gdzie nie budujemy scenografii, nie ma żadnych gwiazd, jest na drugim miejscu oglądalności w tygodniu, więc to potwierdza sens korzystania ze sprawdzonych wzorców.

Czy „Rolnik szuka żony" dowodzi, że na całym świecie rolnikom jest trudno znaleźć żonę?

Wygląda na to, że tak. W 30 krajach ten program jest wielkim sukcesem. Zresztą jest to program uniwersalny. Każdy z nas w tym programie może dostrzec samego siebie. Każdy był szczęśliwie zakochany, nieszczęśliwie zakochany, każdy potrzebuje miłości i każdy chce, żeby ludziom było lepiej. Wszyscy jesteśmy dobrymi ludźmi.

Tu bym się chwilę zastanowił...

Jestem humanistą i wierzę w ludzi.

Czy ten obraz wsi nie jest zbyt wyidealizowany? Wieś kojarzy się jednak ze sztachetą i walką o miedzę.

To dawno pan nie był na wsi! Obecna wieś wygląda naprawdę dobrze. Rolnicy to są wykształceni ludzie, mają dostęp do internetu. To są biznesmeni tacy sami jak ci w miastach.

Dużo związków odgrywanych dla potrzeb programu sprawdziło się potem w życiu?

O ile dobrze pamiętam, mamy pięć małżeństw i kilkoro dzieci.

Ostatnimi czasy obserwujemy „wojny sylwestrowe" pomiędzy trzema telewizjami. TVP wygrywa i to jest w dużej mierze pana zasługa.

Dla mnie jako twórcy jest to piękne, że możemy się pościgać. W tym samym czasie trzy telewizje nadają ten sam program. Nigdzie na świecie chyba tak nie ma. Potem z kolegami z innych stacji wymieniamy się uwagami, czasem kąśliwymi, co komu lepiej wyszło.

Czy Zakopane to był pana pomysł?

To wymyślił prezes Jacek Kurski. Trzeba przyznać, że wykazał się świetną intuicją. Sylwester TVP w Zakopanem to jest to.

eprasa.pl cf2a5688ce

Nieme świadectwa heroizmu

Od prawie 70 lat stanowią integralną część krajobrazu miasta. Dla zdecydowanej większości z nas ich obecność jest czymś tak stałym i oczywistym, że już dawno przestaliśmy zwracać uwagę na to, co zostało na nich opisane. Poza nielicznymi dniami świątecznymi i obchodami rocznicowymi najczęściej pozostają zapomniane, często nawet zaniedbane. Ponad 150 znajdujących się dzisiaj na terenie Warszawy tablic Tchorka to jedno z najbardziej wymownych świadectw tragizmu polskiej historii i martyrologii narodu

Pierwsze, spontaniczne przypadki upamiętniania miejsc egzekucji z okresu niemieckiej okupacji i walk w czasie powstania warszawskiego miały miejsce już w styczniu 1945 r. Powracający do zrujnowanego miasta mieszkańcy stawiali tam krzyże i prowizoryczne tablice. Po pewnym czasie zjawisko to stało się na tyle powszechne, że poszukujące legitymizacji, powstające właśnie komunistyczne władze postanowiły wykorzystać istniejący zapał oraz społeczne zaangażowanie i zdecydowały się nadać działaniom upamiętniającym ofiarę mieszkańców Warszawy bardziej oficjalny i zorganizowany charakter. Zadanie odpowiedniego oznaczania miejsc walk i egzekucji powierzono Obywatelskiemu Komitetowi Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, komórce powołanej przy Prezydium Rady Narodowej m.st. Warszawy. W drugiej połowie lat 40. komitet przystąpił do upamiętniania miejsc walk i męczeństwa, wykorzystując do tego jednolite czarne, blaszane tablice z namalowanym białą farbą krzyżem i krótkim opisem upamiętnianego wydarzenia.

W 1948 r. na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki Stowarzyszenie Architektów Polskich ogłosiło ogólnopolski konkurs na projekt przestrzennej formy, która miała zostać wykorzystana do oznaczenia miejsc walk i męczeństwa. Rok później pierwszą nagrodę przyznano warszawskiemu artyście rzeźbiarzowi Karolowi Tchorkowi. Zwycięzcy konkursu zależało, aby tablice jego projektu – stawiane często w miejscach, które wcześniej samorzutnie upamiętnili mieszkańcy stolicy – mimo swej standardowej formy w możliwie największym stopniu odzwierciedlały pamięć historyczną warszawiaków. W tym celu podczas pracy posługiwał się fotografiami poprzednich form upamiętnienia, ich opisami, szkicami sytuacyjnymi, a nawet zapisami w pamiętnikach. Na proces upamiętniania miejsc walk i męczeństwa wpływało wiele czynników, w tym oczywiście naciski natury politycznej. Pierwotnie zaprojektowany przez Ewę Śliwińską główny napis o treści: „Miejsce uświęcone męczeńską krwią Polaków walczących o wolność" w trakcie realizacji projektu zamieniono na: „Miejsce uświęcone krwią Polaków walczących o wolność ojczyzny". Także sam kształt tablic oraz napisy informujące o upamiętnianych wydarzeniach wielokrotnie modyfikowano bez wiedzy i zgody artysty, co zresztą doprowadziło do sporu rozstrzygniętego dopiero w 1968 r.

Ile tablic według projektu Tchorka znajduje się obecnie w stolicy? Według najnowszych ustaleń IPN zostało ich 154. W związku ze zbliżającą się 80. rocznicą wybuchu II wojny światowej ich rewitalizacji podjęła się Fundacja PGE Energia Ciepła. Celem realizowanego we współpracy z IPN oraz pod patronatem ministra kultury Piotra Glińskiego przedsięwzięcia jest uzupełnienie oraz popularyzacja w środowisku międzynarodowym informacji zawartych na istniejących tablicach i pomnikach poprzez dodanie w ich bezpośrednim otoczeniu nośników zawierających uzupełniające informacje przygotowane w językach polskim oraz angielskim. Odsłonięcia pierwszej tabliczki uzupełniającej odbyło się 26 października br. u zbiegu ulicy Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich.



W czasach coraz powszechniejszych i systemowych prób relatywizowania oraz zatarcia w świadomości międzynarodowej opinii publicznej odpowiedzialności za II wojnę światową i popełnione w jej trakcie zbrodnie Polska powinna skuteczniej budować przekaz zgodny z historyczną prawdą i naszym narodowym interesem. W tym kontekście inicjatywa Fundacji PGE Energia Ciepła to zdecydowanie krok w dobrą stronę.

Kajetan Kutnowski

Autopromocja

eprasa.pl cf2a5688ce

Zrób bliskim prezent na święta...

Radość potrwa cały rok!

ROCZNA PRENUMERATA SIECI + WSIECI HISTORII

40% TANIEJ



~~463,80 zł~~

280 zł

+ 3 PREZENTY



KSIĄŻKA „PŁONĄCE PUSTKOWIE”

*do wyczerpania zapasów



KALENDARZ NA 2019 ROK



ZAKŁADKA DO KSIĄŻKI Z WINCENTYM WITOSEM

Prenumerata: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata
Informacje: 22 616 15 70, prenumerata@fratria.pl

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290,**
Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując rodzaj prenumeraty i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl cf2a5688ce



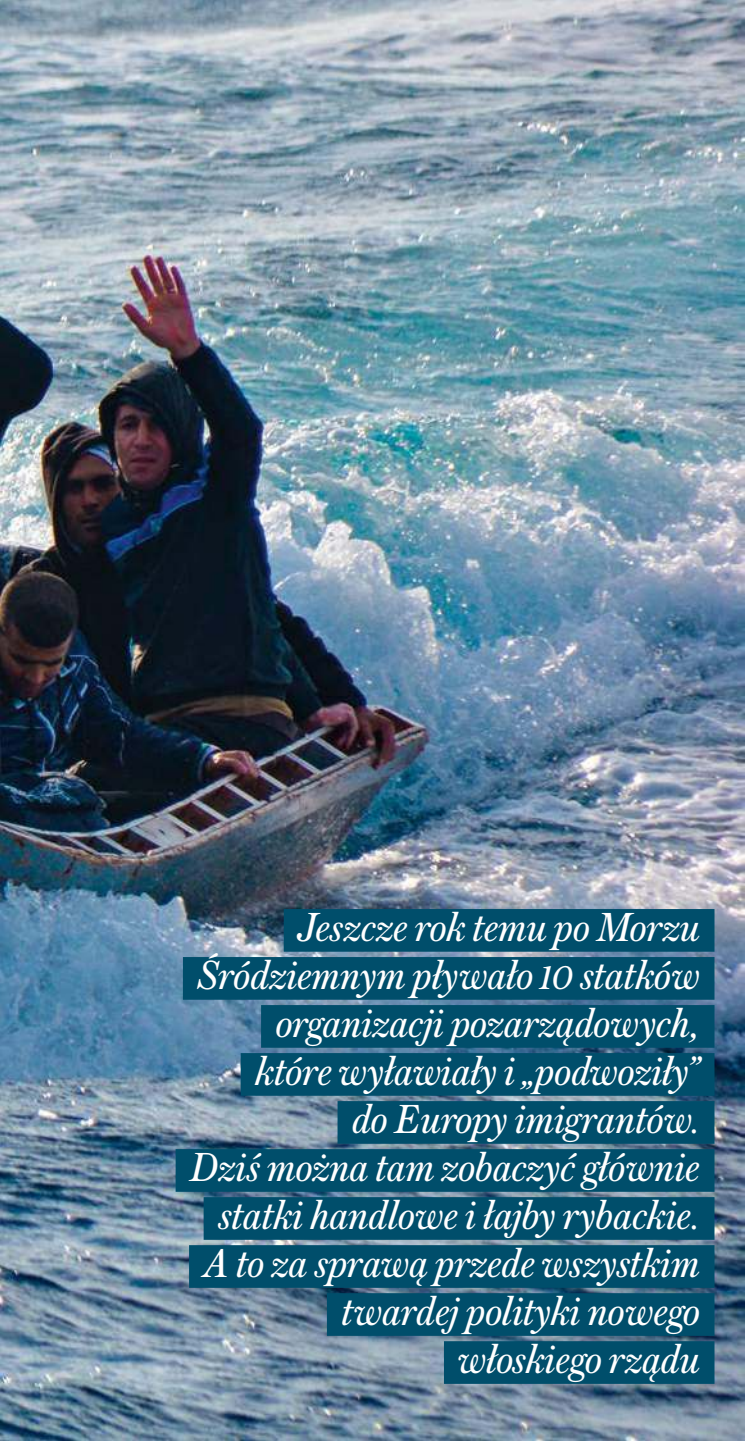
Porażka imigracyjnych ideologów



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

24-letniego Seana Bindera i 23-letnią Sarę Mardini na pierwszy rzut oka niewiele łączy. On jest świeżo upieczonym absolwentem Trinity College, urodził się w Niemczech i mieszka w Irlandii, ona jest siostrą pływaczki olimpijskiej (wystąpiła na igrzyskach w Brazylii jako reprezentantka 43-osobowej drużyny uchodźców) i ambasadorki UNHCR z Syrii Yusry Mardini. Oboje są oskarżeni o przemyt imigrantów do Grecji, pranie brudnych pieniędzy oraz szpiegostwo i na początku grudnia br. zostali wypuszczeni z greckiego aresztu za kaucją. Spędzili w nim aż 107 dni. Zarówno Mardini, jak i Binder pracowali dla organizacji pozarządowej z siedzibą na wyspie Lesbos – Międzynarodowe Centrum Odpowiedzi Kryzysowej (ERCI). Grecka prokuratura oskarża organizację o to, że pod płaszczykiem działalności humanitarnej ściągała imigrantów na Lesbos, „korzystając ze znanych tras przemytniczych". W 2015 r. siostry Mardini same przedostały się na dziurawym pontonie z Turcji do Grecji. Gdy ponton z 18 imigrantami na pokładzie zaczął tonąć, wskoczyły do wody i holowały go na brzeg. Po tym doświadczeniu postanowiły pomagać innym

eprasa.pl cf2a5688ce



Jeszcze rok temu po Morzu Śródziemnym pływało 10 statków organizacji pozarządowych, które wyławiały i „podwoziły" do Europy imigrantów. Dziś można tam zobaczyć głównie statki handlowe i łajby rybackie. A to za sprawą przede wszystkim twardej polityki nowego włoskiego rządu

Fot. Shutterstock

imigrantom dotrzeć do Europy. Z „idealistycznych pobudek". Tyle że czasy tzw. idealistów na Morzu Śródziemnym dobiegły końca.

MNIEJ NGO-sów TO MNIEJ IMIGRANTÓW

ERCI zaprzestało działalności, siostry Mardini wróciły do Niemiec, a wielu ochotników pracujących dla NGO-sów opuściło Lesbos ze strachu przed represjami. 30 z nich ma niebawem zasiąść wraz z Binderem i Mardini na ławie oskarżonych. Bo to, że dojdzie do procesu, nie ulega wątpliwości. Greckim władzom podobnie jak włoskim zależy na tym, aby pozbyć się „humanitarnego biznesu", jak go nazywają, z obrębu Morza Śródziemnego. „Chodzi o kryminalizację działań humanitarnych i odstraszenie tych, którzy chcą nieść pomoc uchodźcom" – przekonuje prawnik Sary Haris Petsalnikos w rozmowie z greckim dziennikiem „Ekathimerini". Według niego „jest to niestety dość skuteczna strategia". Na początku roku prokuratura oskarżyła trzech obywateli Hiszpanii i dwóch obywateli Danii o przemyt imigrantów. Zostali wprawdzie oczyszczeni z zarzutów, ale musieli opuścić Grecję.

Twarda postawa rządu w Atenach jest spowodowana – jak twierdzi rządząca krajem lewicowa partia Syriza – „trudnymi warunkami humanitarnymi" w obozach dla uchodźców, które są całkowicie przepełnione. Tylko w obozie Moira na Lesbos koczuje ponad 8 tys. ludzi. Trzy lata po wybuchu kryzysu imigracyjnego liczba imigrantów docierających do Grecji drogą morską znacznie zmalała. W 2016 r. było to ponad 170 tys. osób, w tym roku zaledwie 30 tys. Kolejne 15 tys. dotarło do Grecji drogą lądową, przekraczając rzekę graniczną Evros, bo przemytnicy zorientowali się, że nie jest ona objęta umową UE–Turcja. Nawet jeśli przemyceni imigranci nie dostaną w Grecji azylu, nie można będzie ich odesłać z powrotem nad Bosfor. Tak czy owak coraz mniej imigrantów wybiera się w drogę do Grecji na nienadających się do żeglugi łajbach.

Jest to – zdaniem ekspertów – także wynikiem zmiany polityki Włoch pod rządami antyimigranckiej Ligi Północnej (LN), która w 2017 r. zawarła umowę z Libią. Na jej podstawie tamtejsza straż przybrzeżna zatrzymuje łodzie z imigrantami krótko po tym, jak odbiją od brzegu w rejs ku Europie. W ten sposób setki pontonów z – w sumie – 14 tys. osobami na pokładzie zostało zawróconych na libijskich wodach terytorialnych. Włochy zamknęły także swoje porty dla statków organizacji pozarządowych ratujących imigrantów na morzu. „Im więcej statków NGO-sów, tym więcej pontonów z imigrantami" – przekonuje ekspert ds. przemytu austriackiego federalnego urzędu kryminalnego Gerald Tatzgern. A ostatni statek wyławiający imigrantów z Morza Śródziemnego – Aquarius, właśnie został wycofany z użytku przez organizacje SOS Méditerranée i Lekarzy bez Granic (MSF). Na pokładzie Aquariusa od 2016 r. sprowadzono do Europy ponad 30 tys. przybyszy z Afryki. Wliczając poprzednie statki MSF – Bourbon Argos, Dignity, Prudence i Phoenix – było ich ponad 80 tys. Obie organizacje twierdzą, że decyzja o zakończeniu rejsów Aquariusa została wymuszona „nienawistną kampanią władz włoskich na przestrzeni ostatnich 18 miesięcy". Dyrektor generalny MSF Nelke Manders nazwała to „czarnym dniem" w historii ludzkości. „Koniec misji Aquariusa oznacza więcej niepotrzebnej śmierci gdzieś na morzu, z dala od ludzkich oczu" – stwierdziła z emfazą. „Mniej rejsów oznacza mniej śmierci. To dobrze" – odpowiedział jej krótko szef MSW Włoch i lider Ligi Matteo Salvini.

BLIŻEJ DO BAGDADU NIŻ DO BERLINA

Ostatnie dwa miesiące Aquarius spędził w porcie w Marsylii po tym, jak władze Panamy wycofały rejestrację dla statku. Wcześniej pływał pod banderą Gibraltaru. Według Lekarzy bez Granic włoski rząd zmusił panamskie władze do podjęcia takiej decyzji, grożąc wycofaniem pomocy rozwojowej

eprasa.pl cf2a5688ce

i utrudnieniami dla panamskich statków w europejskich portach. Salvini temu zdecydowanie zaprzecza. Jak podkreślił na Twitterze: „Nawet nie znam numeru kierunkowego do Panamy". Zdaniem Manders los Aquariusa obrazuje hipokryzję europejskich rządów, które „z jednej strony podkreślają, że nie chcą, by ludzie tonęli na morzu, a z drugiej strony nie chcą ich u siebie przyjąć". Tymczasem chodzi o to, by ludzie nie wybierali się w drogę do Europy. „Wiedząc, że statki NGO-sów nie krążą już u wybrzeży Tunezji czy Libii, imigranci zastanowią się dwa razy, zanim ruszą w niebezpieczną podróż" – twierdzi Gerald Tatzgern. Europejska agencja Frontex ustami swojego szefa Fabrice'a Leggieri natomiast zaznaczyła, że obecność Aquariusa i podobnych statków „pomagała przestępcom rozwijać swój interes po bardzo małych kosztach własnych". To się skończyło. Jeszcze rok temu po Morzu Śródziemnym pływało 10 statków NGO-sów. Statek Iuventa niemieckiej organizacji Jugend Rettet od roku jest zablokowany w sycylijskim porcie Trapani, a statki operowane przez organizację Open Arms opuściły Morze Śródziemne i nie wiadomo, kiedy powrócą, jeśli w ogóle. W portach utknęły także jednostki organizacji Save the Children, Sea Eye, Sea Watch, maltańskiej Migrant Offshore Aid Station (MOAS) oraz Pro Activa Open Arms z Hiszpanii.

„Włoski rząd osiągnął swój cel. Dziś tylko statki handlowe i łajby rybackie pływają po Morzu Śródziemnym. Na szczęście załogi niektórych z nich są gotowe nieść pomoc imigrantom" – przekonuje wykładowca uniwersytetu w Palermo i ekspert ds. azylowych Fulvio Vassallo. We wrześniu br. włoska straż przybrzeżna zatrzymała sześciu tunezyjskich rybaków, którzy usiłowali przewieźć 14 imigrantów na wyspę Lampedusa. Po trzech tygodniach w areszcie zostali wypuszczeni na wolność. W listopadzie zaś Hiszpania i Malta toczyły spór o imigrantów wyłowionych z morza przez załogę hiszpańskiej łodzi rybackiej Nuestra Madre de Loreto. Imigranci najpierw trafili do Malty (która argumentowała, że nie odpowiada za nich, bo nie zostali uratowani na jej wodach terytorialnych), a następnie do Hiszpanii. Już w czerwcu władze w Madrycie zgodziły się przyjąć 630 imigrantów z pokładu Aquariusa, gdy Włochy postanowiły zamknąć swoje porty.

Od tego czasu jednak również Madryt zaostrzył swoją politykę imigracyjną. Przemytnicy bowiem – widząc, że jedna trasa (do Włoch) stała się bardziej ryzykowna – zaczęli szukać innych, a przyjazna postawa Madrytu zachęciła ich do tego, by wysyłać pontony w kierunku hiszpańskiego wybrzeża oraz zwiększyć przerzut ludzi do hiszpańskich enklaw w Maroku – Ceuty i Mellily. Według UNHCR do Hiszpanii przybyło w tym roku aż 60 tys. imigrantów, dwa razy więcej niż do Grecji i trzy razy więcej niż do Włoch (23 tys.). Hiszpania obok Cypru stała się tym samym najbardziej popularnym celem dla imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Dlatego gdy we wrześniu znów pojawił się problem imigrantów na pokładzie Aquariusa, lewicowy rząd Pedra Sancheza odmówił ich przyjęcia i zostali oni rozdzieleni pomiędzy te państwa europejskie, które były gotowe ich przyjąć.

Władze w Nikozji zarejestrowały w 2018 r. aż 6 tys. wniosków o azyl (kraj liczy zaledwie milion mieszkańców) – to 55 proc. więcej niż rok wcześniej. A powód jest prosty: przemytnicy odkryli, że Cypr to najdalej wysunięta na wschód część Europy. Ponadto wyspa jest podzielona i łatwo wysyłać imigrantów samolotem z okupowanej przez Turcję północy, a następnie przemycić ich przez kontrolowaną przez ONZ strefę buforową do południowej części wyspy. Podróż wypada o wiele taniej i jest mniej niebezpieczna niż trasa przez Morze Śródziemne. Tyle że Cypr nie ma połączenia lądowego z kontynentem. A większość imigrantów chce do Niemiec i ze zdumieniem stwierdza po przybyciu do Nikozji czy Larnaki, że jest stąd „bliżej do Bagdadu niż do Berlina".

> Zablokowanie statków NGO-sów w portach nie oznacza, że organizacje pozarządowe się poddadzą. „Humanitarny biznes" jest zbyt lukratywny, by z niego tak po prostu zrezygnować

POD PAKTEM I NOWĄ BANDERĄ?

Zablokowanie statków w portach nie oznacza oczywiście, że organizacje pozarządowe się poddadzą. „Humanitarny biznes" jest zbyt lukratywny, by z niego tak po prostu zrezygnować. Niektóre organizacje, jak MOAS, powstały tylko po to, by wyławiać imigrantów z morza. Tak więc Lekarze bez Granic gorączkowo poszukują państwa, pod którego banderą ich jednostki mogłyby pływać. Wybór padł na Szwajcarię, ale tamtejszy rząd kategorycznie odmówił. Także Hiszpania jest niechętna. Od kilku tygodni krytycy oskarżają rząd w Madrycie o odsyłanie do Maroka migrantów, którzy nielegalnie przedostali się do Ceuty i Melilli. MSW w Madrycie prowadzi też od połowy listopada rozmowy z rządem w Rabacie w sprawie deportacji ok. 12 tys. nieletnich Marokańczyków przebywających bez opieki na terytorium Hiszpanii. A nawet gdyby MSF zdobyło nową banderę, Salvini jasno zaznaczył: „Bez względu na to, pod jaką banderą będzie pływał Aquarius, nie będzie miał prawa wpływać do włoskich portów". „To nie pomoc humanitarna. To usługa taksówkowa dla nielegalnych imigrantów. Nie pozwolimy na to" – dodał. MFS i pozostałe organizacje pokładają więc całą swoją nadzieję w globalnym pakcie migracyjnym ONZ, podpisanym przez 164 państwa na szczycie ONZ 10–11 grudnia w Marrakeszu. „Z dokumentu wynika, że prawa imigrantów nie kończą się z chwilą, gdy przekroczą jakąś granicę. Mam nadzieję, że pakt stanie się powszechną deklaracją praw człowieka naszych czasów" – mówiła Joanne Liu, dyrektor międzynarodowa MSF. Według niej „pakt dał takim organizacjom jak nasza prawną podstawę, na której możemy oprzeć nasze działania".

eprasa.pl cf2a5688ce

SIECI

Pod choinkę



Czytaj w dodatku:

Trujące słowo 2018 roku

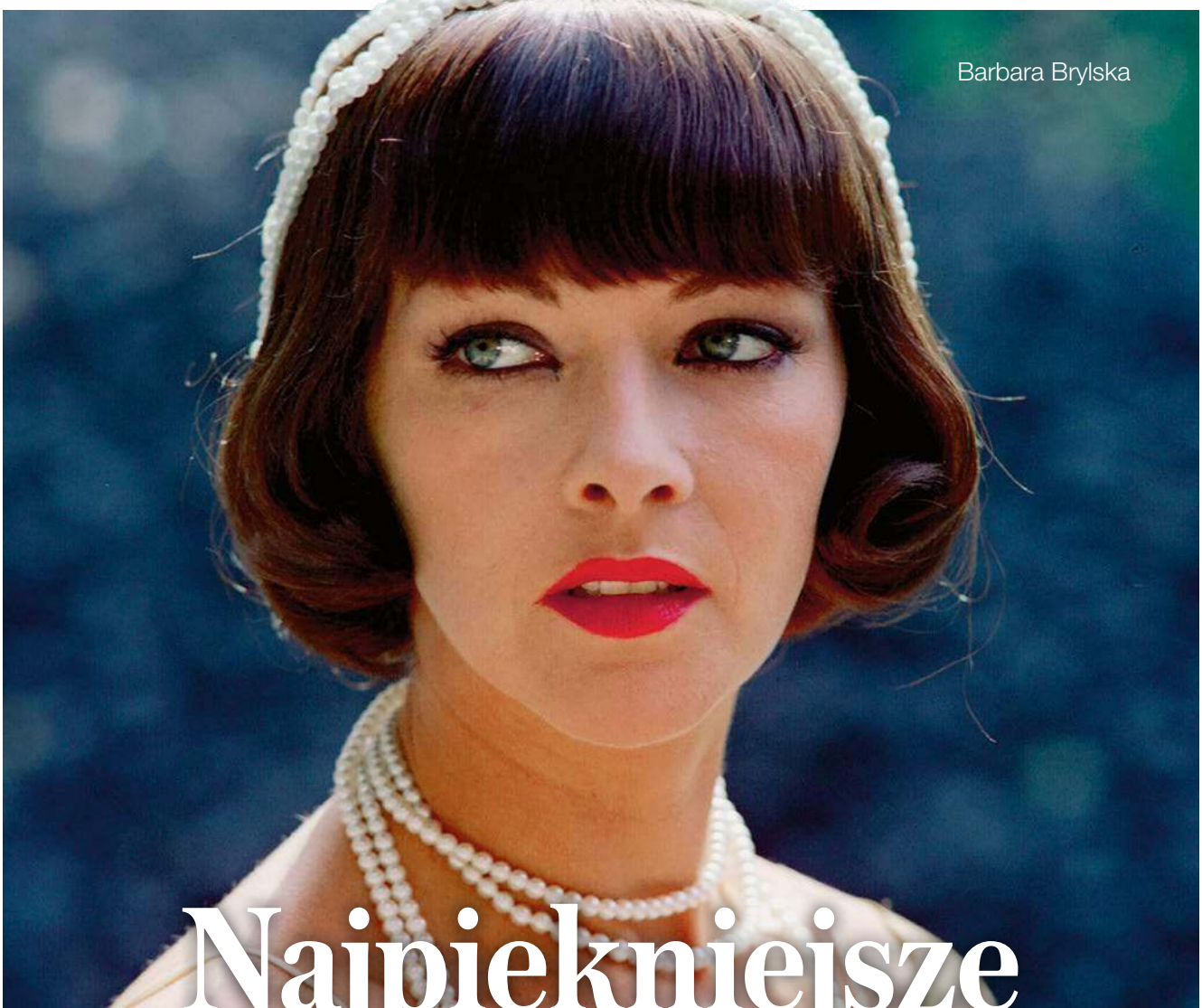
Dziwne przypadki Bartosza Kurka

Wojna w Afganistanie: porucznik ocalony za cenę życia

Lucyna Ćwierczakiewiczowa nie tylko od kuchni, czyli metr pięćdziesiąt herod-baby

Czym smakuje wigilijny karp? Skąd się wzięły bożonarodzeniowe straszydła? Jaką choinkę wybrać, by w domu pachniało lasem?

eprasa.pl cf2a5688ce



Barbara Brylska

Fot. Inplus/East News

Najpiękniejsze Polki stulecia

Zadanie to niełatwe: przypomnieć najpiękniejsze Polki minionych 100 lat. Według jakiej miary oceniać ich piękno? Jak wybierać spośród tak wielu urodziwych, nie tylko zewnętrznie, kobiet? Zakładając, że niezależnie od czasów i zmieniających się kanonów piękno kojarzone jest z harmonią, również harmonią między wyglądem a wnętrzem, fizycznością a duchowością, postanowiłam na mojej subiektywnej liście najpiękniejszych umieścić Polki świadome siebie. Posiadające talent, osobowość, charyzmę, wytrwałość, inteligencję i wrażliwość. Ale także umiejętność i odwagę, by pozostać sobą

eprasa.pl cf2a5688ce

NIE TYLKO POLON I RAD



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Maria Skłodowska-Curie w roku odzyskania przez Polskę niepodległości ma lat 51. Jest rozpoznawalna, podziwiana, doceniana. Trudno osobę z takimi osiągnięciami i biografią wartościować w kategoriach zewnętrznej urody. Zarazem nie sposób nie wspomnieć tej pięknej postaci. Oddanej nauce i ludziom uczonej, która osiągając tyle poza krajem urodzenia, nie zapominała o nim. W 1913 r. uczestniczyła w otwarciu Pracowni Radiologicznej w rodzinnej Warszawie. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości rozpoczęła starania o otwarcie w kraju Instytutu Radowego. W 1925 r. przyjechała na uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod jego budowę, siedem lat później wzięła udział w jego otwarciu, przywożąc gram radu zakupiony za oceanem za pieniądze zebrane podczas drugiej podróży do USA. To była jej ostatnia wizyta w rodzinnym kraju. Zmarła dwa lata później.

Z najbardziej znanych zdjęć patrzy na nas dojrzała kobieta, która nie zawraca sobie głowy podkreślaniem atutów wyglądu: układaniem włosów, dobieraniem strojów, ale kojarzymy też Marię Skłodowską-Curie z rysami twarzy aktorki, przez wielu uważanej za zjawiskową.

Karolina Gruszka, bo o niej mowa, zagrała noblistkę w 2016 r. Koprodukcja wyreżyserowana przez Marie Noelle w Polsce nosiła tytuł „Maria Skłodowska-Curie". W innych krajach – „Maria Curie", co nie powinno dziwić, skoro to nie my opowiadamy na ekranie historię najbardziej wpływowej kobiety XX w. Pierwszej, która zdobyła Nagrodę Nobla (1903) i została profesorem na paryskiej Sorbonie. Żadnemu naukowcowi przed nią nie udało się też otrzymać drugiego Nobla (1911). Była również jedną z pierwszych posiadaczek prawa jazdy. Dzięki niemu prowadziła jeden z „małych Curie" – samochodów wyposażonych za jej sprawą w aparaty rentgenowskie, wspomagające frontowych lekarzy.



Maria Skłodowska-Curie

Trzy lata po śmierci Marii biografię zatytułowaną „Madame Curie" opublikowała druga z córek uczonej, Eve Curie. Biografia stała się światowym bestsellerem. Prezydent RP Ignacy Mościcki odznaczył jej autorkę Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta „w uznaniu zasług dla rozsławienia imienia Polski". W 1943 r. historia Marii Skłodowskiej-Curie zainspirowała Hollywood. Główną rolę w filmie miała zagrać... Greta Garbo (ostatecznie w uczoną wcieliła się Greer Garson).

ULUBIENICA MIĘDZYWOJNIA

Jadwiga Smosarska (warszawianka) w 1918 r. miała lat 20. Boy-Żeleński przewrotnie użalał się, wspominając późniejszy o parę filmów spacer z rozpoznawaną co krok gwiazdą: „Miało się uczucie, że nawet drzewa szumią do siebie »Smosarska, Smosarska«. Ale to się biedactwu należy za to, co wycierpiała. Pomyślcie tylko być całe życie Iwonką, i to trędowatą".

Rzeczywiście twórcy filmowi w początkach kariery Smosarskiej widzieli w niej idealną odtwórczynię „panienek słodkich, łagodnych, szlachetnych i pełnych patriotyzmu" (jak w pierwszych filmach: „Bohaterstwo polskiego skauta" z 1920 r. czy „Cud nad Wisłą" z 1921 r.) lub dla odmiany „słodkich, łagodnych, szlachetnych i naiwnych dziewcząt z przedmieścia, uwodzonych i porzucanych ku wzruszeniu widowni" (jak we wspomnianej „Iwonce" z 1925 r.).

Z czasem okazało się, że panna Jadwiga znakomicie wypada też w produkcjach komediowych (m.in. „Czy Lucyna to dziewczyna", 1934, „Dwie Joasie", 1935). Ukuto nawet powiedzenie: nasza młoda i dziarska Jadzia Smosarska. Miała w sobie wdzięk, który sprawiał, że nawet dobiegając czterdziestki, z powodzeniem wcielała się w role kobiet o wiele od siebie młodszych.

W przeciwieństwie do panującego w ówczesnym kinie stylu gwiazd – podkreślających wyrazistość i dramatyzm wizerunku, epatujących seksapilem – Smosarska była naturalna, spełniając jednocześnie wyobrażenia o pożądanej urodzie i cechach: duże błękitne oczy, ładnie wykrojone usta, łagodne spojrzenie. Nikogo nie udawała. Była sobą. Także poza planem była niegwiazdorska, dziś powiedzielibyśmy: antycelebrycka. Domatorka. Unikająca mówienia o prywatności, żyjąca bez skandali, wolała „urządzać przyjęcia dla dzieci, bawić się z pieskiem Psia-psia i czytać książki". Znając największych amantów swoich czasów, dopiero jako 37-latka Smosarska wyszła za mąż. Wybrała inżyniera Zygmunta Protassewicza (ponoć sama mu się oświadczyła).

Nie kopiowała hollywoodzkich aktorek, a mimo to widzowie, bez względu na wiek i płeć, kochali ją, polskie kobiety chciały być takie jak ona. Miłość do Smosarskiej przetrwała czas wojny, który aktorka spędziła w USA. Gdy w 1958 r. odwiedziła Polskę, tłum na lotnisku skandował: „Jadzia! Jadzia! Jadzia!". Na stałe wróciła do kraju w 1970 r. Gdy rok później zmarła, pochowano ją w Alei Zasłużonych na Starych Powązkach.

SZPIEG W MASCE

Smosarska była niekwestionowaną królową ekranów. **Hanka Ordonówna** (urodzona w 1902 r. jako Maria Anna Pietruszyńska) podbijała serca widzów dzięki umiejętnościom zdobytym w bezpośrednim kontakcie z publicznością.

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl cf2a5688ce

Stefania Grodzieńska tak ją wspominała: „Była cudowną, niesłychaną postacią estradową, bardzo piękną, bardzo zgrabną, pełną czaru, wdzięku i kobiecości". Jej wizerunku dopełniały charakterystycznie noszone nakrycia głowy. Maskowały bliznę na skroni – ślad po nieudanym postrzale, efekcie zawiedzionej pierwszej miłości. Ordonka była czołową artystką warszawskiego teatrzyku Qui Pro Quo, ale występowała też z powodzeniem w Wiedniu, Berlinie czy Kairze. W 1923 r. zadebiutowała w filmie „Niewolnica miłości". Już jako żona hrabiego Michała Tyszkiewicza (większość jego rodziny nie zaakceptowała tego mezaliansu) na planie filmu „Szpieg w masce" (1933) zaśpiewała „Miłość ci wszystko wybaczy". I utwór ten sprawił, że rozpoznawalna jest do dziś.


św. siostra Faustyna

Wojenne losy przeprowadziły ją przez Pawiak i łagry w Uzbekistanie, skąd uwolniona (w następstwie układu Sikorski–Majski) zapisała piękną kartę w swojej biografii. Wraz z sierocińcem, do którego trafiły dzieci polskich wygnańców, ruszyła przez Indie do Bejrutu. Tam zmarła w 1950 r. z powodu odnowionej gruźlicy. Jej prochy przewieziono na Powązki w 1990 r.

AUTORKA „DZIENNICZKA"

Jan Pospieszalski zwrócił mi uwagę na postać **Heleny Kowalskiej**, czyli **św. siostry Faustyny**. – Najpiękniejsza w sensie piękna głębokiego – uzasadnił.


Pola Raksa

Fot. Impuls/East News

To, co było najważniejsze w jej życiu i duchowym rozwoju, działo się już w wolnej Polsce. Urodzona w roku 1905, zmarła w 1938. W ostatnich czterech latach jej życia powstał „Dzienniczek" opisujący duchowe i mistyczne doświadczenia Apostołki Bożego Miłosierdzia. Jan Paweł II nazwał „Dzienniczek" ewangelią miłosierdzia pisaną w perspektywie XX w., która pozwoliła ludziom przetrwać niezwykle bolesne doświadczenia tych czasów.

Za sprawą swoich zapisków św. Faustyna stała się najbardziej popularną i najczęściej tłumaczoną polską autorką. – Nie Mickiewicz, Słowacki, Szymborska; nie Miłosz ani Herbert, ale Helena Kowalska, która ukończyła trzy klasy szkoły powszechnej – podsumowuje Pospieszalski.

Właśnie powstaje fabularyzowany dokument „Miłość i Miłosierdzie" w reżyserii Michała Kondrata, o Bożym Miłosierdziu i misji s. Faustyny Kowalskiej, którą gra Kamila Kamińska, nagrodzona w ubiegłym roku w Gdyni za rolę w filmie „Najlepszy".

PRAWDZIWY SKARB

Jej życie połączyło kilka epok. W roku odzyskania niepodległości miała trzy lata. Zakazane piosenki poznała w czasie wojny, doświadczyła czasów PRL, politycznego przełomu i nowej Polski.

Danuta Szaflarska wniosła na duży ekran przedwojenną urodę i klasę. Po premierze „Zakazanych piosenek" (1946), pierwszego filmu fabularnego nakręconego w Polsce po wojnie, obwołano ją amantką polskiej kinematografii. Jej zdjęcie pojawiło się na okładce pierwszego numeru czasopisma „Film". Czytelnicy wykupili cały nakład, a potem oblegali seanse kolejnego filmu Leonarda Buczkowskiego z jej udziałem, komedii „Skarb" (1948), w której zagrała u boku Adolfa Dymszy.

Piękna 30-latka zyskała ogromną sławę i... musiało minąć prawie sześć dekad, by znów stało się o niej głośno. Tym razem za sprawą Doroty Kędzierzawskiej, która najpierw zaprosiła aktorkę do niewielkiej roli w swoim reżyserskim debiucie „Diabły, diabły" (1991), potem do kolejnej w „Nic" (1998), by w 2007 r. dać jej szansę na stworzenie niezwykłej kreacji (nagrodzonej m.in. w Gdyni). W filmie „Pora umierać", obrazie wybitnym, czarno-białe zdjęcia Artura Reinharta po mistrzowsku, a zarazem z wielką czułością, wydobywają piękno postaci i grającej ją aktorki.

Reżyserka miała rację, mówiąc: „W pani Danucie zadurzyliśmy się wszyscy od razu, od pierwszego wejrzenia... Przyciąga do siebie jak magnes. Chce się przy niej być, chce się jej słuchać, śmiać się razem z nią, ale też po prostu na nią patrzeć". Piękna, intrygująca, charyzmatyczna dama pozostała z widzami jeszcze dekadę po swoim wielkim powrocie do kina. Zmarła niecałe dwa tygodnie po swoich 102. urodzinach.

eprasa.pl cf2a5688ce

DENEUVE WSCHODU

Arystokratka urodzona w pałacu w Wilanowie (dwie dekady po odzyskaniu niepodległości), której przyszło żyć w czasach PRL, broniąc z klasą tytułu pierwszej damy polskiego kina. **Beata Tyszkiewicz** w teatrze wystąpiła raz. Twierdzi, że była na taki rodzaj aktorskiej pracy... zbyt leniwa.

Zadebiutowała na ekranie jako 17-latka rolą Klary w „Zemście". Do 1961 r., nie mając formalnego aktorskiego wykształcenia, zagrała u największych polskich reżyserów ówczesnych lat: Wojciecha J. Hasa, Tadeusza Konwickiego, Andrzeja Wajdy. W przełomowym 1964 r. znalazła się w obsadzie „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Hasa. Dziewięć lat później Ministerstwo Kultury i Sztuki, bez egzaminu, przyznało jej uprawnienia aktorskie, biorąc pod uwagę jej role m.in. w „Pierwszym dniu wolności" (1964) Aleksandra Forda, „Popiołach" (1965), „Wszystko na sprzedaż" (1968) Andrzeja Wajdy, „Marysi i Napoleonie" (1966) Leonarda Buczkowskiego oraz „Lalce" (1968) W.J. Hasa. Nie bez znaczenia były też zagraniczne występy pięknej Polki, m.in. w filmie Andrieja Konczałowskiego (1969).

Z urodą, znakomitą prezencją, obyciem i znajomością języków Tyszkiewicz świetnie wypadała na przeróżnych zagranicznych festiwalach i przeglądach. Sprawdzała się w roli nieformalnej ambasadorki Polski i jej polskiej kinematografii. Zofia Nasierowska, mistrzyni portretu polskich gwiazd, uznała ją za fotogeniczną w stopniu absolutnym. Aktorka wyjątkowo często pojawiała się na okładkach magazynów filmowych. Nazywano ją Catherine Deneuve Wschodu i „pierwszą damą polskiego kina". Wiedziała, jak podtrzymać ten tytuł także po zakończeniu aktorskiej kariery, gdy przyjmowała np. rolę jurorki w show „Taniec z gwiazdami".

Wracając jednak do jedynego spektaklu z jej udziałem („Za rzekę, w cień drzew" według Hemingwaya, w warszawskim Ateneum, w 1964 r.) – zagrano go 25 razy. Ponieważ garderobiane traktowały aktorkę pogardliwie, uważając za swoisty kaprys reżysera, wykupiła trzy rzędy krzeseł i rozesłała zaproszenia do ludzi, którzy na premierę zawsze przychodzili z kwiatami. Wnoszono je potem na scenę w takiej ilości, że zabrakło wiader w teatrze. Po spektaklu Tyszkiewicz podziękowała paniom garderobianym za życzliwość, specjalną troskę i oddała im wszystkie kwiaty. Odtąd inne aktorki słyszały: „Za Beaty Tyszkiewicz to była premiera!".

SWOJSKA DZIEWCZYNA

Tyszkiewicz była damą w czasach, gdy polityka wspierała społeczny awans robotników i chłopów. Prześliczna **Barbara Kwiatkowska** (rocznik 1940) była chłopską córką. Jedną z pięciorga dzieci. Zamieszkała w stolicy po tym, jak przyjęto ją do zespołu tańca ludowego Skolimów, później zaczepiła się w szkole baletowej. Miała 17 lat, gdy została gwiazdą. Na plan reżyserskiego debiutu Tadeusza Chmielewskiego „Ewa chce spać" (1957) trafiła przypadkiem. Wypatrzyli ją ludzie Chmielewskiego, gdy przyjechała do Łodzi, by z dwiema koleżankami zatańczyć w krótkometrażowym filmie.



Jadwiga Smosarska

Fot. NAC

„Była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałem. Ciemna szatynka, prawie brunetka, miała twarz o wykroju migdała, wspaniałe długie rzęsy, zadarty nosek i gibkie, jędrne ciało" – napisał Polański we wspomnieniach. Pobrali się w 1959 r. (rozeszli po trzech latach). Dzięki mężowi Basia otrzymała rolę w „Zezowatym szczęściu" (1960) Andrzeja Munka, a potem zaczęła grać we Francji, choć nie znała języka (ról uczyła się na pamięć).



Beata Tyszkiewicz

Fot. Impuls/East News

eprasa.pl cf2a5688ce

W Polsce wystąpiła jeszcze w filmie Janusza Morgensterna „Jowita" (1968), ale widzowie pamiętali ją z filmów końca lat 50., m.in. „Pan Anatol szuka miliona" Jana Rybkowskiego czy „Żołnierz królowej Madagaskaru" Jerzego Zarzyckiego.

Agnieszka Osiecka uważała, że Barbara była ulubienicą publiczności, bo miała w sobie coś swojskiego. „Była ucieleśnieniem marzeń ówczesnego Polaka! Prześliczna i jednocześnie prowincjonalna. Nie onieśmielała tak jak niedostępne gwiazdy hollywoodzkie. Pachniała rezedą i opłotkami, zachodem słońca nad małą rzeczką, domowym ciastem i żurawiną".

GWIAZDA POKOLEŃ

Przypadek wprowadził też na ekrany inną piękną dziewczynę – **Polę Raksę** (rocznik 1941). Zawładnęła sercami widzów w latach 60. i 70., pozostając w pamięci także tych, którzy nie kojarzą rudowłosej Marusi z serialu „Czterej pancerni i pies". Znają za to cytat z „Autobiografii" Perfectu. – Całe pokolenie się w niej kochało – mówi Bogdan Olewicz, autor słynnych słów „Za jej Poli Raksy twarz każdy by się zabić dał".

Studiowała polonistykę na uniwersytecie we Wrocławiu (do tego miasta przenieśli się jej rodzice z terenu dzisiejszej Białorusi). Gdy wracając z zajęć na uczelni, wstąpiła do baru mlecznego, posilający się tam fotoreporter „Dookoła Świata",



Kalina Jędrusik

Fot. NAC

który poszukiwał twarzy do „Gwiazdy tygodnia", sfotografował delikatną, śliczną dziewczynę.

W efekcie Apolonia, już jako Pola Raksa, zadebiutowała w 1960 r. w filmie „Szatan z siódmej klasy" Marii Kaniewskiej i podjęła studia aktorskie na łódzkiej PWST. Choć trudno w to uwierzyć, w ciągu dekady zagrała w 14 spektaklach telewizyjnych, dwóch popularnych serialach (gościnnie w „Kapitan Sowa na tropie" oraz w roli Marusi w kilku odcinkach „Czterech pancernych"), a także w 15 filmach (m.in. w „Pamiętniku znalezionym w Saragossie" i „Popiołach"). Główne role powierzyli jej m.in. Stanisław Bareja w „Przygodzie z piosenką" oraz Anna Sokołowska i Maria Kaniewska w skierowanych do młodego widza filmach: „Beata" i „Panienka z okienka". W latach 70. można ją było oglądać w niemal 20 spektaklach telewizyjnych i trzech filmach.

W latach 80. coraz wyraźniej odsuwała się od aktorstwa, by ostatecznie porzucić ekran w 1993 r., po premierze „Uprowadzenia Agaty" i poświęcić się modzie oraz projektowaniu.

WYJŚCIE Z BLOKU

Z tego samego co Pola Raksa rocznika jest **Barbara Brylska**. Pierwsze zaproszenie na próbne zdjęcia dostała, kiedy była w pierwszej klasie Łódzkiego Liceum Technik Plastycznych. Nic jednak z tego nie wynikło. Mimo to postanowiła rozpocząć studia na łódzkiej PWST.

Namiętności widzów rozgrzała jej roznegliżowana rola w „Faraonie" (1965) Jerzego Kawalerowicza. Zagrała ją, będąc studentką, co nie spodobało się rektorowi. Wyrzucił Brylską ze szkoły. Ostatecznie została absolwentką dwa lata później (miała już na swoim koncie udział w ośmiu produkcjach).

W 1969 r. widzowie pokochali w niej piękną Krzysię z filmu „Pan Wołodyjowski" i serialu „Przygody pana Michała" Jerzego Hoffmana. W latach 70. i 80. oczarowała widzów także poza granicami kraju. Posągowa, piękna, tajemnicza – była najpopularniejszą polską aktorką bloku wschodniego. Podróżowała po całym świecie. Gdy w 1993 r. w wypadku samochodowym zginęła jej 20-letnia córka, świetnie zapowiadająca się aktorka i modelka, Brylska długo nie mogła się uporać z tą tragedią. Zmobilizowała ją obecność 10-letniego syna Ludwika. Dziś cieszy się z wnuków.

Z KONKURSU I KLIPU

Ewa Wiśniewska ma 14 lat, gdy pojawia się w „Kanale" Andrzeja Wajdy jako dziewczyna podająca wodę powstańcom. Trzy lata później, w 1959 r., zwycięża w konkursie „Piękne dziewczęta – na ekrany!", zorganizowanym przez pismo „Film". W 1963 r. przykładnie kończy warszawską PWST i od tamtego czasu pozostaje aktorką rozpoznawalną. Podziwianą za urodę i docenianą za role. W latach 60. występuje w licznych spektaklach i programach telewizyjnych. Daje się zapamiętać jako piękna Ewa z jednego z odcinków „Stawki większej niż życie". W kolejnej dekadzie zdobywa popularność jako serialowa „Doktor Ewa", jest też w „Janosiku" i „Lalce" Ryszarda Bera. W „Hallo Szpicbródka..." jako Vera Patroni brawurowo portretuje teatralną diwę. Gra dużo

eprasa.pl cf2a5688ce

i wyraziście, ale w drugim planie. Dopiero „Cudzoziemka" (1986) Ryszarda Bera przynosi jej aktorską nagrodę za główną kobiecą rolę. W „Ogniem i mieczem" (1999) staje się niezapomnianą Kurcewiczową, by w „Piątej porze roku" Jerzego Domaradzkiego przypomnieć, jak potrafi wypełnić główną rolę, bohaterki niepoddającej się upływowi czasu.

Kobieta niezależna. Do bólu. Przede wszystkim mężczyzn, których wielu porzucała z niezgody na kompromisy.

GORSZYCIELKA

Ponoć kąpała się w szampanie i przyjmowała gości w negliżu. **Kalina Jędrusik** była wyzwolona i chętnie prowokowała, zarówno w sytuacjach zawodowych, jak i prywatnych. Gdy dostała partyjny zakaz noszenia dekoltów odsłaniających zbytnio biust, pojawiła się na barbórkowej gali w czarnej sukni zapiętej pod szyję, za to z wyjątkowo odważnym rozcięciem z tyłu. Szybka w reakcji, celnej ripoście, zmysłowa w czasie budowania nastroju kolejnych utworów. Tekstem firmowanym przez Kabaret Starszych Panów przewrotnie apelowała, by pod wypełniającym ciało seksem dostrzegać też duszę. Była osobowością. Czy brali to pod uwagę reżyserzy, w których filmach grała? Jan Batory („Lekarstwo na miłość", 1966); Wojciech J. Has („Lalka", 1968); Andrzej Wajda („Ziemia obiecana"); Janusz Majewski („C.K. Dezerterzy"); Krzysztof Kieślowski („Podwójne życie Weroniki")?

W środowisku artystycznym Warszawy lat 60. i 70. byli ważną parą. Ze Stanisławem Dygatem przetrwali burzliwe 24 lata, tworząc związek, który pisarz przyrównał do relacji Marilyn Monroe i Arthura Millera. Jego pomysłem było uczynienie z Kaliny seksbomby. Taka stała się także dla niego, ale gdy zmarł po długiej i trudnej chorobie, zmieniła się diametralnie, zwróciła w stronę religii.

Pełne napięć życie i karierę Jędrusik (urodzonej w 1930 r., pochowanej w 1991 r.) chce przypomnieć w filmie „Dziewczyna jesienna" laureatka Europejskiej Nagrody Filmowej Katarzyna Klimkiewicz. W główną postać wcieli się Maria Dębska (m.in. „Cicha noc", „Moje córki krowy").

PANIENKA Z TEMPERAMENTEM

Tajemnicza, piękna, zmysłowa (rocznik 1957). Zaproszona jak Kalina Jędrusik do Kabaretu Starszych Panów. Nawiązująca muzycznie (i wizerunkowo) do stylu lat 20. oraz 30. Zarówno w wersji rozrywkowej, jak i jazzowej. **Hanna Banaszak** była wokalnym i estradowym objawieniem lat 70. Na ogólnopolskiej scenie zadebiutowała w konkursie Młode Talenty festiwalu w Opolu '76. Miała 19 lat. Przez dwa kolejne lata koncertowała w Polsce i Europie z zespołem Sami Swoi. Eteryczna i delikatna, ale z silnym głosem i charyzmą. Wojciech Młynarski napisał dla niej „Tak bym chciała kochać już", „Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia". Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski stworzyli dla niej „Panienkę z temperamentem" czy „Ja dla pana czasu nie mam". Jonasz Kofta niedługo przed swoją śmiercią ofiarował wokalistce poruszającą „Sambę na rozstanie", utorował też drogę do kompozytora Jerzego Satanowskiego i poety Mirosława Czyżykiewicza.



Anna Dymna

Fot. Inplus/East News

W siermiężnych czasach PRL nosiła piękne suknie, pióra, futra, które projektowali dla niej znakomici scenografowie. Błyszczała jak w najlepszych czasach Ordonówna. Użyczyła zresztą gwieździe międzywojnia głosu w filmie „Miłość ci wszystko wybaczy" (1981). Z czasem zaczęła nosić ciemne, minimalistyczne stroje. „Nie chciałam się już podpierać efekciarstwem. Zależało mi, by mieć już tylko coś do powiedzenia" – tłumaczyła.

Kiedyś słodka „panienka z temperamentem", ale też wokalną siłą i oryginalnością. Z czasem coraz dojrzalsza, nadal rozwijająca się artystka, poetka. Unika mediów, żyje poza Warszawą, wciąż intrygująca, zachwyca wykonaniami.

ŚLICZNOTKI DOJRZEWAJĄ

„W polskim kinie nigdy nie było miejsca na portret kobiecy. Między traktorzystką i arystokratkami, które grała Beata Tyszkiewicz, nie było u nas prawdziwych kobiet" – mówiła **Grażyna Szapołowska**. Kobieta piękna i pożądana. Widzowie chodzili na „Wielkiego Szu" (1982) tylko po to, żeby zobaczyć ją w rozbieranej scenie, i potem wychodzili z kina. Dziś podobne ujęcia mają na wyciągnięcie ręki w internecie. Jednak bez podnoszącej temperaturę tajemnicy, niedopowiedzenia.

Długo od polskich aktorek oczekiwano, by przede wszystkim były atrakcyjne. Zwłaszcza lata 70. pełne były ekranowych ślicznotek. Wcielały się w nie: Elżbieta Starostecka (Teresa z „Nocy i dni", 1975; Stefcia Rudecka w „Trędowatej", 1976); Grażyna Barszczewska („Kariera Nikodema Dyzmy"),

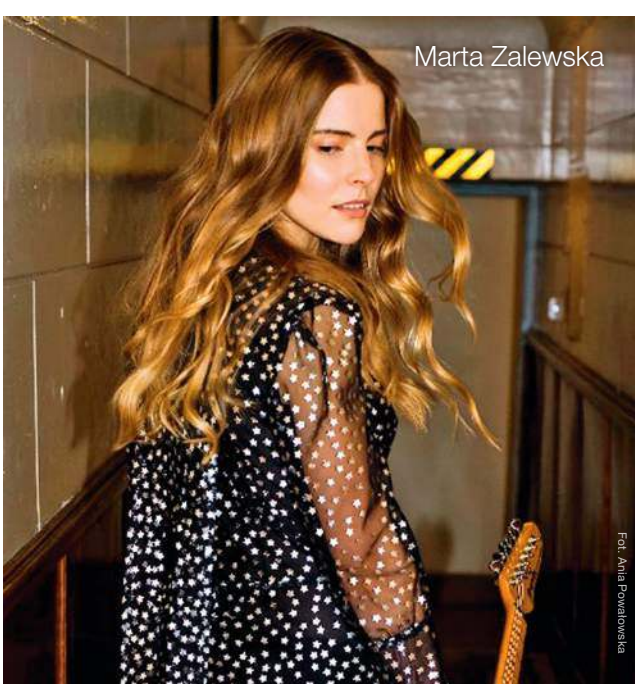
eprasa.pl cf2a5688ce

Gabriela Kownacka („Halo Szpicbródka...”), najbardziej dyskutowana obsadowo aktorka – Małgorzata Braunek. Osadzona w charakterze i stylu lat 70. współczesna dziewczyna, którą ubrano w kostium Oleńki Billewiczówny w „Potopie” (1973–1974) oraz Izabeli Łęckiej w „Lalce” (1977). Była w tych wcieleniach posągowa i chłodna. Zupełnie inaczej niż **Anna Dymna** („Janosik”, „Nie ma mocnych”, „Kochaj albo rzuć”) żaląca się, że oczekiwano od niej, by była „wesołym pieskiem, który zamerda ogonkiem, mrugnie oczkiem i to wystarczy”.

Pod koniec lat 70. dość nieoczekiwanie, każda z innego powodu, wycofały się z zawodu Elżbieta Starostecka i Małgorzata Braunek. Początek kolejnej dekady otworzył nowy etapy w aktorstwie Anny Dymnej i Grażyny Szapołowskiej. Dla każdej inaczej. W przypadku Dymnej wiązało się to ze zmianą emploi, na który wpłynęło macierzyństwo. Natura sprawiła, że zakończył się dla aktorki wydłużony etap grania dziewcząt. Zmieniona fizycznie, nie od razu potrafiła tę zmianę przyjąć. Dziś gra zupełnie inne kobiety niż dawniej, ale w codziennych relacjach z ludźmi pozostaje ciepła i pełna optymizmu. Od 2003 r. łączy aktorstwo z działalnością charytatywną. Dzięki Fundacji „Mimo wszystko” pomaga ludziom niepełnosprawnym umysłowo i fizycznie. Współtworzy też Krakowski Salon Poezji.

Grażyna Szapołowska nie doświadczyła dramatycznej zmiany wyglądu. To role przyjmowane w latach 80. sprawiły, że inaczej zaczęto postrzegać jej pracę i ją samą. Stało się to po rolach w „Innym spojrzeniu” Makka, „Nadzorze” Saniewskiego, a przede wszystkim „Krótkim filmie o miłości” Kieślowskiego (1988). Dekadę później wśród różnorodnych ról pojawiła się Telimena w „Panu Tadeuszu” (1999).

Aktorka nie poprzestaje na graniu. Właśnie zadebiutowała w roli reżysera operowego premierą „Halki” na scenie Opery Wrocławskiej.


Marta Zalewska

Fot. Ania Powałowska


Anna Przybylska

Fot. Kurnikowski/AKPA

W NOWYM TYSIĄCLECIU

Na końcu listy najpiękniejszych Polek minionych 100 lat nie umieszczę skądinąd sympatycznej i urodziwej, ale obecnej dziś wszędzie Barbary Kurdej-Szatan. Przywołam za to **Annę Przybylską**, ulubienicę mężczyzn i kobiet, osobę bezpośrednią i sympatyczną. Ładną dziewczynę, potem młodą kobietę, mamę trójki dzieci, która stała się piękna dzięki temu, jak przyjmowała swój los, jak odchodziła. To sprawiło, że mimo upływu czasu jej obraz nie zaciera się w pamięci.

Coraz dojrzalszą, wciąż naturalnie piękną aktorką i osobą jest **Agnieszka Grochowska**.

Na miano pięknej zapracowała **Małgorzata Kożuchowska**. Ładna aktorka z czasu „Kilera” i coraz bardziej ciążącej roli w serialu „M jak miłość”, która na nowo zbudowała swój wizerunek, stając się ikoną mody i osobą rozpoznawaną w dobrym tego słowa znaczeniu. Popularną bez epatowania otoczenia swoją osobą. Z zachowaniem tych walorów, które u wspominanych wcześniej pięknych kobiet budowały element zaciekawienia, podziwu, niedosytu.

I na finał piękna dziewczyna, która z muzyczną ikrą, oryginalnym brzmieniem i wizerunkiem odwołującym się do lat 70. przedstawiła się właśnie słuchaczom na debiutanckiej płycie. **Marta Zalewska** – wokalistka, kompozytorka, autorka tekstów i multiinstrumentalistka, urodzona w 1989 r. w Warszawie. Absolwentka Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie w klasie skrzypiec. Laureatka ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów skrzypcowych oraz wokalnych. Współpracuje z artystami takimi jak Krystyna Prońko, Kayah, zespół Ars Nova. W 2016 r. utworem „Skrzydła” utorowała sobie drogę na deski opolskiego festiwalu.

eprasa.pl cf2a5688ce



Trujące słowo, czyli suma naszych lęków

Toksyczny. To słowo roku 2018, wybrane przez redakcję Słowników Oksfordzkich. Jest teraz najbardziej na czasie, tak jak niedawno „postprawda" czy „fake news". Jeszcze nigdy nie używano go tak często, by opisać sprawy, które niepokoją. Toksyczne mogą być substancje, których się boimy, ale też relacje międzyludzkie, ideologie czy polityka

eprasa.pl cf2a5688ce



MAJA NARBUTT

Jeśli słowo „toksyczny” odzwierciedla nastroje społeczne, to oznacza, że jesteśmy przerażeni otaczającą rzeczywistością. Nie możemy się nawet pocieszać, że co nas nie zabije, to nas wzmocni. Toksyczne rzeczy, również w małych dawkach, zaszkodzą nam na pewno.

– Podejrzliwie patrzę na modne słowa. Działają na wyobraźnię, jak właśnie słowo „toksyczny” użyte jako metafora. Efektownie opisuje relacje między ludźmi. Ale jest w tym uproszczenie, a także zrzucenie ciężaru własnych niepowodzeń na otoczenie. Jak powiedział Sartre: „Piekło to inni”. Kiedy używamy określeń „toksyczny szef” czy „toksyczny partner”, sugerujemy właśnie, że ci inni są sprawcami wszystkich naszych problemów – mówi mi językoznawca prof. Jerzy Bralczyk.

Słowo „toksyczny” ma więc być kluczem do opisania rzeczywistości, a bywa często prymitywnym wytrychem. W Polsce używane w sensie przenośnym funkcjonuje zresztą już od kilkunastu lat.

Stało się nieodzownym elementem tzw. pop-psychologii, uproszczonej wersji psychologii lansowanej przez goszczących w mediach ekspertów. Można iść o zakład, że jeśli któryś z nich pojawi się w telewizji śniadaniowej lub udzieli wywiadu, to prędzej czy później wspomni o „toksycznych” związkach. Najpierw problem szybko zdiagnozuje – czyli powie, kiedy należy uznać, że romantyczna relacja lub partner nam szkodzi, więc jest toksyczny. A potem zaproponuje, by się od tej relacji lub partnera uwolnić. Da nawet instrukcję. W zależności od inwencji psycholog opowie, jak zrobić to w czterech, sześciu, maksymalnie w ośmiu krokach.

– Przyczyniłem się do używania słowa „toksyczny” w Polsce, wydając serię książek o takich relacjach. Pierwszą z nich byli „Toksyczni rodzice” Susan Forward. Ale teraz uważam, że to słowo się stanowczo zdezaktualizowało i powinno wypaść z obiegu. Jak się mówi w biznesie: jest czas życia produktu. Czas „toksycznych” związków minął – uważa Jacek Santorski, znany psycholog i psychoterapeuta.

Jak jednak przekonuje, w „zacofanej i katolickiej” Polsce lat 90. wprowadzenie pojęcia toksycznego rodzicielstwa było ożywcze i potrzebne.

Nie wszyscy psycholodzy się z nim zgodzą. Także dlatego, że z koncepcji toksycznych rodziców mogło wynikać, że cokolwiek zrobią, będzie źle. Czy będą zdystansowani i chłodni, czy też nadmiernie opiekuńczy, zawsze fatalnie wpłyną na swe dzieci, które mogą ich obwiniać za wszystkie klęski życiowe.

TOKSYCZNY NOWICJUSZ

Zupełnie nieoczekiwanie zetknęliśmy się w tym roku ze słowem „toksyczny” w dosłownym, a nie metaforycznym sensie. Przy okazji miliony ludzi poznały też niewinnie brzmiące rosyjskie słowo „nowiczok”, czyli nowicjusz, debiutant.

Kiedy 4 marca na ławce niedaleko centrum handlowego w Salisbury znaleziono nieprzytomnego Siergieja Skripala i jego córkę Julię, nikt nie przypuszczał, że zostali poddani działaniu najbardziej toksycznej substancji, jaką wynaleziono w laboratorium.

Sanitariusze zaaplikowali im zastrzyk z atropiny, podejrzewając, że ulegli zatruciu opiatami. Ten zastrzyk uratował życie – bo właśnie tak należało natychmiast zareagować w wypadku neurotoksyny, jaką jest nowiczok.

Siergiej Skripal, przewerbowany przez Brytyjczyków pułkownik rosyjskiego wywiadu GRU, miał umierać w męczarniach. Z pianą na ustach, w konwulsjach, dręczony halucynacjami i bez nadziei na ratunek.

Początkowo zadawano sobie pytanie, jaki cel miałaby mieć Rosja, by w tak drastyczny sposób pozbywać się Skripala, skoro mogłaby to zrobić dyskretnie, pozorując na przykład wypadek. Odpowiedź jest dość oczywista: ta śmierć nie miała być dyskretna. Miała być głośnym i czytelnym przekazem dla wszystkich, którzy ośmieliliby się pójść w ślady przewerbowanego agenta.

– Uważałem, że towarzysze z Rosji nie ośmielą się użyć trucizny, która już nie jest tajemnicą – powiedział na wieść o otruciu Skripala chemik Wił Mirzajonow mieszkający od lat w USA, jeden z wynalazców nowiczoka. To właśnie on w początkach lat 90. targany wyrzutami sumienia opisał prace nad nowiczokiem, ujawniając rosyjski program tworzenia broni chemicznej nowej generacji.

Nie ma wątpliwości, że nowiczok, w przeciwieństwie do bomby, którą można już wyprodukować w domowej kuchni, musi zostać stworzony przez profesjonalistów w najwyższej klasy wyspecjalizowanym laboratorium.

Otrucie Skripala za pomocą nowiczoka to jak zostawienie wizytówki, na której napisano „Rosja”. Dzięki szybkiej reakcji sanitariuszy Skripal i jego córka przeżyli. Nie mogą jednak mówić o happy endzie. Jak twierdzi Mirzajonow, nowiczok jest tak toksyczny, że skażenie nim nieodwracalnie niszczy organizm. Nawet podanie antidotum właściwie tylko odwleka w czasie śmierć. Tak stało się w przypadku radzieckiego naukowca, który podczas badań nad nowiczokiem z powodu awarii wentylacji miał kontakt z minimalną ilości tej substancji – zmarł w męczarniach cztery lata później.

Historia z najbardziej morderczą neurotoksyną to ponure przesłanie nie tylko dla przewerbowanych agentów. Pokazuje ona bowiem, jak łatwo można również w czasie pokoju siać zniszczenie za pomocą broni chemicznej. Nowiczoka można bez problemu przewozić w bagażu, nie wykrywają go detektory. Jest tzw. środkiem binarnym – powstaje z połączenia dwóch nieszkodliwych z pozoru substancji. Wystarczy jego śladowa ilość, trwający sekundę kontakt poprzez wdychanie czy dotknięcie skażonej nim powierzchni, by ulec śmiertelnemu zatruciu.

Policjant, którzy wszedł do domu Skripala, dotknął klamki ręką w grubej rękawiczce. Kilka godzin później trafił do szpitala w stanie ciężkim. Brytyjskie służby nakazały odkażanie pięciuset osobom, które nawet przez chwilę znalazły się 4 marca w pobliżu Skripala.

eprasa.pl cf2a5688ce

„Rosyjski ślad" jest tak oczywisty, że aż 20 państw, w tym Polska, w geście solidarności z Wielką Brytanią wydaliło rosyjskich dyplomatów, uznając ich za personae non gratae.

A rosyjska polityka coraz częściej określana jest jako – oczywiście – „toksyczna".

RYTUAŁ TOKSYCZNEJ ŻABY

Na szczęście istnieje znikome prawdopodobieństwo, że wejdziemy w kontakt z nowiczokiem. Za to mamy absolutną pewność, że wbrew swej woli zetkniemy się z mnóstwem szkodliwych chemicznych substancji.

– Ludzie czasem mają wręcz żal, że dowiedzieli się od nas o rzeczach, o których do tej pory nie myśleli. Co się zobaczyło, tego już się nie odzobaczy, a co zrozumiemy, to już zostanie w naszej głowie – mówi Piotr Siergiej, rzecznik organizacji społecznej Polski Alarm Smogowy.

Przyznaje, że sam ma pewien problem – wychodząc z domu, podejrzliwie wciąga powietrze i szybko patrzy w górę. Nie wszystko da się oczywiście zobaczyć i poczuć, rakotwórcze związki są przecież całkowicie bezwonne.

Mamy szczególne powody, by martwić się toksycznym smogiem. To fakt dobrze znany: jeśli chodzi o tzw. pyły zawieszone i rakotwórcze benzopireny, Polska jest w niechlubnej unijnej czołówce.

Świadomość tego jest już powszechna. W styczniu ub.r. norwescy skoczkowie biorący udział w Pucharze Świata, po skokach w Wiśle wrócili na kilka dni do kraju, by w lepszym środowisku zregenerować się przed zawodami w Zakopanem. Tego patentu nie można jednak wykorzystać, jeśli mieszka się w Polsce i na pasku telewizji informacyjnej przeczyta się o wyjątkowo dużym smogu. Nie zawsze można nawet zostać w domu. A zresztą i tam stykamy się z zanieczyszczonym powietrzem, zwłaszcza jeśli mieszka się w domu jednorodzinnym i używa się do ogrzewania starego typu pieca węglowego zwanego „kopciuchem".

Jest jednak dobra wiadomość: od tego roku sprzedaż takich pieców jest już zakazana.

Możemy się więc pocieszać, że jeśli chodzi o smog, będzie lepiej. Pozostanie jednak wiele powodów do zmartwienia – zatruwające środowisko wysypiska odpadów, które w tym roku wręcz seryjnie były podpalane, góry ciągle przybywających plastikowych śmieci, które rozkładając się, emitują toksyny.

– Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wszystko jest powiązane i na nas wpływa. Klasyczny przykład, o którym uczą się fachowcy: u niemowlęcia zdiagnozowano charakterystyczne dla zatruć chemicznych znaczne ilości methemoglobiny. Karmiony był piersią, a jego matka piła wodę ze studni, do której spływały wody gruntowe – opowiada toksykolog Piotr Polak. Z profesjonalnego punktu widzenia nie przestaje go zadziwiać jedna rzecz: ludzie potrafią świadomie przyjmować śmiertelnie niebezpieczne toksyny.

> Zupełnie nieoczekiwanie zetknęliśmy się w tym roku ze słowem „toksyczny" w dosłownym, a nie metaforycznym sensie. Przy okazji miliony ludzi poznały też niewinnie brzmiące rosyjskie słowo „nowiczok", czyli nowicjusz, debiutant

Moda na tzw. terapię czy rytuał kambo przyszła z Ameryki Południowej. Stamtąd pochodzi ropucha, której skóra wydziela niezwykle silną neurotoksynę. W środowiskach związanych z medycyną alternatywną propaguje się wcieranie jadu ropuchy w skórę podczas sesji grupowych. Ma to rzekomo „restartować" organizm poprzez wprowadzenie człowieka w inny stan świadomości.

Entuzjazm wobec toksycznego rytuału zmalał jednak znacznie, gdy dwa lata temu po warsztatach zorganizowanych w siłowni w Grodzisku zmarła z objawami obrzęku mózgu i niewydolności krążeniowej 30-letnia kobieta.

JAK HISTERIA I WAPORY

– Słowa uznane za najważniejsze w ubiegłych latach, czyli „postprawda" i „fake news", dotyczyły rzeczy absolutnie podstawowych: rozróżnienia prawdy i fałszu. Jeśli tego rozróżnienia nie ma, wszystko się wali, zagrożona jest wręcz podstawa komunikowania się. Słowo „toksyczny" nie jest tak precyzyjne. Może nawet być elementem inżynierii społecznej – mówi językoznawca prof. dr hab. Magdalena Danielewicz.

Kiedy mówimy „toksyczny", orzekamy z pozoru obiektywnie, że coś jest szkodliwe i złe. Ale może być to subiektywna ocena, która oznacza, że coś nam się nie podoba. Etykietka „toksyczny" może też być odbiciem naszego systemu wartości.

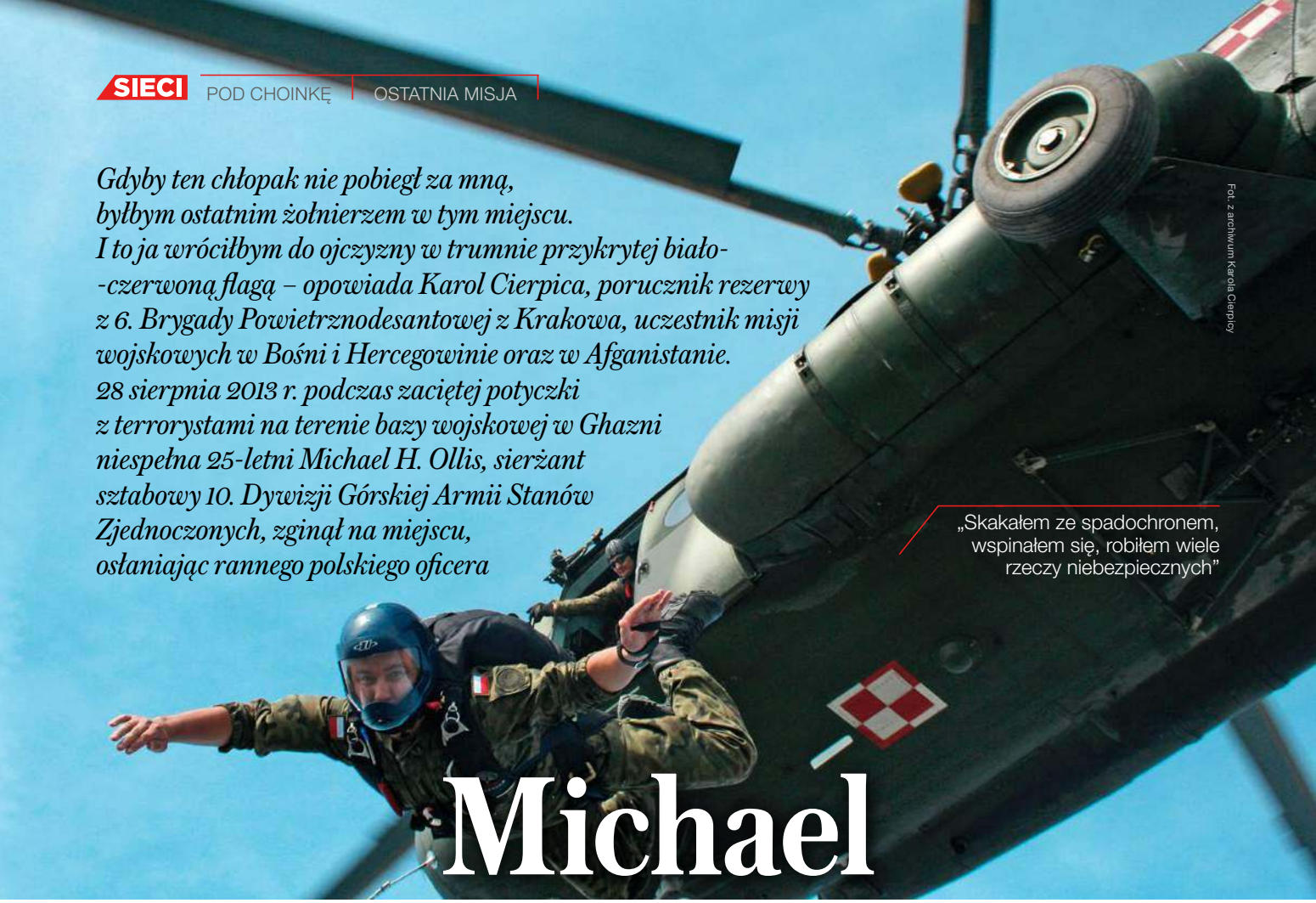
– Załóżmy taką sytuację. Kobieta w pewien sposób poświęca się dla rodziny, zajmuje się dziećmi i mężem. Usłyszy od terapeuty, że jest w toksycznej relacji. Dokona on wartościowania, które nie powinno mieć miejsca w terapii – podkreśla psycholog Tomasz Witkowski, autor wielu prac o psychomanipulacji.

Jak mówi, diagnozy psychologiczne mają to do siebie, że zmieniają się w każdej epoce, są związane z daną kulturą i dość umowne.

– 100 lat temu połowa kobiet z klasy średniej miała cierpieć na histerię i wapory. Zalecano im bardzo dziwne terapie: od lodowatych biczy szkockich do zapisywanych przez lekarzy wibratorów, które w nobliwych mieszczańskich domach były bardzo popularne. Potem nagle histeria przestała występować. Pojawiały się neurozy. A kiedy zapomniano o neurozach, masowo zaczęto rozpoznawać stres – wyjaśnia Tomasz Witkowski.

Chociaż więc niektórym trudno w to uwierzyć, to za pewien czas modne słowo „toksyczny" może brzmieć w odniesieniu do psychologii równie śmiesznie jak dzisiaj „wapory".

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. z archiwum Karola Cierpicy

Gdyby ten chłopak nie pobiegł za mną, byłbym ostatnim żołnierzem w tym miejscu. I to ja wróciłbym do ojczyzny w trumnie przykrytej biało-czerwoną flagą – opowiada Karol Cierpica, porucznik rezerwy z 6. Brygady Powietrznodesantowej z Krakowa, uczestnik misji wojskowych w Bośni i Hercegowinie oraz w Afganistanie. 28 sierpnia 2013 r. podczas zaciętej potyczki z terrorystami na terenie bazy wojskowej w Ghazni niespełna 25-letni Michael H. Ollis, sierżant sztabowy 10. Dywizji Górskiej Armii Stanów Zjednoczonych, zginął na miejscu, osłaniając rannego polskiego oficera

„Skakałem ze spadochronem, wspinałem się, robiłem wiele rzeczy niebezpiecznych"

Michael był moim aniołem stróżem



JAROMIR KWIATKOWSKI

To nie była pierwsza misja zagraniczna por. Cierpicy. W sumie spędził w Afganistanie prawie dwa lata, a wcześniej, jeszcze w latach 90., w Bośni i Hercegowinie – 18 miesięcy.

– Podczas mojej trzeciej misji w Afganistanie czułem się dobrze, służąc ramię w ramię z „kawalerzystami" – podkreśla. Była to 13. zmiana polskiego kontyngentu wojskowego, na którą pojechał jako świeżo upieczony oficer. Trzonem zmiany nie była jego brygada, lecz 25. Brygada Kawalerii Powietrznej. Karol Cierpica służył jako młodszy oficer operacyjny w Centrum Operacji Taktycznych sztabu Polskich Sił Zadaniowych. Tym razem, w przeciwieństwie do poprzednich zmian, nie wyjeżdżał na patrole, ale odpowiadał za ruch i łączność z plutonami zmotoryzowanymi oraz wszystkimi, którzy opuszczali bazę.

– Wszyscy byliśmy świadomi, że od naszej pracy wiele zależy, niekiedy nawet życie drugiego człowieka – podkreśla porucznik. – Jako żołnierz kolejny raz czułem się spełniony i kolejny raz byłem dumny, że jestem ważną cegiełką w tak dużej operacji. Wielu z nas miało świadomość, że jesteśmy częścią operacji, której nadrzędnym celem jest doprowadzenie do pokoju w tamtym rejonie świata, chociaż czy tak się stanie, zależało przecież nie tylko od nas.

BYŁ MOIMI PLECAMI

28 sierpnia 2013 r. Karol Cierpica miał akurat wolne po służbie. Jako że bardzo dbał o kondycję fizyczną, poszedł pobiegać. W samych spodenkach i butach sportowych. Wrócił po wysiłku fizycznym do mieszkalnego kampu, zaczął jakąś rozmowę telefoniczną. – Wtedy doszło do tak potężnego wybuchu, że aż mi słuchawka wypadła z ręki – wspomina.

W przypadku ataku procedura była taka, że ci żołnierze, którzy nie mieli akurat służby, powinni się schować w schronie. – Ale ja pobiegłem nie do schronu, lecz w kierunku wybuchu z myślą, że ktoś może potrzebować pomocy – opowiada porucznik. – Zobaczyłem kilkudziesięciometrową wyrwę w ogrodzeniu. Uświadomiłem sobie wtedy, że to atak na bazę (w takich sytuacjach po prostu to wiesz). Było jasne, że przeciwnik wysadził ogrodzenie, żeby się dostać do środka.

eprasa.pl cf2a5688ce



Karol Cierpica na tle zdjęć Ryszarda Kuklińskiego i Michaela Ollisa

To był modelowy atak terrorystyczny: pod ogrodzenie podjechała rozpędzona ciężarówka wypełniona materiałami wybuchowymi, która staranowała ogrodzenie bazy. Przez wyłom weszli afgańscy terroryści. Wszyscy mieli na sobie tzw. pasy szahida, zwane także pasami samobójców, jako że były wypełnione materiałami wybuchowymi.

Cierpica wrócił do kampu po kamizelkę, hełm i broń. Pobiegł ponownie w rejon, gdzie już zaczynała się walka. – Terrorystom udało się wbiec 200–300 m w głąb bazy – opowiada. – Zatrzymały ich porozrzucane kontenery ze sprzętem oraz ogień, m.in. amerykańskich sił specjalnych. Zaczęliśmy walczyć z nimi na bardzo krótkim dystansie, pojawiali się w odległości 5–10 m od nas. Kilku naszych, z gen. Sokołowskim na czele, znajdowało się z jednej strony, ja z drugiej. Próbowałem przebiec do nich i w tym momencie się przewróciłem. Okazało się, że zostałem ranny. Miałem w udach dużo odłamków, ale po kilku chwilach uświadomiłem sobie, że rany nie są poważne. To wyglądało tak, jakby ktoś przeciągnął moje nogi po asfalcie.

Mój rozmówca nie dobiegł do swoich, został sam. Nagle zapanowała cisza, nie było widać terrorystów. Porucznik wycofał się, żeby zatamować krew. Chętnych do walki było coraz więcej. Nadjechały dwa polskie pojazdy opancerzone, otworzyły ogień w kierunku wyrwy w ogrodzeniu. Cierpica postanowił pobiec pomiędzy nimi w kierunku kontenerów, obok których widział wcześniej terrorystów.

– Czułem, że ktoś za mną biegnie – opowiada. – Odwróciłem się. Młody Amerykanin uśmiechnął się do mnie. Odwzajemniłem ten uśmiech. Zapamiętam go do końca życia. Pomyślałem: jest OK, nie jestem sam. Choć się nie znaliśmy, zaczęliśmy działać razem, jakbyśmy się znali całe życie. Ja byłem oczami naszej dwójki, młody Amerykanin plecami. Szliśmy wzdłuż kontenerów. Widzieliśmy zwłoki zabitego Afgańczyka. Byłem przy końcu ostatniego kontenera i nagle wyrósł przede mną terrorysta. Otworzyłem ogień, ktoś „tłukł" do niego w ogniu krzyżowym z innej strony. Jak się później okazało, był to znajomy oficer, Przemek, ze sztabu PSZ. Zaraz potem doszło do wybuchu z tyłu. Broń wypadła mi z ręki, skończyła mi się też amunicja. Byłem bezbronny, zacząłem się wycofywać. Okazało się, że jest już po akcji.

Kolega z Centrum Operacji Taktycznych zaprowadził porucznika pod rękę do amerykańskiego szpitala – był położony bliżej niż polski. Tam podali mu morfinę, zaczęli ciąć spodenki. Cierpica krzyczał, żeby je zostawili, bo za dwa dni ma wystartować w maratonie, a to są jego jedyne spodenki.

Na noszach wniesiono amerykańskiego żołnierza i położono obok porucznika. Lekarze stwierdzili, że nie żyje. Cierpica popatrzył na niego: to był ten sam chłopak, który go osłaniał.

W wyniku segregacji rannych porucznik został przeniesiony do polskiego szpitala. Wieczorem szpital odwiedzili koledzy z plutonu poległego Amerykanina i zaczęli szukać tego, który był w parze z ich kumplem. – Powiedziałem im: „Jak już będziecie w Stanach, to powiedzcie rodzicom tego chłopaka, że to był prawdziwy bohater, który uratował mi życie" – wspomina Karol Cierpica.

Młody Amerykanin nazywał się Michael Ollis. Poległ, osłaniając Polaka, gdy Afgańczyk samobójca podbiegł do ich pozycji i prawdopodobnie zdetonował swoją kamizelkę lub została ona zdetonowana w wyniku wymiany ognia.

Porucznik nie ma wątpliwości: – Gdyby ten chłopak nie pobiegł za mną, byłbym ostatnim żołnierzem w tym miejscu. I to ja wróciłbym do ojczyzny w trumnie przykrytej biało-czerwoną flagą. Michael ubezpieczał mnie od tyłu i to on przyjął ostatnie uderzenie. Był moimi plecami, moim aniołem stróżem.



Karol Cierpica z rodzicami Michaela Ollisa i prezydentem Andrzejem Dudą

WITAJ W RODZINIE

Bohaterski Amerykanin został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta RP oraz ministra obrony narodowej Gwiazdą Afganistanu i Złotym Medalem Wojska Polskiego. Odznaczenia zawiózł do Nowego Jorku, by je wręczyć rodzicom Michaela Ollisa, Karol Cierpica. Wcześniej, jako „misjonarz" z Afganistanu uczestniczył w Polish Heritage Night, zorganizowanej przez koszykarza NBA Marcina Gortata w Phoenix w Arizonie.

Porucznik obawiał się spotkania z rodzicami Michaela. Przyznaje, że myślał bardzo po polsku – że państwo Ollisowie zamknęli się w buncie i że będą mieli do niego żal o śmierć syna. Tymczasem oni przyjechali do polskiego konsulatu w Nowym Jorku, by Polakowi... podziękować!

– Spotkanie odbyło się w holu na dole, zgromadziło się tam wielu dziennikarzy – opowiada

eprasa.pl cf2a5688ce


Karol Cierpica podczas misji wojskowej w Afganistanie

Cierpica. – Robert Ollis, tata tego chłopaka, przywitał mnie słowami: „Witaj w rodzinie". I dodał: „Witaj, nasz nowy przyjacielu. Dziękuję ci za twoją służbę". Człowiek, który stracił jedynego syna, weteran wojny wietnamskiej, to wielki amerykański patriota. Dzisiaj to wiem, ale wtedy – skąd mogłem wiedzieć? To jest świadectwo, którego nie mam prawa zatrzymać dla siebie. Dziś moim obowiązkiem jest mówić o tych niezwykłych ludziach, jakimi są państwo Ollisowie z Nowego Jorku.

Oprócz rodziców Michaela do konsulatu przyjechali także jego koledzy z plutonu oraz siostry. – Miały takie samo zdanie jak ojciec, choć na ich twarzach widziałem jeszcze ból po stracie brata – podkreśla porucznik.

W 2014 r., w święto Wojska Polskiego, Karol Cierpica odbierał w Belwederze jedno z najwyższych odznaczeń wojskowych – Order Krzyża Wojskowego. Jego żona Barbara była w ciąży, spodziewali się syna (urodził się w styczniu 2015 r.). Już wtedy mieli dla niego wybrane imię – Michael. Inna opcja nie była brana pod uwagę. W uroczystości uczestniczyli rodzice Michaela Ollisa, którzy przyjechali do Polski na zaproszenie ministra obrony narodowej. Cierpica i jego żona wyjawili im wtedy, jakie imię wybrali dla nienarodzonego syna.

– Robert Ollis zaczął gładzić moją żonę po brzuchu i powtarzać: „Mój Mickey" – opowiada Cierpica. – Oni już wtedy „zaadoptowali" naszego synka. Kiedy się urodził, otrzymaliśmy od państwa Ollisów paczkę. W środku był miś uszyty z munduru Michaela. Takie miśki wręcza się wdowom i sierotom po poległych żołnierzach. Taki niepolski, aczkolwiek niesamowity prezent.

Kiedy Michael miał kilka tygodni, Karol Cierpica zrobił mu zdjęcie z tym miśkiem i wysłał do Stanów. Państwo Ollisowie zapytali, czy mogą je opublikować. Oczywiście, że tak. Ukazało się we wszystkich nowojorskich dziennikach; przez kilka miesięcy „wisiało" też na stronie internetowej amerykańskiej ambasady w Warszawie.

Na uroczystość, podczas której polonijny komitet obchodów rocznicy katastrofy smoleńskiej i ludobójstwa katyńskiego miał przedstawić projekt pomnika odsłoniętego później w „amerykańskiej Częstochowie", byli zaproszeni m.in. rodzice Michaela oraz Karol Cierpica.

– Robert Ollis wypowiedział wtedy takie słowa: „Bóg działa zawsze w tajemniczy sposób. Nie po to zabrał nam dziecko, by pozostawić w naszym życiu pustkę. Dał nam Karola, jego żonę Basię, moich dwóch nowych wnuków w Polsce, szczególnie imiennika mojego syna Michaela, dał nam też Polskę" – wspomina porucznik. I dodaje: – To jest właśnie świadectwo, którego nie mam prawa zostawić dla siebie.

DOTKNIĘCIE PANA BOGA

Po powrocie z ostatniej misji u Karola Cierpicy wystąpił nawrót depresji, która pojawiła się u niego w trakcie pełnienia służby. Zdiagnozowano ją jako posttraumatic stress disorder (zespół stresu pourazowego – przyp. J.K.) – groźną chorobę, która jest przyczyną tego, że co roku odbiera sobie życie wielu żołnierzy na całym świecie. Porucznik podkreśla, że jej przyczyny to złożona sprawa. Na pewno była ona związana ze stresem podczas misji, choć jej początek nie był konsekwencją misji, lecz raczej stresu związanego z wykonywaniem innych obowiązków w czasie pełnienia służby, ale i poza nią. – Skakałem ze spadochronem, wspinałem się, robiłem wiele rzeczy niebezpiecznych. Żyłem na maksa i to były konsekwencje – podkreśla mój rozmówca. Swój ówczesny stan opisuje następująco: – Miałem w pewnym momencie tak silną fobię społeczną, że bałem się wszystkiego, nawet wyjść z domu, straciłem relacje z ludźmi, zdystansowałem się od świata, nie byłem w stanie wykonać przy kimś prostej czynności, wszystko leciało mi z rąk. Nie spałem przez wiele miesięcy.


Karol Cierpica i Michael Ollis

Dziś widzi ten problem znacznie głębiej: – To były nie tylko konsekwencje mojego życia na adrenalinie, lecz także moich wyborów życiowych. Kiedyś powtarzałem, że do życia jest mi potrzebna adrenalina. Dziś wiem, że potrzebny jest mi Jezus, spotkanie z nim. Niestety, przez wiele lat szukałem szczęścia gdzie indziej.

Czas choroby był jednocześnie okresem, kiedy zaczął bardzo intensywnie szukać Pana Boga, bo jego dotychczasowa relacja z nim była bardzo powierzchowna. Bóg podesłał ludzi, którzy pomogli porucznikowi w tych poszukiwaniach. – Dotknięcie Pana Boga było bardzo silne – podkreśla. – Rozpoczął się proces mojego duchowego uzdrawiania. Dziś dziękuję mu za tamte chwile utrapienia, bo wiem, że był wtedy bardzo blisko mnie.

Karol Cierpica czuje, że został powołany do tego, by mówić o obecności Boga w swoim życiu. Robił to już w wielu miejscach w Polsce. Należy do wspólnoty pod nazwą Szkoła Nowej Ewangelizacji przy kościele Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Krakowie. Przygotowuje młodych do bierzmowania, ewangelizuje w więzieniu.

– Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii – cytuje zdanie św. Pawła z Pierwszego Listu do Koryntian.

eprasa.pl cf2a5688ce

Bezpieczna podróż z PZU Wojażer

Zbliżają się święta i czas zimowych wyjazdów. Jeśli planujesz podróż, pamiętaj o dobrym ubezpieczeniu. Dzięki polisie PZU Wojażer łatwo zapewnisz sobie kompleksową ochronę i upragniony spokój już od 5 zł dziennie. Ubezpieczenie turystyczne można kupić w każdej chwili przez internet. Wystarczy 5 minut

Dobra polisa turystyczna to podstawowy element wyposażenia każdego urlopowicza. Zgubiony bagaż, wypadek, choroba – w podróży wszystko może się zdarzyć – dlatego warto wcześniej pomyśleć o ubezpieczeniu, które w razie nieprzewidzianych zdarzeń pomoże wybrnąć z kłopotów bez ponoszenia dużych kosztów.

Polisa PZU Wojażer adresowana jest przede wszystkim do osób podróżujących za granicę. Ubezpieczenie zapewnia organizację pomocy medycznej i pokrycie jej kosztów, m.in. leczenia szpitalnego i ambulatoryjnego, transportu medycznego w miejscu pobytu, usługi transportowej do kraju oraz ewentualnego poszukiwania ubezpieczonego. Gwarantuje również usługi assistance w razie wypadku lub nagłej choroby, np. wsparcie tłumacza w związku z udzielaną pomocą medyczną, wizytę bliskiej osoby, opiekę nad dziećmi lub osobami niesamodzielnymi, zmiennika kierowcy. W pakiecie ubezpieczenia za 5 zł dziennie znajduje się również ubezpieczenie NNW oraz OC w życiu prywatnym. Dodatkowo polisę można rozszerzyć o ubezpieczenie bagażu podróżnego, a także zabezpieczyć się od innych ryzyk, jak jazda na nartach czy uprawianie sportów wyczynowych.

Turyści mogą dokupić również dodatkowe ubezpieczenie do Wojażera – Kontynuację leczenia po podróży. Kontuzje niestety nie są rzadkością, dlatego warto się dobrze zabezpieczyć. W razie nieszczęśliwego wypadku lub nagłego zachorowania na wyjeździe, po powrocie do Polski będzie można skorzystać z leczenia, badań ambulatoryjnych, rehabilitacji lub operacji. W ramach dodatkowej opcji PZU zorganizuje i pokryje koszt leczenia ubezpieczonego w Polsce, jeśli zgłosi taką potrzebę do Centrum Pomocy w ciągu 14 dni po powrocie z podróży, podczas której doszło do kontuzji czy nagłego zachorowania. Przy nagłej chorobie ubezpieczony może liczyć na cztery konsultacje lekarskie oraz zabiegi ambulatoryjne i badania diagnostyczne. Ponadto ubezpieczony sam może wskazać placówkę z sieci PZU Zdrowie i określić, kiedy chce skorzystać z konsultacji lekarza.



31/0918/F

Wyjazd w towarzystwie najbliższych nam osób to gwarancja niezapomnianych chwil i wspomnień, do których będziemy wracać długo po powrocie z urlopu. Pamiętajmy jednak, że w trakcie podróży mogą nas spotkać liczne zagrożenia, które bardzo szybko pozostawią złe wrażenie po wyprawie.

Szczegółowe informacje dotyczące oferty dostępne są na stronie pzu.pl.

eprasa.pl cf2a5688ce



Wieniawa wśród żołnierzy

Kochał Polskę gorąco

Gdy mój dziadek postanowił pójść za Piłsudskim, pozostał mu bezgranicznie wierny aż do śmierci. Polska, której Piłsudski i Wieniawa oddali swe serca, dla której żyli i za którą byli gotowi oddać życie, była Polską wielonarodową i wielokulturową. Moja matka opowiadała, że Wieniawa błyskawicznie osiwiał tuż po śmierci Piłsudskiego

Z dr. Gervase'em Vernonem, wnukiem generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, rozmawia dr hab. Izabella Parowicz*. Zdjęcia: z archiwum Gervase'ego Vernona

Panie doktorze, urodził się pan 11 lat po tragicznej śmierci pańskiego dziadka, legendarnego Wieniawy. Czy pańska matka często opowiadała o nim panu i pana siostrom?

Gervase Vernon: Moja matka Zuzanna kochała swego ojca całym sercem. Zwłaszcza pod koniec życia często go wspominała. Był dla niej człowiekiem doskonałym. Musiała zdawać sobie sprawę z jego wad, lecz nigdy o nich nie mówiła. Niewątpliwie on kochał ją równie mocno. By móc spędzać czas z ojcem, moja matka nauczyła się jeździć konno i jeździć na nartach, choć nie były to jej ulubione rodzaje aktywności.

Wieniawa często jej powtarzał, że jest przede wszystkim żołnierzem i że nie chce się angażować w działalność polityczną. Pewnego razu, gdy moja

eprasa.pl cf2a5688ce



Wieniawa najprawdopodobniej w wieku 9 lat

matka była nastolatką, spytała go, czy polski rząd miał więźniów politycznych. Zaprzeczył, ale odwrócił się do niej plecami i natychmiast wyszedł z pokoju. Moja matka zrozumiała, że tacy więźniowie istnieli, ale że dziadek był temu przeciwny. To wspomnienie mojej matki współgra z historią, którą opisał Aleksander Wat w swojej książce „Mój wiek". Przeciwstawia on koszyk z szampanem i kawiorem, który otrzymał w polskim więzieniu od Wieniawy, okropnemu traktowaniu, jakiego doznał w więzieniach sowieckich. Wieniawa sam był więźniem politycznym w Moskwie i został ocalony od niechybnej śmierci dzięki odwadze swej przyszłej żony Bronisławy.

Jak pani wspomniała, urodziłem się wiele lat po śmierci Wieniawy. Mieszkaliśmy w Paryżu i, zważywszy na sytuację polityczną w 1953 r., zdawało się nieprawdopodobne, że członkowie naszej rodziny kiedykolwiek powrócą do Polski. Moja matka była uchodźcą politycznym. Dlatego nie uczyła nas języka polskiego, uznając, że znajomość angielskiego i francuskiego wystarczy. Jednakże nigdy nie przestała uważać się za Polkę. W latach 50. XX w. wysłała wiele paczek z ubraniami do krewnych w Polsce. Zaczęła przyjeżdżać do Polski po upadku komunizmu.

Wieniawa został zapamiętany jako bon vivant. Ten wszechstronnie utalentowany, czarujący, wyjątkowo inteligentny i obdarzony wielką fantazją mężczyzna był ulubieńcem Warszawy i obiektem niezliczonych anegdot. Jak wyglądało jego życie rodzinne?

Żona Wieniawy Bronia pragnęła mieć więcej dzieci, lecz po urodzeniu Zuzanny kilka razy poroniła. Między małżonkami zrodziło to napięcia. Jednakże Bronia trwała przy Wieniawie we wszystkich jego problemach.

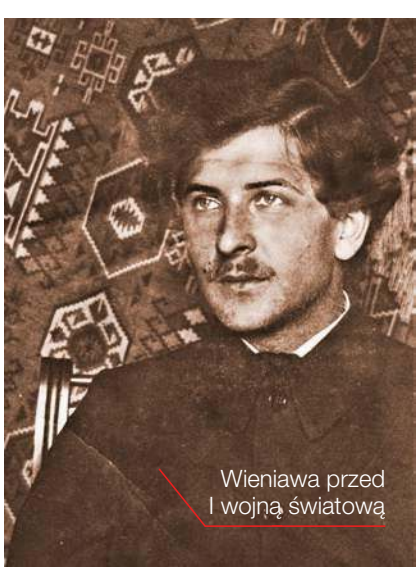
Każdego roku spędzali kilka tygodni w Bobowej, w rodzinnym dworze Długoszowskich. Te rodzinne wakacje były dla nich najszczęśliwszymi chwilami. Moi dziadkowie regularnie wyjeżdżali na dłużej do Paryża, gdzie mieszkały siostry oraz matka Broni – uciekinierki ze Związku Sowieckiego. Ponieważ Zuzanna nie miała własnego rodzeństwa, traktowała niemal jak siostry trzy córki swojej ciotki Zoci Laurent.

Znamy również inne oblicze Wieniawy – najwierniejszego, najbardziej zaufanego człowieka u boku Józefa Piłsudskiego, odważnego i honorowego żołnierza. Znany ze swojego umiłowania do trzech K (koni, kobiet i koniaku), potrafił całkowicie i natychmiast zrezygnować z tego ostatniego, gdy wymagały tego obowiązki. Jak wyjaśniłby pan jego bezgraniczną, bezwarunkową lojalność wobec Piłsudskiego?

Każda relacja międzyludzka jest tajemnicą dla osób postronnych. Wieniawa szukał bohatera i sprawy, której mógłby poświęcić się z pełnym oddaniem, jeszcze zanim poznał Piłsudskiego, gdy wiódł życie pośród paryskiej bohemy. Zachowała się jego relacja o tym, jak poszedł do pracowni Pabla Picassa. W tym okresie Picasso zyskiwał już sławę jako twórca kubizmu. W jednym z kątów pracowni Wieniawa zauważył sporo arcydzieł namalowanych w klasycznym stylu, określanym dziś jako okres różowy twórczości Picassa. Spytał malarza o te obrazy. Picasso odpowiedział: „Gdy je malowałem, głodowałem, a teraz mogę kasować 100 franków za każdy kubistyczny obraz". Wieniawa był zszokowany.

Gdy mój dziadek postanowił pójść za Piłsudskim, pozostał mu bezgranicznie wierny aż do śmierci. Polska, której Piłsudski i Wieniawa oddali swe serca, dla której żyli i za którą byli gotowi oddać życie, była Polską wielonarodową i wielokulturową. Moja matka opowiadała, że Wieniawa błyskawicznie osiwiał tuż po śmierci Piłsudskiego. Mój dziadek nie zgadzał się z pewnymi antysemickimi praktykami tolerowanymi przez następców Piłsudskiego i otrzymał „kopa w górę" do ambasady w Rzymie. Jedna z opowieści mojej matki dotyczyła tego okresu narastającego napięcia w Warszawie. Wieniawa siedział w kawiarni Ziemiańska. Zajmował tam specjalny stolik wraz z poetami, wśród których było wielu Polaków pochodzenia żydowskiego. W pewnym momencie do kawiarni wkroczyła grupa awanturników wykrzykujących antysemickie hasła. Wieniawa, nieuzbrojony i nieosłaniany przez nikogo, wstał i kazał im opuścić lokal. Jego autorytet był tak wielki, że wyszli od razu, nie stwarzając dalszych problemów.

11 listopada 1918 r. zastał Wieniawę w drodze z Moskwy do Warszawy. Uciekał ze Związku Sowieckiego po tym, jak – dzięki brawurowym krokom podjętym przez pańską babcię – został zwolniony z więzienia na



Wieniawa przed I wojną światową

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. UN Photo Kari Berggrav

Zuzanna Vernon (z domu Wieniawa-Długoszowska) – jeden z pierwszych tłumaczy symultanicznych w ONZ, 1946 r.

Tagance, w którym czekałaby go pewna śmierć. Czy może pan przybliżyć postać pańskiej babci Bronisławy?

Bronisława (Bronia) z domu Kliaczkin była wówczas (w 1918 r.) żoną znanego polskiego adwokata pochodzenia żydowskiego, Leona Berensona, członka Koła Obrońców Politycznych. Było to tzw. białe małżeństwo. Nie wiemy, dlaczego ona i Leon wstąpili w ten związek małżeński. Bronia i jej siostry otrzymały staranne wykształcenie. Były córkami zamożnego, zasymilowanego Żyda rosyjskiego, który przyjął wiarę luterańską. Był właścicielem pierwszego biura pośrednictwa kredytowego w Moskwie.

Bronia studiowała medycynę w Paryżu. Gdy wybuchła I wojna światowa, moja babcia miała już ukończone studia, ale nie zdążyła napisać pracy dyplomowej. Natychmiast zgłosiła się do pracy jako pielęgniarka w szpitalu wojskowym w Paryżu. Następnie musiała wyjechać, by opiekować się chorym ojcem, który później zmarł na gruźlicę w Jałcie. Wreszcie, powodowana patriotycznymi motywami, pracowała dla francuskiego wywiadu wojskowego w Moskwie, próbując zapobiec wycofaniu się Rosji z wojny z Niemcami. Moja babcia i jej przełożony Pierre Laurent przechwytywali telegramy Lenina. Przekazywali je Rządowi Tymczasowemu Rosji, który uznał, że nawet jeśli nie są one bezsprzecznym dowodem, to silnie wskazują na operację prania brudnych pieniędzy, w której ramach Niemcy potajemnie finansowali bolszewików. Jeden z ministrów dopuścił się w lipcu 1917 r. przecieku tych dokumentów do wojska i do prasy w Piotrogrodzie. W rezultacie żołnierze zwrócili się przeciwko Leninowi, który musiał się ukrywać. Można zakładać, że próba przejęcia władzy przez bolszewików w lipcu 1917 r. nie powiodła się z powodu tych informacji i musiała zostać odroczona do października 1918 r., kiedy – jak wiadomo – zakończyła się sukcesem.

Bronia dorównywała zatem Wieniawie zarówno pod względem odwagi, jak i wykształcenia. Ich związek chrześcijanki pochodzenia żydowskiego i polskiego ziemianina, rzadki jak na owe czasy, przetrwał aż do śmierci mojego dziadka.

W krótkich notach biograficznych Wieniawy zwykle powtarzana jest informacja, że był wolnomularzem, choć jego poważni biografowie podkreślają, że wstąpienie do masonerii było zaledwie epizodem w jego życiu, który nastąpił na rozkaz Piłsudskiego, chcącego pozyskać międzynarodowe poparcie dla sprawy polskiej. By poślubić pańską babcię, swoją drugą żonę (w 1919 r.), Wieniawa przeszedł na protestantyzm, lecz po śmierci swojej pierwszej żony (w 1934 r.) wziął ponowny ślub z Bronisławą w ceremonii rzymskokatolickiej, co sugeruje, że powrót na łono Kościoła był dla niego kwestią istotną. Odniesienia do Boga i do życia wiecznego można znaleźć w jego poezji oraz w jego liście pożegnalnym. Czy mógłby pan rzucić więcej światła na życie religijne pańskiego dziadka?

Wieniawa znany był jako katolik. Jego starszy brat Kazimierz był ateistą. Kazimierz, burmistrz Bobowej, podczas wojny został upamiętniony w Yad Vashem za to, że ocalił życie żydowskiego krawca z Tarnowa, wystawiając mu fałszywe papiery.

Wieniawa również ocalił wielu Żydów podczas wojny, gdy był ambasadorem w Rzymie. Szczególnym przykładem jest rodzina profesora Richarda Pipesa. Pipes, wówczas nastolatek, zapisał w swoich pamiętnikach, że Wieniawa pomógł jego rodzinie, która uciekła z Polski, przedostać się przez Włochy do Stanów Zjednoczonych. Profesor Pipes został później wiodącym amerykańskim historykiem specjalizującym się w tematyce rewolucji w Rosji oraz doradcą prezydenta Reagana przy jego programie „Wojny Gwiezdne", który doprowadził do bankructwa Związek Radziecki.

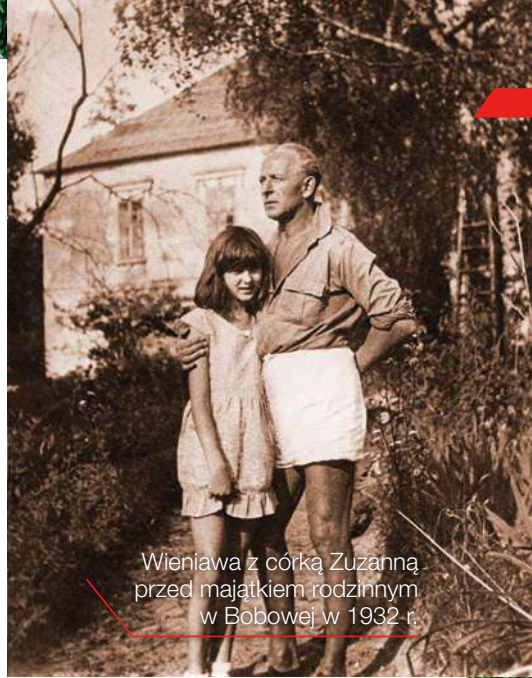
Wieniawa i Bronia wychowali swą córkę Zuzannę w wierze katolickiej, którą wyznawała przez całe swoje życie. Wyobrażam sobie, że Wieniawa pozostał katolikiem mimo, lub być może ze względu na swoje słabości, podobnie zresztą jak ja.

Lata, które Wieniawa spędził jako ambasador RP w Rzymie (1938–1940) były wyjątkowo chlubnym, choć stosunkowo mało znanym okresem w jego życiu. Nieznana i niedoceniana jest olbrzymia rola, jaką odegrał pański dziadek, pomagając niezliczonym cywilnym uciekinierom z Polski oraz dzie-



Bronisława Wieniawa-Długoszowska, Belweder, 1920 r.

eprasa.pl cf2a5688ce



Wieniawa z córką Zuzanną przed majątkiem rodzinnym w Bobowej w 1932 r.

siątkom tysięcy żołnierzy internowanych w Rumunii oraz na Węgrzech, umożliwiając tym ostatnim sprawną ewakuację przez Włochy do Francji. To dzięki cichym wysiłkom Wieniawy Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie mogły później odegrać tak istotną rolę w walkach toczących się m.in. w Wielkiej Brytanii, w Norwegii lub w Holandii. W jednym z opublikowanych przez pana esejów odniósł się pan do sposobu, w jaki Wieniawa pojmował swą misję jako ambasadora Polski w tym okresie. Czy moglibyśmy przytoczyć tu pańskie słowa?

Oto wspomniany przez panią tekst.

Jesteśmy ambasadorami Boga, 2 Kor 5,20.

Mój dziadek, generał Wieniawa, został ambasadorem RP we Włoszech w 1938 r. Wkrótce po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. stał się ambasadorem rządu, który nie kontrolował już żadnego terytorium. Nie wpłynęło to jednak w żadnym stopniu na jego postawę. Zadaniem, jakie sobie wyznaczył, było pisanie listów do każdego zakątka Europy, w którym znaleźli się Polacy pozbawieni wolności, z prośbą o ich uwolnienie. Pisał do więzień i obozów internowania w Rumunii, na Węgrzech i we Włoszech. W równym stopniu wstawiał się za Polakami – chrześcijanami i żydami. Oczywiście jego wysiłki zmierzające do uwolnienia Polaków pochodzenia żydowskiego były mniej skuteczne, lecz nie ustawał w nich. Wieniawa w dalszym ciągu przyjaźnił się z włoskim ministrem spraw zagranicznych Galezzo Ciano, zięciem Mussoliniego. Włosi szanowali Wieniawę, ponieważ nie byli pewni, jak potoczą się dalsze losy wojny. Uznając w moim dziadku ambasadora Polski, zabezpieczali się na wypadek zwycięstwa aliantów.

Podobnie my, jako chrześcijanie, jesteśmy przedstawicielami mocy, która nie posiada ziemskiej własności. Lecz jeśli będziemy zachowywali się tak, jak gdybyśmy reprezentowali Chrystusa, ludzie będą nas szanować. Podobnie jak Włosi wielu ludzi się asekuruje. Być może Bóg naprawdę istnieje i musimy w pełni to wykorzystać. Wieniawa nigdy nie zachwiał się w przekonaniu, że Polska zmartwychwstanie z rozbioru będącego skutkiem paktu Ribbentrop–Mołotow, podobnie jak zmartwychwstała z poprzednich rozbiorów. I Polska zmartwychwstała, choć stało się to dopiero pół wieku później.

W analogiczny sposób chrześcijanie wierzą, że Chrystus już zmartwychwstał, choć ma dopiero powrócić w swej chwale. Obowiązkiem ambasadora jest zawieranie przyjaźni z ludźmi w kraju, do którego jest posłany; podobnie naszym obowiązkiem jest zawieranie przyjaźni z ludźmi tego świata i ofiarowanie im pojednania w Chrystusie. Wieniawa zachowywał się tak, jak gdyby Polska żyła; my również mamy obowiązek zachowywać się tak, jak gdyby Bóg był rzeczywistością – ponieważ jest rzeczywistością!

Wokół tragicznej śmierci Wieniawy w Nowym Jorku, 1 lipca 1942 r., w przeddzień jego planowanej podróży do Hawany, narosło wiele teorii spiskowych. Niektórzy twierdzą, że popełnił samobójstwo, inni – że został zamordowany. Niewątpliwie do śmierci Wieniawy przyczyniła się wymuszona, wyniszczająca go bezczynność. Jego prośby o przydział wojskowy i o możliwość walki o Polskę (miał ambitny plan utworzenia w USA Legii Cudzoziemskiej, choć zarazem był on – generał dywizji – gotów walczyć na froncie nawet jako zwykły strzelec) były odrzucane lub ignorowane przez Władysława Sikorskiego. Gdy przyjął propozycję objęcia stanowiska ambasadora Polski na Kubie, został potępiony przez swych rzekomych polskich przyjaciół z grona piłsudczyków, którzy postrzegali jego decyzję i jego pojednanie się z Sikorskim jako zdradę idei Piłsudskiego. Wieniawa padł ofiarą polskich wad narodowych – nieumiejętności powstrzymania się od swarów nawet w obliczu wielkiej tragedii narodowej oraz przedkładania prywaty nad dobro wspólne – wad, które pańskiemu dziadkowi były zupełnie obce. Czy mógłby pan rzucić więcej światła na to tragiczne wydarzenie?

Moja matka nie miała wątpliwości, że śmierć Wieniawy była samobójstwem. Mieszkała wtedy w tym samym apartamencie. Zostawił list pożegnalny, który jest w moim posiadaniu. Jego pełna transkrypcja znalazła się w mojej książce „Belonging and Betrayal"; można ją też znaleźć w innych źródłach. Rozmawiałem również telefonicznie z córką Artura Szyka, ilustratora i rysownika. Mieszkała ona w domu obok i również nie miała wątpliwości, że było to samobójstwo. W swym liście pożegnalnym Wieniawa wspomina zawodzącą go pamięć; pisze też, że nie chce być ciężarem dla swojej żony i córki. Jako jego wnuk nie czuję się upoważniony do snucia dalszych spekulacji na temat przyczyn jego samobójstwa.

Jednym z przejawów silnej więzi łączącej Wieniawę z Piłsudskim było ich wzajemne zaangażowanie w sprawy osobiste i rodzinne. Gdy Piłsudski powrócił na łono Kościoła w ramach prywatnej ceremonii 28 lutego 1916 r., Wieniawa był jednym z jej dwóch świadków. Piłsudski był ojcem chrzestnym pańskiej matki, a jej trzecie imię, Józefa, zostało jej nadane na cześć Komendanta. Czy obie rodziny utrzymywały bliskie relacje po śmierci Piłsudskiego, a następnie po śmierci Wieniawy?

Moja matka i córki Piłsudskiego przez wiele lat żyły w różnych krajach. Gdy moja matka przeszła na emeryturę i zamieszkała w Wielkiej Brytanii w 1982 r., spotykała córki Piłsudskiego

eprasa.pl cf2a5688ce



Wieniawa z córką Zuzanną na Gubałówce w 1934 r.

podczas wielu polskich uroczystości, lecz nie sądzę, że były z sobą blisko zaprzyjaźnione.

Wieniawa uwielbiał swą jedyną córkę i bardzo martwił się o jej i jej matki (a swojej żony) przyszłość z dala od ukochanej ojczyzny. Co może pan opowiedzieć nam o swojej matce Zuzannie?

Moja matka zrobiła po wojnie karierę jako jeden z czołowych symultanicznych tłumaczy konferencyjnych. Najpierw pracowała w ONZ w Nowym Jorku, tuż po jego powstaniu w 1945 r. W różnych okresach tłumaczyła z sześciu języków: polskiego, rosyjskiego, francuskiego, angielskiego, włoskiego i hiszpańskiego. Rozstawszy się z ONZ, pracowała dla OECD, NATO, a wreszcie dla Unii Europejskiej. Czasem pracowała jako tłumacz podczas innych spotkań; raz zdarzyło jej się tłumaczyć rozmowę między Gomułką a de Gaulle'em. W 1949 r. poślubiła mojego ojca Johna Vernona. Był Anglikiem i urzędnikiem międzynarodowej służby cywilnej; mieli troje dzieci.

Po samobójstwie mojego dziadka Zuzanną przez sześć tygodni opiekowała się rodzina Artura Szyka, polskiego artysty pochodzenia żydowskiego, który przyjaźnił się z Wieniawą co najmniej od 1920 r. Podczas II wojny światowej był czołowym rysownikiem w USA; jednym z tych, którzy próbowali skłonić Stany Zjednoczone do zaangażowania się w działania wojenne po stronie aliantów. Jego rysunki publikowane były w czasopismach „Time", „Esquire" i „Collier's". Chciałbym w tym miejscu wyrazić swoją wdzięczność wobec Artura Szyka i jego rodziny za życzliwość okazaną wówczas mojej matce.

Czy pańska matka była jedynym źródłem informacji o Wieniawie. Czy mógł pan zgłębiać swą wiedzę o nim również za pośrednictwem innych osób? Jeśli tak, kim były i jak go zapamiętały?

Niektórzy z moich francuskich krewnych, zwłaszcza siostry mojej babci: Zocia i Vera, dobrze go znali. Dorastałem w Paryżu i często je spotykałem. W Londynie, Krakowie, Warszawie oraz we Wrocławiu stykałem się również z krewnymi Wieniawy i innymi osobami, które go znały. W ramach mojej praktyki lekarskiej w Londynie opiekowałem się licznymi starszymi Polakami. Większość z nich wydostała się z Syberii z Armią Andersa. Wszyscy słyszeli o moim dziadku. Na dźwięk jego nazwiska ich twarze się rozpromieniały. Wspominali go jako znaną, charyzmatyczną postać Warszawy.

Niezwykła historia pewnego syryjskiego niedźwiedzia brunatnego, który zasilił szeregi Armii Andersa, jest powszechnie znana. Jednakże mało kto wie, że stało się to dzięki bliskiej krewnej Wieniawy. Czy mógłby pan powiedzieć, jak do tego doszło i kim była owa krewna?

Niedźwiedź Wojtek należał do Ireny (Inki) Bokiewicz z domu Żmudzińskiej. Była ona wnuczką siostry Wieniawy, Teofili. Często spędzała letnie wakacje w Bobowej wraz z moją matką, która była od niej niewiele starsza. Podobnie jak wielu Polaków w 1939 r. Inka oraz jej matka zostały deportowane przez Sowietów na Syberię. Udało im się wydostać stamtąd z Armią Andersa. Ostatni etap ich marszu wiódł od Morza Kaspijskiego do Teheranu przez góry Elburs. Choć brakowało im jedzenia i pieniędzy, matka Inki postanowiła przeznaczyć niewielką część posiadanej gotówki na zakup osieroconego niedźwiedziątka, tak aby Inka miała coś, co mogłaby pokochać. I faktycznie pokochała Wojtka. Niestety, niedźwiedziątko rosło, a w dodatku miało zwyczaj deptania po twarzach śpiących ludzi. Inka musiała oddać Wojtka polskim żołnierzom. Późniejsze losy Wojtka, łącznie z jego udziałem w bitwie pod Monte Cassino, są dobrze znane.

Podobnie jak pański dziadek jest pan doktorem medycyny oraz literatem. Czy dzieli pan również jego miłość do kawalerii? Które cechy charakteru Wieniawy uważa pan za szczególnie godne naśladowania?

W przeciwieństwie do mojego dziadka jestem zupełnie niewysportowanym człowiekiem. Gdyby zobaczył mnie siedzącego na koniu, powiedziałby prawdopodobnie, że jeżdżę konno jak „worek ziemniaków". Jego lojalność wobec Piłsudskiego, wobec żony Bronisławy była nadzwyczajna, szczególnie w kontekście ich epoki. Jego miłość do Polski – a jak Polska mogłaby przetrwać, gdyby jej dzieci jej nie kochały – była wyjątkowa. Jednakże, parafrazując Szekspira, który pisał o innym generale, Otellu, w dodatku w innym kontekście, być może Wieniawa „kochał [Polskę] nie nazbyt mądrze, lecz nazbyt gorąco."

** Dr hab. Izabella Parowicz – pracownik naukowy i koordynator studiów podyplomowych Ochrona Europejskich Dóbr Kultury na Wydziale Kulturoznawstwa Europejskiego Uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Specjalizuje się w dziedzinie marketingu i zarządzania dziedzictwem kulturowym*

Dr Gervase Bolesław Vernon

urodził się w Paryżu. Studiował medycynę w Cambridge i w Londynie. Pracował jako lekarz rodzinny oraz jako reporter medyczny w Fundacji Medycznej na rzecz Opieki nad Ofiarami Tortur (Freedom from Torture). Mieszka w Felsted, Essex (Wielka Brytania)

eprasa.pl cf2a5688ce

Co robi twoje dziecko on-line?

Technologie zmieniają naszą rzeczywistość. Także tę wirtualną. Dziś zaciera się granica między byciem on-line a off-line. To każe nam odwrócić uwagę od ilości czasu spędzanego przez nasze dzieci w internecie na rzecz zadbania o jego bezpieczeństwo, jakość i sens

Polska część badań EU Kids Online 2018 została zrealizowana przez zespół badawczy pod kierunkiem prof. dr. hab. Jacka Pyżalskiego z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu w partnerstwie z Fundacją Orange. Pełen raport z badań zostanie opublikowany na początku roku 2019. Jednak już dzisiaj ze wstępnych wyników badań odczytujemy ważną informację: dominuje proste zastosowanie internetu bez wykorzystania jego społecznego i edukacyjnego potencjału.

Młodzi użytkownicy korzystają z internetu przede wszystkim za pośrednictwem smartfona – codziennie lub prawie codziennie – jak deklaruje 9 na 10 badanych. Komputera stacjonarnego lub laptopa używa tak często zaledwie ok. 40 proc. ankietowanych.

Młodzież najczęściej komunikuje się na portalach społecznościowych, gra w gry, słucha muzyki i ogląda filmy. Mało który nastolatek może się pochwalić twórczym wykorzystaniem narzędzi on-line, takich jak stworzenie i opublikowanie własnego filmu czy nagrania. Mimo ogromnej liczby aplikacji dostępnych na rynku 60 proc. badanych nigdy nie stworzyło nic za ich pomocą. Równie rzadko prowadzą dyskusje na ważne tematy społeczne lub polityczne czy też uprawiają swoje hobby.

Dzięki rozwojowi aplikacji mobilnych „bycie on-line" nabrało zupełnie nowego znaczenia. Nie oznacza – jak jeszcze całkiem niedawno – pełnego zaangażowania czasu i uwagi, w dodatku warunkowanego przebywaniem w pomieszczeniu z dostępem do internetu. Dziś tak naprawdę jesteśmy on-line bez przerwy. Życie wirtualne przeplata się z codziennymi realnymi czynnościami – niemal bez naszej aktywności, często w tle. Podczas porannego joggingu nasza aplikacja zapisuje jego trasę i parametry. Komórka na bieżąco odbiera powiadomienia, które odczytujemy. Jesteśmy on-line, choć jednocześnie całkowicie zaangażowani w bieg zupełnie off-line. Większość naszego bycia on-line to de facto bardzo krótkie aktywności, takie jak sprawdzenie jakiejś informacji, pokazanie komuś zdjęcia, zapłacenie za coś.

– Funkcjonujemy coraz bardziej mobilnie. W efekcie: dzieci są nieustająco on-line, ale przeplatając rzeczywistość ze światem wirtualnym, funkcjonują hybrydowo. Nie są wycięte ze świata. My się tak wszyscy skupiamy na czasie: martwiąc się, że dziecko siedzi on-line za długo. Ale czas powoli przestał być wiarygodnym i wystarczającym wskaźnikiem bycia on-line – zwraca uwagę prof. Jacek Pyżalski, autor polskiej wersji badania.



10/1218/F

Kiedy przedefiniujemy dzisiejsze zaangażowanie on-line, staje się jasne, że nie chodzi o to, by wyłącznie kontrolować czas spędzony przez dzieci on-line, ale zadbać o jakość tej aktywności, by była bezpieczna i mądra. Posiadanie profilu w portalu społecznościowym może nieść z sobą zarówno wiele korzyści (np. pomagać budować relacje społeczne, wymieniać informacje), jak i sporo zagrożeń (np. ryzyko cyberprzemocy, naruszenia prywatności). Tymczasem aż 40 proc. uczniów deklaruje, że w szkole nie ma ustalonych zasad korzystania z internetu, a prawie połowa badanych nigdy nie rozmawiała z nauczycielami o cyberbezpieczeństwie ani netetykiecie.

– Badanie pokazuje nam, że warto wzmocnić kompetencje cyfrowe młodych Polaków. Choć dzieci wydają nam się bardzo biegłe w tych kwestiach, niestety tylko 10 proc. z nich działa kreatywnie. To bardzo niewiele... A przecież przekłada się to potem na szanse na rynku pracy: potrzeba w naszej coraz bardziej innowacyjnej cyfrowej gospodarce ludzi twórczych. To jest więc miejsce na współpracę szkół z organizacjami pozarządowymi w zakresie edukacji medialnej – komentuje wyniki badania Ewa Krupa, prezes Fundacji Orange.

Fundacja Orange wchodzi ze swoim projektem do szkół od lat. Kolejne placówki edukacyjne biorą udział w 10-miesięcznym cyklu zajęć w MegaMisji. Starsi uczniowie przystępują do programu #SuperKoderzy, który zakłada naukę programowania na lekcjach innych niż informatyka: języku polskim, matematyce, językach obcych, historii, przyrodzie, muzyce.

Anna Raciniewska

eprasa.pl cf2a5688ce



Dlaczego szachowe pojedynki miały kiedyś polityczne, ideologiczne, psychologiczne, a nawet rasistowskie tło? Bo szachownica wielu przypominała realne pole bitwy

Światowe wojny szachowe

Magnus Carlsen (z lewej) i Fabiano Caruana podczas listopadowego pojedynku o mistrzostwo świata w szachach

Fot. East News/Jon Olav Nesvold



STANISŁAW JANECKI

Listopadowy pojedynek o mistrzostwo świata w szachach był wyjątkowy. Może poza młodym wiekiem graczy: mistrz świata Magnus Carlsen ma 28 lat, pretendent – Fabiano Caruana – to 26-latek. Młodość to zresztą cecha współczesnych mistrzów. W rankingu mężczyzn FIDE prowadzi Carlsen przed Caruaną, a w pierwszej piątce są jeszcze 26-letni Chińczyk Liren Ding oraz 24-letni Holender Anish Giri. Najlepszy w rankingu z Polaków (18. miejsce) Jan Krzysztof Duda ma zaledwie 20 lat. Wśród kobiet prowadzi 24-letnia Chinka Yifan Hou (za nią są 27- i 28-latka).

Norweg Carlsen pierwszy raz został mistrzem świata, mając zaledwie 23 lata. Caruana tym razem reprezentował USA, gdzie się urodził, choć w latach 2010–2015 walczył dla Włoch (ma włoskie korzenie). Nietypowy był przebieg meczu, gdyż 12 klasycznych partii zakończyło się remisem, a w dogrywce, granej w tzw. szachach szybkich, Carlsen wygrał wszystkie trzy partie i obronił tytuł mistrzowski.

Starcie o mistrzostwo świata mężczyzn w 2018 r. można uznać za nietypowe, gdy chodzi o kontekst. Zwykle bowiem były to wojny: polityczne, ideologiczne, psychologiczne, a nawet z rasistowskim podtekstem.

Całkiem inne niż w 2018 r. było starcie w listopadzie 2016 r., gdy Carlsen w Nowym Jorku walczył o mistrzostwo świata z Rosjaninem Siergiejem Kariakinem (rocznik 1990). Kariakin do 2009 r. był obywatelem Ukrainy (urodzonym na Krymie), by potem stać się wielkim entuzjastą Władimira Putina i aneksji Krymu przez Rosję. Pojedynek w 2016 r. przypominał wojny toczone wcześniej, gdzie polityka grała pierwszoplanową rolę.

SOWIECKI IMPERIALIZM

Gdy w 1972 r. grali z sobą w Rejkiawiku Rosjanin Boris Spasski i Amerykanin Bobby Fischer, była to wojna Wschodu z Zachodem, komunizmu z imperializmem, ZSRS z USA. Nawet mimo że Spasski nie bardzo się palił do reprezen-

eprasa.pl cf2a5688ce

towania Sojuza i komunistycznej ideologii (w 1977 r. wyemigrował do Francji), wciąż jednak reprezentował ZSRS, od którego odciął się ostatecznie w 1982 r.

W 1975 r. Bobby Fischer miał się zmierzyć z Anatolijem Karpowem, już całkiem oddanym zwolennikiem sowieckiego komunizmu, entuzjastą Sojuza. I to miała być prawdziwie wielka wojna światów, ale Fischer zniknął i tytuł przyznano Karpowowi bez gry. Potem (w 1978 r. i 1981 r.) Karpow walczył jeszcze o mistrzostwo świata ze „zdrajcą" i uciekinierem z Sojuza Wiktorem Korcznojem. I wtedy była to wojna światów podszyta jednak walką z dysydentami i wewnętrznymi wrogami (podczas pojedynku w 1981 r. aresztowano pozostającego w ZSRS syna Korcznoja).

Od 1984 do 1990 r. Karpow walczył o mistrzostwo świata z Garrim Kasparowem (obywatelem ZSRS, ale pochodzenia ormiańsko-żydowskiego), który „zdrajcą" (wtedy już Rosji Putina) wyraźnie okazał się dopiero ok. 2005 r., gdy przestał już być zawodowym szachistą. Ale wcześniej był „zdrajcą" potencjalnym, dysydentem wewnętrznym. Potem Kasparow był już „zdrajcą" etatowym, szczególnie w 2008 r., gdy wystąpił jako konkurent Putina w wyborach prezydenckich (w tym samym roku został aresztowany).

O mistrzostwo świata walczyli pięciokrotnie, po raz ostatni w grudniu 1990 r. Podczas pierwszego pojedynku w 1984 r. Anatolij Karpow był pupilkiem komunistycznego genseka Leonida Breżniewa. Deklarował wtedy tylko dwie miłości w życiu: marksizm i szachy. 20-letni wówczas Kasparow mógł liczyć na wsparcie tzw. frakcji azerskiej w komunistycznej partii ZSRS (urodził się i wychował w Baku), która starała się przynajmniej zneutralizować szpiegów Karpowa (popieranego przez frakcję moskiewską) w najbliższym otoczeniu Kasparowa. To się udało, gdy władze azerskiej republiki interweniowały w moskiewskim KGB.

Po 48 partiach i przy stanie 25:23 dla Karpowa mecz został anulowany przez Światową Federację Szachową. Już w 1985 r. mecz powtórzono, ograniczając pojedynek do maksymalnie 24 partii. Zwyciężył Kasparow 13:11. Kasparow wygrywał jeszcze z Karpowem w latach 1986, 1987 oraz 1990. Te kolejne mecze odbywały się już w czasach Michaiła Gorbaczowa, a to oznaczało, że komunistyczny aparat już nie tak jednoznacznie wspierał Anatolija Karpowa.



Symultana szachowa z udziałem kubańskiego szachisty José Raúla Capablanki, Warszawa, 1935 r.

Fot. NAC

Gdy w 2008 r. Kasparowa aresztowano za otwarte wystąpienia przeciw Putinowi, Karpow nawiązał z nim kontakt, chcąc się trochę odciąć od wizerunku szachisty władzy. Obaj zdecydowali się później zagrać mecz towarzyski – w Walencji. Kasparow wygrał 6:3. Obecnie jest on obywatelem Chorwacji, choć mieszka w USA i zajmuje się głównie walką z Władimirem Putinem oraz o demokratyzację Rosji. Między szachami a polityką Władimira Putina widzi taką różnicę, że „w szachach są ustalone zasady gry, a wynik jest nie do przewidzenia, natomiast w Rosji jest odwrotnie".

W XX w., zwłaszcza po II wojnie światowej, mecze o mistrzostwo świata w szachach były polem wojny głównie dlatego, że do swego upadku władze ZSRS traktowały tę grę jako ważny teren walki z kapitalizmem i imperializmem. Związek szachowy ZSRS zrzeszał ponad 4 mln szachistów (w USA 0,1 proc. tej liczby). Państwo wspierało graczy wszechstronnie już od etapu szkolenia, a potem tych odnoszących sukcesy sowicie nagradzało: najlepsi mieli mieszkania, dacze, samochody, mogli podróżować po świecie. Dlatego wychowano wielu mistrzów świata (Michaił Botwinnik, Wasilij Smysłow, Michaił Tal, Tigran Petrosjan, Boris Spasski, Anatolij Karpow, Garri Kasparow). Obywatele ZSRS wygrywali w latach 1948–1990, z wyjątkiem okresu 1972–1975, gdy na tronie zasiadł Amerykanin Bobby Fischer.

Ta dyscyplina stała się ważną częścią budowania mitu potęgi ZSRS i założenia o wyższości komunistycznej ideologii. W ZSRS szachowi mistrzowie byli częścią establishmentu oraz bohaterami masowej wyobraźni. Szczególnie w okresie zimnej wojny szachowy prymat ZSRS nad resztą świata miał dowodzić przewagi nad Zachodem zyskanej dzięki komunizmowi, przede wszystkim przewagi intelektualnej. A ponieważ mistrzów było wielu, sugerowało to, że w kolektywistycznym ZSRS są lepsze warunki do rozwoju wybitnych jednostek niż na indywidualistycznym Zachodzie.

MROK ALECHINA I FISCHERA

Jak pisał Fabio Stassi, autor książki „Rewanż Capablanki", szachy to „wojna, teatr i śmierć". Bohater powieści Stassiego, wybitny kubański szachista José Raúl Capablanca, pytał „o czym marzy pionek?". A marzy o tym, „by zmienić naturę. By osiągnąć ósmą linię. Nie godzić się na mizerię swego stanu.

eprasa.pl cf2a5688ce


Pojedynek Akiby Rubinsteina (z lewej) i Ksawerego Tartakowera, Łódź, 1927 r.

Fot. NAC

Kluczem do wszystkiego jest niepokój metamorfozy, marzenie pionków, by stać się królową". Po osiągnięciu ósmej linii pionek może się stać hetmanem (królową), co ma być metaforą ludzkiego losu. A szachy często są walką światła i ciemności, dobra i zła, nagiej siły i inteligencji. Jak w odbywających się w międzywojniu pojedynkach Kubańczyka José Raúla Capablanki z Rosjaninem Aleksandrem Alechinem.

W 1927 r. „mroczny" Alechin, już wtedy obywatel Francji, pokonał Capablancę na szachownicy, a potem niszczył go psychicznie, przez lata odmawiając rewanżu. Capablanca był entuzjastą życia, ulubieńcem tłumów i salonów, Alechin – zawistnikiem i nienawistnikiem. W czasie II wojny światowej Alechin kolaborował z Niemcami, brał udział w turniejach przez nich organizowanych. W gadzinowym „Pariser Zeitung" ukazał się podpisany przez niego rasistowski atak na Capablancę. Oskarżał Kubańczyka, że nie tylko jest potomkiem pasożytniczej warstwy, która opuściła Europę i mając szansę odrodzenia prawdziwej rasy panów, zadawała się z niewolnikami, płodząc bękarty. Takim bękartem miał być sam Capablanca, na co wskazywałby jego styl gry: głównie obronny, rzekomo pozbawiony inteligencji, ale za to zdradziecki i podstępny. Sam Alechin miał zaś być uosobieniem czysto aryjskiego stylu gry, nastawionego na ofensywę. Capablanca nie tylko musiał być więc rasowym bękartem, lecz i kulturowym Żydem. Ostatecznie, czyli życiowo, wygrał jednak Capablanca. Gdy zmarł w 1941 r., miał w Hawanie „narodowy" wielki pogrzeb. Alechin, zmarły w 1946 r. w Portugalii (sugerowano zabójstwo lub samobójstwo), przez kilka tygodni leżał w kostnicy, gdyż nikt nie chciał się nim zająć, był persona non grata. Ostatecznie kremację, pochówek (w Paryżu) i nagrobek sfinansowała szachowa federacja FIDE.

Mroczną postacią szachów był też mistrz z 1972 r. Bobby Fischer. Uważał on, że „szachy to wojna, a w tej wojnie chodzi o zniszczenie przeciwnika, przede wszystkim jego umysłu". Z jednej strony Fischer zmienił oblicze szachów, z drugiej zrobił wiele, żeby szachistów traktowano jak genialnych wariatów, neurotyków. Nie tylko dlatego, że zniknął przed rewanżem o mistrzostwo świata w 1975 r. Odnalazł się podczas wojny w Jugosławii na początku lat 90. Wtedy Belgrad był na czarnej liście, objęty sankcjami, a obywatelom USA rząd tego państwa zakazał wjazdu na teren rozpadającej się Jugosławii. Fischer to zlekceważył, mimo że za złamanie zakazu groziło mu więzienie. Publicznie nawet opluł dokument, w którym sformułowano zakaz wjazdu.

Fischer wziął udział w pokazowym pojedynku w 1992 r. z Borisem Spasskim. Najpierw na wyspie u wybrzeży Czarnogóry, potem w Belgradzie, inkasując za zwycięstwo 3,5 mln dolarów. Po ataku Al-Kaidy na Nowy Jork 11 września 2001 r. Fischer tryskał radością i wyrażał nadzieję, że to dopiero pierwszy krok w definitywnym zniszczeniu USA jako imperium zła. W 2004 r. w Japonii dopadł go nakaz aresztowania, wystawiony przez prokuratora federalnego. W areszcie ekstradycyjnym spędził dziewięć miesięcy. Nie trafił do USA, gdyż w marcu 2005 r. przyjął obywatelstwo Islandii, jednocześnie zrzekając się obywatelstwa USA. W tej sytuacji Japonia odmówiła ekstradycji. W lipcu 2005 r. Fischer poleciał z Japonii na Islandię, gdzie zmarł 17 stycznia 2008 r. Wcześniej zdążył „podpaść" władzom Izraela, uważając to państwo za nie mniejsze zło niż USA i nie stroniąc od antysemickich wypowiedzi, choć sam miał żydowskie korzenie.

SZACHIŚCI POLITYCY

Jerzy Giżycki, znawca i historyk szachów, autor m.in. książki „Z szachami przez wieki i kraje" wyliczał konflikty, jakie w dziejach wybuchały bezpośrednio lub pośrednio z powodu szachów. Głośny był na przykład konflikt w latach 80. XI w. króla Anglii Wilhelma Zdobywcy z królem Francji Filipem I. Giżycki opisał go tak: „Robert i Henryk, synowie Wilhelma Zdobywcy, króla Anglii, księcia Normandii, odwiedzili króla Francji Filipa I. Goście usiedli do partii szachów z synem gospodarza Ludwikiem. W trakcie gry doszło do sprzeczki, gdyż Ludwik obraził Henryka. Ten ostatni zdzielił francuskiego królewicza szachownicą po głowie i pewnie zabiłby go, gdyby nie interwencja brata. Następstwem kłótni była wojna, tym razem prawdziwa. Obraźliwe odezwanie się przy szachach dostarczyło pretekstu do napaści na Francję. Wilhelm Zdobywca i jego synowie zbrojnie uderzyli na ziemię francuską i podeszli aż pod bramy Paryża". W innych konfliktach udział szachów wydaje się naciągany, choć liczni władcy, w tym ci znani z podbojów, w szachy grali i dostrzegali analogie między szachami a bitwami.

Szachistami mieli być „święty cesarz rzymski" Karol Wielki (800–814), król

eprasa.pl cf2a5688ce

Anglii i książę Akwitanii Jan bez Ziemi (1199–1216), król Kastylii i Leonu Alfons X Mądry (1252–1284), mongolski władca i zdobywca Tamerlan (Timur Chromy; 1370–1405), dyplomata Republiki Florenckiej, pisarz i filozof Niccolo Machiavelli (1494–1512), car Rosji Iwan Groźny (1547–1584), pierwszy faktyczny premier Francji (formalnie taka funkcja nie istniała) kardynał Armand-Jean de Richelieu (1624–1642), król Anglii i Szkocji Karol I Stewart (1625–1649), król Szwecji Karol XII Wittelsbach (1697–1718), król Prus i elektor Brandenburgii Fryderyk II Wielki (1740–1786), caryca Katarzyna II Wielka (1762–1796), głównodowodzący w wojnie z Turcją (1787–1892) i feldmarszałek Rosji książę Grigorij Potiomkin, jeden z przywódców rewolucji francuskiej Maximilien de Robespierre (1790–1794), naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej gen. Tadeusz Kościuszko (1794), generalissimus Rosji (1798), książę Italii i marszałek polny Austrii (1799) Aleksander Suworow, cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte (1804–1815), premier Francji (1815) i minister spraw zagranicznych (1797–1799) Charles-Maurice de Talleyrand, wódz rewolucji bolszewickiej i premier Rosji Włodzimierz Lenin (1917–1924), naczelnik państwa (1918–1922), premier rządu RP (1926–1928 i w 1930 r.) marszałek Józef Piłsudski czy dyktator Kuby (1959–2008) Fidel Castro.

Sowieccy gracze dominowali na szachowych szczytach w drugiej połowie XX w. Ich sukcesy miały być dowodem na to, że w kolektywistycznym ZSRS są lepsze warunki do rozwoju wybitnych jednostek niż na indywidualistycznym Zachodzie

POLSKA SZKOŁA

Pierwszym mistrzem i zarazem szachowym celebrytą był już w XVIII w. francuski twórca oper François Philidor. Jego książka „Analiza gry w szachy" zrewolucjonizowała dyscyplinę. Ten przyjaciel Woltera i Jana Jakuba Rousseau nie miał w swoich czasach konkurencji na szachownicy. Można go było spotkać i z nim zagrać w paryskiej Café de la Régence, która dla szachów w stolicy Francji była tym, czym Kawiarnia Szkocka we Lwowie dla polskich matematyków i logików.

W XVIII w. nie grano jeszcze o mistrzostwo świata, więc pierwszym oficjalnym mistrzem w tej dyscyplinie został w 1886 r. Wilhelm Steinitz, wtedy już obywatel USA (wcześniej Austro-Węgier), który panował do 1894 r., gdy tytuł odebrał mu Niemiec Emanuel Lasker.

Polska największe sukcesy szachowe odnosiła w latach 30. XX w. Mówiono nawet wtedy o „polskiej szkole szachów", której mistrzami byli Akiba Rubinstein, Ksawery Tartakower, Mieczysław Najdorf, Dawid Przepiórka, Paulin Frydman, Teodor Regedziński czy Kazimierz Makarczyk. Na olimpiadzie szachowej (odpowiednik mistrzostw świata) w 1930 r. w Hamburgu reprezentacja Polski zdobyła złoty medal (w składzie Rubinstein, Tartakower, Przepiórka, Maklarczyk, Frydman). Srebrne medale tamta mistrzowska ekipa zdobywała w 1931 i 1939 r., a brązowe w latach 1928, 1935, 1937.

Obecnie istnieje szansa odrodzenia polskiej szkoły szachów, gdyż mamy młodych graczy: Jan Krzysztof Duda ma 20 lat, Kamil Dragun – 23, Kacper Piorun – 27, Jacek Tomczak – 28, a Radosław Wojtaszek – 31. Na 43. olimpiadzie szachowej w Batumi (we wrześniu i październiku 2018 r.) ta młoda ekipa zajęła czwarte miejsce, przez długi czas mając nawet szanse na złoto. I ci młodzi polscy szachiści nie muszą ani nie chcą z nikim prowadzić już politycznych czy ideologicznych wojen. Mogą się cieszyć grą. Zapewne nieprzypadkowo Janowi Krzysztofowi Dudzie przepowiada się wielkie sukcesy, z udziałem w pojedynku o mistrzostwo świata włącznie. Dotychczas najbliżej takiego pojedynku był Akiba Rubinstein, w latach 1910–1912 uznawany za najlepszego szachistę świata.



Fot. Laski Diffusion/East News

Mecz Anatolija Karpowa (z lewej) z Garrim Kasparowem został uznany za nierozstrzygnięty i przerwany po 5 miesiącach przy stanie 5:3 dla Karpowa i 40 zremisowanych partiach. Moskwa, 1984 r.

eprasa.pl cf2a5688ce

Bosi piraci mórz południowych



Fot. Alamy Stock Photo/BEW

Piraci – spokojnie rzucił kapitan Ireneusz Lewandowski, kiedy gawędząc na mostku Daru Młodzieży, usłyszeliśmy przeraźliwy pisk. – Piraci, tutaj, w Port Louis? – zapytałem zbity z tropu. – Nie, pewnie u wybrzeży Nigerii. Tutaj to może jakieś stare pirackie skarby by się znalazły, choć Ocean Indyjski jest bardzo niebezpieczny – wyjaśnił, jednocześnie prosząc jednego z oficerów, by wyłączył piszczący dalekopis, a mnie przed oczami stanął barwny korowód postaci z dzieciństwa: kapitan Hook, Czarnobrody, a nawet Jack Sparrow

Komendanta Daru Młodzieży odwiedziłem 4 września 2018 r., gdy żaglowiec zakotwiczył u brzegów Mauritiusa w czasie Rejsu Niepodległości dookoła świata. Rozmowa z kapitanem uświadomiła mi, że piraci u wschodnich wybrzeży Afryki nie są wcale legendą ani rzadkością. Dzisiaj nie mają wysokich skórzanych butów, są najczęściej bosi i bardzo młodzi, w większości przypadków mają kilkanaście lat. Nie piją rumu, ale są uzależnieni od wywołującej halucynacje rośliny qadt, której zielone liście żują całymi godzinami w oczekiwaniu na polecenie wypłynięcia na otwarty ocean. Tak jak 16 listopada mijającego roku.



TADEUSZ BRZOZOWSKI

eprasa.pl cf2a5688ce

PRAKTYCZNIE BEZKARNI

– Niemal w połowie drogi między Seszelami a Mogadiszem zaatakowali wielki masowiec Sydney, który płynął pod banderą Hongkongu. Podpłynęli jak zawsze niewielką łodzią motorową. Było ich czterech. Ostrzelali statek z AK-47, wycelowali ręczną wyrzutnię granatów. Byli przygotowani, bo wybrali miejsce, gdzie burty nie były zabezpieczone przez drut kolczasty. Zbliżyli się na odległość kilku metrów i rzucili linę z hakiem. Nie dorzucili, bo nie mieli dość sił, wysokość burty wynosiła prawie siedem metrów. Zrezygnowani odpłynęli w kierunku Mogadiszu. Nawet nikt ich nie ścigał. Działo się to w tym samym miejscu, gdzie na początku tego roku zaatakowano tankowiec Leopard Sun, a jesienią poprzedniego roku Ever Dynamic – opowiada Juan, jeden z oficerów służących w EU Navfor, unijnych siłach morskich patrolujących wody Morza Czerwonego i Oceanu Indyjskiego, który był blisko wielu takich pirackich akcji.

Rozmawiamy na Seszelach, o których zrobiło się głośno w 2017 r., gdy ujawniono, że na wyspie doszło do tajnego spotkania przedstawicieli prezydentów Donalda Trumpa i Władimira Putina. Rozmowy miały rzekomo dotyczyć ewentualnego rozluźnienia stosunków rosyjsko-irańskich w zamian za ograniczenie amerykańskich sankcji. Pośrednikiem spotkania na Oceanie Indyjskim miały być Zjednoczone Emiraty Arabskie, które na wyspie mają wyjątkowo uprzywilejowaną pozycję. W trudnych chwilach Emiraty wsparły wyspiarski kraj 130 mln dol. i wykupiły upadającą linię AirSeychelles. Szejk Chalifa ibn Zajid Al Nahajjan ma na Mahe, głównej wyspie archipelagu Seszeli, dwa wielkie pałace na szczycie góry. Za niecałe 12 ha zapłacił 0,5 mln dol. seszelskiemu rządowi. A z piratami ma ta historia tyle wspólnego, że wcześniej to samo wzgórze na 100 lat wydzierżawili Amerykanie, którzy po wprowadzeniu się arabskiego gościa musieli zwinąć swoje wojskowe radary będące nieocenioną pomocą w walce z piratami.

– Chociaż jesteśmy w rosyjskiej restauracji, w rosyjskim hotelu, a wkoło pobrzmiewa język Puszkina, nie sądzę, żeby właśnie tutaj rozmawiali ludzie Putina i Trumpa. W dodatku miejsce ma złą sławę, wszyscy wiedzą, że pełno tu podsłuchów – mówi Juan. – Co się dzieje ze złapanymi piratami? – pytam go. – 10 lat temu zwykle transportowaliśmy ich do Europy, do krajów pochodzenia tych, którzy ich zatrzymali, czyli głównie do Francji, Hiszpanii i do Włoch. Ale szybko zaczęli prosić o azyl, broniąc się przed sądami, że są biednymi rybakami, że zatrzymano ich przez pomyłkę lub wprost, że uciekali łodzią przed politycznym terrorem w Somalii. Dlatego, może nie powinienem tego mówić, wypuszczaliśmy ich po krótkim przesłuchaniu, oczywiście jeśli nie było ofiar. Taka fikcja w łapanie i wypuszczanie bandytów – bo przecież inaczej ich nie można nazwać, zawsze mieli przy sobie broń, a niemal nigdy nie znajdowaliśmy w łodziach sieci – trwała kilka lat. Teraz właśnie tutaj, na Seszelach, sądzonych jest kilku Somalijczyków, którzy próbowali się wedrzeć na pokład angielskiego statku. Byli bardzo agresywni, strzelali z granatników. Wytropił ich nasz hiszpański śmigłowiec, a zatrzymali Włosi. Mogą dostać spore wyroki, ale na pewno długo nie posiedzą. – Dlaczego? – pytam, nic nie rozumiejąc. – Sądzą ich sądy na Seszelach czy ostatnio też na Mauritiusie, gdzie za kilka milionów dolarów od Unii Europejskiej przygotowano specjalną salę rozpraw i więzienie. Zapytaj na Mauritiusie o Melrose, gdzie miało siedzieć 12 Somalijczyków, ale w ostatniej chwili ich uniewinniono i teraz wielkie więzienie za miliony dolarów stoi puste. Wracając do odsiadki, większość skazanych od niedawna trafia do Somalii. Myślisz, że dzieje im się tam krzywda? Właśnie wypuścili jednego, którego skazano na kilka lat, i pewnie już siedzi w łodzi z innymi bandytami oraz poluje gdzieś tam – hiszpański oficer EU Navfor wskazuje na bezkres oceanu.

PORWANI POLACY

Te – z perspektywy żółtej plaży – spokojne wody są niebezpieczne nie tylko dla wielkich, wolnych frachtowców. Juan opowiedział mi o krwawym napadzie na niewielki katamaran, którym w 2011 r. płynęło francuskie małżeństwo.

– To byli emeryci, którzy zorganizowali sobie rejs dookoła świata. Płynęli w niewielkim konwoju z innymi łodziami, ale mieli jakieś problemy i zostali w tyle. Między Somalią a Jemenem dopadło ich kilku Somalijczyków, coś poszło nie tak i zabili szypra, wyrzucili go za burtę, a kobietę zabrali z sobą. Zatrzymaliśmy ich po krótkiej strzelaninie i przekazaliśmy Francuzom. Razem z uwolnioną wdową po zabitym szyprze. Kilka lat wcześniej niemal w tym samym miejscu rozegrała się podobna, choć szczęśliwie zakończona, historia innej



Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

JOLANTY SZCZYPIŃSKIEJ

Posłanki na Sejm RP.

Rodzinie, bliskim, współpracownikom
oraz wszystkim, których dotknęła śmierć
Pani Poseł, szczere wyrazy współczucia
składa Zarząd Energa SA:

Alicja Barbara Klimiuk – p.o. Prezesa
Grzegorz Ksepko – Wiceprezes
Jacek Kościelniak – Wiceprezes

27/12/18/F

eprasa.pl cf2a5688ce

francuskiej pary. Napadli ich, weszli na pokład, zrabowali pieniądze i odpłynęli. Niedaleko, jak się okazało. Dopadli ich francuscy komandosi, jednego zabili, resztę zakuli – Juan mógłby opowiadać bez końca.

Jego zdaniem rok 2011, kiedy u wybrzeży Somalii doszło do 237 ataków, był jednym z najgorszych dla armatorów, którzy stracili ok. 7 mld dol. Ataki jednak gwałtownie spadły po tym, jak właściciele statków wzmocnili ochronę, a na wodach pojawiły się patrole marynarki Unii Europejskiej, działającej w ramach operacji „Atlanta". Do dzisiaj, bo wszystko wskazuje na to, że następuje odrodzenie somalijskiego piractwa w Zatoce Adeńskiej i na wschodnim wybrzeżu Somalii, czyli na strategicznym szlaku handlowym prowadzącym przez Kanał Sueski i łączącym pola naftowe Bliskiego Wschodu z portami europejskimi.

Pirackich napadów dwukrotnie doświadczył też kapitan Lewandowski. – Służyłem na statkach handlowych, to były na szczęście nieudane próby wdarcia się na pokład. Wystarczyło wtedy postraszenie bronią. Ale nie zawsze tak to się kończy – mówi kapitan. Przekonało się o tym kilku polskich marynarzy, których w 2013 r. zaatakowali i porwali nigeryjscy piraci. Po krótkiej niewoli porwani zostali uwolnieni, ale zrabowanego łupu nigdy nie udało się odzyskać.

Zatoka Gwinejska, zwłaszcza rejon delty Nigru, jest równie niebezpieczna co Ocean Indyjski. Tylko w pierwszym półroczu mijającego roku odnotowano tam ponad 120 pirackich incydentów. Tydzień po moim spotkaniu z komendantem Daru Młodzieży porwano niemal u samych wybrzeży Nigerii kilkunastu marynarzy płynących szwajcarskim statkiem przewożącym pszenicę. Tym razem drut kolczasty nie powstrzymał napastników, którzy mieli z sobą nie tylko broń, lecz również nożyce do cięcia stali. Pod koniec października tego roku uprowadzono 11 członków załogi Pomerania Sky, w tym ośmiu Polaków. Negocjacje w sprawie okupu trwają i jak zwykle w takich przypadkach utrzymywane są w ścisłej tajemnicy. Bo dzisiaj, w przeciwieństwie do piratów sprzed





Fot. z archiwum autora

Pirackich napadów doświadczył też kapitan Lewandowski: – Służyłem na statkach handlowych, to były na szczęście nieudane próby wdarcia się na pokład. Wystarczyło postraszenie bronią. Ale nie zawsze tak to się kończy

stuleci, którzy rabowali złoto i diamenty, łupem są zwykle gotówka znaleziona na statku i pieniądze uzyskane za zwolnienie porwanej załogi.

NA TROPIE SKARBU

Nie tylko współczesne piractwo łączy wspomniane wyżej miejsca obu oceanów oblewających Afrykę. Są jeszcze romantyczne poszukiwanie przygody i niejaki Olivier Levasseur, znany jako La Buse. Powieszono go 7 lipca 1730 r. w St. Paul na wyspie Bourbon, czyli dzisiejszej Reunion, ale swoją karierę rozpoczął na wodach zachodniej Afryki, w Zatoce Gwinejskiej, gdzie obrócił w ruinę jeden z ówczesnych niewolniczych portów u brzegu obecnego Beninu. Po drugiej stronie Afryki, na jednej z wysp Komorów, stracił oko, przez co nie rozstawał się z charakterystyczną czarną opaską, stając się archetypem pirata. Swoje piracie gniazdo założył na Madagaskarze, a legendarny, nigdy nieodnaleziony skarb ukrył na Seszelach lub na Mauritiusie. Legenda mówi, że pirat, nim zaciągnięto mu na szyi pętlę, rzucił zebranym gapiom kartkę z zapisanym szyfrem miejscem ukrycia złota, diamentów, rubinów. Bo ma to być największy łup, jaki kiedykolwiek zgromadzono w dziejach piractwa. Wśród niezliczonych precjozów ma być skradziony arcybiskupowi Goa krzyż wysadzany wielkimi diamentami. Dla poszukiwaczy to bursztynowa komnata wód południowych.

Na Seszelach starzeje się kolejne pokolenie tych, którzy twierdzą, że są na tropie skarbu, jak John Cruise-Wilkins, który kontynuuje wysiłki swego ojca w przeszukiwaniu granitowych jaskiń i dziur w Beau Vallon. Mauritius nie chce być w tyle i przekonuje, że skarb, owszem, istnieje, ale należy go szukać tu, a nie na Seszelach. Mój przyjaciel Alan Grihauld na Mauritiusie od kilkudziesięciu lat szuka śladów ptaka dodo i ukrytych skarbów. Ma sukcesy, wspólnie z archeologami znalazł skamieniałe szczątki wymarłego nielota, który jest symbolem wyspy. Mówi mi, że jest też na tropie pirackich skarbów. Raz wspomniał o XIX-wiecznym kościele w niewielkiej wiosce na północnym wschodzie wyspy o wymownej nazwie Poudr d'or (Złoty pył), skąd podziemny tunel ma prowadzić do wielkiej dziury u brzegu mulistej rzeczki. – W tej dziurze spoczywa skarb wart miliardy dolarów. Trzeba go tylko wydobyć – uśmiecha się Alan.

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Mat. prasowe

Rok sukcesów PKP Intercity

Mija kolejny dobry rok dla PKP Intercity. Spółka konsekwentnie realizuje największy program inwestycyjny w swojej historii i rozbudowuje ofertę połączeń krajowych oraz międzynarodowych. Doceniają to podróżni, którzy coraz chętniej korzystają z usług przewoźnika

Podczas niedawnego podsumowania trzech lat pracy resortu infrastruktury jego szef Andrzej Adamczyk mówił: – Polacy wracają na kolej. Ma to związek z coraz lepszymi warunkami podróży: inwestujemy w linie kolejowe, inwestujemy w tabor, przebudowujemy dworce. Do 2023 r. przeznaczymy na polską kolej w sumie ok. 100 mld zł.

PKP Intercity stale pracują nad tym, aby polepszać jakość świadczonych usług. Spółka realizuje obecnie największy program inwestycyjny w swojej historii. Strategia „PKP Intercity – Kolej Dużych Inwestycji" zostanie zrealizowana do 2023 r., a jej wartość to ok. 7 mld zł. Program obejmuje modernizację i zakup wagonów, lokomotyw oraz elektrycznych zespołów trakcyjnych (EZT). Część z nich będzie przystosowana do prędkości 200 km/h lub wyższej. Tylko w tym roku PKP Intercity podpisały lub rozszerzyły umowy na zakup lub unowocześnienie taboru o wartości ponad 2 mld zł.

Dla pasażerów inwestycje największego przewoźnika dalekobieżnego w Polsce to wymierne korzyści i gwarancja komfortu oraz bezpieczeństwa podróży. Po ich zakończeniu aż 80 proc. taboru PKP Intercity będzie stanowić tabor nowy lub zmodernizowany. W 94 proc. pociągów pasażerowie skorzystają z klimatyzacji, a w co najmniej 77 proc. również z bezprzewodowego internetu. Dodatkowo w każdym pociągu przewidziana jest przestrzeń przystosowana dla osób niepełnosprawnych, w tym poruszających się na wózkach, a także wydzielone miejsce na rowery.

POLACY WYBIERAJĄ PKP INTERCITY

– Polacy coraz chętniej korzystają z usług PKP Intercity. Od stycznia do końca października 2018 r. z usług PKP Intercity skorzystało ponad 38,7 mln pasażerów – podsumowuje Marek Chraniuk, prezes PKP Intercity. Tegoroczny wynik PKP Intercity to ponad 2 mln pasażerów więcej w stosunku do analogicznego okresu ubiegłego roku. Bieżący rok zapowiada się zatem bardzo dobrze, a przypomnijmy, że w ubiegłym roku spółka także odnotowała znaczny wzrost liczby pasażerów. W całym 2017 r. z usług PKP Intercity skorzystało 42,8 mln podróżnych, czyli o 4,3 mln więcej niż rok wcześniej.

CORAZ WIĘCEJ POŁĄCZEŃ

Przewoźnik odpowiada na rosnące zainteresowanie swoimi usługami i uruchamia coraz więcej połączeń. W nowym rozkładzie jazdy, który wszedł w życie 9 grudnia br., każdego dnia kursują średnio 383 pociągi, czyli o 23 więcej niż w poprzednim rozkładzie jazdy. PKP Intercity przygotowały nowe połączenia krajowe i międzynarodowe, a także więcej kursów Pendolino z Warszawy do Krakowa i Trójmiasta. Nowością jest pociąg IC Nightjet relacji Wiedeń/Budapeszt–Wrocław–Berlin, który umożliwia dzienny dojazd do Berlina oraz nocny do Wiednia, Bratysławy i Budapesztu. Dzięki niemu mieszkańcy aż sześciu województw mogą dojechać bezpośrednio do stolicy Niemiec.

eprasa.pl cf2a5688ce



Złoto wraca do łask

Fot. Shutterstock, mat. prasowe

Choć na światowych rynkach finansowych coraz więcej pieniędzy lokowane jest w akcjach, różnego rodzaju funduszach, instrumentach pochodnych czy kryptowalutach, to ostatnie miesiące pokazują, że złoto nie traci popularności. Kupują je nie tylko inwestorzy prywatni, dla których złoty kruszec był i jest jedną z metod dywersyfikacji oszczędności, lecz – co jest swoistego rodzaju nowością – także banki centralne. Rezerwy złota zwiększyły w tym roku Rosja, Chiny, Węgry, Kazachstan, Turcja, a także Polska. Narodowy Bank Polski po raz pierwszy od 20 lat kupił w lipcu, sierpniu, wrześniu i październiku łącznie 25,7 tony, zwiększając poziom rezerw do 128,64 tony.

Rosnącą popularność tego kruszcu potwierdzają dane Światowej Rady Złota, z których wynika, że wartość skupu złota przez światowe banki centralne wzrosła w trzech pierwszych kwartałach 2018 r. o prawie 17 proc. w porównaniu z zapasami z poprzedniego roku. Liderem popytu okazała się Rosja, która zwiększyła swoje złote zapasy o 92,2 tony do poziomu 2 tys. ton.

Rosnący popyt na złoto to efekt spadku zaufania do obecnego systemu finansowego opartego na wirtualnym pieniądzu czy algorytmach opracowanych przez programistów

Dziesięciokrotnie zwiększyły też rezerwy Węgry: z 3,1 do 31,5 tony. Szef Narodowego Banku Węgier Gyorgy Matolcsy na konferencji prasowej w październiku wyjaśnił, że „jest to inwestycja w bezpieczeństwo finansowe kraju".

Kiedy się analizuje ceny złota w ciągu ostatnich 10 lat, widać jedno: ci, którzy je kupują, może nie mogą się pochwalić wielkimi zyskami, ale wartość kruszcu rośnie: w 2009 r. uncja kosztowała 800–1000 dolarów, natomiast obecnie jest to ok. 1248 dolarów.

– Warto zwrócić uwagę, że od sierpnia ceny złota zwyżkują. O ile przez większość 2018 r. poruszało się ono praktycznie wprost za dolarem – amerykańska waluta zyskiwała, a złoto traciło – o tyle przez ostatnie tygodnie trend się odwrócił – powiedział Rafał Sadoch, analityk mBanku.

NA TRUDNE CZASY

To nic dziwnego. W czasach rosnących zagrożeń geopolitycznych czy gospodarczych złoto zawsze wracało do łask.

eprasa.pl cf2a5688ce

Tak było np. podczas ostatniego kryzysu finansowego, gdy cena uncji złota wzrosła z 800 dolarów w 2009 r. do 1900 dol. w 2011 r. Teraz też w miarę, jak przybywa informacji o nadchodzącym spowolnieniu gospodarczym, a także postępującej destrukcji Unii Europejskiej (brexit, zmierzch rządów Angeli Merkel, protest „żółtych kamizelek" we Francji), coraz więcej inwestorów i banków centralnych zwraca się ku złotemu kruszcowi. Tak jakby doszli do wniosku, że możliwość pobudzania wzrostu gospodarczego luzowaniem stóp procentowych, dodrukiem pieniędzy czy inwestowaniem w mniej lub bardziej alternatywne instrumenty doszła do ściany.

Okazuje się po raz kolejny w historii, że wobec istniejącej światowej nierównowagi, zmienności na rynku pieniężnym i grożących w tych warunkach gwałtownych kryzysów realne posiadanie deklarowanej ilości złota w rezerwach jest gwarancją wiarygodności walut, zwłaszcza w krajach rozwijających się czy spoza strefy euro. Powodów, dla których banki tych krajów nabywają złoto, jest kilka, ale zdecydowanie najważniejszymi z nich jest ochrona przed ekspozycją na dolara.

Dolar, po uwolnieniu w 1971 r. przez prezydenta Richarda Nixona od pokrycia w złocie, stał się najważniejszą walutą świata jako waluta rezerwowa i transakcyjna i jak dotąd nie ma konkurenta, który mógłby przejąć jego pozycję. Czołowa pozycja dolara na pewno ma jednak związek z tym, że amerykańskie rezerwy złota są – oficjalnie – największe, zarówno bezwzględnie, jak i względnie, w stosunku do ewentualnych konkurentów.

Patrząc na dane pokazujące, jakie rezerwy złota mają poszczególne kraje, wyraźnie widać, że liderem są Stany Zjednoczone, które według danych Światowej Rady Złota zgromadziły ponad 8 tys. ton. Te zapasy utrzymują się na niezmienionym poziomie od 2004 r. Potem są Niemcy (3,3 tys. tony), Włochy i Francja (po 2,4 tys. tony). Duże zapasy (2,8 tys. tony) zgromadził też Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Dostępne dane obejmują zarówno złoto w sztabach, złote monety, jak i złoto, które oficjalnie zaksięgowane jest w bilansie danego banku centralnego lub leasingowane, czy też zamienione przez transakcje swap na inne aktywa.

POLSKIE ZŁOTO NA OBCZYŹNIE

A teraz wracając do polskiego złota. NBP nie udziela oficjalnych informacji na temat ostatnich zakupów. Dokładnie nie wiadomo, ile kupił, gdzie i za ile. Jednak z opublikowanych 7 grudnia danych o oficjalnych aktywach wynika, że na koniec listopada wartość złota w oficjalnych rezerwach NBP wyniosła 5047,4 mln dolarów. Niemal całe swoje rezerwy złota NBP przechowuje w skarbcu Banku Anglii. I na razie nie można liczyć na to, że ten stan rzeczy ulegnie zmianie. Swoją decyzję, nieco dziwną w obliczu brexitu, NBP

REKLAMA



5/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce





tłumaczy kwestiami praktycznymi. To właśnie w Londynie znajdują się główne centra handlujące tym surowcem. Dzięki temu możliwości inwestowania i obrotu złotem są tam zdecydowanie większe i tańsze, niż gdyby je przechowywać w Polsce.

„Utrzymywanie złota w Londynie, będącym głównym centrum obrotu tym kruszcem, zwiększa elastyczność zarządzania zasobami, ułatwiając rozliczanie transakcji związanych z jego fizyczną dostawą i pozwalając uniknąć kosztów transportu i ubezpieczenia. Ponadto utrzymywanie złota w Bank of England warunkuje jego szybkie, pozbawione ograniczeń logistycznych wykorzystanie w warunkach kryzysowych, w tym przykładowo jako zabezpieczenie ewentualnych zobowiązań finansowych" – tłumaczył wiceminister finansów Leszek Skiba. Wyliczył też, że w 2016 r. przychody z inwestowania złota na rynkach finansowych wyniosły 29,8 mln zł, natomiast koszty jego utrzymywania w Bank of England (w tym koszty transakcyjne) 0,08 mln zł. Dla porównania w 2015 r. przychody były na poziomie 28,7 mln zł, w 2014 r. 15,8 mln zł, natomiast koszty w 2015 r. wyniosły 0,04 mln zł, a w 2014 r. 0,18 mln zł.

> Narodowy Bank Polski po raz pierwszy od 20 lat kupił w lipcu, sierpniu, wrześniu i październiku łącznie 25,7 tony złota, zwiększając poziom rezerw do 128,64 tony

W podziemiach Banku Anglii swoje rezerwy złota trzyma 60 państw. Jednak kilka z nich w tym roku postanowiło sprowadzić złoto do siebie. Taką decyzję podjęły m.in. Węgry, a także centralne banki Austrii czy Niemiec. Czy Polska też wpisze się w ten zmieniający się trend? Na razie nie wiadomo. Być może nieco więcej światła na to, co się stanie z polskim złotem, rzuci publikacja rocznego sprawozdania NBP, której należy spodziewać w pierwszym kwartale 2019 r.

SKARB II RZECZYPOSPOLITEJ

Pisząc o cennym kruszcu, warto wspomnieć o historii polskiego złota przed II wojną światową. Otóż w dniu wybuchu wojny złote rezerwy warte były 463,6 mln zł (ok. 95 ton), czyli ok. 87 mln ówczesnych dolarów amerykańskich. Ok. 20 ton wartości ponad 100 mln zł zdeponowane było za granicą, głównie we Francji, Anglii, Szwajcarii i USA. Większość znajdowała się jednak w Polsce. Złoto wartości 193 mln zł (ok. 38 ton) przechowywano w skarbcu w Warszawie, zaś sztaby warte 170 mln zł (37 ton) spoczywały w oddziałach w Brześciu, Lublinie, Siedlcach i Zamościu.

Po wybuchu wojny postanowiono zgromadzone w Polsce złoto wywieźć za granicę. Z publikacji „Wojenne losy polskiego złota" dr. hab. Janusza Wróbla z łódzkiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej wynika, że 13 września w Śniatyniu przy granicy z Rumunią zebrano ok. 75 ton kruszcu, a 3,8 tony złota wartości ponad 22 mln zł, pozostawiono w Dubnie do dyspozycji rządu polskiego. W nocy z 13 na 14 września złoto załadowano do dziewięciu wagonów towarowych, które ruszyły w kierunku Konstancy. Potem, by złoto uratować przed Niemcami, którzy wpadli na jego trop i zażądali jego wydania, skrzynie z cennym kruszcem przeładowano na statek płynący do Stambułu. Na początku października 1939 r. skarb Rzeczypospolitej przewieziono do Nevers nad Loarą w środkowej Francji, gdzie spoczął w podziemnym skarbcu tamtejszego oddziału Banku Francji. Jednak, gdy w 1940 r. okazało się, że Francuzi przegrywają wojnę, skrzynie wydobyto ze skarbca w Nevers i znowu załadowano do wagonów towarowych, a potem na statek. W efekcie po kilku tygodniach złoto trafiło do Dakaru, a następnie, już transportem lądowym, do miasteczka Kayes, gdzie złożono je w budynku administracyjnym przy dworcu kolejowym. Po czterech latach złoto wróciło do prawowitych właścicieli, a rząd na uchodźstwie zdecydował, żeby skarb Banku Polskiego podzielić na trzy części i rozlokować w Nowym Jorku, Ottawie i Londynie. Sęk jednak w tym, że dokładnie nie wiadomo, jak skarb Banku Polskiego został podzielony i co się z nim tak naprawdę stało. Z wiarygodnych źródeł wynika, że większość tego złota w sztabach i monetach nie powróciła nigdy do Polski. Pozostała w bankach zachodnich, aby jego równowartość w różnych formach służyła odbudowie zrujnowanego wojną kraju. Natomiast 11 ton złota zatrzymała Wielka Brytania jako „pokrycie wydatków łożonych przez nią podczas wojny na cywilne potrzeby polskiego kraju". Wiadomo też, że ok. 10 proc. skarbu II Rzeczypospolitej za pomocą różnych operacji przejęli komuniści na rzecz skarbu państwa. Nie wiadomo też, co się stało z 20 tonami złota Banku Polskiego, które znajdowało się w depozytach zagranicznych przed wybuchem II wojny światowej.

Historia polskiego złota pokazuje jedno: deponowanie go za granicą nie jest wcale bezpieczne.

Jadwiga Marcińska

eprasa.pl cf2a5688ce

T-Mobile rusza z 5G!

T-Mobile Polska uruchomił pierwszą w Polsce w pełni funkcjonalną sieć mobilną piątej generacji. Jej zasięg obecnie dostępny jest w centrum Warszawy, jednak z czasem będzie on rozszerzany na kolejne lokalizacje i miasta, by docelowo objąć cały kraj. Może pomóc Polsce wejść na zupełnie nowy poziom konkurencyjności technologicznej, ale najpierw trzeba zrozumieć korzyści, jakie z sobą niesie. Jak podkreśla Timotheus Höttges, dyrektor generalny Deutsche Telekom, niemieckiego giganta telekomunikacyjnego, Polacy mają szansę stać się liderem w Europie we wprowadzaniu technologii 5G

Problemy, jakie rozwiązuje sieć 5G, to zdjęcie barier istniejących przed technologicznym skokiem cywilizacyjnym, który zbliża się wielkimi krokami, lecz możliwości sieci 4G dla wszystkich nowych i innowacyjnych technologii uniemożliwiają ich rozkwit.

– Czym jest 5G? Bez fałszywej skromności trzeba powiedzieć, że technologia 5G to prawdziwa rewolucja. 5G odmieni funkcjonowanie społeczeństwa, biznesu, odmieni świat. To będą drzwi do niesamowitego rozwoju dla medycyny, przemysłu motoryzacyjnego i wielu innych – mówi Andreas Maierhofer, prezes T-Mobile Polska. – Jako T-Mobile Polska chcemy pokazać się jako najwięksi innowatorzy – dodaje.

5G znajdzie szerokie zastosowanie w monitoringu stanu zdrowia i telemedycynie w ogóle, w rolnictwie, w przemyśle i na rynku pracy, gdzie automatyzacja procesów wytwarzania pozwoli na utworzenie prawdziwie inteligentnych fabryk, płynnie reagujących na zmiany popytu lub cen surowców i współpracujących z sobą w sposób automatyczny. Z drugiej strony umożliwi powstanie nowych miejsc pracy dla fachowców. Sieć 5G to także nowe perspektywy rozwoju smart cities, gdzie np. sieć miniaturowych czujników wbudowanych we wszystkie elementy miejskiej infrastruktury pomoże kontrolować ruch uliczny, wywóz nieczystości, ale także ułatwi zarządzanie obłożeniem miejsc parkingowych czy przyniesie realne oszczędności dzięki zastosowaniu inteligentnego oświetlenia ulicznego.

– To jest bardzo ważny moment, żebyśmy mieli takie spektakularne porozumienie testowe ws. 5G. Chcemy jako Polska być miejscem, w którym ta technologia nie tylko będzie wdrażana w pierwszej kolejności w Europie. My chcemy mieć gospodarkę, która jest nowoczesna, która będzie w jak największym stopniu korzystała z tego paliwa, jakim są dane w dzisiejszym świecie – mówił podczas ceremonii minister cyfryzacji Marek Zagórski. – Chcemy być liderem gospodarki i przemysłu opartego o dane gospodarki plus lub – jak niektórzy mówią – gospodarki 4.0. 5G jest jednym z warunków koniecznych do tego, żebyśmy w tym wyścigu o palmę pierwszeństwa w Europie mogli się naprawdę liczyć. W jak najszybszym tempie powinniśmy mieć w Polsce 5G funkcjonujące nie tylko testowo. Wierzymy, że dzięki takim inwestycjom jak m.in. T-Mobile, będziemy mieli sieć 5G jeszcze szybciej – mówił minister Zagórski.



631118/F

Ministerstwo Cyfryzacji przygotowuje w tej chwili regulacje prawne i organizacyjne, które pozwolą zgodnie z planem mieć w pełni funkcjonującą sieć 5G w największych miastach w Polsce najpóźniej do 2025 r.

Możliwości, jakie oferuje sieć 5G, każdy z nas może sprawdzić w centrum Warszawy, gdzie powstało multimedialne centrum #5G_LAB, w którym wszyscy mogą się dowiedzieć i osobiście poczuć, w jaki sposób ta technologia zmieni nasze życie. Dzięki zastosowaniu najnowszych technologii, takich jak wirtualna i rozszerzona rzeczywistość oraz 3D mapping.

W dniu uruchomienia na sieć 5G T-Mobile składa się pięć stacji bazowych, nadających sygnał dostępny w centrum Warszawy. Na każdej stacji uruchomiony został system 5G w paśmie 3,5 GHz o szerokości kanału 100 MHz.

Zgodnie z rocznym podsumowaniem opublikowanym na stronie Speedtest.pl T-Mobile zajął pierwsze miejsce w dwóch kategoriach internetu mobilnego: ogólnej (3G/LTE) oraz w obszarze technologii LTE. T-Mobile uzyskał łącznie 876 punktów, wygrywając pod względem jakości połączeń głosowych oraz usług transmisji danych, także najlepszego streamingu wideo. Są spore szanse, że w Polsce pierwsza funkcjonująca sieć 5G będzie w kolorze magenta.

Maksymilian Wysocki

eprasa.pl cf2a5688ce

Wzloty i upadki Bartosza Kurka

Jeśli nie zostanie uznany za najlepszego polskiego sportowca 2018 r., to będzie sensacja. Reprezentacja siatkarzy w fenomenalnym stylu obroniła mistrzostwo świata, a za najlepszego gracza turnieju uznano Bartosza Kurka. Przecież siatkówka, obok piłki nożnej i skoków narciarskich, należy do trzech polskich dyscyplin narodowych. A historia Kurka to scenariusz dla najlepszych filmów o sportowcach, którzy spadali na samo dno, aby wdrapać się na szczyt. Siatkarski Rocky? Takie porównanie nie jest żadną przesadą

Fot. Sylwia Dąbrowa/Polska Press



CEZARY KOWALSKI

Mistrzostwa w Bułgarii i we Włoszech (turniej rozgrywano w obu tych krajach), w których drugi raz z rzędu sięgnęliśmy po złoto, były dla Polski jak sen. Co prawda jechaliśmy na nie jako obrońcy trofeum, ale drużyna była już zupełnie inna. Odeszli kluczowi gracze: Mariusz Wlazły, Paweł Zagumny, Michał Winiarski. Siatkarze byli po nieudanych eliminacjach do igrzysk olimpijskich czy mistrzostw Europy w Polsce. Wciąż zmieniali się trenerzy. Drużyna pokiereszowana. Potencjał ogromny, ale...

Początek był dobry, jednak potem zaczęły się schody. Dopiero od meczu z Serbią, jak Polacy odpalili, to nie było z rywali co zbierać. Nikt nie mógł uwierzyć, że aż tak dobrze nam idzie. Narodziliśmy się na nowo. A Kurek, który przed poprzednim mundialem w Polsce został uznany dopiero za piątego zawodnika na swojej pozycji i sensacyjnie nie zmieścił się w tamtej złotej ekipie, był prawdziwym siatkarskim kilerem. Z zimną krwią wykańczał Serbów, Amerykanów i Brazylijczyków w wielkim finale. To było jak zmartwychwstanie. Wydźwignięcie się z dołka na sam światowy szczyt i odegranie kluczowej

eprasa.pl cf2a5688ce

roli w tym triumfie, przez wielu odbieranym w kategoriach cudu.

A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

Bartek wypłynął na szerokie wody w 2009 r., kiedy polska drużyna pod wodzą Daniela Castellaniego zdobyła w Turcji mistrzostwo Europy. MVP turnieju został Piotr Gruszka, ale opinie były mocno podzielone, wielu twierdziło, że to właśnie Bartkowi należała się ta nagroda. Uznano go za cudowne dziecko polskiej siatkówki, naszą gwiazdę na lata. W 2012 r. Polacy wygrali Ligę Światową i jechali na igrzyska olimpijskie w roli faworyta. Kurka porównywano do znakomitego Amerykanina Matthew Andersona. Wzbił się niezwykle wysoko. Zdaniem fachowców zrobił największy skok jakościowy, największy postęp, niesamowicie dojrzał i wykorzystał swoje szanse. Miał 24 lata. Wcześniej było nie do pomyślenia, aby w ogólnopolskich reklamach prezentowanych w telewizji w najdroższym czasie antenowym polecał coś sportowiec (wyjątkiem był Adam Małysz), a przecież Polakom co chwila wyskakiwał z okienka Bartosz Kurek, który prezentował z bratem serki. Powoli stawał się kimś rozpoznawalnym, wykraczającym poza siatkówkę. Autentycznym idolem.

Zaczynał grać w polskiej lidze w Nysie u boku ojca, w wieku 16 lat. Później w Bełchatowie przez kilka sezonów wygrał praktycznie wszystko, dobrze grał w klubowych mistrzostwach świata. Trenerem reprezentacji był Andrea Anastasi, który traktował Bartka jako absolutną jedynkę w składzie.

W 2012 r. w plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na najlepszego sportowca zajął drugie miejsce. Mimo że to był rok olimpijski, a siatkarze nic na tych igrzyskach nie wygrali. Po drodze były jednak inne świetne występy, wygrana Liga Światowa. To był jego pierwszy szczyt, miał świat u swoich stóp.

Psuć się zaczęło z chwilą, kiedy wyjechał za granicę. Rosja mu się nie udała. Trafił tam do bardzo dobrego i bogatego klubu – Dynamo Moskwa – ale wciąż doznawał kontuzji. Ani pracodawcy nie byli zadowoleni z niego, ani on z miejsca pracy. Później był dwa lata we Włoszech. Lube Banca Macerata jest – jak Real Madryt w piłce nożnej – jednym z najlepszych klubów na świecie. Zdobył mistrzostwo Włoch, ale czy może uznać ten czas za sportowy sukces? Raczej nie. Raz grał, raz nie grał. Wrócił do Polski do Resovii, wywalczył wicemistrzostwo Polski po porażce ze Skrą Bełchatów. Umowę z japońskim Thunders Hiroszima zerwał przed startem sezonu, na który ją podpisał. Do końca nie było wiadomo z jakiego powodu, plotkowano o stanach depresyjnych. Zawodnik wydał nawet oświadczenie, że zawiesza swoją karierę: „Zmęczenie skumulowane przez wiele lat ciągłego grania zaowocowało ogólnym osłabieniem organizmu i wypaleniem mentalnym. W efekcie straciłem coś, co zawsze mną kierowało, czyli pasję i chęć do grania..." – napisał.

W międzyczasie zrezygnował z niego Stephane Antiga, który szykował kadrę na mundial w Polsce w 2014 r. Decyzja francuskiego selekcjonera wobec wcześniejszych dokonań Kurka i jego pozycji w polskiej siatkówce była szokująca, przecież jeszcze rok wcześniej podczas co prawda nieudanych mistrzostw Europy Bartek był naszym najlepszym zawodnikiem. Ale przestała być podważana w momencie, kiedy zdobyliśmy mistrzostwo świata. Wersje takiej decyzji trenera są dwie. Jedna głosi, że podczas memoriału Huberta Wagnera w Krakowie, który był ostatnim etapem przygotowań do mundialu, Bartek nie najlepiej funkcjonował w grupie. Do tego był w nie najlepszej dyspozycji sportowej. Nie za bardzo umiał się uporać z własnymi problemami, zachował się nieodpowiednio (rzucił ręcznikiem, wyszedł z treningu?). W końcu Antiga zaprosił go na rozmowę do swojego pokoju. W jej trakcie zawodnik miał trzasnąć drzwiami i w ostrych słowach zakomunikować, że nigdy już u Francuza nie zagra.

Wersja druga głosi, że żadnego trzaskania drzwiami nie było. Po prostu Antiga poinformował gracza, że go nie widzi w drużynie na polskie mistrzostwa, bo w jego rankingu na pozycji przyjmującego (wówczas właśnie na niej grał Bartek) jest aż czterech zawodników plasujących się od niego wyżej. Tak czy inaczej cztery lata po tym, jak był noszony na rękach, znalazł się na poważnym zakręcie.

Wpłynęły na to złe wybory, które podejmował. Owszem, wybierał kluby z dużymi pieniędzmi, ale z różnych powodów nie pozwalały mu one wzbić się na poziom, jaki był w stanie osiągać. Kiedy tuż przed ostatnimi mistrzostwami postawił na turecki Ziraat Bankasi, wydawało się, że dla reprezentacji jest już bezpowrotnie stracony i nigdy nie poleci tak wysoko jak w 2009 czy 2012 r.

Fachowcy podkreślają, że nie pomagały mu też ciągłe zmiany pozycji, na jakich widzieli go kolejni trenerzy w różnych klubach czy okresach reprezentacji – od przyjmującego po atakującego. Brak stabilizacji w życiu prywatnym to kolejna z przyczyn, kto wie, może najważniejsza. Pamiętać też trzeba o kontuzjach, które potrafiły spowolnić jego karierę w ważnych momentach. Bywały też chwile, jak podczas Pucharu Świata w 2015 r. czy igrzysk olimpijskich w 2016 r. (jednak wrócił do Antigi), gdzie grał bardzo przyzwoicie, ale w związku z tym, że drużyna zawodziła, jego występy nie zostały docenione. Długo nie był w stanie trafić na odpowiedni czas i odpowiednie miejsce.

POWRÓT NA SZCZYT

Wtajemniczeni twierdzą, że aż tak udany powrót Bartka jest związany z tym, że wreszcie ułożył sobie życie prywatne. Jest szczęśliwy, zaręczony z siatkarką reprezentacji Polski Anną Grejman. Zaufał mu też belgijski selekcjoner Vital Heynen. Miał powiedzieć, że będzie u niego grał, choćby dach walił się na głowę. Ważne jest również to, że jednoznacznie określił pozycję siatkarza. Widział go tylko w roli atakującego. Indywidualnie Heynen poświęcał mu mnóstwo uwagi i czasu. Podczas jednego z treningów asystent selekcjonera Paweł Woicki wystawiał Bartkowi piłki, a ten bez przerwy przez półtorej godziny uderzał je w kosz ustawiany w różnych miejscach. Wyglądało to tak, jakby wbijał gwoździe ogromnym młotkiem.

Nie zawsze mieścił się w pierwszym składzie w kolejnych mniej ważnych meczach, ale gdzieś obok szykował się, aby te gwoździe wbijać już na mundialu. Niuansem nie przez wszystkich zauważonym było też to, że trener nie wymagał od Kurka bycia liderem. To nie było tak,

eprasa.pl cf2a5688ce

że cały ciężar spoczywał na jego barkach. Ujął mu nieco tej odpowiedzialności na rzecz Michała Kubiaka. I oto nagle zawodnik, który momentami sam przestawał wierzyć w swoje możliwości, przeszedł zdumiewającą metamorfozę. I, co najważniejsze, wrócił na szczyt światowej siatkówki. Rola Belga w tej odbudowie jest nie do przecenienia.

Jaki jest Bartosz Kurek? Trochę zamknięty w sobie. Trochę obok grupy, żyje w swoim świecie, ma swoje własne zdanie, przekonanie o tym, co powinien robić. Na mistrzostwach świata zachował się znakomicie. Odbierając wyróżnienie dla najlepszego zawodnika świata, od razu powiedział, że jest to nagroda dla drużyny, a nie dla niego. Podkreślił wartość chłopaków, którzy obok niego stali, i dodał, że bez nich tej nagrody by nie było. I nie był to tylko pusty gest.

Relacje z mediami ma poprawne. Ale nie jest ich ulubieńcem. Trudno od niego wyciągnąć coś oryginalnego, zaskakującego, choć potrafi być szczery i jednak jakieś emocje oddawać, jak choćby podczas rozmowy zaraz po przegranych mistrzostwach Europy w Polsce w 2017 r., kiedy ze łzami w oczach zastanawiał się, czy jest jeszcze w stanie dać coś reprezentacji. Nie jest skandalistą, nie jest tak wyrazisty jak choćby Fabian Drzyzga. Trudno sobie przypomnieć, aby udzielił jakiejś kontrowersyjnej wypowiedzi nawet wówczas, kiedy Stephane Antiga wyrzucił go z reprezentacji.

Z drugiej strony to stuprocentowy profesjonalista, niezwykle oddany siatkówce. Trudno wskazać w tej dyscyplinie kogoś bardziej pracowitego.

À propos komentarzy, które pojawiały się na jego temat przed mistrzostwami w 2018 r. Pisano, że jest zmęczony, wypalony, słaby psychicznie, bez przyszłości. Odpowiedział na to tak: „Proszę nie oceniać, bo żeby kogoś jednoznacznie ocenić, to trzeba w jego butach trochę przejść, aby go zrozumieć".

Tajemnicą poliszynela w środowisku siatkarskim są jego wcześniejsze nieudane związki, które zżerały go psychicznie. Ale w momencie, kiedy był już w stanie skoncentrować się wyłącznie na sporcie, uwolnić się od problemów, pokazał, że mając wielki talent, można błyskawicznie wskoczyć na poziom, jakiego wszyscy od niego oczekiwali.

PECH GO NIE OPUSZCZA

Kurek ma 30 lat i przed sobą przynajmniej cztery, pięć lat grania na najwyższym poziomie. Ale te wzloty i upadki wydają się nie mieć końca, a to, co zdarzyło się w ostatnich tygodniach w jego karierze klubowej, jest jakby kwintesencją całej jego kariery. Po fenomenalnych mistrzostwach świata podpisał intratny kontrakt ze Stocznią Szczecin, aby być jak najbliżej ukochanej, która grała w Chemiku Police. 1,5 mln zł to godne pieniądze dla zawodnika tej klasy, choć jest oczywiste, że mógłby zarobić gdzieś więcej. Wszystko jednak wreszcie zaczęło się układać po jego myśli, sielanka rodzinna i zawodowa, koniec międzynarodowej tułaczki. I co się stało? Nie otrzymał nawet jednej wypłaty, gdyż okazało się, że klub jest bankrutem (wycofał się sponsor) i znów w połowie sezonu znalazł się na lodzie. Zawodnik tej klasy nie może sobie pozwolić na pół roku bez gry. Znów pojawiły się znaki zapytania, którą ofertę wybrać, gdzie się przeprowadzić, co zrobić, aby być blisko Anny.

Wybrał Warszawę, czyli na pewno nie najsilniejszy ostatnio punkt na siatkarskiej mapie Polski. Zespół Onico (dawniej Politechnika) planuje jednak stworzenie w stolicy klubu z prawdziwego zdarzenia, a Bartek ma w tym pomóc. O skali popularności tego sportowca w Polsce świadczy sprzedaż w biletów w serwisie e-Bilet. W ciągu dwóch minut od pojawienia się informacji na Twitterze o tym, że Bartosz Kurek zagra w Warszawie, sprzedano sto biletów na mecz Onico z przeciętnym rywalem ligowym Indykpolem Olsztyn w środku tygodnia. Nikt nie ma wątpliwości, że teraz świecąca często pustkami hala warszawskiego Torwaru będzie się wypełniać kibicami siatkówki. Możliwość oglądania najlepszego zawodnika mistrzostw świata to przecież gratka także dla wymagającej publiczności w mieście, gdzie ludzi na sportowe widowiska jest trudniej wyciągnąć z domu niż gdziekolwiek indziej.

Tak naprawdę nie wiadomo jednak, co będzie na koniec sezonu. Jego kontrakt obowiązuje tylko przez kilka miesięcy, na pewno w walkę o jego zatrudnienie włączy się wiele klubów. A może zostanie w Warszawie, by lecieć wysoko pod wodzą tego, który kiedyś brutalnie podciął mu skrzydła? Bo, aby dodać więcej pikanterii w tej historii pełnej zwrotów akcji tego niebanalnego sportowca, trenerem Onico jest Stephane Antiga. Podobno relacje między nimi są już dobre. Nie ma już o co kruszyć kopii. Co prawda nie wspólnie, ale obaj przecież przyczynili się do zdobycia tytułów mistrzów świata dla Polski.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

Bartosz Kurek dla „Sieci"

Jak to możliwe, że po niepowodzeniach z Argentyną i Francją z dnia na dzień byliście w stanie wznieść się na tak wysoki poziom podczas meczu z Serbią w Warnie?

Bartosz Kurek: Myślę, że cała nasza grupa wiedziała, na czym stoimy i co się musi wydarzyć w tym meczu, abyśmy awansowali. Mieliśmy jeden cel, byliśmy odpowiednio przygotowani do tego, żeby zagrać na najwyższym poziomie, i bardzo nie chcieliśmy zawieść samych siebie, bo dla nas brak awansu do czołowej „szóstki" byłby sporym rozczarowaniem. Myślę, że zjednoczeni i maksymalnie zmobilizowani pokazaliśmy naszą najlepszą siatkówkę i od tego mementu zdaliśmy sobie sprawę, na co nas tak naprawdę stać na tym turnieju.

Co jest największym atutem belgijskiego szkoleniowca?

Szczerość, ciężka praca, wiedza i nieustępliwość w realizowaniu swojego planu. Można liczyć na pomoc trenera w każdej sytuacji czy to boiskowej, czy też poza nim. Dodatkowo sprawił, że ta drużyna chciała spędzać czas razem i treningi, mimo że często bardzo wyczerpujące, były dla nas przede wszystkim przyjemnością i najlepszą drogą do samodoskonalenia.

eprasa.pl cf2a5688ce

Pożyczka szyta na miarę

Pożyczki unijne uzupełniły ofertę komercyjną, a wyróżnia je to, że po ich spłacie można znowu sięgnąć po te same środki. Mogą z nich skorzystać mikro, małe i średnie firmy – te obecne na rynku i nowe, stawiające pierwsze kroki w biznesie. Rozbudowa firmy, poprawa efektywności czy wdrożenie innowacji – to nie wszystko, na co przedsiębiorca może otrzymać środki. Tak bogata oferta jest również dla osób niepracujących i nieaktywnych zawodowo, które dzięki otrzymanemu wsparciu mogą realizować biznesowy plan. Z finansowania mogą skorzystać także wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe, JST czy TBS-y, które dzięki środkom mogą zmodernizować nieruchomość. Dlaczego warto sięgnąć po unijną pożyczkę?

Przedsiębiorstwo nieustannie ma potrzeby inwestycyjne – wydatki na rozwój, modernizację, innowacje... Powodów jest wiele, kosztów – jeszcze więcej. Z pomocą przychodzi unijna pożyczka udzielana w piętnastu województwach z Regionalnych Programów Operacyjnych 2014-2020. Dzięki niej przedsiębiorcy mogą sfinansować m.in. zakup maszyn i wyposażenie pomieszczeń, wprowadzać nowe produkty. To nie wszystko. Pieniądze wykorzystać mogą też na poprawę efektywności energetycznej i termomodernizację firmy.

POŻYCZKA DLA INNOWACYJNYCH FIRM

Firmy, których core biznesu bazuje na innowacyjności, dzięki pożyczce unijnej mogą m.in. ulepszyć swój pomysł, wprowadzić nowe produkty na rynek czy wdrożyć innowacje. Bardzo szeroki zakres inwestycji pozwala mikroprzedsiębiorstwom i start-upom powiększyć skalę działalności i budować rynkową pozycję.

POŻYCZKA NA ZAŁOŻENIE FIRMY

Brakuje ci środków na rozwój biznesu? Teraz pożyczka unijna dostępna jest także dla osób niepracujących, które skończyły 29 lat i planują założenie własnej firmy. Środki pozwolą pokryć koszty związane z rozpoczęciem działalności gospodarczej, a wsparcie na start dostępne jest na bardzo atrakcyjnych warunkach. W zależności od województwa, w którym jest ono udzielane, jego wysokość waha się od 70 do 100 tys. zł. Niemała kwota, a pokrywa wiele potrzeb stawiającego pierwsze kroki przedsiębiorcy. Co ważne, oprocentowanie pożyczki jest stałe, niezależne od kwoty, o jaką ubiega się wnioskodawca.

WYSOKIE OPŁATY ZA OGRZEWANIE?

Starsze budynki potrzebują często kompleksowych i kosztownych inwestycji remontowych, które wymagają dofinansowania. Trwający okres grzewczy i rosnące opłaty za energię utrudniają podjęcie decyzji o dodatkowym finansowaniu. Czy jest zatem jakiś inny sposób, aby wyremontować stare budynki, nie zadłużając wspólnoty czy spółdzielni? Pomoże w tym pożyczka na termomodernizację i poprawę efektywności dla wspólnot i spółdzielni mieszkaniowych, JST i TBS-ów. Pożyczka finansowana jest ze środków unijnych przez BGK, a wynieść może aż 5 mln zł w zależności od rodzaju inwestycji i audytu energetycznego. Dodatkowo wspólnota lub spółdzielnia nie ponosi żadnych opłat i prowizji za jej udzielenie. Wsparcie można wykorzystać m.in. na ocieplenie ścian i stropów, wymianę stolarki, unowocześnienie systemów grzewczych czy instalację energooszczędnych rozwiązań.

PROSTE I PRZEJRZYSTE WARUNKI

Pożyczka unijna to odpowiedź na nie zawsze atrakcyjne kredyty, krótki okres spłaty i duże odsetki. Co odróżnia ten produkt od innych na rynku? Przede wszystkim niskie, stałe oprocentowanie (niższe niż oferowane na rynku przez instytucje komercyjne) czy kwota finansowania – nawet 5 mln zł w zależności od rodzaju pożyczki (kwota finansowania do 15 mln dla pożyczki rewitalizacyjnej). Do tego długi okres spłaty, który wynosić może nawet 20 lat, karencja do 36 miesięcy oraz brak opłat i prowizji za udzielenie wsparcia. Co ważne, środki mają szansę otrzymać również firmy, które z różnych powodów mają utrudniony dostęp do finansowania komercyjnego.

POŻYCZKA UNIJNA W KILKU KROKACH

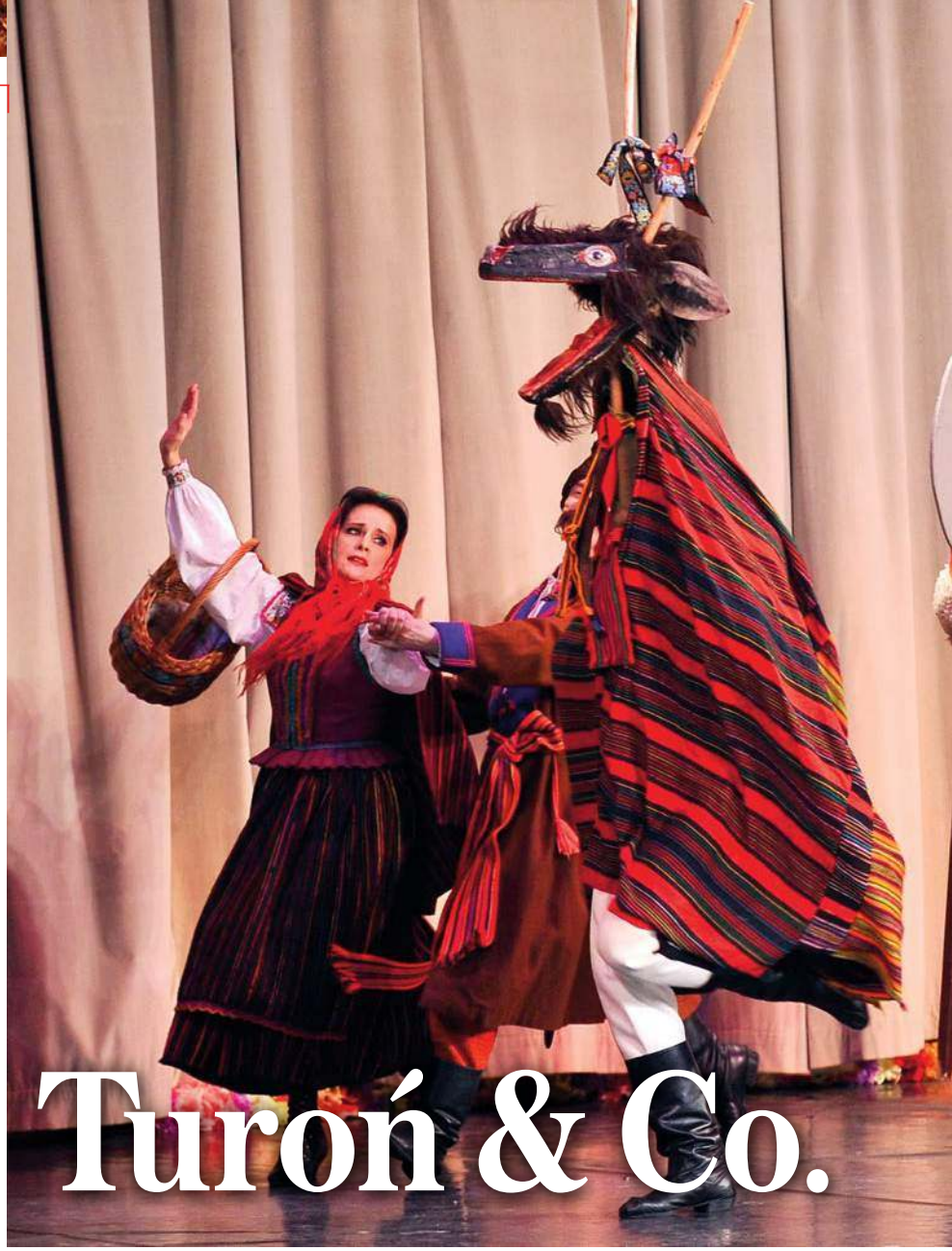
Otrzymanie pożyczki przebiega na prostych i przyjaznych zasadach. Aby ją uzyskać, zgłoś się do wybranej instytucji finansującej, współpracującej z BGK, która przeprowadzi przez cały proces uzyskania wsparcia. Aby uzyskać komplet informacji oraz wsparcie przy wypełnianiu wniosku, wystarczy skontaktować się bezpośrednio z instytucjami finansującymi w danym województwie. Więcej informacji o produktach oferowanych na terenie województw: **rpo.bgk.pl**.

Artykuł sponsorowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Przyznanie pożyczki uzależnione jest od analizy ryzyka działalności przedsiębiorcy. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego

200818/F

Fundusze Europejskie Program Regionalny
Rzeczpospolita Polska
BGK Bank Gospodarstwa Krajowego
Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne
Projekt współfinansowany z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego oraz Europejskiego Funduszu Społecznego

eprasa.pl cf2a5688ce



Turoń & Co.

Turoń z orszaku kolędników ma braci bliźniaków. Rozsiane po całym świecie rodzeństwo kłapiących paszczą bożonarodzeniowych potworków zmusza do zadania pytania o głębię korzeni obrzędu. Próbując udzielić na nie odpowiedzi, konieczne jest przekroczenie ram wyznaczonych folklorem i zgłębienie archetypów wspólnych dla całej ludzkości



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

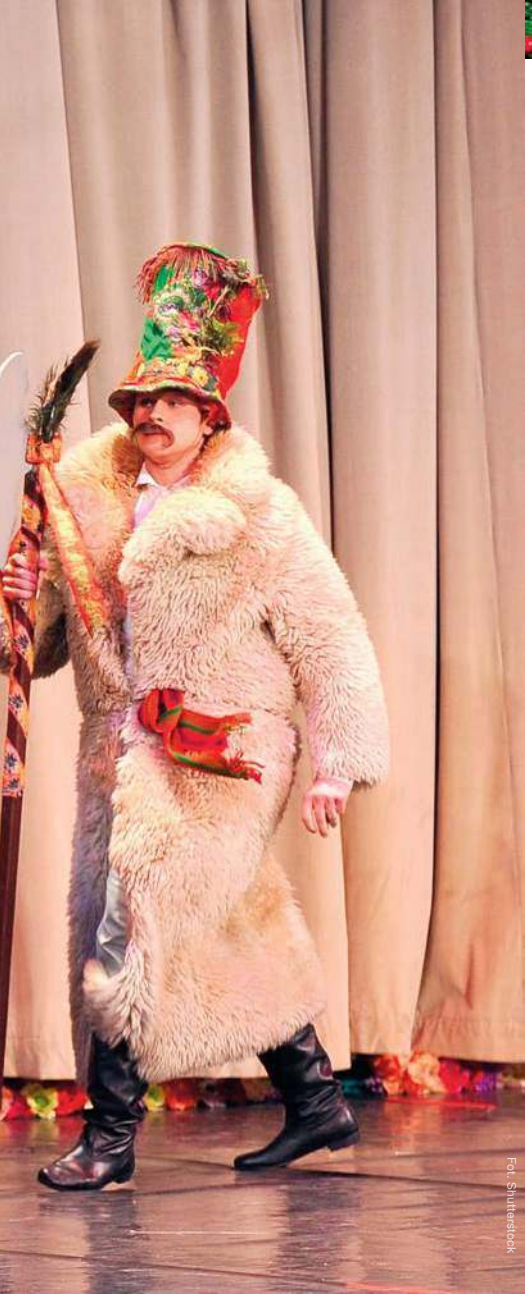
Odkrywanie kolejnych turoniopodobnych istot w orszakach, festiwalach i zwyczajach odległych od siebie kultur powoduje nieokreślony dreszcz. Najbliższym krewnym turonia jest Cerbul z rumuńskiej wioski Corlata. Jeżeli zdziwienie wynikające z podobieństwa do turonia budzi kolejny świąteczny stwór Mari Lwyd z Południowej Walii, to zupełnym zaskoczeniem będzie Mummers – jeden z nowofundlandzkich kolędników.

DZIADY, HERODY, TURONIE

Zacznijmy jednak od początku, od polskiego turonia. W orszaku kolędników paraduje u boku Diabła, postaci z gwiazdą, Śmierci, Żyda. Czasem podążają z nimi także Anioł, Kominiarz, Bocian, Cygan, Pasterz, Dziad lub Król. Zoomorficzny turoń to skarlały tur. Nawiązanie utrwalone jest nie tylko w nazwie postaci, lecz także w jej wyglądzie: obita futrem głowa na kiju wyposażona jest w kłapiącą szczękę z brodą oraz rogi. Wcielająca się w turonia osoba przykryta jest futrzaną kapą lub burą derką. W niektórych rejonach Polski turoń jest centralną postacią obrzędów, wtedy takie kolędowanie określane jest jako „obchody z turoniem". Podczas nich bohater przywiedziony przez Cygana i Cygankę harcuje po odwiedzanym domostwie i zaczepia jego mieszkańców. Następują targi z gospodarzem, któremu przybysze chcą sprzedać stwora. Kiedy ma dojść do sfinalizowania transakcji, turoń pada nieżywy. Wtedy zaczyna być przez towarzyszy żartobliwie cucony; kiedy ożywa, nastaje czas na zbieranie darów od gospodarzy. Jest wiele wariantów obchodów: mogą być z niedźwiedziem, kozą lub konikiem, wszystkie mają podobny przebieg. Grupy kolędników, wśród których można spotkać turonia, w zależności od rejonu noszą nazwy: Dziady, Herody, Mikołaje czy właśnie Turonie.

Sekwencyjność, formalizacja oraz powtarzalność obrzędu, a także użycie zoomorficznego rekwizytu pozwalają sformułować twierdzenie, że zwyczaj ten jest czymś więcej niż ludową tradycją, scenką teatralną. W pracy opublikowanej na łamach religioznawczego czasopisma „Religio: Revue pro religionistiku", opisując podobne europejskie obrzędy okresu karnawału, wykonywane przez mężczyzn ubranych w futra i skóry z wykorzystaniem rekwizytów

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Shutterstock

związanych ze zwierzęcymi atrybutami, włoski etnolog Alessandro Testa stawia hipotezę o ich rytualnej naturze.

Ciekawe pytanie w „Antropologii strukturalnej" zadaje Claude Levi-Strauss: co było pierwsze – rytuał czy mit, zaznaczając jednocześnie, że są one homogeniczne, czyli cechuje je pewnego rodzaju odpowiedniość polegająca na tym, że obrzęd jest ilustracją mitu, a mit projekcją obrzędu. Co jednak jest oryginałem? Według koncepcji Levi-Straussa to rytuał powstał pierwszy, stanowił pierwszą, pierwotną próbę zapanowania nad niepokojem. Niezależnie od pierwszeństwa mit, a wraz z nim obrzęd odzwierciedlają struktury myślowe wspólne wszystkim ludziom.

OD ORSZAKU PRZEZ EGIPT PO LASCAUX?

Dokąd powiedzie nas turoń, jeśli zastosujemy strukturalną definicję mitu? W pierwszej kolejności do kręgu kultury starożytnego Sumeru, Egiptu i Grecji jako symbolu słońca, płodności, obfitości, męskości. Będzie to jednak ślepa uliczka. Rytuał daje bowiem wgląd w głębsze, uniwersalne struktury umysłu. Struktury, które powstawały nie tysiące, lecz dziesiątki tysięcy lat temu, w czasach, w których kształtowały się odruchy człowieka, jego wyobrażenia, lęki, fascynacje i awersje. Są to czasy, o których ciekawie pisze prof. Dave Goulson, brytyjski biolog, ewolucjonista i ekolog: „Świat, który podbijały pierwsze człowiekowate, był zdominowany przez wielkie ssaki. [...] W Europie mieliśmy futrzaste mamuty i słonie, tury, lwy, niedźwiedzie jaskiniowe [...]. Wyobraźcie sobie, jak to było być jednym z tych pierwszych Homo sapiens, którzy 90 tys. lat temu opuszczali Afrykę. Odkrywali świat naprawdę zamieszkany przez potwory. Za każdą kolejną rzeką, w każdej kolejnej dolinie mogli się spodziewać nowych, straszliwych monstrów uzbrojonych w kły, rogi i szpony. [...] Nasze legendy są pełne smoków i potworów, elfów, skrzatów i trolli. To nie bajki – kiedyś żyliśmy w świecie pełnym takich dziwów".

Nie jest to więc może przypadek, że turoń obrazuje tura, Cerbul jelenia, a Mari Lwyd konia – pełen przegląd fauny z okresu kultury magdaleńskiej, niczym na wapiennych ścianach jaskini Lascaux: tury, jelenie i konie.

ŁOWCA W KAŻDYM Z NAS

Scenerią historii rodzaju ludzkiego była era wielkich ssaków. Ludzie podziwiali zwierzęta silne, szybkie, potężne; takie, których mięso dawało im życie. Których było tak dużo, że mogły wyżywić całe plemię lub klan rodzinny. Gdy zdając relację ze swojej wizyty w jaskiniach Lascaux, Herbert pisze o stadach „reniferów, dzikich koni, krów, byków, bizonów i nosorożców", opisuje świat, w jakim żyliśmy przez dziesiątki i setki tysięcy lat, gdy lodowce na zmianę skuwały ziemię mrozem lub na krótko ustępowały.



Fot. Biblioteka Narodowa

Kolędnicy z Turoniem i kozą na XIX-wiecznej rycinie

Później nadeszły nowe czasy, których symbolem jest wylewający Nil i w których ludzie zaczęli zakładać stałe osady, hodować zwierzęta, uprawiać rolę i zbierać jej plony. Łowiectwo długo jednak miało utrzymać swoje znaczenie; jeszcze dłużej wspólna historia ludzi oraz wielkich roślinożerców przetrwała w pamięci i zwyczajach ludzkich. Zresztą nawet jeżeli nie zdajemy sobie z tego sprawy, tury, żubry, niedźwiedzie i dzikie konie nadal są częścią naszej natury oraz kultury.

Na związki baskijskich i pochodzących z Sardynii festiwali ludowych, zawierających zoomorficzne postacie, z animistycznymi obrzędami łowców niedźwiedzi wskazują badania Roslyn M. Frank z University of Iowa. Czy koncept „turonia" jest również rodem z epoki zbieracko-łowieckiej, gdy po trawiastych przestrzeniach Eurazji galopowały dzikie konie, w puszczach pasły się tury, a w ślad za nimi podążał żądny zdobyczy Homo sapiens? Czy stwory towarzyszące człowiekowi w szczególnym czasie Bożego Narodzenia, wmieszane w kolorowe poczty kolędników w różnych zakątkach świata, to ukryte za folklorystycznymi maskami wspomnienie plejstoceńskiego bestiarium? Czy wspólna kulturowa matryca tych tradycji sięga do obyczajów i zachowań łowców z późnego paleolitu, polujących na dużych roślinożerców, stanowiących podstawę wyżywienia i źródło fascynacji? Przyjrzyjmy im się lepiej.

eprasa.pl cf2a5688ce



Mari Lwyd z południowej Walii obrazuje konia

Fot. Shutterstock

CERBUL ZNACZY JELEŃ

Cerbul to bliźniak turonia. Pochodzi z rumuńskiej wsi Corlata położonej u podnóża Karpat, na północy kraju. W okresie bożonarodzeniowym kolęduje z grupą mężczyzn ubranych w tradycyjne stroje góralskie, którzy wykonują skoczne choreografie w kręgu lub półkolu. W środku tańczy rogata istota. W ozdobie głowy tkwi największa różnica pomiędzy turoniem a Cerbulem. Turoń jako potomek tura (Bos primigenius) ma charakterystyczne dla bydła rogi, rumuński Cerbul natomiast to jeleń (rumuńskie cerbul = jeleń), który kłapiącą głowę zwieńczoną ma pięknym, rozłożystym porożem. Bohater z rumuńskiego rytuału przykryty jest kwiecistą tkaniną, z której wystaje kij, z obsadzonym na końcu drewnianym jelenim łbem przyozdobionym wstążkami. W pewnym momencie Cerbul zamiera, jakby bez życia, a muzyka i ruchy tancerzy spowalniają. W końcu na odgłos rogu stwór ożywa i skoczne harce trwają już bez zakłóceń.

I ZNÓW GŁOWA NA KIJU

Na drugim końcu Europy, na Wyspach Brytyjskich, zatknięta na kij końska czaszka lub wyobrażenie głowy konia, przyozdobione kolorowymi wstążkami i animowane przez okrytego białą narzutą człowieka, jest kolejnym starym świątecznym zwyczajem kolędników. Tak jak turoń i Cerbul walijska Mari Lwyd obnoszona jest w niewielkim orszaku. Pojawia się pomiędzy Bożym Narodzeniem a Świętem Trzech Króli. Wspólne, oprócz ogólnej koncepcji zwierzokształtnej kukły z łbem wyposażonym w ruchomą żuchwę i umiejscowionym na patyku, są pieśni towarzyszące orszakowi oraz zbieranie darów.

Zgrzebne płótno i przykurczona postać pod nią, wznosząca na kiju drewnianą głowę kołaczącego paszczą konika, która w wieczór wigilijny wesoło zaczepia kobiety w odwiedzanych domach, to „hooden horse" z Kent, kolejny brytyjski „turoń". Wiedziony jest przez wesołych przebierańców, którzy śpiewają kolędy i odgrywają krótkie żartobliwe scenki w zamian za podarki, co bardzo przypomina polskie bożonarodzeniowe „chodzenie z konikiem" lub „kobyłką". I choć, podobnie jak w poprzednich przypadkach, brakuje etnograficznych dowodów na przedhistoryczne pochodzenie tej tradycji, to „hooden horse", a szczególnie Mari Lwyd przywołują pradawne skojarzenia.

> Czy stwory wmieszane w kolorowe poczty kolędników w różnych zakątkach świata to ukryte za folklorystycznymi maskami wspomnienie plejstoceńskiego bestiarium?

A W KANADZIE…

Zaskakującym miejscem występowania przedstawicieli intrygującego gatunku turoniowatych jest Nowa Fundlandia. Kanadyjskie kolędowanie to Mummering. Zasada jest ta sama, co wszędzie na świecie: kolędnicy chodzą po okolicznych domach, dając krótkie występy i dokuczając domownikom, a ci obdarowują poprzebieranych gości drobnymi podarkami, najczęściej czymś do jedzenia. Kolędnicy są zamaskowani i gospodarze muszą odgadnąć tożsamość każdego z nich. Tradycja rodem z Anglii zakonserwowana w Nowym Świecie odżywa w ostatnich latach (głównie za sprawą organizowanego w mieście St. John's festiwalu Mummers Festival), a wraz z nią stwory o kształcie do złudzenia przypominającym polskie turonie. W szeregach Mummersów maszerują postacie w maskach oraz dzierżące papierowe i drewniane głowy zwierząt na kijach. Wprowadza to jeszcze jeden kontekst w i tak bardzo bogatą znaczeniowo problematykę turonia – kontekst „hobby-horse". Kolejny rozpowszechniony po całym świecie topos, najprościej mówiąc „konia na patyku", przewijający się w tradycji wielu kultur, którego najlepszą egzemplifikacją jest Lajkonik, ma także swój desygnat w postaci skromnego turonia i jego transgranicznego rodzeństwa.

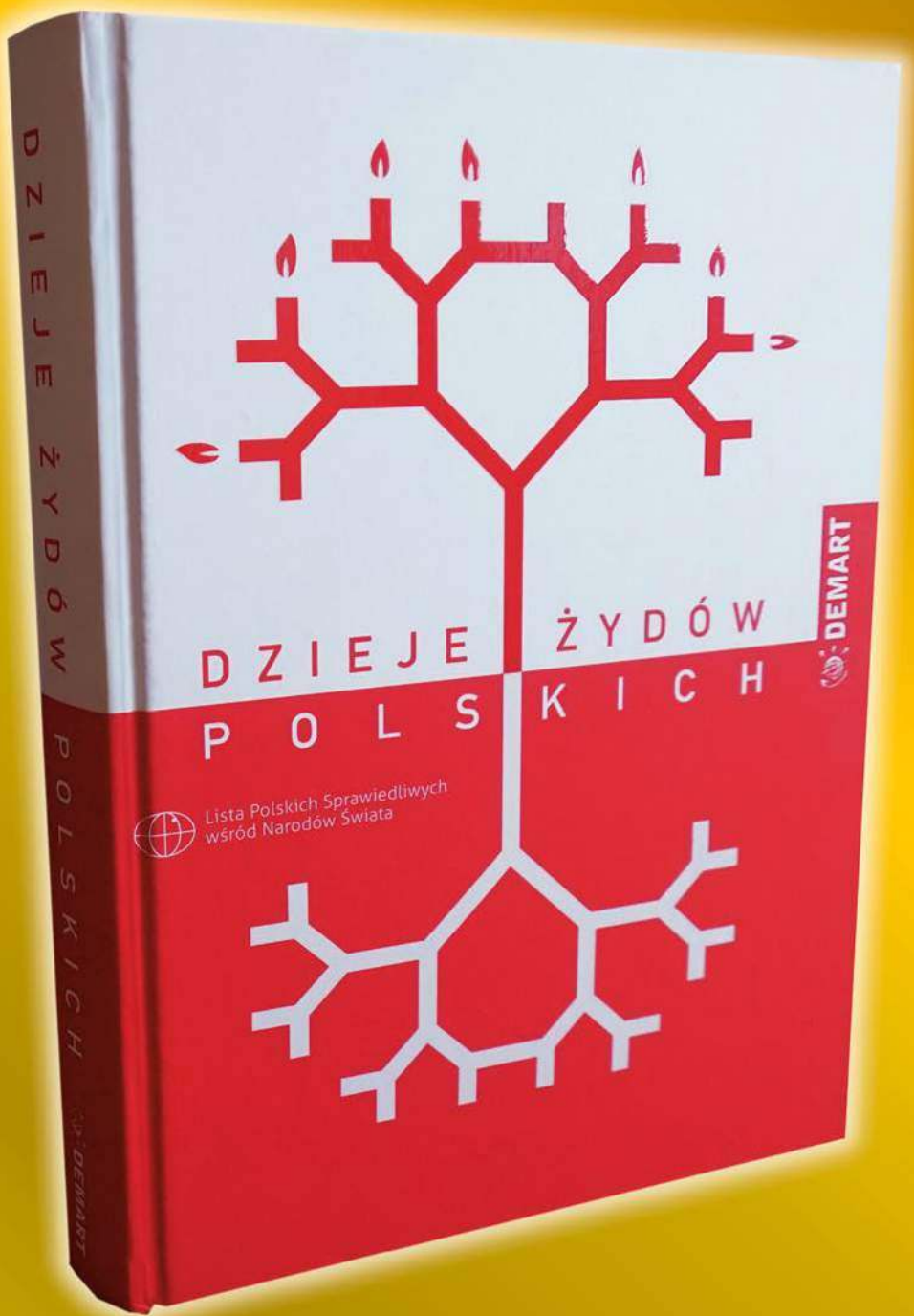
DZIESIĄTKI TYSIĘCY LAT ŁOWCY

Jaki wpływ na nas, rozsianych po wszystkich kontynentach Homo sapiens, miał okres pomiędzy powstaniem pierwszych osobników gatunku 100 tys. lat temu a wynalezieniem rolnictwa, hodowli i przejściem na osiadły tryb życia, które to wydarzenia zaczynały się dziać ok. 10 tys. lat przed naszą erą? Jak się ma 90 tys. lat łowcy do 12 tys. lat cywilizacji? Czy możliwe, że folklor zakonserwował najdawniejsze ludzkie emocje i zachowania? Z pewnością warto lepiej przepatrzeć świąteczne korowody sunące poprzez kulę ziemską pod koniec kalendarzowego roku: słomiane postacie z głowami byków lub w zwierzęcych maskach, futrzaste potwory i rogate straszydła. Do bohaterów obrzędów końca roku należą zarówno bułgarscy Kukierzy, jak i niezwykle do nich podobni japońscy Namahage, od których już tylko krok do ich sobowtórów – bożonarodzeniowych Brodaczy z lubelskich Sławatycz. Ale to temat na zupełnie inną opowieść.

62/1018/F

eprasa.pl cf2a5688ce

Dzieje Żydów polskich



DEMART

+ Lista Polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata

www.demart.com.pl

eprasa.pl cf2a5688ce



Marta Sztokfisz, „Pani od obiadów. Lucyna Ćwierczakiewiczowa. Historia życia", Wydawnictwo Literackie, 2018



Fot. Albert Zawada

Z Martą Sztokfisz, autorką literackiej biografii „Pani od obiadów. Lucyna Ćwierczakiewiczowa. Historia życia", rozmawia Aleksandra Jakubowska

Lucyna Ćwierczakiewiczowa była nie tylko zaradną rewolucjonistką polskiej kuchni, lecz także edukowała polskie kobiety, poszerzała horyzonty naszym prababkom

Metr pięćdziesiąt wielkiego talentu

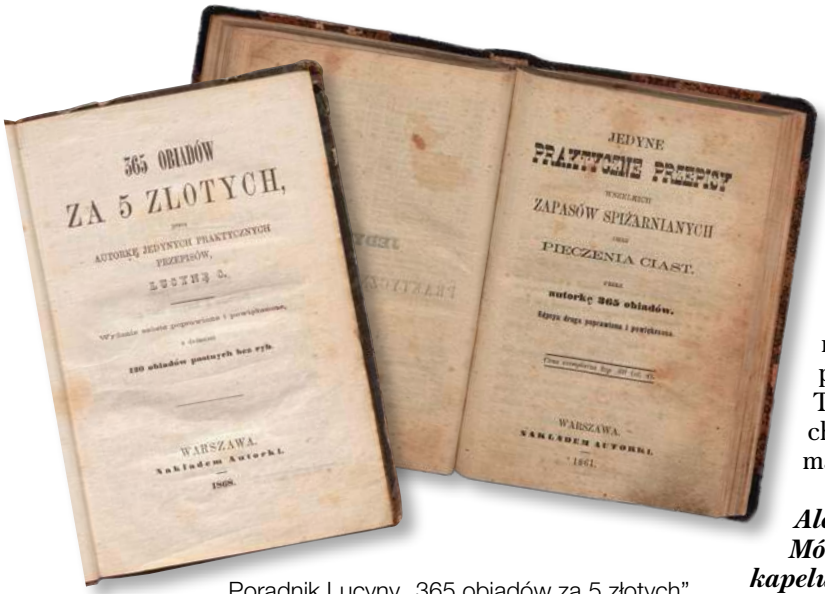
Kucharka narodowa, herod-baba, salonowa lwica, bizneswoman – kim tak naprawdę była Lucyna Ćwierczakiewiczowa, autorka największego polskiego bestsellera XIX w., czyli „365 obiadów za 5 złotych"?

Marta Sztokfisz: Każde z tych określeń do niej pasuje, lecz przede wszystkim była kobietą odważną, samodzielną i niezłomną. Samoukiem i edukatorką, a także ryzykantką. Wydana za mąż za ziemianina, wywieziona przez niego z ukochanej Warszawy do majątku gdzieś pod Pułtuskiem, szybko się zbuntowała i – mając zaledwie 22 lata – porzuciła Feliksa Staszewskiego. Dłużej nie zamierzała tolerować ciągłych zdrad i lekceważenia.

W owych czasach kobiety przymykały na takie ekscesy małżonków oczy, a już myśl o rozwodzie nawet nie przechodziła im przez głowę. Rozwódki były traktowane jak ladacznice.

I miały marne szanse, by ponownie wyjść za mąż. Ale już trzy lata później matka albo swatka znalazły jej mężczyznę, który docenił temperament, pracowitość i poczucie

eprasa.pl cf2a5688ce



Poradnik Lucyny „365 obiadów za 5 złotych" miał większe nakłady niż dzieła Mickiewicza i Słowackiego. Przyniósł jej sławę i pieniądze

humoru Lucyny, a jej apodyktyczność mu nie przeszkadzała. Uwiodła go też kuchnia kobiety, która miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu i z dumą obnosiła widoczną nadwagę. Kiedy po latach zdobyła autorytet, a panny ją pytały, jak zdobyć męża, radziła: „Chcesz miłości, atakuj żołądek".

I ta mieszczka, która cudem ponownie wyszła za mąż, zamiast dbać o męża, statecznego urzędnika w Biurze Paszportowym, dmuchać i chuchać na ognisko domowe, żeby drugi mąż nie zaczął jej zdradzać, nagle zaczyna pisać.

Nie tak nagle i nie cudem. Prowadziła otwarty dom, także później, gdy miała swój salon, zapraszała elitę Warszawy. Serwowała pięknie podane, smakowite dania. Jeden z gości, współwłaściciel banku, przekonał Lucynę, by podzieliła się z kobietami swoją wiedzą kulinarną. „Skorzystają na tym mężczyźni" – myślał.

Może chciał, żeby jego żona czegoś się nauczyła?

Całkiem możliwe, w każdym razie to on, Jan Epstein, pożyczył Lucynie pieniądze na wydanie „Jedynych praktycznych przepisów konfitur, likierów, marynat...". Znowu zaryzykowała, choć dręczyła ją myśl, czy książka się sprzeda i czy spłaci dług. Mąż w nią wierzył i dodawał jej otuchy. Była jego charakterologicznym przeciwieństwem: krzepką, energiczną, działającą z impetem kobietą, która mężowi okazywała szacunek i czułość. Nazywała go „gołąbkiem". Jej debiutancka książka dobrze się sprzedała. Dług spłacono, autorka coś nawet odłożyła.

Ale dopiero jej druga książka stała się bestsellerem i przyniosła jej majątek.

„365 obiadów za 5 złotych" miało większe nakłady niż dzieła Mickiewicza i Słowackiego. Ponad 20 wznowień tego poradnika, a także popularność innych książek Lucyny przyniosły autorce 84 tys. rubli dochodu, za co można było wówczas kupić trzy spore majątki ziemskie. Ćwierczakiewiczowa proponowała czytelniczkom nie tylko przepisy, lecz również pewien styl życia, w którym dbanie o dom i kuchnię traktowane było jak zajęcie szlachetne, godne wysiłku, wymagające planowania, wiedzy i talentu. „Kucharka to artystka, scjentystka i pragmatyk jednocześnie, zatem osoba o szerokich horyzontach, widzi ona świat nie z perspektywy kuchni, lecz kuchnię z perspektywy świata". Bolesław Prus, z którym się przyjaźniła, żartował z Mickiewicza, który w „Panu Tadeuszu" marzył, by jego księgi „zbłądziły pod strzechy", i napisał w jednym z felietonów: „O czym u nas marzył Mickiewicz, to zdobyła pani Ćwierczakiewicz".

Ale samej pani Lucynie nie szczędzono złośliwości. Mówiono: „Panoszy się na mieście jak pawie pióro na kapeluszu", puszczano fałszywe przepisy mające udowodnić, że jej kuchnia jest droga i niezdrowa. Na przykład ten na tort migdałowy zaczynał się tak: „Weź dziewek sześć, niech od rana łuskają migdały...".

Zazdroszczono jej żyłki do interesów i marketingowego zmysłu, ale też talentu autopromocyjnego. Była prekursorką tej dziedziny, prasa rozpisywała się o jej książkach i kalendarzach. Dlatego, chociaż ją ceniono, złośliwi szeptali: „Jest jak rtęć, wciśnie się wszędzie". Kuchnia Ćwierczakiewiczowej zaś była raczej dla klasy średniej – dniówka robotnika


Fot. Shutterstock

Ćwierczakiewiczowej knel z cielęciny lub drobiu do sosów i zup

Knelem zowie się najdelikatniejszy farsz, jaki sztuka kulinarna posiada w swej wiedzy, a który podaje się w wykwintnych zupach lub potrawach. Pół funta cielęciny od górki kotletowej, to jest najmiększej, usiekać, a następnie przetrzeć przez rzadkie sito do pasztetów używane. Na pół funta cielęciny czy drobiu wziąć kwaterkę kremowej śmietanki i dodając ją po łyżce do mięsa posolonego, ubijać łyżką, bo trzepaczką trudno bardzo, aż cała śmietanka wyjdzie. Mieć w płaskim rondlu ukrop wrzący, w który małą łyżeczką układać niby podłużne kluseczki, co bardzo prędko trzeba robić, żeby się wszystkie równo gotowały. Lepiej podzielić na połowę, nigdy się jednak więcej niż z pół funta nie robi. Można je, nie wyjmując z wody, zostawić do chwili, gdy mają być podane, postawiwszy rondel au baine Marie w drugi rondel z gorącą wodą i ostrożnie małą durszlakową łyżką wyjmować, bo są bardzo delikatne.*

* au baine Marie – gorąca kąpiel wodna

eprasa.pl cf2a5688ce

wynosiła wówczas 5 zł. Lucyna ma wiele zasług dla naszej kuchni: odtłuściła ją, wprowadzając na stoły mnóstwo warzyw, ponad 40 gatunków, m.in. brukiew – bardzo wartościową i tanią. Jej wszechstronna wiedza dotyczyła także zdrowia i higieny. A jeśli wśród składników na jej babę wielkanocną jest 20 jaj, to warto pamiętać, że rodziny w Królestwie Polskim były liczne i piekło się cztery–pięć bab.

Na wydaniu „365 obiadów...” nie poprzestała.

Była już innym człowiekiem, nie tylko doskonałą panią domu. Założyła wydawnictwo. Badając rynek, zauważyła, że najlepiej sprzedają się książki religijne, kucharskie i kalendarze. Mimo konkurencji przez 26 lat wydawała „Kalendarz. Kolędę dla gospodyń”. Kolęda była wówczas nie tylko bożonarodzeniową pieśnią, lecz także prezentem. Tym kalendarzem obdarowywała kobiety, hojnie udzielając im bezcennych rad z różnych dziedzin życia – zdrowia, higieny, dobrych manier, wystroju wnętrz.

Zdrowia? Przecież nie miała w tej dziedzinie żadnej wiedzy.

Warszawa liczyła wówczas ok. 400 tys. mieszkańców, a lekarzy było... 59. Czytając kalendarze Ćwierczakiewiczowej, można było się samemu leczyć, oczywiście jeśli nie były to choroby groźne albo wymagające operacji. Lucyna otaczała się ludźmi mądrymi, specjalistami wielu dziedzin i to oni pisali do kalendarza oczekiwane artykuły. W nieskanalizowanej Warszawie rynsztokami spływały brud i ekskrementy. Ćwierczakiewiczowa kazała kobietom zdejmować zszargane brudem suknie, halki i natychmiast je zapierać, by nie wnosić bakterii. Nawet ubodzy – mawiała – powinni mieć w domu jedną książkę: encyklopedię zdrowia.

Podobno doradzała, jak założyć hodowlę jedwabników czy pieczarek.

Nie tylko doradzała, lecz prowadziła krok po kroku, np. podawała adres: Krakowskie Przedmieście 59. I instruowała: tam sprzedasz kokony. Nie robiła tego z myślą o kobietach, które wiodły życie przy bogatych mężach, tylko o tych samodzielnie walczących o byt. Na grudniowej stronie każdego kalendarza przypominała paniom domu, aby szykując „kolędę”, czyli prezenty, pamiętały również o służbie.

Dzisiaj maszerowałaby pod sztandarami feminizmu?

Jej ideą było pomaganie kobietom, które w połowie XIX w. nie miały praw wyborczych, nie mogły studiować ani dysponować majątkiem, o którym decydował ojciec, a potem mąż. Nie podjęły też pracy, jeśli ich mężczyzna nie wyraził zgody. Boże, jak piękne mamy teraz życie. Prawda?

Też tak myślę.

Ćwierczakiewiczowa może być wzorem emancypacji, opowiedziała się za prawem kobiet do kształcenia i samodzielności finansowej, we wszystkich swoich książkach i kalendarzach edukowała polskie kobiety, poszerzała naszym prababkom horyzonty.

Udało jej się zrobić karierę w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

Chociaż ją drażniła, doceniła to nawet Eliza Orzeszkowa, pisząc: „Kobieta z gatunku tych, którym ojcowie nasi dali miano herod-baba. Ruchliwa, krzykliwa, nieustraszona, gotowa zawsze do celów swych ludzi za gardła brać albo im oczy wydzierać. W biały dzień i na ulicy wyłajać bliźniego może ona tak dobrze, jak przełknąć ostrygę”.

Ale – jak piszesz w swojej książce – kiedy wyniośle zapytała Ćwierczakiewiczową: „Więc pani pisze o plackach?”, natychmiast usłyszała ciętą ripostę: „A pani pod placki?”. Był to cios, bo w owych czasach służące używały makulatury pod blachy do pieczenia.

Nie przejmowała się, takie sytuacje jej nie irytowały. Ona miała o sobie bardzo dobrą opinię. „Jeden jest Szekspir i jedna jest Ćwierczakiewiczowa” – mawiała. W tym zabawnym stwierdzeniu jest dużo prawdy. Dokumentując książkę, która odkrywa nieznane dotychczas fakty z życia Lucyny Ćwierczakiewiczowej, cieszyłam się, poznając nie tylko zaradną rewolucjonistkę polskiej kuchni, lecz także kobietę z poczuciem humoru.

Gdyby żyła w dzisiejszych czasach, otwierałaby kolejne restauracje, pisała poradniki, brylowała na pokazach mody i dawała się fotografować w drogich oraz ekscentrycznych kreacjach? Prowadziłaby najpopularniejszy w Polsce program telewizyjny? Występowała w reklamach?

Na pewno byłaby jedną z najsłynniejszych Polek. Miała żelazny charakter, świadomość celu, odwagę ryzykowania i umiejętność realizowania planów. Nie uczyłaby polerowania mebli czy paznokci, ale radziłaby kobietom, jak dobrze i pożytecznie żyć, nie tracąc humoru oraz optymizmu. Dlatego na naszych manifestacjach powinien powiewać sztandar „Teraz Polka” z nazwiskiem Lucyny Ćwierczakiewiczowej.



Lucyna Ćwierczakiewiczowa

Marta Sztokfisz

pisarka, publicystka i wykładowca. Autorka bestsellerowych książek biograficznych, m.in. „Cena sławy”, „Księżniczka deptaku. Opowieść o Edycie Klein”, „Chwile, których nie znamy. Opowieść o Marku Grechucie”, „Caryca polskiej mody, święci i grzesznicy”.

eprasa.pl cf2a5688ce

Choinka idealna

Kiedyś, kiedy na świecie było mniej plastiku, można się było spotkać z przekonaniem, że choinka sztuczna jest bardziej przyjazna środowisku, ponieważ ją wybierając, nie wspieramy wycinania drzew. Nadprodukcja plastiku okazała się jednak szybko jednym z większych zagrożeń dla środowiska, gdy tymczasem żywe drzewka...

Oczywiście, jeżeli ktoś już ma swoją ulubioną sztuczną choinkę, którą od lat w grudniu wyciąga z piwnicy, niech bez wyrzutów sumienia cieszy się nią nadal. To jednak żywe drzewka – wcale niekoniecznie w donicy, również cięte – są przyjazne przyrodzie.

Żeby wybrać bożonarodzeniową choinkę, trzeba najpierw odpowiedzieć na kilka pytań:

- intrygujące – dlaczego obecnie choinki nie pachną tak, jak kiedyś?
- kontrowersyjne – czy miłośnik przyrody może się zdecydować na choinkę ciętą?
- dodatkowe – jak sprawić, żeby zakup drzewka stał się rodzinną przygodą?

SKĄD BIORĄ SIĘ CHOINKI?

Zdecydowana większość choinek, które tuż przed świętami Bożego Narodzenia zazieleniają place handlowe, parkingi i hale supermarketów, to drzewka z plantacji, w dużej mierze z Niemiec, Holandii i Danii. Najczęściej jodły, bo najlepiej się sprzedają: jodła najdłużej utrzymuje igły (w zasadzie ich nie zrzuca) i jest gęsta. Jodłę można odróżnić od świerka po miękkich, niekłujących igłach. Igły świerkowe są natomiast twardsze, ostro zakończone, a ściśnięta w dłoni gałązka mocno kłuje (jodła i świerk mają przy tym igły krótkie, w odróżnieniu od długoigłej sosny).

Jodły z plantacji to inny gatunek niż te, które rosną w naszych lasach. Ze względu na szybkość wzrostu i łatwość uprawy hodowane i sprzedawane są zachodnioazjatyckie jodły kaukaskie Abies nordmanniana, podczas gdy jodłą z naszych lasów jest jodła pospolita Abies alba. Pospolita tylko z nazwy, jest bowiem drzewem wyjątkowo pięknym i szlachetnym. Z punktu widzenia bożonarodzeniowej tradycji różnica pomiędzy jodłą pospolitą z lasu a jodłą kaukaską z plantacji jest istotna: ta druga nie pachnie. Jeżeli chcemy, żeby w domu unosił się żywiczny zapach, powinniśmy wybrać jodłę pospolitą.

Ale może wycięcie drzewa w lesie tylko dla ładnego zapachu to przesada?

ZAWSZE LAS

Plantacja choinek jest uprawą podobnych do siebie i mało zróżnicowanych genetycznie roślin, których zadanie to rosnąć szybko. Na plantacjach stosuje się środki chemiczne, niedopuszczające do rozwoju grzybów i pojawiania się owadów, używa się także nawozów sztucznych. Nie ma tam miejsca dla motyli, borsuków ani żab; na plantacji nie nazbieramy borówek ani rydzów. Produkcja plantacyjna wiąże się z obciążeniem dla środowiska.

Las to kompletny ekosystem, do jakiego zmierza natura w naszej strefie klimatycznej. Tradycyjna, stosowana u nas gospodarka leśna nastawiona jest na wspomożenie zbawiennego wpływu lasu na powietrze, wodę, glebę i inne elementy środowiska, ochronę różnorodności mieszkających w nim gatunków i ich genetycznego zróżnicowania. Jest koniecznym działaniem wobec zachodzących na świecie zmian i coraz silniejszego cywilizacyjnego obciążenia środowiska. Poza tym zaopatruje nas w liczne produkty, których potrzebujemy, a których produkcja (czyli wzrost i rozwój lasu) odbywa się z korzyścią dla środowiska.

Jak pozyskuje się choinki w lesie? Niezależnie od Bożego Narodzenia iglaste młodniki wymagają cięć, nazywanych czyszczeniami. Jeżeli zaplanuje się czyszczenia na początek zimy, po pierwsze, nie przeszkodzi się mieszkańcom młodnika, np. w sezonie lęgowym, a po drugie, część i tak wyciętych świerków, jodeł i sosen może zostać spożytkowana jako choinki. Nie wszystkie: część musi zostać rozdrobniona na zrębki i użyźnić glebę, z której wyrosła, inne pozostawiane są dla saren, łosi i jeleni, które korzystając z poczęstunku, nie ogryzają ani nie uszkadzają innych drzewek, które mają rosnąć dalej.

Moim typem jest więc choinka z lasu (informacje o sprzedaży choinek przez leśników zamieszczane są co roku w internecie).

POSPOLITE SĄ NAJLEPSZE

Kto wolałby choinkę w donicy i zamierzał przesadzić ją później na zewnątrz, najlepiej niech kupi drzewko w szkółce lub sklepie ogrodniczym, w odpowiednio obszernej donicy. Drzewka w małych donicach mają obcięte korzenie, które utrzymują je w ziemi, ale nie umożliwiają przeżycia – do tego potrzebny jest rozległy system korzeniowy. Choinka doniczkowa powinna stać w chłodnym miejscu, a na pewno z dala od kaloryfera. Jeżeli planujemy posadzenie drzewka poza własnym ogrodem, wybierzmy któryś z gatunków rodzimych: jodłę pospolitą, świerka pospolitego (w sprzedaży częsty jest północnoamerykański świerk kłujący) lub sosnę zwyczajną, a wcześniej poczytajmy, jakie siedlisko będzie dla naszego gatunku najodpowiedniejsze.



Fot. Shutterstock

Przemysław Barszcz

eprasa.pl cf2a5688ce



Przeglądając się w stawie

To będzie opowieść o ponadczasowej pazerności, która przed Wigilią, czyli złotymi karpiowymi żniwami, przybiera na sile. Duża ryba, mały problem. Czy na pewno?

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Shutterstock x3

Moja ciotka z Pomorza Zachodniego – mistrzyni od karpi – mawia, że odkąd zmarł właściciel pobliskich stawów, a rybny biznes przejął jego syn, karpie przestały się nadawać do jedzenia. I bynajmniej nie dlatego, że pogrążyły się w otchłani rozpaczy, a stres po stracie przewodnika stada odjął im apetyt. Po prostu nowy pan zaczął kupować inną karmę dla ryb. Z turbodoładowaniem. Karpie rosną po niej jak na drożdżach, ale są jakieś napompowane. Jak kajzerki, które składają się z ładnie wypieczonej skórki i powietrza w środku. Ich mięso – niegdyś białe i jędrne – teraz przypomina szarawą galaretę, a nie wyćwiczony w czasie pływania i polowania mięsień. Źle się smaży i rozpada w gotowaniu.

Tak oto, w pogoni za szybkim zyskiem, młode pokolenie strzeliło sobie w stopę i jednym posunięciem zniweczyło wieloletnią pracę ojca. Może mało świadomy konsument w jakiejś sieciówce jeszcze da się nabrać na tego karpia, w końcu je go raz do roku i nie pamięta dobrze smaku, zwłaszcza gdy podleje rybę wódeczką, ale okoliczni mieszkańcy już raczej nie.

Ot, rybka się zbiesiła i przestanie wkrótce spełniać marzenia o nowym audi czy wypasionej panderozie. Chyba że znajdzie się jakiś producent paprykarza szczecińskiego: zmielony z ryżem, papryką i pomidorem karp nie będzie ujawniał swego galaretowatego wnętrza.

Szkoda, jeszcze niedawno z prawdziwą przyjemnością podglądałam szybujące nad taflą stawów orły bieliki, które pierwsze wiedziały, że właściciel będzie spuszczał wodę i wybierał ryby. Wpadały więc sobie na łatwe polowanko i osiedlały się w okolicy, bo smakowały im te karpie, podobnie jak mojej ciotce. Teraz podobno przestały przylatywać...

JESTEM TYM, CO ZJADŁEM

To, co karp je, i warunki, w jakich żyje, mają ogromny wpływ na smak. Jeśli stawy są brudne i muliste – mięso trąci mułem. Jeśli pływa w nich za dużo ryb i robi się ciasno, stres psuje smak filetów. Szanujący się hodowcy dobrze o tym wiedzą i dbają o dobro ryb, które trafią na nasze talerze w te najważniejsze święta.

Wielu puszcza je przed świętami na kilka dni do czystej wody, ale są i tacy, co wysyłają swoje karpie na trzymiesięczny detoks w góry, na Podhale – żeby w czystej, wartkiej i dobrze natlenionej wodzie przefiltrowały sobie skrzela i straciły mulisty posmak.

Czy mogą państwo uwierzyć w to, że w dawnych czasach karpi żyjących w stawach nie dokarmiano? Miały dom, ale musiały sobie same zdobyć pożywienie, zajadały więc to, co upolowały: plankton, skorupiaki, owady.

Teraz dostają paszę, którą przygotowuje dla nich człowiek. Mają dzięki niej rosnąć zdrowe i dorodne. Jeśli dostają porządną karmę zbożową – do sprzedaży nadają się po trzech latach. To długo, czyż nie lepiej byłoby, żeby na trzylatki wyglądały po dwóch latach?

Wnioski: jeśli właściciel stawów namiesza przy karmie – wigilijny gwóźdź programu może zamienić się w totalną klapę.

JEDEN KAWAŁEK

Rybka zwana karpiem do moich faworytów nigdy nie należała. Przynajmniej na talerzu, bo trudno nie docenić piękna i inteligencji żywego, dzikiego sazana. A więc na wigilię zjadam zwykle jeden kawałeczek – na wyraźną prośbę mamy, i to tylko wtedy, gdy nie stężał jeszcze tłuszcz. Kiedy się zetnie – nie biorę do ust.

eprasa.pl cf2a5688ce



Łowienie karpia w mieście

Znajdź w sklepie dobrze napowietrzone akwarium, w którym nie ma śniętych ryb. Wybierz żywego, ruchliwego mniej więcej 2-kilogramowego. Niech cię nie kusi za niska cena – tani może być karmiony niedobrymi paszami, po których za szybko rośnie.

I chociaż w rodzinie tradycja przyrządzania karpia smażonego, w galarecie czy na szaro jest, ja zdecydowanie należę do klanu śledziowców. Podświadomie wybieram jedzenie, które nie podnosi poziomu cholesterolu.

A im jestem starsza, tym w ogóle mniej jem mięsa. Uważam, że miłosierdzie wigilijne powinno dotyczyć wszystkich żywych istot, zwłaszcza że z plonów lasów, ogrodów i pól można wyczarować mnóstwo przepysznych potraw, nie krzywdząc przy tym braci mniejszych. To przecież kasze, jabłka, gruszki, śliwki, grzyby, buraki, kapusta, orzechy, fasola... Wystarczy ruszyć głową.

POSTNY RATUNEK

To, co mnie odstręcza, przysporzyło karpiowi fanów w średniowiecznej, ciągle poszczącej Europie. 200 dni bez mięsa mogło dać się we znaki i rycerzom, i braciszkom w klasztorach. A ta ryba była na tyle tłusta i pożywna, i tak szybko rosła, że z powodzeniem zastępowała mięso prosiaków, krów czy dziczyzny.

Smak dzikich karpi znali też starożytni – zarówno Grecy, jak i Rzymianie. Dość łatwo je było udomowić – karp to pierwsza hodowlana ryba na świecie. Dokonali tego oczywiście Chińczycy, którzy pierwsi zrobili chyba wszystko, a na Starym Kontynencie cystersi przy klasztorach we Francji, Belgii i Niemczech. Wraz z zakonnikami ryba dopłynęła i do nas. Pierwsze stawy cystersi, sprowadzeni do nas z Brabancji, zaczęli zakładać przy rzekach w XII w., na przykład po obu stronach Baryczy, w okolicach Milicza i Żmigrodu. Istnieją do dziś, podobnie jak te w Łężczoku koło Raciborza w województwie śląskim i Jemielnicy niedaleko Opola. Słynne są też stawy karpiowe koło Zatora i Oświęcimia.

W XVI w. powstał pierwszy podręcznik o hodowli ryb – Olbrychta Strumieńskiego dzieło „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów". Nasze hodowle na Górnym Śląsku uznawane były wtedy, obok czeskich, za najnowocześniejsze w Europie. Przez ten region przepływały duże rzeki: Odra, Wisła, Olza, Soła, na południu były cieplejsze lata i dużo gliniasto-lessowych gleb. Nie bez powodu znany śląski herb Korzbok to trzy złote karpie na błękitnym polu – pierwsze wzmianki o nim pochodzą z 1322 r.!

Co jeszcze hodowano w stawach? Na przykład czarnoryb, czyli ryby z ciemnym kolorem skóry i łusek (karasie, miętusy, liny, piskorze, sumy). Był też białoryb: leszcze, płocie, okonie, kiełbie, jazie, jazgarze, ukleje. W Beskidach od XVI w. hodowano także pstrągi, które później górale przenosili pieszo przez góry i dostarczali na dwór cesarski w Wiedniu.

NA KAŻDYM STOLE

Zakonnikom szybko wyrosła u boku konkurencja – magnaci i szlachta też chcieli mieć swoje ryby pod ręką, więc przy dworach i pałacach zaczęły powstawać, obok gorzelni i browarków, także stawy rybne. Na nie stać było tylko najbogatszych, ale stawów wciąż przybywało.

Kreowaniem chińskiego karpia na bohatera naszego wigilijnego stołu zajęli się też setki lat później, po II wojnie światowej, ówcześni spece od masowej wyobraźni. Hilary Minc rzucił hasło „Karp na każdym wigilijnym polskim stole". Zaczęły powstawać Państwowe Gospodarstwa Rybackie, a naród uwierzył, że to nasza tradycja. Karpiem można było stosunkowo szybko zapchać brzuch, więc stawy powstawały przy wszystkich większych miastach, żeby zaoszczędzić na transporcie.

W zapomnienie poszły naprawdę tradycyjne sandacze, liny, szczupaki. Czas to zmienić.

Anna Monicka



Najlepszy pieczony

Skrobiemy go, odcinamy głowę i ogon, nacieramy solą z czosnkiem i odstawiamy na godzinę. Potem faszerujemy natką pietruszki (może też być koper), zwilżamy olejem, obkładamy płatkami masła i pieczemy 30–40 min. Podajemy z ziemniakami purée doprawionymi chrzanem.

Świeżego karpia można też zapiec w kapuście kiszonej. Trzeba ją tylko wcześniej opłukać i przesmażyć z cebulką i wędzonymi śliwkami, a karpia podzielić na dzwonka i natrzeć czosnkiem, solą i majerankiem. Potem układamy na dnie żaroodpornego naczynia warstwę kapusty, na niej rybę i znów kapustę oraz karpia. Skrapiamy olejem rzepakowym i pieczemy 20–30 min w 180 st. C.

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Zuzanna Kruschewska

ANNA MONICKA

Z miłości do chleba

Nie lubię marnować jedzenia, ale i mnie, i każdemu zdarza się, że czy to w chlebaku, czy w lodówce zostanie coś, co się zestarzało w zapomnieniu. Zwłaszcza w przedświątecznej zawierusze, gdy wszyscy sprzątają, biegają w poszukiwaniu prezentów, jedzenia na święta czy szukają wymarzonej choinki. Jeśli został wam chleb, można go wykorzystać, nawet gdy się zsechł, a był dobrze przechowywany, w lnianej torebce, a nie w folii. Wdzięczny jest zwłaszcza razowiec, bo nastawicie na nim doskonały kwas chlebowy. Ale to nie wszystko – podstarzały łatwo zamienić w chlebową odmianę pysznych ciasteczek: florentynek. Każdy miłośnik pieczonego na patyku nad ogniskiem chleba polanego miodem – to jeden z moich przysmaków z dzieciństwa – wie, o czym mówię.

Czerstwy chleb trzeba dobrze przekręcić przez maszynkę do mięsa. Szklankę miodu podsmażamy na patelni, dodajemy mielone migdały lub inne orzechy (świetne są pekany), potem chleb, łyżkę mąki ziemniaczanej i wyrabiamy, cały czas na lekkim ogniu, gęstą masę piernikową. Dodajemy do niej przyprawy – albo gotową mieszankę, albo własnoręcznie utłuczony cynamon, kardamon, imbir, odrobinę gałki muszkatołowej. Dobrze sprawdzi się także garam masala – pierniczki będą ostrzejsze, bardziej wytrawne. Gdy „ciasto" będzie gotowe, studzimy je i dodajemy 3–4 ubite białka. Dokładnie mieszamy, a potem wykładamy łyżką na blachę, posypujemy pokruszonymi orzeszkami i pieczemy 20 minut.

Jeśli ciasteczka wydają się wam zbyt pracochłonne, zróbcie pudding. Oprócz starego chleba potrzebujecie trochę warzyw, kilka jajek, kubełek śmietany lub białego serka. Kromki lub kostki pieczywa układamy w wysmarowanym oliwą naczyniu do zapiekania, na nich warzywa w plasterkach: cukinię, pomidory, kostki dyni, może być bób lub fasolka szparagowa, połówki brukselek, cienkie plasterki cebuli – co tam macie. Jajka roztrzepujemy ze śmietaną, doprawiamy solą, pieprzem, rozgniecionym czosnkiem. Ja lubię curry, więc nie skąpię tej przyprawy. Na wierzch podsypuję tymianek. Zalewam chleb i warzywa, czekam, aż naciągną, i piekę pół godziny, aż się zetną jajka. Taka zapiekanka pasuje i na zimowe śniadanie, i na kolację po nartach. Jest dobra zaraz po wyjęciu z piekarnika i na zimno.



Fot. Shutterstock

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Biały ser vs twaróg

Polskę można podzielić krzywą, o nie do końca zdefiniowanym przebiegu, na dwie części: domenę sera białego oraz twarogu. Małopolska z pewnością znajduje się w strefie sera białego. Od którego punktu na mapie zaczynają się dominia twarogu? Nie wiem. Produkt jest wybitnie regionalny, właściwy dla Europy Środkowej i Wschodniej oraz dla Skandynawii. Niemcy, a za nimi Anglicy, do określenia tego wyrobu mleczarskiego używają określenia quark, podobnie jak Duńczycy, którzy nazywają go kvark.

Jest to produkt z mleka, do którego wytworzenia nie są potrzebne ani podpuszczka, ani czas dojrzewania, ani nawet sól: skwaśniałe mleko należy podgrzewać. To wszystko. Tak powstają białe, tłuste grudki, przez Rosjan nazywane творог, przez Serbów Łużyckich twaroh, a przez połowę Polaków twaróg. Ewolucja słowa była następująca: od trudnego słowiańskiego twarogu, przez krótki średniowieczny germański twarc, po współczesny niemiecki i angielski quark. W języku staro-cerkiewno-słowiańskim ser biały to творъ, czyli „twór", coś co przybrało formę; a konkretnie: mleko, które się zsiadło i stało się twarogiem.

Koncept prostych w przygotowaniu przetworów mlecznych, które płynne mleko zamieniają w coś bardziej stałego, jest stary jak hodowla zwierząt i sięga 10 tys. lat wstecz, a obecny jest w różnych formach i odmianach na całym globie. We Włoszech idea ta realizuje się jako ser ricotta, w Indiach jako paneer, na Islandii jako skyr. We Francji tego typu produkt nazywa się fromage blanc. Choć różnią się one od słowiańsko-germańskiego twarogu, wspólny jest im biały kolor. Pojęcia „biały" i „ser" pojawiają się w kilku jeszcze językach z kręgu twarogowej kultury. Po serbsku na omawiany produkt mówi się beli sir, po litewsku baltas sūris, po hebrajsku הנבל הניבג i wszędzie oznacza biały ser.

Twaróg ciekawił starożytnych Greków i Rzymian, którym bliżej było do zgłębiania tajemnic wina niż mleka. Opisuje go Strabon jako podstawę diety Scytów koczujących w rejonie Morza Czarnego, nazywając ich po Homerze „mlekożercami". Tacyt w 23. rozdziale „Germanii" opisuje jeden z elementów pokarmu Germanów, nazywając go lac concretum, czyli stałe/zsiadłe mleko.

eprasa.pl cf2a5688ce



Dzielmy się sobą

Czego tam nie było! Karp w galarecie, kompot z suszu, pieczona ryba, śledź w śmietanie, kapusta z grzybami, łazanki, makowe mleko, biały kisiel migdałowy. Spod białego obrusu wystawało sianko. A przecież cioci i wujkowi nie powodziło się. Biedowali



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Minął rok, a ja znów pochylam się przed Bożym Narodzeniem nad laptopem oraz nad swoim życiem, próbując otworzyć przed czytelnikami „Sieci" moją duszę. Ta moja najwierniejsza z dam jest posępna, choć ciągle naiwna. Może dlatego, że wierzę w lepszy, mniej zmaterializowany świat. W ludzi, którzy przestaną się zwalczać i w co drugim słowie używać przekleństw. A moje pazerne na dobro serce zobaczy więcej uśmiechu. A przede wszystkim więcej pomocnych dłoni dla wielu odrzuconych istot, nie tylko od święta.

Pod zmęczonymi powiekami przesuwają się twarze wielu znajomych i niewielu, bardzo niewielu prawdziwych przyjaciół. Tych ostatnich, którzy są lub byli bezinteresowni, nazywam przyjaciółmi. Bezinteresowność. Jakie to niedzisiejsze. Ktoś powie niepasujące do dzisiejszego wilczego świata. Tak... Niejeden z prawdziwych przyjaciół oddałby mi ostatni grosz. Podzieliłby się miską zupy. Poniósłby ciężkie paczki z moimi książkami.

Gdzież dzisiaj są? Czy zasiądą do Wigilii? Czy wśród milionów bezdomnych, schorowanych i przeraźliwie samotnych istot znajdzie się ktoś, kto o nich wspomni, napisze dwie linijki?

Bezimienni, odrzuceni. Mijamy ich każdego dnia na ulicach Kazimierza, Puław, Komańczy, Żyrardowa, Jeziornej. Są wśród nich dawni aktorzy teatrów lalkowych, inżynierowie, kierowcy, wspaniałe matki i dzielni ojcowie.

Do moich przyjaciół należał Rysio Snarski z Montrealu. Dźwigał owe paczki, bo jak twierdził: „Jestem mocny w rękach, a ty jesteś szczupły, chucherko, więc daj mi sobie pomóc". Tak było! Rysio od wielu lat spoczywa pod wielką górą, otuloną kołdrą z mgły, na cmentarzu Srebrzysko położonym w dzielnicy Wrzeszcz Górny, w Gdańsku. Tak, Rychu był silny! Nosił przy sobie składany nóż, próbował grać na gitarze. Jako chłopiec spędził długie sześć lat w Workucie, na Syberii. Kto tego nie przeżył, a dotrwało niewielu, nie pojmie: czym jest śmierć, co się w życiu szczególnie liczy, co to jest głód. Nigdy nie zapomnę jego wysokiego, szerokiego czoła, pooranej zmarszczkami twarzy i szlachetnej duszy. Jego nieuleczalnej tęsknoty za krajem. I niespodziewanej wizyty w moim domu w Konstancinie, w listopadzie 1992 r. Zjawił się bez zapowiedzi. Już na progu opowiadał: „Przyleciałem dwa dni temu. Jadę do Rosji odwiedzić stare miejsca, kilku chłopaków, którzy jeszcze żyją. Muszę się z nimi pożegnać, bo może nieprędko ich zobaczę. No i jestem!". Rozpromieniona twarz przyjaciela z Kanady. Na szerokich plecach wypłowiała kurtka w kolorze khaki, przez ramię przewieszona wojskowa torba, a w drugiej dłoni plecak. Może ten sam, do którego wkładał mojego „Światowca" w Toronto?

Mój drugi przyjaciel – Gerard Kunkel – zapewne spędza te święta w socjalnym szpitalu w uniwersyteckim mieście w USA, które nosi nazwę Central Falls. Mój kumpel z Bielan, który przez Francję wyemigrował jak 4 mln Polaków do Ameryki. Najpierw zbierał winogrona w Bretanii, potem wyprowadzał na spacer psy komika Fernandela, a gdy ten umarł – jamniki słynnej aktorki francuskiej Danielle Darrieux. Potem w Kiamesha Lake, 150 mil od Nowego Jorku, pracował w swoim zawodzie kelnera w słynnym hotelu Concorde.

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Shutterstock

Po latach przeniósł się w okolice Bostonu. Dziś, po wylewie, opuszczony przez dorosłego syna i drugą żonę Niemkę, znalazł się na swoim ostatnim zakręcie. Słyszę, że nie chce już żadnej rehabilitacji, pewnie po cichu wyrzuca lekarstwa, ma dość!

Jak cię podtrzymać, przyjacielu?! Gdy leżysz tam – 5 tys. mil stąd? Otoczony rutyną pielęgniarek, z których nawet jedna jedyna, jak słyszę polskiego pochodzenia, nie ma zbyt wiele czasu, by przemówić ci do rozsądku i dodać otuchy ? Bezradność. Czy jest na nią sposób? Cudowny lek?

Już pojawiły się wszędzie choinki. Z naszych przetrzebionych huraganami lasów. Ozdobione girlandami bombek. Całe w srebrnych łańcuchach. Już nasze markety, owe współczesne świątynie rzekomej popkultury, brzęczą od świtu do zmroku tandetnymi przebojami zza Atlantyku. Nie, nie grają „Lulajże, Jezuniu", „Jezus malusieńki", „Przybieżeli do Betlejem". Przykre.

Pisałem: „My, chrześcijanie, którzy pod koniec każdej mszy przekazujemy sobie znak pokoju, w ten wyjątkowy czas otwieramy również nasze skopane serca. Pojawia się szczodrość. A wraz z nią solidarność. Przypominamy sobie, że warto pomyśleć o innych. Pomagać drugiemu. Dzielić się strawą i słowem". Każde słowo wypływające z dna naszej duszy może mieć niesamowitą moc! Potrafi wzruszyć najtwardsze serce. Zaryglowana na skobel brama nagle sama się otwiera, a przez niewielki otwór wpada smuga światła.

Świąteczne wspomnienia. Pojawiają się twarze cioci Lali i wujka Wiesia. Nie ma już ich od kilku lat. Jeszcze słyszę dźwięk mego stukania w szybę fińskiego domku. Ciągle brzęczy dalekim echem słodki tembr cioci: „Otwieram, otwieram! Wchodźcie, wchodźcie!". Wchodzimy do sieni, zdejmujemy ubrania, a ojciec pyta swego brata jak co roku: „Czy muszę zdejmować buty? I jak co roku słyszy: „Ależ skąd, Bogusiu, wchodź!". Stryjek Wiesio pomaga mojej mamie Zofii zdjąć płaszcz. Mama rozbiera mnie. Wchodzimy do niedużego pokoju. Po lewej stronie stoi kaflowy piec. Po prawej, przy dużym oknie, pachnąca choinka pod sam sufit. Na czubku gwiazda ze srebrnego papieru. Wszędzie kolorowe bombki, zabawki z papier mâché i słomek pamiętających jeszcze lata 40. I te zapachy. Czego tam nie było! Karp w galarecie, kompot z suszu, pieczona ryba, śledź w śmietanie, kapusta z grzybami, łazanki, makowe mleko, czyli podsyta, biały kisiel migdałowy, wiejski chleb. Spod białego obrusu wystawało sianko. A przecież cioci i wujkowi nie powodziło się. Biedowali.

Tak, w naszej religii tkwi niesamowita moc. Wiara w Boga to potęga! Dzięki wierze potrafimy upaść na kolana, odpokutować za wszystkie nasze grzechy. Za każdy z osobna.

Kiedyś dzieci – dziś dorośli czynimy podobnie, jak robili to nasi dziadkowie, a potem rodzice. Łamiemy się opłatkiem i składamy życzenia. Z całego serca. Obdarowujemy się prezentami. A potem wspólne śpiewanie kolęd. Podniosły zwyczaj, gdy wspólne odczuwanie każdej strofy i każdej nuty przypomina o prostej i najstarszej prawdzie: wszyscy jesteśmy podobni. Ze swymi potrzebami, namiętnościami, z naszym wiecznym bólem, smutkiem, samotnością.

W święta próbujemy dzielić się sobą. Wreszcie otwieramy się na inne istoty. Nie tylko na najbliższych: małżonka, brata, siostrę, kolegę czy koleżankę z pracy. Nagle zauważamy sąsiadów. Zdejmujemy czapkę, kapelusz. Pochylamy lekko głowę. Ni stąd, ni zowąd nasze rozszerzone źrenice dostrzegają czyjeś posiwiałe w ciągu ostatniego roku, białe jak mleko włosy. Spostrzegamy kulę u nogi. Pochylone plecy. Więc i ty – przelatuje pod czaszką – posiwiałeś, bracie? I ty jesteś starszy, kulejesz, chorujesz? Pytamy: „Co się stało? Wszczepiono pani endoprotezę?". „Nie, na szczęście to tylko stopa". Przez delikatność nie drążymy tego tematu. „A może podwieźć? Może wpadniemy razem do kawiarni na herbatę albo przekąsimy coś wspólnie w Samsonie?". „A wiesz co, wpadnij do mnie, będzie miło...".

Święta Bożego Narodzenia to czas pojednania. Pogodzenia nie tylko z drugim człowiekiem, lecz paradoksalnie także z samym sobą. Czy potrafimy wybaczać, wybaczać naszym wrogom? Czy umiemy przebaczyć nasze krzywdy: poniżanie, pogardę, agresywne chamstwo i tak – zdawałoby się – nieistotne niezrozumienie?

Każdy człowiek jest inny. Każdy z nas to inna ballada. Piękna piosenka ułożona z poetyckich strof. Skomponowana do oryginalnej muzyki. Te nuty powinny i mogą podnosić nas na duchu. Dodawać animuszu. Smutek i melancholię zastępować nadzieją i pogodą ducha!

W moich samotnych świętach z papier mâché wciąż wspominam przyjaciół. Można kogoś nie znać, nie obcować na co dzień, a mimo to człowiek ten jest bliski, o wiele bliższy od kogoś z rodziny. Myślę tu o artystach. Takich jak Leonard Cohen czy ostatnio zmarły Bernardo Bertolucci, twórca tylko pozornie obrazoburczych dzieł filmowych. Każdy z nich próbował uczynić cokolwiek dla drugiego człowieka. Próbował ratować świat, który z naszej woli i niestety – z naszego upadku – powoli rozpada się na milion kawałeczków.

Mimo wszystko z nadzieją w sercu składam Państwu, moim miłym Czytelnikom, życzenia wspaniałych świąt. Z psem, kotem lub z kanarkiem w klatce. Niechaj w te dni będzie otwarta!

eprasa.pl cf2a5688ce



Strzępy promieniste

Jarosław Marek Rymkiewicz pochyla się z ostentacją nad najpośledniejszymi i najtrudniejszymi do uchwycenia drobiazgami z życia Adama Mickiewicza i jego kręgu

Wojciech Stanisławski

Istnieje wiele świadectw na to, jakim oparciem, odkryciem kraju lat dziecinnych bywał dla polskich wygnańców „Pan Tadeusz". Opowiada o tym podniosłym językiem Sienkiewiczowska nowelka o latarniku, ale i Karol Olgierd Borchardt w „Znaczy Kapitanie" przywołuje postać emigranta do międzywojennej Palestyny, który po trudach pracy na redzie w Hajfie sięgał po mocno podniszczoną książeczkę in octavo i czytał „Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych", bo sam był stamtąd rodem. Najnowszy tomik miniszkiców Jarosława Marka Rymkiewicza może dostarczyć podobnych emocji tym, którzy 30 lat temu rozpoczynali swoją przygodę z humanistyką nad „Żmutem" albo „Baketem".

Oto bowiem doświadczamy tego samego, co w pierwszych tomach mickiewiczowskiego cyklu rozważania kwestii na pozór najbłahszych: tego, jak wyglądał poeta strojący miny przed pękniętym lustrem przy rzymskiej ulicy Babuino, zniknięcia sześciu (lub dwunastu) porcelanowych guzików, których nie doliczono się podczas ekshumacji zwłok w Konstantynopolu, pośmiertnych losów odciętego na łożu śmierci kosmyka jego włosów. Doświadczamy tego samego wędrowania po Mickiewiczowskim uniwersum z lekkością, której nie krępuje plecionka przypisów, tego samego przywoływania konkretnych sytuacji, dociekania repertuaru Henrietty Ankwiczówny, grającej sonaty Beethovena w pewien grudniowy dzień 1829 r. w Rzymie, po to tylko, by unaocznić nam niepoznawalność kilku szczegółów („Czy to była ostatnia sonata, opus 111, czy jakieś wcześniejsze – nie wiadomo").

Wspólnie doświadczamy porażek poznawczych podobnych tym przy mikroskopowaniu, gdy w pewnym momencie nie sposób już bardziej powiększyć obrazu. Od razu też poddajemy się temu samemu, osobliwemu tonowi snutej przez narratora opowieści, który 30 lat temu zwykło się nazywać żartobliwą powagą („Nie była to jeszcze głęboka starość Koźmiana, miał wtedy dwa lata mniej, niż ja mam teraz"), choć jest raczej świadectwem wielkiego, wyzwalającego dystansu wobec akademickich namaszczeń oraz wszelkich „strategii pozyskiwania audytorium": ile trzeba mieć niezależności, by długo rozważać, w jaki sposób Mickiewicz mógł był układać palto podczas swojego pierwszego wykładu w Collège de France!



Jarosław Marek Rymkiewicz, „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze", Evviva L'Arte, Warszawa, 2018

W szóstym tomie cyklu „Jak bajeczne żurawie" niektóre cechy tych egzegez literackich nasilają się jednak lub może po prostu stają się wyraźniejsze. Jarosław Marek Rymkiewicz pochyla się tym razem z ostentacją nad najpośledniejszymi i najtrudniejszymi do uchwycenia drobiazgami z życia Adama Mickiewicza i jego kręgu. Jak wyglądały – pyta – bambosze poety, wzmiankowane w relacji jednego, zapomnianego dziś pisarza niemieckiego Alfreda Meissnera? Czy były to właściwie bambosze, kapcie, czy trzewiki, i czy w ogóle jest możliwe, by wieszcz nosił bambosze, nawet w skrajnej nędzy? Z czego zrobiony był kostur, z którym pozuje Mickiewicz na swoim najbardziej znanym zdjęciu, sporządzonym w 1853 r. przez Michała Szweycera? Kiedy przestał się posługiwać hubką i krzesiwem?

Po tylu latach czytania Rymkiewicza widać już przecież, że to rodzaj gry, że autorowi esejów nie idzie o rozstrzygnięcie przyczynkarskich kwestii biograficznych, lecz o znaczący akt pochylania się nad najbardziej nieważnymi, poślednimi, ułomnymi drobiazgami z życia Mickiewicza. To dociekanie losu karteluszków z brudnopisami rękopisów, poplamionego kałamarza poety, kocich trucheł chowanych na strychu pewnego petersburskiego domu to gest

eprasa.pl cf2a5688ce

nieledwie kenotyczny: świadome poniżanie się, ogołacanie.

Zarazem Rymkiewicz krąży w tym tomie wokół jednej z najważniejszych dla niego kwestii: niemożności pojęcia nieobecności, która obecna jest tuż obok, groźna i niewątpliwa, ale nienazywalna i niema. O tym „ślepym losie", nicości obecnej na wyciągnięcie ręki traktuje i szkic, dociekający pochodzenia nazwy „ciuciubabka", i ostatni rozdział książki, na pozór traktujący o „koszulce śmiertelnej" Mickiewicza w Konstantynopolu. Namysł nad nienazywalnością śmierci towarzyszy kolejnym próbom odtworzenia ostatnich chwil Wertera, wielogodzinnej agonii pierwszego bohatera romantycznego. Od tej pustki prowadzeni jednak znów jesteśmy ku kilku szczegółom, których dotąd, przez 200 lat czytania wieszcza, nikt nie zdołał dostrzec, szczegółom tak fantastycznie namacalnym jak „szkarpetek pary dwie sukienne", kupione synom przez Barbarę Mickiewiczową w jednym z nowogródzkich kramów. Bo tak jest, „istnienia od nicości odległość jest nieskończona". Ta książka to lektura na ostatnie, najkrótsze tygodnie w roku, kiedy z każdym dniem rośnie tęsknota za światłem.

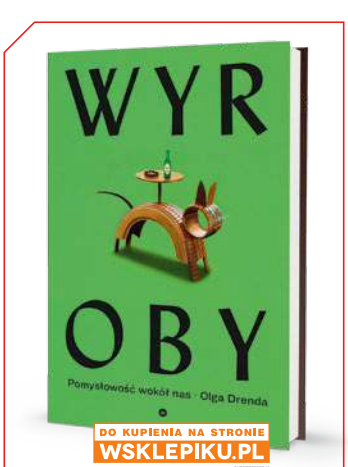
Seans spirytystyczny nad etażerką

Przed kilku laty, napisawszy „Duchologię polską", antropolog Olga Drenda stworzyła w pojedynkę, nawet jeśli półżartem, niemal nową dyscyplinę naukową, a w każdym razie podniosła wysoko poprzeczkę wszystkim, którzy zmagają się z zatartą pamięcią ostatnich lat realnego socjalizmu PRL i mglistej dekady „transformacyjnej". Po „Duchologii..." nie sposób już było tak po prostu wyliczać po raz kolejny trzepaka na osiedlu, kluczy na szyi i wylizywanej z brudnej dłoni oranżady w proszku, jak to czyniły przez lata wchodzące w smugę cienia nostalgiczne dzieci Marca, Grudnia, stoczni – a w każdym razie wyliczanie takie okazywało się czymś w złym guście.

Zapowiadane od pół roku „Wyroby..." mają wszelkie dane, by powtórzyć sukces „Duchologii...". Autorka rozszerzyła bowiem w swojej kolejnej książce krąg poszukiwań i badań, pochylając się nie tylko nad tak charakterystyczną dla życia w PRL kulturą podróbek i namiastek, lecz i nad „ludową" galanterią religijną, nad technikami produkcyjnymi czy klasami surowców – proteuszowym „plastikiem" lub bakelitem, który z symbolu nowoczesności stał się w ciągu półwiecza synonimem staroświeckości. Także nad duchem ludzkiej kreatywności, dla której ostrogą nie są już, jak w PRL, niedostępność dóbr codziennego użytku czy brzydota otaczającego świata, lecz potrzeba stwarzania czegoś od nowa, nawet jeśli ziszcza się ona, w sposób dla nas zaskakujący, w wykrawaniu ze starych opon ogródkowych „łabędzi".

Zwracam na to uwagę, wielu wielbicieli „Duchologii..." może bowiem sięgnąć po „Wyroby...", jak po bogato ilustrowany katalog praktyk i pamiątek kultury materialnej PRL. Zamiar autorki był jednak o wiele bardziej ambitny: mierzy się ona z „wyrobami" w trybie gawędy raczej niż systematycznego wykładu, przyjmując na przemian perspektywę krytyka sztuki zastanawiającego się nad istotą „ludowości" (i „neoludowości"), semiotyka rozważającego, na ile zasadne jest używanie kategorii „kicz", etnografa opisującego struktury władzy wytwarzające się w ogródkach działkowych, historyka życia społecznego w PRL, wreszcie reportera opisującego losy ludzi i przedmiotów. Drendę ciekawią pogranicza miasta i wsi, „architektura samorzutna", która zasypała Polskę domami-kostkami. To książka wyrosła z uważnej lektury prac często cytowanego Antoniego Kroha i Rocha Sulimy.

W świetnych językowo rozdziałach Drenda opisuje, bez pretensji do wyczerpania tematu, fenomeny malowanych do lat 60. XX w. monideł, pozowanych zdjęć, reprodukcji popularnych dzieł sztuki (kto nie siedział w przychodni lub szkole pod „Portretem Helenki" Wyspiańskiego?) czy wyciskanych chałupniczo „pocztówek dźwiękowych". Pisze o współczesnej modzie na rękodzieło i małpowaniu przez przemysł bezpretensjonalnej prostoty domowych dekupaży. O sąsiadowaniu na półce z durnostojkami „tańczących kwiatków" na panele słoneczne i słodkich, wykrawanych z filcu listów „jak ze sztambucha" – i o wędrowaniu motywów („łabędzie z opon", kojarzone z obszarem postsowieckim, po raz pierwszy pojawiły się w przydomowych ogródkach w Australii w latach 50.).



Olga Drenda, „Wyroby. Pomysłowość wokół nas", Wydawnictwo Karakter, 2018

Ten katalog obserwacji antropologicznych i migawek dokumentujących pogranicza kulturowe oszałamia. Warto jednak zauważyć coś jeszcze: w czasach, kiedy wśród ludzi umiejących pisać tak często dochodzi do głosu ojkofobiczne kręcenie nosem na plebs i jego obyczaje, kiedy autorzy zdjęć ukazujących jegomościa w skarpetach i sandałach zażywają sławy dokumentalistów, Olga Drenda, niekoniecznie podzielając upodobania autorów rzeźb z drutu czy mozaik ze stłuczki szklanej, pisze o nich z niekłamaną życzliwością. „Wyroby..." są wyrazem zrozumienia dla bliźnich, którzy odnajdują się w złoceniach Lichenia, w discopolowej nucie i mają prawo do tego zachwytu. „Na białych marginesach / ślad palców i ziemi / znaczony twardym paznokciem / zachwyt i potępienie".

eprasa.pl cf2a5688ce

Adamski



Boski Silvio!

Biografia Silvia Berlusconiego przez niejednego reżysera zostałaby potraktowana jednowymiarowo. Groteskowy, operetkowy miliarder w każdym wymiarze przebijał największe ekstrawagancje Donalda Trumpa. Znienawidzony przez lewicę i liberałów jest wyjątkowo wdzięcznym obiektem kpin i najostrzejszej satyry. Zdobywca Oscara za „Wielkie piękno" i autor przenikliwej biografii demiurga włoskiej polityki Giulia Andreottiego to jednak twórca innego formatu.

Jego nie interesuje glanowanie Berlusconiego. Paolo Sorrentino rzeczywiście chce dotrzeć do duszy Berlusconiego. Pragnie się przebić przez pancerz, jaki „boski Silvio" wokół siebie zbudował. Chce zerwać maskę błazna, by pokazać człowieka. Widać, jak bardzo reżyser znakomitego „Młodego papieża" pragnie zrozumieć fenomen Berlusconiego. Nie tylko premiera Italii, lecz również wartego ponad 9 mld dolarów libertyna i jawnego hedonistę, który walczył z lewicą na każdym polu. Jak nie mógł ich pokonać, to ich kupował. Niczym piłkarzy do swojego AC Milan. Niczym celebrytów do swojej medialnej korporacji Mediaset. Niczym kolejne młode żony, którym jakoś specjalnie nie przeszkadzały jego wybryki.

Kim jest Silvio Berlusconi przejmująco zagrany przez Toniego Servilla? To wieczny sprzedawca, bojący się samotności. Nieważne, czy sprzedaje plastikową telewizję, handluje nieruchomościami, piłkarzami czy ustawami. Nawet na chwilę nie zdejmuje maski. Nie tylko w przenośni. Wybotoksowana twarz, przeszczepione włosy i śnieżnobiałe sztuczne zęby. Obok zaś piękne i młode kobiety. Najlepiej nagie w jego sardyńskiej willi, gdzie urządzał słynne bunga-bunga.

Sorrentino kocha barokowy styl, podlany dźwiękami najnowszych hitów pop. Pokazał to w fenomenalnym otwarciu „La grande bellezza". Rajcuje go zabawa cytowaniem maestra Felliniego. Jednak tutaj się wyraźnie hamuje. W „Oni" więcej jest kameralnych ujęć niż przepychu. Więcej psychologii niż efekciarstwa.

Blisko jest biografii Berlusconiego do „Boskiego". Sorrentino doskonale uwypukla samotność i smutek obu włoskich polityków. Berlusconi chowa smutek za twarzą satyra. Żenującego, pajacującego, z niewiadomym pochodzeniem pierwszego kapitału, człowieka, który miał paradoksalnie szczere chęci, by zmieniać Włochy. Romantyczna dusza włoskiego kochanka miesza się z cynizmem krwiożerczego biznesmena i pasją szczerego antykomunisty. Donżuan? Satyr niemogący zrezygnować z seksualnych orgietek? Tak, ale jednocześnie człowiek wybierający na kochanki młodsze wersje swojej drugiej żony Veroniki Lario. Silvio nadstawia jej nieba, jawnie romansując z ponętnymi Włoszkami.

Berlusconi w ujęciu Sorrentino to człowiek pełen sprzeczności. Żałosny i wzbudzający litość. Odrażający i rozbrajający urokiem. Chciałbym, by powstawały takie filmy o polskich politykach. Szukające prawdy, a nie robione dla taniego poklasku jednego z plemion. „Oni" to brawurowe, ale niepozbawione przenikliwości spojrzenie na specyfikę nie tylko włoskiej polityki, lecz również włoskiej duszy.

„ONI", REŻ. PAOLO SORRENTINO, DYSTR. GUTEK FILM



Przesłuchanie

Gdyby nie powstało nigdy „Przesłuchanie" Bugajskiego, to „Autsajder" Adama Sikory byłby filmem oryginalnym. Franek (Łukasz Sikora) jest studentem ASP. Nie chce się angażować po żadnej ze stron konfliktu w mrocznym okresie stanu wojennego. Wszystko się zmienia, gdy kolega prosi go o przechowanie tajemniczej teczki. Chłopak trafia na przesłuchanie brutalnej SB. Potem ląduje w celi z działaczami „Solidarności" i musi zadać sobie pytanie o cenę neutralności politycznej. To samo pytanie zadawał Kiełowski w „Przypadku". Jest to dla świetnego operatora Adama Sikory (m.in. „Essential Killing" Skolimowskiego) bardzo osobisty i autobiograficzny film. Główną rolę gra jego syn. Komuniści są tu pokazani jako zwyrodnialcy, agenci SB realnie szkodzą, a komunizm ma jedną twarz. Cenię to spojrzenie, mimo jego wtórności. To solidne i kameralne kino historyczne przypominające, czym był czerwony terror. Warto.

„AUTSAJDER", REŻ. ADAM SIKORA, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl cf2a5688ce

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

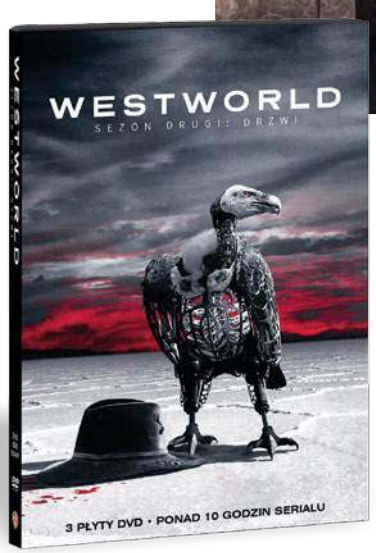
Bunt maszyn

Mit o zawistnych i złych bogach, którym trzeba wykraść ogień, jest stary jak świat. Teraz dołożono do niego dickowe rozważania o świadomości i duszy androidów. Wszystko zmieszano z najważniejszym mitem Ameryki – Dzikim Zachodem. Efekt? Piorunująco dobry. Tak pisałem o pierwszym sezonie „Westworld" z 2016 r. Jakie wrażenie po kilku odcinkach długo oczekiwanej kontynuacji?

Nie tylko wracamy do westernowego parku rozrywki, w którym człowiek może spełnić swoje najskrytsze marzenia, lecz poznajemy także kolejne światy (samuraje i „Romanworld") stworzone przez samozwańczych bogów. Mimo że „Westworld" to wizualna perełka naładowana licznymi efektami specjalnymi, twórcom udało się nie zgubić najważniejszych filozoficznych pytań o transhumanizm czy prawo do samostanowienia inteligentnych robotów. Poprzedni sezon kończy się słowami dr. Forda (Anthony Hopkins): „Zaczyna się wraz z narodzeniem nowych ludzi i wyborów, jakich dokonają". A więc nowy człowiek? Kolejny etap ewolucji? Teraz nadszedł dzień zapłaty za lata krzywd, jakie ludzie wyrządzali swoim stworzeniom. Roboty zaprogramowane, by móc krzywdzić ludzi, po zerwaniu z siebie tej bariery przemeblowują park na swoją modłę.

Twórca serialu Jonathan Nolan nie przez przypadek zapowiadał, że drugi sezon będzie oparty na trochę innych emocjach. Wiemy już, jakie jest pochodzenie robotów i źródło ich buntu. Pozwala to Nolanowi rozwinąć skrzydła wyobraźni, zastawić wiele narracyjnych zasadzek i umiejętnie zaskoczyć widza. Na pierwszy plan wysuwają się emocje samych androidów, ich transformacja świadomości i pragnień.





Blu-ray

Drugi sezon „Westworld" to bodaj najbardziej prokobieca produkcja s.f. w historii popkultury. To one (Evan Rachel Wood, Thandie Newton) pchają akcję do przodu i nadają jej rytm, choć zarówno Ed Harris, jak i Jeffrey Wright pogłębiają swoje intrygujące postacie w „jedynki". Nie jestem fanem s.f., jednak oglądając pierwsze pięć epizodów drugiego „Westworldu", od razu miałem ochotę na więcej. Teraz całość dostępna jest w pięknym wydaniu Blue-ray. Idealny prezent pod choinkę.

„WESTWORLD. SEZON 2", DYSTR. GALAPAGOS

Gdy Krzyś stanie się Krzysztofem

DVD

Krzyś dorósł. Jest teraz poważnym pracownikiem fabryki butów. Ma twarz Ewana McGregora i głos – w polskiej wersji językowej – Tomasza Kota. Pracuje w pocie czoła dla swojej córeczki i żony. Nie poświęca im czasu, ale przynosi do domu pieniądze. O to chodzi w życiu? Zapomniał o magii Stumilowego Lasu i wesołej gromadce przyjaciół na czele z Kubusiem Puchatkiem. Oni jednak pamiętają. Słodki i głupiutki miś pojawia się w Londynie i przypomina Krzysztofowi, co jest ważne w życiu. Mądra, ciepła i wzruszająca opowieść doskonale wpisuje się w magię książek A.A. Milne'a. Kłapouchy, Prosiaczek, Tygrysek, Kubuś i reszta mieszkańców jako postaci wykreowane przed speców od CGI nic nie straciły ze swoich specyficznych osobowości. Mark Foster, nie tracąc humoru oryginału, nakręcił uroczą przypowiastkę o sile przyjaźni, rodzinnych wartościach i potrzebie pielęgnowania w sobie dziecięcej niewinności. To też piękna historia ojcostwa. Idealna na święta Bożego Narodzenia. Naprawdę poruszy ten film największego twardziela.



„KRZYSIU, GDZIE JESTEŚ?", REŻ. MARK FOSTER, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl cf2a5688ce

Pustka Generała

Pierwsza uwaga nasuwa się sama: ta sztuka wypełnia lukę. Chyba poza „Norymbergą" Wojciecha Tomczyka, paroma „scenami faktu", a ostatnio adaptacją książki Cezarego Łazarewicza o zabójstwie Grzegorza Przemyka polski teatr nie podejmował fundamentalnych prób zmierzenia się z peerelowską przeszłością, szczególnie tą bliższą.

I oto Jarosław Jakubowski, świetny dramaturg, mieszkający poza największymi metropoliami, bo pod Bydgoszczą, wziął byka za rogi. To, kim jest „Generał", jest jasne od pierwszej minuty, chociaż nazwisko nie pada. A Marek Kalita (także współreżyser z Aleksandrą Popławską) gra Jaruzelskiego chwilami w skali 1:1.

Za większy cud od napisania dramatu uważam jego wystawienie już przed siedmiu laty w impresaryjnym Teatrze IMKA. To ujawnia względność etykietek. Uważany za stuprocentowego leminga dyrektor Tomasz Karolak do dziś określa sztukę jako sukces, choć powinien traktować grzebanie się w niedawnej przeszłości jako anachronizm, jeśli nie zbrodniomyśl. Zwłaszcza grzebanie się nie po to, aby rozdać po równo racje, ale żeby potrząsnąć widzami. Podobną funkcję spełnia powtórzenie „Generała" w Teatrze Telewizji.

To opowieść o wieczorze z życia dawnego dyktatora. Strofuje żonę i sekretarza, podejmuje córkę na obiedzie, wreszcie częstuje kolacją starych towarzyszy, generałów Floriana i Czesława. Czeka go finał procesu. Nie wszystko zgadza się tu w stu procentach. Córka Monika, dziś hołubiona przez wszystkie gazety, nie chodziła do klasy z Grzegorzem Przemykiem i chyba nie była na aż tak totalnej kontrze wobec ojca. Nie zgadzają się zachowania. Prawdziwy Jaruzelski chyba nigdy nie krzyczał. Ale Jakubowski może mówić, że miał prawo do miniatury malowanej ręcznie, nie fotografii. Że może tak jest bardziej uniwersalnie.

Zaskakująca jest, zwłaszcza jak na polskie standardy, brutalność, z jaką autor zabrał się do portretowania osoby wtedy żyjącej. Żyli i pozostali bohaterowie dramatu. Opisani w konwencji nawet nie w pełni realistycznej. To groteska, coś w rodzaju ponurego kabaretu o dawnych władcach Polski. Kabaretu efektownego, utkanego ze strzępów autentycznych wypowiedzi, choć i ponurych fantazji na temat. Jakubowski zapewniał, że nie przesądza o winie, pozwala generałom się bronić, ale ich bilans intelektualny i moralny jest tu mizerny. Tyle że Jaruzelski cierpi. To cierpienie pokazujące go jako postać z żywych tkanek nie prowadzi jednak do oczyszczenia. Bardziej do upiornego tańca świętego Wita.

Czego mi trochę zabrakło? Może szczegółów biograficznych, smaczków z biografii, jego paradoksalnej szlacheckości i syberyjskości, szukania przez niego, tak podejrzewam, w komunistycznym establishmencie swoistego azylu – aż maska przyrosła mu do twarzy. Ale może autor nie chciał tym obciążać tekstu, bo straciłby uniwersalny charakter opowieści o każdym dyktatorze?



Mamy natomiast świetnie oddany klimat wewnętrznie sprzecznych, drętwych, a czasem absurdalnych komunikatów, oświadczeń i zapewnień, z których odchodzący Jaruzelski składał się już niemal w całości. One tworzyły wokół niego wielką pustkę. Dla człowieka niewierzącego w życie po śmierci i obdarzonego jakąś intuicją, ta męcząca go pustka była karą dodatkową. To mistrzowsko oddaje Kalita, nieustannie modulowanym głosem i często nieruchomą twarzą, zza której coś jednak wyziera. Czy godzi się cieszyć z cudzego cierpienia? Przyznaję, nie czuję zmartwienia.

Piotr Zaremba

Dodatek sfinansowano
z funduszu prewencyjnego

„Białe szaleństwo", „pyszna sanna", „bajkowy świat spowity śniegiem" to hasła, które zazwyczaj przywołują uśmiech na naszych twarzach, bo ukazują, że nawet zima ma swoje uroki. Sytuacja się zmienia, gdy „białe szaleństwo" spotyka nas w podróży, za kierownicą. Wówczas nie jest nam do śmiechu. Zakorkowane drogi, tańczące na zalodzonych nawierzchniach samochody, zawsze zaskoczeni przez zimę drogowcy. Tysiące stłuczek, setki kolizji, groźne wypadki spowodowane utratą przyczepności na łuku ciasnej drogi, karambole dziesiątków aut wjeżdżających w siebie na autostradach to drugie oblicze pięknej, śnieżnej i mroźnej zimy. Nie miejmy złudzeń – bezpieczne prowadzenie samochodu w trudnych warunkach zimowych to zupełnie co innego niż jazda w ciepły letni dzień po suchej nawierzchni. Aby przetrwać nadchodzącą porę roku z dala od szpitali i warsztatów blacharskich, musimy pamiętać o wielu zasadach bezpiecznego poruszania się po drogach w warunkach zimowych

Kierowca bezpieczny zimą

Fot. Shutterstock | 6/218/F

eprasa.pl/cf2a5033ce



Kierowco, nie zapadaj w sen zimowy! Zadbaj o swoje auto teraz

eprasa.pl cf2a5688ce



Przygotowanie auta do sezonu zimowego zazwyczaj kojarzy się każdemu z dwiema czynnościami – wymianą płynu w spryskiwaczu na niezamarzający, a więc właśnie zimowy, oraz z wymianą opon na tzw. zimówki. O ile poniechanie tej pierwszej czynności jest obwarowane konsekwencjami, których każdy przeciętny kierowca ma świadomość – a więc zamarznięciem płynu w zbiorniczku i przewodach, co może się skończyć ich popękaniem, o tyle konsekwencji rezygnacji z wymiany opon wielu kierowców nie jest do końca świadomych. W ich opinii rezygnację z zimówek, podyktowaną często chęcią znalezienia oszczędności w domowym budżecie, da się skompensować ostrożniejszym niż zazwyczaj stylem jazdy po zimowych drogach. Niestety nie jest to myślenie, które warto pochwalić

Zacznijmy od tego, że naprawdę porządne i odpowiedzialne przygotowanie samochodu do zimy to dużo więcej czynności niż dwie wspomniane wyżej. Jeśli jesteśmy kierowcami całorocznymi, którym niestraszne żadne warunki pogodowe, a dodatkowo mocno wierzymy w swoje umiejętności za kierownicą, tym bardziej powinniśmy zadbać o to, by nasze auto było w pełni sprawne, a siarczyste mrozy czy marznące opady deszczu ze śniegiem nie miały negatywnego wpływu na jego stan techniczny. Skoro bowiem uważamy, że potrafimy jeździć, to nie będziemy przecież wybierali komunikacji zbiorowej w zimowy, mroźny i śnieżny dzień, a podejmiemy próbę uruchomienia naszego auta i odjechania nim sprzed domu.

Bez płynu zniszczysz szybę

Wspomniany na pierwszym miejscu płyn do spryskiwaczy szyb i reflektorów (opcjonalnie) jest zimą absolutnie podstawowym i nieodzownym wyposażeniem każdego auta. Kapryśna aura, błoto spod kół innych pojazdów, maź, która tworzy się w wyniku posypywania dróg solą i piaskiem – wszystkie te czynniki są w stanie doprowadzić do zabrudzenia przedniej szyby w naszym aucie w ciągu dosłownie kilku minut. Usuwając te ciężkie, zimowe zabrudzenia samymi wycieraczkami na sucho, bez użycia płynu, możemy doprowadzić nie tylko do uszkodzenia piór wycieraczek, lecz nawet do porysowania szyby. Uszkodzona w ten sposób szyba, która nie będzie gwarantowała nam dostatecznej widoczności za kierownicą, jest z kolei wystarczającym powodem do zatrzymania dowodu rejestracyjnego w razie kontroli drogowej lub też do „oblania" badań technicznych przez nasze auto. Wymiana przedniej szyby w zależności od modelu samochodu to wydatek od kilkuset do nawet kilku tysięcy złotych. Taniej więc chyba zawsze mieć odpowiednią ilość zimowego płynu do spryskiwaczy w zbiorniczku i jego zapas w bagażniku.

Nie oszczędzaj na zimówkach

Dużo kosztowniejszym elementem wyposażenia są opony zimowe. Cena za komplet porządnych, godnych polecenia opon zimowych może się wahać oczywiście w bardzo szerokim zakresie i zależy od wielu zmiennych, z których najważniejsze to rozmiar kół i marka producenta. Warto zauważyć, że nowe samochody są standardowo wyposażane w coraz większe koła i dziś już właściwie nie sposób znaleźć nowe auto z najbardziej popularnego segmentu C z felgami mniejszymi niż 16-calowe. Oznacza to także, że zakup kompletu opon będzie kosztował nas więcej niż w czasach, kiedy łatwo było o samochód na felgach

eprasa.pl cf2a5688ce

„czternastkach" czy „piętnastkach". Możemy jednak przyjąć, że średnio za cenę 1 tys. zł jesteśmy w stanie się zaopatrzyć w komplet opon zimowych średniej klasy, przeznaczony do samochodu kompaktowego. W Polsce nie ma wciąż obowiązku sezonowej wymiany opon, ale wprowadzenie takiego wymogu do Kodeksu drogowego jest coraz głośniej postulowane.

Można przypuszczać, że jedyną barierą dla wprowadzenia obowiązku wymiany opon jest koszt polityczny, jaki poniósłby rząd decydujący się na takie rozwiązanie. Poruszający się w większości dosyć starymi samochodami Polacy mogliby z dużym niezadowoleniem przyjąć to, że prawodawca zaczyna wymagać montażu opon zimowych za 1 tys. zł w aucie wycenianym przez rynek jedynie kilka razy drożej. Tymczasem w wielu krajach europejskich, i to nie wszystkich statystycznie bogatszych od Polski, taki wymóg istnieje już od dawna. Obowiązkowe ogumienie zimowe w sezonie liczonym zazwyczaj od połowy listopada do połowy marca należy wyposażać auta m.in. w Estonii, Finlandii, na Łotwie, w Szwecji, Słowenii, Czechach i Słowacji. Wiele innych państw wymaga dostosowania ogumienia do warunków drogowych, co w praktyce oznacza wymóg założenia zimą właśnie zimówek. Tak jest m.in. w Austrii, Rumunii czy w Niemczech. W Wielkiej Brytanii, Holandii, Danii czy Belgii – podobnie jak w Polsce – prawnego wymogu do stosowania zimowego ogumienia nie ma. I choć wymogu nie ma, to do sensu zakładania zimówek nie trzeba przekonywać zwłaszcza tych kierowców, którzy mieli okazję samodzielnie zapoznać się z różnicą w zachowaniu auta wyposażonego w opony zimowe i letnie.

Nie trzeba być doświadczonym kierowcą ani kimś dysponującym umiejętnościami na miarę Kubicy, by już po kilku przejechanych metrach zauważyć, że opony zimowe to nie jest żaden spisek światowych producentów czy też wymysł marketingowców. Auto prowadzi się zdecydowanie pewniej, ma nieporównywalnie lepszą przyczepność, do wyhamowania potrzebuje krótszego dystansu. W popularnym serwisie internetowym możemy znaleźć wiele filmów dokumentujących testy opon zimowych i ich przewagę nad oponami letnimi. Warto zauważyć, że opony zimowe tak zmieniają właściwości jezdne auta, że zdecydowanie lepiej i bezpieczniej zapanujemy nad samochodem napędzanym na jedną oś, ale wyposażonym w zimówki, niż nad autem z napędem na cztery koła, który zimą będzie jeździł na oponach letnich. Na ironię zakrawa fakt, że to właśnie właściciele starych samochodów pozbawionych często nowoczesnych elektronicznych systemów wspomagających kierowcę, jak choćby popularne ESP (kontrola trakcji), powinni tym bardziej zainteresować się wymianą opon na zimowe, gdyż brak takiego ogumienia w ich samochodach nie jest w żaden sposób kompensowany elektronicznie. Oczywiście żaden system elektroniczny nie zastąpi zalet opon zimowych, dlatego z obowiązku ich montażu nie powinni być zwalniani także właściciele stosunkowo nowych aut.

Akumulator nie lubi zimy

Samochodu możemy jednak wcale nie odpalić ani nie ruszyć nim zimą mimo odpowiedniego ogumienia, jeśli akumulator w naszym aucie najlepsze lata ma już za sobą. O tym, czy tak faktycznie jest, czy też będziemy mogli liczyć na dostawę potrzebnej ilości energii elektrycznej przez całą nadchodzącą zimę, dowiemy się, robiąc

Zdaniem eksperta

Zima to szczególny okres dla kierowców, do którego naprawdę należy się przygotować w odpowiedzialny sposób. Warunki atmosferyczne wpływają bowiem na pogorszenie tych parametrów jazdy, które mają największy wpływ na nasze bezpieczeństwo na drodze. Wydłuża się droga hamowania, pogarsza przyczepność, trudniej utrzymać odpowiednią widoczność. Zachęcam zatem każdego do korzystania z akcji serwisowych i przeglądów w warsztatach, gdzie kontroli poddane zostaną te elementy konstrukcji samochodu, od których sprawności zależy bezpieczna jazda zimą. O ile bowiem z wymianą płynu w spryskiwaczu każdy poradzi sobie sam, o tyle profesjonalna ocena stanu zawieszenia czy układu hamulcowego możliwa jest tylko w specjalistycznych warsztatach. ●

Robert Dziewulski, Porsche Inter Auto Warszawa, salony i serwis marek: Bentley, Porsche, Lamborghini, Audi, VW, Skoda

O to zadbaj w aucie przed zimą

- ❄ Wymień płyn do spryskiwaczy na niezamarzający.
- ❄ Wymień opony na zimowe.
- ❄ Zrób test akumulatora.
- ❄ Zabezpiecz uszczelki przed przymarzaniem do drzwi.
- ❄ Zadbaj o to, by zawsze mieć w aucie skrobaczkę do szyb i szczotkę do odśnieżania.
- ❄ Upewnij się, że układ hamulcowy w twoim aucie i zawieszenie są sprawne – przy nierównym rozkładzie siły hamowania łatwo wpaść w poślizg na śliskiej jezdni.
- ❄ Wymień wycieraczki.
- ❄ Wymień dywaniki na gumowe, materiałowe będą oddawać wilgoć w środku auta i wzmagać parowanie szyb.
- ❄ Zadbaj o prawidłowe ustawienie świateł, zimą zmrok zapada szybciej – źle ustawione światła oślepiają innych użytkowników drogi.
- ❄ Skontroluj stan płynu hamulcowego – nie przeciągaj terminów wymiany, zimą płyn hamulcowy szybko traci swoje właściwości.
- ❄ Skontroluj stan świec żarowych w autach z silnikami Diesla.
- ❄ Wymień filtr powietrza, wilgotny doprowadzi do parowania szyb.
- ❄ Skontroluj ciśnienie w oponach, niskie temperatury je obniżają, a przez to opony zużywają się szybciej. ●

eprasa.pl cf2a5688ce



Zimowe czy letnie

- **Mieszanka** – podstawową różnicą między oponami zimowymi a letnimi jest rodzaj kauczukowej mieszanki, z jakiej się je produkuje. Mieszanka używana w oponach letnich staje się miękka i elastyczna w wyższych temperaturach, natomiast twardnieje i może nawet kruszeć w temperaturach poniżej 7 st. C. Opony zimowe zachowują swoją elastyczność w dużo niższych temperaturach.

- **Bieżnik** – opony zimowe mają głębszy od letnich bieżnik, który składa się z tysięcy wąskich szczelin. Szczeliny te, gdy zostaną wypełnione śniegiem, jeszcze bardziej podnoszą przyczepność opony. Natomiast należy pamiętać, że im płytszy bieżnik, tym opona zimowa mocniej traci swoje właściwości, a do użytku nie nadaje się już właściwie wówczas, gdy głębokość rowków spadnie do 4 mm. Warto zauważyć, że głębokość taka w przypadku opony letniej jeszcze nie dyskwalifikuje jej z użytku.

- **Wzór i kształt** – opony letnie mają mniej skomplikowany, ale bardziej prosty wzór bieżnika, który tworzy większą powierzchnię styku z nawierzchnią. W warunkach ciepłych i suchych daje to zdecydowanie lepszą kontrolę nad autem, a w temperaturach przekraczających 15 stopni C samochód wyposażony w opony letnie wyhamowuje na wielokrotnie krótszym dystansie. ●

tzw. test akumulatora. To prosta i tania czynność, którą możemy wykonać sami za pomocą urządzenia zwanego multimetrem, którego najtańsze modele kupimy już za 20–30 zł. Możemy także poprosić o wykonanie takiego testu w warsztacie bądź w sklepie z akumulatorami. Pamiętajmy, że przy temperaturach od –10 do –25 st. C, jakie zimą nie są przecież nocą niczym niezwykłym, pojemność akumulatorów spada nawet o 45 proc.

Bez skrobaczki ani rusz

Na koniec warto przypomnieć o tak – wydawałoby się – banalnej rzeczy jak posiadanie skrobaczki do szyb. Autentyczne kłopoty kierowców, w które wpadli, bo nie mieli pod ręką porządnej skrobaczki, powinny uzmysłowić nam, jak ważny jest to element zimowego wyposażenia auta. Jeśli nie mamy skrobaczki do szyb w standardowym wyposażeniu naszego samochodu, to jej brak odkryjemy z pewnością pewnego mroźnego poranka. Oczywiście pod warunkiem że nie należymy do grona szczęśliwców, którzy swoje auta parkują na noc w ciepłych garażach. Poranki z kolei mają to do siebie, że zazwyczaj brakuje nam czasu. Chcemy jak najszybciej odjechać, a tymczasem warstwa lodu na naszych szybach przypomina prehistoryczną skamielinę. Jeżeli w takiej sytuacji nie mamy wspomnianej skrobaczki, to zazwyczaj staramy się znaleźć skuteczny zamiennik. W ostatnim czasie na tym odcinku furorę robią wszelkiego rodzaju karty bankowe lub dokumenty wydane w formie plastikowego prostokąta. W jednym z warszawskich urzędów dzielnic można usłyszeć historię petenta, którego szalenie zbulwersowała odmowa uznania ważności pękniętego dowodu osobistego. Jak można się domyślić, dowód ten posłużył śpieszącemu do urzędu mężczyźnie za substytut skrobaczki do szyb. Niestety, projektanci dokumentu raczej nie przewidzieli dla niego takiej funkcji i plastik pękł pod naporem lodu. Sprawa, do której załatwienia było tak pilnie wspomnianemu petentowi, niestety musiała poczekać do czasu wyrobienia przezeń nowego dowodu osobistego.

Często sposobem na usunięcie lodu z szyby w przypadku braku skrobaczki jest odpalenie i rozgrzanie auta na postoju, po czym skierowanie ciepłego nawiewu na szybę. Pamiętajmy jednak, że Kodeks drogowy zabrania nam postoju z włączonym silnikiem w terenie zabudowanym, a złamanie tego zakazu zagrożone jest mandatem do 100 zł. Tymczasem skrobaczka, o wartości kilku złotych, skutecznie zabezpieczy nas przed niszczeniem dokumentów i kart bankomatowych, a także mandatem za trucie sąsiadów spalinami. ●

eprasa.pl cf2a5688ce



Wolniej, ostrożniej, łagodniej – zasady jazdy zimą

eprasa.pl cf2a5688ce



Dobrze przygotowane auto do sezonu zimowego to dopiero część gwarancji tego, że ten trudny czas dla kierowców uda się nam przeżyć bez uszczerbku na zdrowiu i szwanku dla naszego samochodu. Jeszcze ważniejszą sprawą jest bowiem umiejętność prowadzenia auta w warunkach zimowych. O kilku elementarnych zasadach, od lat wpajanych kolejnym pokoleniom kierowców, zawsze warto sobie przypomnieć

Fot. Shutterstock

Rozwój technologiczny w motoryzacji sprawia, że coraz więcej obowiązków kierowcy przejmują elektroniczne systemy bezpieczeństwa. System zapobiegający blokowaniu kół podczas hamowania (ABS), system kontroli trakcji, który ma zapobiegać poślizgom (ESP, ESC lub VSA) czy system zapobiegający uślizgowi kół przy starcie (ASR) są już dziś właściwie powszechnym wyposażeniem seryjnym nowych aut, przynajmniej na rynku europejskim. Widać dziś także wyraźnie cel, do jakiego rozwój technologiczny branży motoryzacyjnej zmierza. Jest nim w pełni zautomatyzowany pojazd, w którym jedynym zadaniem człowieka będzie określenie adresu podróży. Autopilot zrobi za nas wszystko, będzie rygorystycznie przestrzegał przepisów, dostosuje prędkość do warunków drogowych, nie wpadnie w poślizg. W świecie autonomicznych aut teksty o bezpiecznej technice jazdy stracą sens.

Zanim jednak do tego dojdzie, warto jeszcze raz sobie przypomnieć, że średni wiek auta w Polsce jest jednym z najwyższych w Europie i wynosi aż 13 lat. Jednocześnie po naszych drogach jeździ ponad 28 mln pojazdów, z czego ponad 22 mln to auta osobowe. Z tej liczby wiele milionów to auta naprawdę stare, o wątpliwym stanie technicznym, w których nie spotkamy najnowocześniejszych systemów wspomagających bezpieczeństwo jazdy. To właśnie kierowcy takich samochodów powinni ze szczególną starannością trzymać się podstawowych zasad bezpieczeństwa jazdy w warunkach zimowych.

Spokojny start

Pierwszą ogólną zasadą, jaką należy bezwzględnie stosować zimą, jest to, aby jeździć wolniej i unikać jakichkolwiek gwałtownych reakcji za kierownicą. Kłopoty mogą się zacząć już w momencie podjęcia próby zbyt dynamicznego ruszenia z miejsca. Na śliskiej nawierzchni koła mogą buksować. W przypadku zbyt gwałtownej próby odjazdu ze śniegu kręcące się w miejscu koła szybko zamienią śnieg w warstwę lodu. Najlepszą metodą skutecznego startu w takich warunkach jest bardzo delikatne potraktowanie pedału gazu przy jednoczesnym delikatnym odpuszczaniu sprzęgła. Niektórzy eksperci zalecają nawet próbę ruszenia z drugiego biegu, ale to rozwiązanie można polecić tym kierowcom, którzy nie radzą sobie z delikatną obsługą pedałów przy ruszaniu z „jedynki", auto im gaśnie lub robi tzw. kangurka. Generalnie drugi bieg nie powinien nam służyć do ruszenia z miejsca, gdyż nie do tego został przewidziany.

> Nie należy się denerwować i ryzykownie wyprzedzać, gdy auto przed nami jedzie dużo wolniej. Osoba siedząca za kierownicą zapewne boi się zimowych warunków i nie ma może tak bogatego doświadczenia w technice jazdy samochodem zimą jak my
>
> *Asp. szt. Tomasz Słuszniak, Wydział Ruchu Drogowego KWP we Wrocławiu*

Czarny lód na czarnej drodze

Kiedy już uda się nam ruszyć płynnie przed siebie, pamiętajmy, że zima to okres, w którym nawierzchnia drogi może nas zaskoczyć w każdej chwili. Natura przygotowała w naszej szerokości geograficznej całą paletę sytuacji, na które musi być przygotowany kierowca. W praktyce oznacza to, że zimą nigdy nie powinniśmy tracić czujności. Nawet jeśli droga, którą właśnie się poruszamy, jest dobrze odśnieżona, przyczepna, a my mamy pełną kontrolę nad pojazdem, musimy pamiętać, że sytuacja ta może w każdej chwili ulec zmianie. Za kilkaset metrów, tuż przed skrzyżowaniem możemy trafić na przykład na tzw. czarny lód, czyli miejsce pokryte cieniutką warstwą lodu, którego nie sposób dostrzec. Jeżeli jedziemy drogą z pierwszeństwem przejazdu, nie możemy być pewni, czy z którejś z dróg podporządkowanych nie wyjedzie tuż przed nami pojazd, którego kierowca nie radzi sobie z hamowaniem w warunkach zimowych, a droga, z której właśnie wyjechał, nie została dobrze oczyszczona ze śniegu i lodu. Pamiętajmy więc, że chociaż miejsce, po którym aktualnie jedziemy, jest suche i daje dobrą przyczepność, to nie zwalnia nas z obowiązku stosowania się do zasad bezpiecznej jazdy zimą.

eprasa.pl cf2a5688ce

Hamuj wcześniej niż zwykle

A kolejną z nich jest odpowiednie przygotowanie manewru hamowania. Przede wszystkim o konieczności zatrzymania się w danym miejscu zimą musimy pamiętać wcześniej i odpowiednio się do wyhamowania auta przygotować. Gdy jedziemy po drodze śliskiej, mokrej, częściowo oblodzonej i wiemy, że za kilkaset metrów czeka nas hamowanie przed skrzyżowaniem, zacznijmy redukować stopniowo biegi, po kolei: z czwórki na trójkę, z trójki na dwójkę. Obniżymy w ten sposób znacząco prędkość auta bez zatrudniania układu hamulcowego i ryzyka blokady kół.

Oczywiście do blokady kół nie dojdzie w przypadku, gdy auto jest wyposażone w sprawny system ABS. Jednak pamiętajmy, że ABS uchroni nas przed poślizgiem podczas hamowania, ale nie skróci dystansu potrzebnego do zatrzymania samochodu! Dodatkowo poprawne skorzystanie z ABS na naprawdę śliskiej nawierzchni wiąże się z koniecznością użycia dużo większej siły niż w trakcie hamowania, które ABS nie uruchomi. Policjanci z drogówki nieraz spotkali się z tłumaczeniem kierowcy, który nie zdążył w porę wyhamować, że nie miał on siły toczyć zmagań z odbijającym pedałem hamulca, a dodatkowo towarzyszące temu głuche dźwięki i trzaski sugerowały awarię auta. W autach naprawdę starych i naprawdę źle wyposażonych (za takie należy dziś z pewnością uznać te, w których ABS nie ma, zwłaszcza że system ten ma już ponad pół wieku!) zaleca się przeprowadzenie manewru hamowania tzw. metodą pulsacyjną, która ma na celu także zapobieżenie zablokowaniu kół i zamienieniu ich w płozy na śliskiej zimowej nawierzchni.

Bez gazu w zakręcie

Kolejną żelazną zasadą podczas jazdy zimą jest ograniczenie manewrów w zakrętach. Łuki drogi powinniśmy pokonywać płynnie i ze stałą prędkością. Zimą zapomnijmy o dodawaniu gazu w zakręcie, możemy zrobić to dopiero po wyjściu z niego, kiedy koła znów będą ustawione prosto. O tym, że warto wiedzieć, w jakie systemy jest wyposażony nasz samochód i czy są one sprawne, przekonamy się podczas wpadnięcia w poślizg na łuku drogi zimą, co jest jedną z typowych i najbardziej niebezpiecznych sytuacji o tej porze roku.

Przez całe lata eksperci i nauczyciele bezpiecznej jazdy zalecali w przypadku poślizgu natychmiastowe skręcenie kół w stronę przeciwną i dodanie gazu. Taka reakcja pozwalała skutecznie i bezpiecznie wyprowadzić auto z poślizgu i odzyskać pożądany tor jazdy. Jednak, gdy poruszamy się autem wyposażonym w coraz bardziej powszechny układ kontroli trakcji (oznaczony ESP, ESC lub VSA), powinniśmy zapomnieć o powyższej radzie. Zacznijmy od tego, że wspomniane układy mają za zadanie zapobiegać jakimkolwiek poślizgom. Elektronika dba o to, by poszczególne koła były odpowiednio przyhamowywane bądź napędzane z takim rozkładem sił, aby zadany przez nas kierownicą tor i kierunek jazdy był utrzymywany. Łatwo więc sobie wyobrazić, że nagłe skręcenie koła kierownicy w stronę przeciwną w aucie wyposażonym w elektroniczną kontrolę trakcji doprowadzi do tego, że system odczyta nasz manewr jako chęć zmiany kierunku jazdy i zacznie dostosowywać prędkość poszczególnych kół do nowego zadania. Wszystkie opisywane tu procesy odbywają się oczywiście w ciągu tysięcznych części sekundy, ale mają bezpośredni wpływ na to, czy wchodząc zimą w śliski zakręt, zakończymy go w przydrożnym rowie czy też wyjedziemy na przeciwległy pas ruchu, albo też pojedziemy bezpiecznie dalej.

Jadąc zimą samochodem, pamiętajmy także o innych użytkownikach drogi, którzy mogą nie mieć takich umiejętności jak my. Powinniśmy być więc dużo bardziej niż zazwyczaj wyrozumiali dla tych kierowców, którzy nawet z przesadną – naszym zdaniem – ostrożnością stosują się do zaleceń bezpiecznej jazdy w zimowych warunkach. ●

Podstawowe zasady bezpiecznej jazdy zimą

- **Spokój** – zimą starajmy się łagodnie zachowywać za kierownicą, bez żadnych gwałtownych ruchów i reakcji, które przeniesiemy na kierownicę czy pedały naszego auta. Każdy gwałtowny czy zbyt dynamiczny manewr może nas kosztować utratę przyczepności i doprowadzić do kolizji lub wypadku.
- **Czujność** – jazda po czarnej, suchej, dobrze odśnieżonej nawierzchni nie powinna usypiać naszej czujności, zwłaszcza w zimny dzień. Warunki drogowe zimą mogą się zmienić jak w kalejdoskopie. Może się nagle okazać, że pędząc 90 km/h, wśród przydrożnych drzew natrafimy na lokalną gołoledź albo odcinek, którego akurat zapomniano posypać solą. Nagła zmiana przyczepności przy braku odpowiedniej czujności z naszej strony może się skończyć tragicznie.
- **Przewidywanie** – zimą powinniśmy się starać sięgać naszą wyobraźnią daleko poza zasięg wzroku. Zbliżając się do skrzyżowania, przejścia dla pieszych czy przejazdu kolejowego, zacznijmy się przygotowywać do pokonania tego miejsca dużo wcześniej, niż robimy to latem. Kluczem jest redukcja prędkości przeprowadzona z odpowiedni wyprzedzeniem, by móc bezpiecznie zatrzymać samochód w razie konieczności przed którąś z wymienionych przeszkód.
- **Opanowanie** – utrata kontroli nad autem, czyli poślizg, zimą zawsze może się nam przydarzyć. Jeżeli dojdzie do takiej sytuacji, powinniśmy wiedzieć, co należy robić. Nie wolno nam wpaść w panikę czy wykonywać manewrów, które zamiast pomóc, jeszcze pogorszą naszą sytuację. Ideałem byłoby poćwiczenie tzw. kontrolowanych poślizgów i sposobów wyjścia z nich. Podobne szkolenia organizują ośrodki dokształcające kierowców w całym kraju.
- **Ograniczone (jeszcze bardziej) zaufanie** – niestety, nawet jeśli zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zimą być bezpiecznym i odpowiedzialnym użytkownikiem drogi, musimy pamiętać, że otaczają nas ludzie, których umiejętności mogą nie dorównywać naszym. To dlatego obowiązująca zawsze każdego kierowcę tzw. zasada ograniczonego zaufania powinna zyskiwać na znaczeniu właśnie zimą. Musimy pamiętać, że nieodpowiedzialne zachowania innych uczestników ruchu zimą mogą mieć dużo poważniejsze konsekwencje niż w cieplejszych porach roku. ●

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Shutterstock

Prowadzenie samochodu w warunkach zimowych bywa ryzykowne, gdyż wymaga sporych umiejętności od kierowcy, i to nawet w miastach oraz regionach nizinnych. Skala trudności rośnie, gdy wybieramy się zimą autem w góry, co przecież nie należy do rzadkości. Im wyżej chcemy wjechać, tym na większe wyzwania musimy być przygotowani

Nie tylko dla orłów – zimowy wyjazd w góry

Przygotowanie auta do zimowego wyjazdu w góry wymusza uzupełnienie naszego ekwipunku o kolejne niezbędne przedmioty. Będą to łańcuchy na koła, obligatoryjnie wymagane w niektórych krajach na wskazanych odcinkach dróg, oraz niewymagana nigdzie, ale mogąca uratować nas z niejednej opresji saperka. Lista rzeczy, które mogą być przydatne, jest znacznie dłuższa. Przydałoby się mieć spory zapas liny holowniczej, staromodne (bo nieelektroniczne, lecz papierowe), ale aktualne mapy drogowe regionu górskiego, w który się wybieramy, oraz odpowiedni zestaw odzieży na wypadek konieczności przeprowadzenia niezbędnych napraw na powietrzu.

Usiądź nad mapą, nie szukaj skrótów

Przede wszystkim przed zaplanowaniem naszego wyjazdu w góry powinniśmy poświęcić trochę czasu na przestudiowanie map. Zapomnijmy na chwilę o nawigacji w naszym smartfonie czy aucie, gdyż nie znajdziemy tam tzw. poziomic, czyli linii łączących na mapie punkty o tej samej wysokości nad poziomem morza. A to właśnie ukształtowanie terenu powinno determinować przede wszystkim wybór trasy, jaką zamierzamy pokonać. Planując trasę, starajmy się wyznaczyć ją tak, by wykorzystać możliwie jak najwięcej odcinków głównych dróg – autostrad, dróg ekspresowych i jednojezdniowych dróg krajowych. Zdecydowanie lepiej nadłożyć nawet kilkadziesiąt kilometrów dystansu, by móc korzystać z głównych tras, niż szukać ryzykownych skrótów drogami, które zimą mogą być dla naszego auta zwyczajnie zbyt dużym wyzwaniem, bo na przykład nie są regularnie odśnieżane. To dlatego właśnie przyda się nam mapa, a nawigacja, która nie rozróżnia pór roku ani nic nie wie o ewentualnym odśnieżaniu danego odcinka, może się stać w tej wycieczce mało przydatna.

eprasa.pl cf2a5688ce

Dzięki mapom z poziomicami możemy wyznaczyć nasz szlak tak, by uniknąć wspinaczki na zbyt duże wysokości. Musimy pamiętać, że im wyżej, tym warunki pogodowe mogą być trudniejsze i diametralnie inne od tych panujących kilkaset metrów niżej. Przykładowo to, że na poziomie 1500 m n.p.m. jest lekka odwilż, nie oznacza wcale, że na wysokości 2000 m nie ma siarczystego mrozu. Wraz ze wzrostem wysokości spada bowiem temperatura – średnio 0,8 st. C na każde 100 m.

Naucz się zakładać łańcuchy

Gdy zaopatrzymy się w łańcuchy śniegowe, powinniśmy się nauczyć je sprawnie i szybko zakładać na koła. Dziś sprawa jest ułatwiona o tyle, że w sieci znajdziemy mnóstwo filmów instruktażowych na ten temat. Radzimy jedynie obejrzeć je wcześniej, jeszcze w domu przed podróżą, a następnie przetestować zakładanie łańcuchów przed wyjazdem. Odbywanie przyspieszonego kursu na górskiej drodze, przy zanikającym zasięgu telefonu i trzaskającym mrozie będzie z pewnością bardziej stresujące.

Dodatkowo nie należy kupować łańcuchów w ciemno, lecz wcześniej dokładnie się zorientować, jakie wymagania i normy kupowany przez nas łańcuch powinien spełniać. Może to mieć kluczowe znaczenie choćby w tak chętnie odwiedzanym zimą przez Polaków kraju, jakim jest Austria, gdzie policja bardzo skrupulatnie sprawdza, czy zakładane przez nas łańcuchy to sprzęt mający odpowiednie atesty. Co ciekawe, ogólne przepisy w Austrii nie wymagają posiadania łańcuchów, za to górskich szlaków, gdzie są one wymagane w sezonie zimowym, jest tak dużo, że podróż w góry do tego alpejskiego kraju bez łańcuchów jest praktycznie wykluczona.

Czasem pomoże jedynie łopata lub hol

Sprzęt taki jak saperka czy linka holownicza to nasze atuty na wypadek przykrej niespodzianki jak zakopanie się w zaspie śnieżnej lub wypadnięcie z drogi na pobocze pełne sypkiego śniegu. Pamiętajmy jednak, że jeżeli dojdzie do konieczności odkopywania przez nas auta saperką, powinniśmy zadbać o to, by mieć odpowiednią odzież do takiej pracy. Przydadzą się nam nieprzemakalne rękawice, byśmy nie odmrozili sobie dłoni, ciepła, ale oddychająca kurtka czy okulary przeciwsłoneczne dobrze przylegające do twarzy. Podczas pracy na powietrzu powinniśmy uważać, by nie dopuścić do przemoknięcia naszych dłoni czy stóp, bo wilgotna skóra jest podatna na odmrożenia nawet przy najlżejszym mrozie.

> W miejscowościach górskich oraz na drogach usytuowanych w górach w okresie zimowym mogą wystąpić ekstremalne warunki podróżowania, w których zimowa opona już nie wystarczy. Gruba warstwa śniegu lub lodu sprawi, że dalsza jazda w takim terenie będzie wręcz niemożliwa. Możemy się spotkać również z nakazem założenia łańcuchów sygnalizowanym przez znaki drogowe czy funkcjonariuszy policji. Na rynku dostępnych jest wiele łańcuchów na koła samochodów różnych producentów. Najlepiej zaopatrzyć się w takie, które bez trudu założymy na oponę naszego pojazdu
>
> *Nadkom. Krzysztof Zaporowski, KWP Wrocław*

Gdy uda nam się już dojechać do wymarzonego kurortu zimowego i osiągnąć parking przytulnego pensjonatu, poświęćmy jeszcze chwilę uwagi na odpowiednie zaparkowanie auta. Postarajmy się zrobić to w płaskim miejscu. Dlaczego, tłumaczy nadkomisarz Krzysztof Zaporowski z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. – Gdy już znajdziemy się w miejscu wypoczynku zimowego, pamiętajmy, by nie zostawiać samochodu na ręcznym. Jeśli o tym zapomnimy, rano możemy mieć problem z opuszczeniem dźwigni hamulca, bo jego linka po prostu zamarznie – przypomina policjant.

Pomyśl nie tylko o własnym aucie

Zimowe wyjazdy w góry to nie tylko rodzinne eskapady własnymi samochodami. Świąteczne przerwy w nauce czy ferie zimowe to czas wzmożonego ruchu autokarowego. O ile sami możemy zadbać o wyposażenie i stan naszego samochodu, o tyle nie mamy uprawnień, by skontrolować autokar, którym na górski wypoczynek zimowy pojedzie nasze dziecko. Natomiast zawsze powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by zapewnić swoim pociechom bezpieczny transport na miejsce zimowego szaleństwa.

– Pragnę przypomnieć, że stało się już dobrym zwyczajem kontrolowanie przez policję autokarów przewożących nasze pociechy. Jeśli opiekun lub rodzic będzie miał jakiekolwiek podejrzenia dotyczące niesprawności autokaru przewożącego dzieci na wycieczkę czy ferie, bądź też zachowanie kierowcy będzie wskazywało, że może się on znajdować w stanie po użyciu alkoholu lub innego podobnie działającego środka, nie powinien absolutnie się zgadzać na wyjazd dzieci. Należy wówczas wezwać policjantów pionu ruchu drogowego. Organizator wypoczynku lub rodzice mogą poprosić o kontrolę w każdej jednostce policji, najlepiej z wyprzedzeniem – tłumaczy nadkom. Zaporowski.

Wymogi dotyczące wyposażenia cięższych pojazdów, takich jak autokary, choćby w łańcuchy śniegowe są inne niż w przypadku samochodów osobowych. Warto więc wezwać policjantów, gdyż sami z pewnością nie będziemy wiedzieli, jakie atesty i normy powinny spełniać elementy znajdujące się na wyposażeniu autokaru i gwarantujące jego bezpieczną eksploatację w trudnych warunkach zimowych. ●

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Shutterstock

Narty w aucie? Bezpieczniej na dachu

Wybierając się zimą na narty samochodem, stajemy przed dodatkowym dylematem – jak bezpiecznie przewieźć nasz sprzęt, którego gabaryty nie pozwalają po prostu na zmieszczenie w bagażniku. Przewożenie nart i desek snowboardowych w samochodach osobowych w bezpieczny sposób jest na szczęście możliwe

Podstawowy dylemat, przed jakim staniemy, to to, czy mamy miejsce na przewiezienie nart lub desek w środku auta, czy też chcemy skorzystać z bagażników zewnętrznych. Przewożenie w środku ma dwie podstawowe zalety – sprzęt na pewno się nam nie ubrudzi oraz zaoszczędzimy na kupnie bądź wypożyczeniu bagażnika zewnętrznego. Decydując się jednak na transport nart lub desek w środku auta, musimy pamiętać o tym, by zamocowanie uniemożliwiało przemieszczanie się sprzętu po kabinie samochodu. W przypadku nagłego hamowania źle umocowane narty mogą doprowadzić do tragedii. W wielu krajach policja sprawdzi podczas rutynowej kontroli, czy przewożone przez nas w środku narty lub deski są umocowane w sposób prawidłowy. Jeżeli funkcjonariusz policji stwierdzi, że nie przyłożyliśmy się zbytnio do tego zadania, może nas ukarać mandatem. W Polsce wysokość takiego mandatu może wynieść nawet 500 zł. Zresztą obowiązek przewożenia w środku auta odpowiednio zabezpieczonego bagażu dotyczy nie tylko nart i desek, lecz także butów, kasków czy kijków narciarskich. Najbardziej popularnym rozwiązaniem jest specjalna torba, którą mocuje się środkowym pasem bezpieczeństwa na tylnej kanapie w miejscu, gdzie w wielu autach możemy utworzyć lukę między bagażnikiem, a kabiną pasażerską, uchylając część oparcia.

Eksperci zdecydowanie jednak polecają inny sposób przewożenia sprzętu zimowego.

– Narty, deski i inny sprzęt do uprawiania sportów zimowych najlepiej odnajdzie się na bagażniku dachowym – mówi asp. szt. Paweł Petrykowski z dolnośląskiej policji.

Wybierając to polecane rozwiązanie, najlepiej zaopatrzyć się w tzw. boks, a więc zamykany bagażnik montowany na relingach. Skorzystanie z takiego rozwiązania ma właściwie same zalety. Po pierwsze, nie narazimy się na nieprzyjemne i niebezpieczne przygody związane z przewożeniem sprzętu w środku. Po drugie, narty i deski nie zostaną pobrudzone, tak jak grozi im to w przypadku transportu zewnętrznego bez żadnej osłony, a po trzecie, zamykany na kluczyk boks zdecydowanie powiększy przestrzeń bagażową do naszej dyspozycji i zmieścimy w nim nie tylko narty i deski, lecz także wiązania, kijki, kaski i buty narciarskie.

Dobierając boks, nie musimy od razu kupować nowego, na rynku znajdziemy mnóstwo wypożyczalni takiego sprzętu. Pamiętajmy, że bagażnik dachowy powinien spełniać określone normy. Nie wolno nam przede wszystkim obciążyć dachu auta ponad limit przewidziany przez producenta pojazdu. Możemy być pewni, że w krajach słynących z tak drobiazgowych kontroli drogowych jak Austria czy Szwajcaria policjanci z pewnością dokładnie sprawdzą, czy zbytnio nie dociążyliśmy naszego samochodu bagażnikiem dachowym.

Nowoczesne boksy dachowe są tak zaprojektowane, by nie zwiększały zbytnio oporu powietrza, nawet podczas szybkiej jazdy autostradowej. Dzięki aerodynamicznemu kształtowi korzystanie z nich nie pociąga za sobą dużo większego zużycia paliwa ani nie generuje większego poziomu hałasu, który byłby dla nas szczególnie uciążliwy w czasie podróży. I choć skorzystanie z zamykanego boksu jest zdecydowanie najdroższym sposobem na przewożenie sprzętu narciarskiego, to jest także najbardziej godnym polecenia, głównie z uwagi na zapewnienie bezpieczeństwa w podróży. ●

eprasa.pl cf2a5688ce

Nie daj się zbombardować lodem!

Większość rad dotyczących bezpiecznego poruszania się po drogach zimą dotyczy bacznego zwracania uwagi na zagrożenia wynikające z oblodzonej czy zaśnieżonej nawierzchni. To oczywiście zrozumiałe i słuszne, ale musimy pamiętać, że podczas zimy zagrożenia czyhają na kierowców i pieszych także z innej strony. Czasami po prostu należy podnieść wzrok znad drogi, i to dosyć wysoko

Ciemna, zupełnie nieoświetlona droga dwujezdniowa gdzieś w Polsce. Na filmie zarejestrowanym przez kamerę samochodową widzimy, jak z ciemności wyłania się w snopie świateł naczepa tira. Właściciel kamery zwalnia, ale trzyma się blisko ciężarówki, zbyt blisko. Nagle długie cielsko tira zostaje gwałtownie wykrzywione – to dlatego, że ciężarówka musiała się wpasować w zwężenie jezdni na wysokości wysepki zamontowanej przy przejściu dla pieszych. Gwałtowny manewr powoduje, że zgromadzony na dachu naczepy lód pęka na kawałki. Grube, ostre tafle spadają na maskę i szybę samochodu z kamerą. Na nagraniu słychać jeszcze przekleństwo wykrzyczane przez kierowcę i trzask pękającej szyby, następnie film się urywa...

Niestety, filmów dokumentujących podobne zdarzenia drogowe możemy znaleźć w różnych serwisach internetowych dużo więcej. Dach części ładunkowej największych ciężarówek jest usytuowany tak wysoko, że ich kierowcy często lekceważą obowiązek usunięcia z niego lodu i śniegu. Czasem lód zbiera się też na dachach ciężarówek w wyniku marznących opadów w czasie jazdy, za co trudno winić kierowcę. Widok odłamków lodu spadającego z dachu naczepy na drogę za ciężarówką jest zimą stosunkowo częsty na naszych drogach. Jak nie stać się jego ofiarą?

– W okresie zimowym powinniśmy zachować większy niż zwykle odstęp od pojazdu poprzedzającego – radzi asp. szt. Tomasz Słuszniak z Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. – Będziemy mieli dzięki temu więcej czasu na wyhamowanie w nagłej sytuacji.

Do rady tej warto się zastosować szczególnie w okresie zimowym i nie tylko wówczas, gdy jedziemy za tirem. Dość powszechnym zjawiskiem na naszych drogach w śnieżne dni są auta, których kierowcy nie dopełnili obowiązku usunięcia śniegu z karoserii, licząc chyba na to, że samochód najskuteczniej odśnieży pęd powietrza. Jazda za takim autem jest oczywiście bardzo niebezpieczna, dlatego kierowcy, który nie przyłoży się odpowiednio do odśnieżenia auta, grozi mandat od 20 do nawet 500 zł.

Przed niebezpiecznymi kawałami lodu spadającymi z ciężarówek i kulami śniegu z nieodśnieżonych osobówek uchroni nas dostateczny dystans na drodze, ale z innymi zimowymi niebezpieczeństwami czyhającymi na nas z góry poradzimy sobie tylko dzięki czujnej obserwacji. Pamiętajmy, że zamarzający deszcz czy śnieg pokrywa nie tylko nawierzchnię dróg i chodników. Zachowajmy szczególną ostrożność, przejeżdżając pod wiaduktami, estakadami czy w tunelach. Przypatrzmy się dobrze, czy ze stropu nie zwisają ciężkie lodowe sople, które mogą się oderwać akurat nad naszym samochodem. Podobnie, gdy parkujemy auto, rozejrzyjmy się, czy nie stoi pod drzewem, którego gałęzie uginają się pod naporem śniegu, albo nieopodal gzymsu upstrzonego złowrogimi lodowymi „sztyletami". Niestety, musimy pamiętać, że zima atakuje kierowców z dołu i z góry. ●

Zimą trzy sekundy to za mało

Eksperci zajmujący się zagadnieniem bezpieczeństwa w ruchu drogowym szacują, że bezpieczna odległość pomiędzy samochodami wynosi trzy sekundy. Oznacza to oczywiście, że dystans powinien rosnąć wraz ze wzrostem prędkości, gdyż im szybciej jedziemy, tym większą odległość pokonujemy w czasie wspomnianych trzech sekund. Rada „trzech sekund" odnosi się jednak do dobrych warunków drogowych podczas wiosennych i letnich miesięcy, a więc dla własnego bezpieczeństwa w sezonie zimowym wydłużmy ten czas o kolejne sekundy. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl cf2a5688ce

Autostrady zimą bardziej niebezpieczne!

Według policyjnych statystyk zimą zdarza się w Polsce mniej wypadków niż latem, co zdaniem funkcjonariuszy wynika z tego, że znakomita większość kierowców zachowuje na drodze dużo większą ostrożność w warunkach zimowych niż na suchych drogach w letnie dni, kiedy mamy większą skłonność do ryzykownych zachowań za kierownicą. Te proporcje mogą zostać jednak zachwiane wraz ze wzrostem liczby kilometrów dróg ekspresowych i autostrad w naszym kraju

Ekspresówki i autostrady w większości krajów świata uchodzą za najbezpieczniejszy rodzaj dróg. Nic dziwnego – brak na nich kolizyjnych skrzyżowań, świateł czy ostro wyprofilowanych zakrętów. Tymczasem w Polsce to jedyny rodzaj dróg, na których z roku na rok dochodzi do coraz większej liczby wypadków. W 2017 r. odnotowano w porównaniu z rokiem 2016 15-procentowy wzrost liczby wypadków na autostradach (z 415 w 2016 r. do 478 w 2017 r.). W przypadku dróg ekspresowych ten przyrost wyniósł aż 34 proc. (z 273 wypadków w 2016 r. do 367 w 2017 r.). Przy ogólnym spadku liczby wypadków odnotowanych na naszych drogach dane te mogą szokować, gdyż oznaczają, że wielu polskich kierowców nie potrafi bezpiecznie poruszać się po drogach szybkiego ruchu.

Deszcz zamyka obwodnicę. Śnieg też zamknie

Podstawowym błędem, masowo popełnianym na polskich autostradach i ekspresówkach, jest utrzymywanie zbyt małych odległości między pojazdami przy prędkościach znacznie przekraczających 100 km na godzinę. W takich warunkach konieczność nagłego hamowania



Fot. Shutterstock

epraca.pl cf2a5688c6

któregokolwiek z pojazdów jadących blisko siebie w szybkim tempie kończy się karambolem. O tym, jak powszechny jest to problem, świetnie wiedzą kierowcy wykorzystujący na co dzień istniejące odcinki obwodnicy Warszawy. Dzień bez wypadku czy kolizji na tej trasie jest właściwie czymś niezwykłym. A kiedy pogarszają się warunki drogowe, np. zaczyna padać deszcz, paraliż komunikacyjny spowodowany wypadkiem jest niemalże przesądzony. Analizując powyższe zdarzenia, można mieć uzasadnione obawy, że warunki zimowe i wszystkie generowane przez nie niebezpieczeństwa drogowe jedynie ten stan rzeczy spotęgują.

Kierowca biorący udział w zdarzeniu drogowym, w którego wyniku nie ma rannych ani zabitych, jest zobowiązany do:

- zatrzymania pojazdu, nie powodując przy tym zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu drogowym;
- przedsięwzięcia odpowiednich środków w celu zapewnienia bezpieczeństwa ruchu w miejscu wypadku;
- niezwłocznego usunięcia pojazdu z miejsca wypadku, aby nie powodował zagrożenia lub tamowania ruchu;
- podania swoich danych personalnych, danych personalnych właściciela lub posiadacza samochodu oraz danych dotyczących zakładu ubezpieczeń, z którym jest zawarta umowa obowiązkowego ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej, na żądanie osoby uczestniczącej w wypadku.

Utrzymanie drożności jezdni na drodze szybkiego ruchu jest kluczowe dla bezpieczeństwa. Warunki zimowe, które wydłużają drogę hamowania nawet przy niskich prędkościach, potęgują zagrożenie powstania tragicznego karambolu. ●

W 2018 r. oddano w Polsce do użytku kolejne 260 km dróg szybkiego ruchu. W budowie znajdują się obecnie setki kolejnych odcinków, m.in. spory odcinek Południowej Obwodnicy Warszawy, który planowo ma zostać oddany do użytku w sierpniu 2020 r. Czy do tego czasu uda się zastopować wzrost liczby wypadków na drogach ekspresowych i autostradach, czy też nowa część obwodnicy stolicy będzie tak samo niebezpiecznym miejscem jak obecnie istniejące odcinki?

Winny jest człowiek, a nie droga

W raporcie Biura Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji „Wypadki drogowe w Polsce w 2017 roku" możemy przeczytać następujące zdanie: „Wśród czynników mających decydujący wpływ na bezpieczeństwo ruchu drogowego (człowiek – droga – pojazd jako czynnik sprawczy wypadków) na pierwsze miejsce zdecydowanie wysuwa się człowiek. To właśnie zachowanie się poszczególnych grup użytkowników dróg generalnie wpływa na powstawanie wypadków drogowych. Inne czynniki miały zdecydowanie mniejsze znaczenie".

Powyższy wniosek skłania do refleksji, że na każdym rodzaju drogi i w każdych warunkach pogodowych moglibyśmy się czuć bezpiecznie jako kierowcy czy pasażerowie, gdyby uczestnicy ruchu umieli odpowiednio dostosować swoje zachowanie do aktualnie panującej sytuacji. Drugi pokrewny wniosek jest taki, że nawet w suchy, ciepły dzień nie powinniśmy się czuć beztrosko, skoro warunki drogowe nie są głównym czynnikiem determinującym wypadki.

Policja przypomina także, że drobna stłuczka na drodze szybkiego ruchu lub autostradzie może być dopiero zarzewiem tragicznego w skutkach karambolu. Z takim przypadkiem mieliśmy do czynienia w styczniu 2017 r. na autostradzie A1 pod Piotrkowem Trybunalskim, gdzie zderzyło się łącznie aż 76 samochodów! Dlatego warto pamiętać, jakie obowiązki ciążą na kierowcy, który właśnie był uczestnikiem drobnej stłuczki. ●



Automat sam wezwie pomoc

Już wkrótce PZU jako pierwszy ubezpieczyciel w Europie zaproponuje kierowcom rewolucyjne rozwiązanie. PZU GO to innowacyjny system, który automatycznie wezwie pomoc w razie kolizji czy wypadku. Beacon jest samowystarczalny i działa przez trzy lata. Obecnie trwa program pilotażowy. Innowacyjne urządzenie PZU GO zmieści się w dłoni dziecka. Choć jest tak małe, potrafi uratować życie. Beacon PZU GO kierowca przykleja na przedniej szybie wewnątrz pojazdu. W razie groźnego zdarzenia na drodze urządzenie za pośrednictwem Bluetooth łączy się z aplikacją w naszym telefonie i wysyła sygnał do Centrum Alarmowego PZU. Nasi pracownicy próbują się skontaktować z kierowcą. Jeśli nie odbierze on telefonu, na miejsce wypadku natychmiast wysłane zostaną służby ratunkowe.

Pomysł PZU GO jest podobny do systemu eCall, w który od 31 marca wyposażony powinien być każdy nowy samochód (z nową homologacją) w Unii Europejskiej. Trzeba jednak pamiętać o tym, że średni wiek samochodu w naszym kraju wynosi powyżej 10 lat. Zanim więc eCall będzie powszechnie dostępny dla Polaków, miną lata. Nie chcemy na to czekać. Dlatego właśnie PZU, największy ubezpieczyciel w Polsce, proponuje urządzenie ratujące życie wszystkim naszych klientom, bez względu na to, jak wysłużonymi autami jeżdżą.

Obecnie trwa program pilotażowy PZU GO. Chcemy mieć pewność, że sprzęt i oprogramowanie zadziała poprawnie w każdej sytuacji i rozróżni wypadek od innych zdarzeń drogowych. Sprawdzamy, czy urządzenie zawsze prawidłowo informuje naszą centralę.

Mamy nadzieję, że znacząca większość, a nawet wszyscy klienci PZU skorzystają z rozwiązania PZU GO. Jesteśmy przekonani, że jeśli dzięki systemowi uda się uratować życie choćby jednej osoby, to nasze rozwiązanie ma sens. Po wypadku liczy się absolutnie każda sekunda. PZU GO działa błyskawicznie. Gdy nasze centrum alarmowe dostaje sygnał o wypadku, natychmiast dzwonimy do kierowcy i jeśli nie odpowiada, od razu informujemy służby ratunkowe, podając precyzyjną lokalizację pojazdu. PZU GO może w przyszłości uratować wiele ludzkich istnień. ●

Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej PZU

eprasa.pl cf2a5688ce



Fot. Shutterstock

Miś Ratownik wciąż potrzebny

Jedną z cech idealnego świata byłoby całkowite wyeliminowanie wypadków komunikacyjnych. Pewną nadzieję na ich znaczne zredukowanie daje zatrudnienie do prowadzenia samochodów sztucznej inteligencji, czyli motoryzacja oparta na pojazdach autonomicznych. Zanim jednak doczekamy czasów, kiedy samochody prowadzone przez komputery przestaną się z sobą zderzać i rozjeżdżać pieszych, będziemy musieli jeszcze przez dziesięciolecia radzić sobie ze skutkami wypadków drogowych

Gdy rozważamy likwidację skutków wypadku, zazwyczaj przychodzą nam do głowy dwa aspekty: leczenie poszkodowanych w celu odzyskania przez nich pełnej sprawności oraz naprawa szkód materialnych. Niestety często umyka nam cała sfera związana ze społecznymi, rodzinnymi czy indywidualnymi skutkami tragedii drogowej, której nie da się oszacować pod kątem finansowym. Wypadki drogowe dewastują polskie rodziny, zabierają rodziców dzieciom, niszczą przyjazny, bezpieczny świat, nieodwracalnie rujnują życie wielu osób i – podkreślmy raz jeszcze – wymiar materialny nie ma tu większego znaczenia. Ofiary wypadków drogowych to nie tylko zabici i ciężko ranni, lecz także ci, którym wypadki odebrały najbliższe osoby. Dla nich konsekwencje wypadku nie kończą się na odzyskanej sprawności ruchowej, naprawionym aucie czy uzyskanym odszkodowaniu. Dla nich trwają latami.

Pierwszą polską organizacją, która zwróciła uwagę na pozamaterialne skutki drogowych tragedii, było założone w 1999 r. Stowarzyszenie Misie Ratują Dzieci. Pierwszy pomysł był prosty – wyposażyć zespoły ratunkowe pierwsze docierające na miejsce wypadku w pluszowe misie, które natychmiast trafiają do rąk dzieci poszkodowanych w wypadkach.

– Chodzi o to, by jak najszybciej spróbować odwrócić uwagę dziecka od tego, w czym właśnie przed

eprasa.pl cf2a5688ce

chwilą uczestniczyło, by zacząć leczyć traumę powypadkową już na samym początku – mówi Jakub Leszczyński, współzałożyciel Stowarzyszenia Misie Ratują Dzieci. – Pluszowy miś kojarzy się z ciepłem, spokojem, bezpieczeństwem. Można się do niego przytulić, nie wzbudza żadnych negatywnych odczuć, stanowi kontrast dla przerażającej sytuacji, jaką jest dla dziecka oczekiwanie na ratunek w rozbitym samochodzie.

Stowarzyszenie Misie Ratują Dzieci od początku swojego istnienia stawiało sobie jednak cele bardziej dalekosiężne niż tylko niesienie pociechy dzieciom w pierwszych minutach po wypadku.

– Zależało nam na tym, by zapewnić wsparcie psychologiczne dzieciom, które ucierpiały w wypadkach. Tak zrodził się pomysł organizacji turnusów terapeutycznych organizowanych początkowo gościnnie w ośrodku Caritasu w Kołobrzegu, a od 2009 w należącym do Stowarzyszenia Domu Misia Ratownika w Dźwirzynie – mówi Jakub Leszczyński.

Dom Misia Ratownika to miejsce, które pełni wyjątkową funkcję w Polsce. Przez cały rok gości podczas dwutygodniowych turnusów rodziny, dzieci, a nawet ratowników, którzy zmagają się z traumą wywołaną wypadkami drogowymi. Uczestnicy turnusów przez dwa tygodnie znajdują się pod opieką wykwalifikowanej kadry psychiatrów i psychologów. Efekty tych „terapeutycznych wczasów" są w niektórych przypadkach wręcz spektakularne.

– Należy podkreślić, że 99 proc. naszych podopiecznych nigdy nie miało do czynienia z psychologiem ani psychiatrą poza naszym ośrodkiem. Dopiero gdy trafiają do nas, rozpoczyna się tak naprawdę proces leczenia ran, jakie zadał wypadek. Trafiają do nas ludzie, którzy są żywymi dowodami niesamowitego postępu, jaki poczyniła medycyna na polu przywracania zdrowia fizycznego. Ludzie, których ciała są niemal poskładane na nowo, czasem przy użyciu śrub czy protez, ale ciała te funkcjonują niemal w pełni tak jak przed wypadkiem. Mimo odzyskania w dużej części lub nawet w pełni fizycznej sprawności nie można jednak powiedzieć, że ludzi ci doszli do siebie psychicznie po przeżytym wypadku. Odzyskanie równowagi psychicznej i przepracowanie przebytej traumy to wyzwania, jakie po raz pierwszy podejmą dopiero podczas pobytu w Domu Misia Ratownika – dodaje Jakub Leszczyński.

Sesje terapeutyczne z psychiatrami i psychologami są najistotniejszą częścią turnusów dla ofiar wypadków, ale bardzo duże znaczenie ma także to, że goście ośrodka odkrywają podczas pobytu w Dźwirzynie, jak wiele innych osób zmaga się z tymi samymi problemami. Rozpamiętywany przez miesiące, a czasem lata, wypadek jest często traktowany przez jego ofiary jako coś bardzo indywidualnego, coś, co innym się nie zdarza, coś, z czym muszą się zmagać same. Tymczasem w Dźwirzynie ten sposób myślenia o wypadku się dezaktualizuje.

– Nasi podopieczni odkrywają, że w Polsce są tysiące ludzie w takiej samej sytuacji jak oni. Zyskują świadomość, że wypadek to nie jest jakieś indywidualne piętno, ale rzecz, która może się zdarzyć każdemu, i niestety przydarza się bardzo często – dodaje współzałożyciel Stowarzyszenia Misie Ratują Dzieci.

Pracując na co dzień na rzecz stowarzyszenia, Jakub Leszczyński jest przerażony i zgnębiony skalą problemu, jakimi są w Polsce wypadki drogowe. To dlatego, poza pomocą i próbą łagodzenia skutków, stowarzyszenie angażuje się w akcje mające zapobiegać wypadkom drogowym, takie jak promowanie mody na noszenie odblasków przez pieszych czy wolniejszą, bezpieczniejszą jazdę.

– Wyzwań na polu poprawy bezpieczeństwa na polskich drogach jest mnóstwo, także w wymiarze czysto informacyjnym. Ostatnio na przykład rozpowszechniło się przekonanie, że pieszy może właściwie w każdej chwili wtargnąć na pasy, gdyż jest to miejsce, gdzie zawsze będzie bezwzględnie bezpieczny. Mamy już wiele ofiar takiego myślenia, wielu potrąconych na pasach pieszych, którym ktoś wmówił, że każdy kierowca to robot umiejący w ułamku sekundy, niemal w miejscu zatrzymać swoje auto, gdy tylko pieszy postawi nogę na zebrze – mówi Jakub Leszczyński. – To przykład tego, jak łatwo jest wypaczyć ideę promowania kultury drogowej, jaką jest przepuszczanie pieszego na drugą stronę ulicy, na rzecz rozpowszechniania niebezpiecznych, ryzykanckich zachowań – dodaje.

Niestety nie zanosi się więc na to, że zapotrzebowanie na usługi świadczone w Domu Misia Ratownika będzie w Polsce malało. Przeciwnie – jedynie ograniczona pula środków (stowarzyszenie jest organizacją non-profit, funkcjonującą dzięki wsparciu sponsorów) sprawia, że Miś Ratownik nie otworzył większej liczby placówek w całej Polsce.

– Przy tak ogromnej liczbie wypadków, z jaką mamy do czynienia w naszym kraju, zapotrzebowanie na terapię i pomoc, które uzyskuje się podczas pobytu w domu naszego stowarzyszenia, stale rośnie. A naprawdę bardzo bym chciał żyć w świecie, w którym nasza organizacja nie miałaby nic do roboty – kończy Jakub Leszczyński. ●

Stowarzyszenie Misie Ratują Dzieci to działająca od 1999 r. organizacja humanitarna, której głównym celem statutowym jest działalność profilaktyczna zmierzająca do zmniejszenia liczby wypadków, zwłaszcza tych z udziałem dzieci, oraz praktyczna pomoc psychologiczna dla ofiar tragicznych zdarzeń. Pomoc tę stowarzyszenie kieruje głównie do najmłodszych uczestników wypadków, ale również do ich rodzin oraz do pracowników służb ratownictwa – grupy zawodowej najsilniej narażonej na psychologiczne konsekwencje związane z interwencjami kryzysowymi.

Sztandarowym projektem stowarzyszenia było utworzenie Domu Misia Ratownika, czyli Ogólnopolskiego Centrum Terapeutyczno-Szkoleniowego w Dźwirzynie koło Kołobrzegu, dla osób poszkodowanych w wypadkach i ich rodzin oraz dla pracowników służb ratownictwa.

Istotną inicjatywą stowarzyszenia jest realizowana wspólnie z Telewizją Polską medialna kampania społeczna „Zwolnij. Szkoda życia". ●

51/0918/F

eprasa.pl cf2a5688ce

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA POD CHOINKĘ



Kalendarz Katolika Patrioty. To nie tylko codzienne odniesienie do liturgii, świętych i błogosławionych, ale także ciekawostki historyczne i polityczne, które zainteresują każdego patriotę. W kalendarzu znajdziemy dużo dobrego humoru oraz przepisy kulinarne na polskie potrawy.

„Za progiem Słowa”. Tomik został pomyślany w taki sposób, aby Czytelnik mógł towarzyszyć Jezusowi w Jego ziemskiej wędrówce od narodzenia aż do wstąpienia do nieba. Każda z krótkich refleksji osnuta jest najczęściej wokół jednego tylko zdania Pisma Świętego, stanowi zaproszenie, by przekroczyć próg Słowa i przez medytację oraz modlitwę zamieszkać w Biblii – w domu Słowa.

Płyta: Kolędy z Arką Noego – prezent na święta.

RABAT 50%

ZAMÓWIENIA:

Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52**
pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**
www.ksiegarnia.niedziela.pl

KOSZT WYSYŁKI POKRYWA ZAMAWIAJĄCY

Fabryka na wysokich obrotach



Fabryka Broni „Łucznik" – Radom sp. z o.o. wyprodukuje 20 tys. samopowtarzalnych pistoletów Vis 100 dla Wojska Polskiego. Na początku grudnia wchodząca w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej spółka zawarła z Ministerstwem Obrony Narodowej kontrakt, który będzie realizowany w latach 2019–2022. Pierwsza partia broni trafi do Wojsk Obrony Terytorialnej już w przyszłym roku

Prace związane z konstrukcją pistoletu trwały w Fabryce Broni kilka lat. W zeszłym roku broń przeszła badania kwalifikacyjne. Konstrukcja jest wyposażona w kurkowy mechanizm uderzeniowy z kurkiem zewnętrznym, rozwiązanie preferowane przez Siły Zbrojne RP oraz formacje sojusznicze. Vis wykonany jest ze stopu aluminium, z niewielką liczbą elementów z tworzyw sztucznych, co zwiększa odporność pistoletu na niekorzystne warunki pola walki. Warto nadmienić, że broń mogą wykorzystywać zarówno strzelcy lewo-, jak i praworęczni ze względu na symetryczne rozmieszczenie manipulatorów, takich jak dźwignia zrzutu zamka.

– Cieszymy się bardzo z decyzji MON o zakupie tego pistoletu na wyposażenie SZ RP. Jesteśmy dumni, że produkowana przez nas broń będzie się przyczyniać do wzrostu potencjału obronnego naszego kraju – podkreślił podczas konferencji prasowej w radomskim Łuczniku Adam Suliga, prezes zarządu Fabryki Broni.

Broń chwalił również Wojciech Skurkiewicz, sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. Jak mówił w czasie spotkania z dziennikarzami, jest to pistolet bardzo nowoczesny, który spełnia oczekiwania polskiej armii.

– Na początek MON zamawia w Fabryce Broni 20 tys. pistoletów. Będzie to broń w pierwszej kolejności przeznaczona na wyposażenie Wojsk Obrony Terytorialnej – dodał Wojciech Skurkiewicz.

– Mamy nadzieję, że nie będzie to ostatnia umowa na ten pistolet, ponieważ Fabryka Broni dzięki kontraktowi na dostawy karabinków MSBS Grot dla Wojsk Obrony Terytorialnej bardzo mocno się unowocześniła i zwiększyła swoje możliwości produkcyjne – zaznaczył z kolei Adam Suliga.

Wojciech Skurkiewicz podkreślił, że w ostatnich miesiącach park maszynowy Łucznika przeszedł swoistą rewolucję.

– Nowe maszyny wprowadzają zakład na zupełnie inny poziom możliwości produkcyjnych i rozwoju. To jest doceniane zarówno przez zarząd PGZ, jak i kierownictwo MON – podkreślił wiceszef resortu obrony narodowej.

NOWA NAZWA

Do niedawna pistolet Vis 100 nosił nazwę PR – 15 Ragun, jednak decyzją ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka nazwa broni została zmieniona. W ten sposób nawiązano do legendarnego pistoletu Vis wz. 35, którego produkcja w Fabryce Broni rozpoczęła się jeszcze przed II wojną światową. Nowa nazwa nawiązuje również do obchodzonej w tym roku 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

POWRÓT LEGENDY

Z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości Fabryka Broni wyprodukowała okolicznościową serię pistoletów Vis wz. 35 w oparciu o oryginalną przedwojenną dokumentację.

eprasa.pl cf2a5688ce



Każdy z pistoletów ma okolicznościowy grawerunek, przedstawiający proporzec kawalerii II RP z 1939 r. i napis „100 LAT NIEPODLEGŁEJ". Ponadto każdy opatrzony jest indywidualnym numerem seryjnym, zaczynającym się nr. 201801, a kończącym nr. 201850. Numery nawiązują bezpośrednio do roku 2018.

– Jest to pistolet, który Fabryka Broni w Radomiu wytwarzała przed II wojną światową. Do dziś jest on uznawany za bardzo udaną konstrukcję – powiedział Maciej Borecki, członek zarządu Fabryki Broni w Radomiu. – Jest to krótka seria – zalewie 50 sztuk – która trafi w ręce kolekcjonerów nie tylko w Polsce. Pistolet różni się od oryginału specjalnym jubileuszowym grawerunkiem umieszczonym na zamku – dodał Maciej Borecki.

Pistolet Vis wz. 35 skonstruowali wybitni polscy inżynierowie – Piotr Wilniewczyc i Jan Skrzypiński. Jest on bronią osobistą służącą do samoobrony i walki na małych odległościach. Działa na zasadzie krótkiego odrzutu lufy, zamek jest ryglowany przez przekoszenie lufy. Produkowany w latach 1936–1939 w Fabryce Broni w Radomiu był etatowym pistoletem na uzbrojeniu oficerów i podoficerów Wojska Polskiego.

MSBS GROT NA RYNEK CYWILNY

Fabryka wyprodukowała w tym roku również kilkaset samopowtarzalnych karabinków MSBS Grot S16-M1. Broń ta jest przeznaczona głównie dla strzelców sportowych oraz kolekcjonerów, którzy tworzą rynek cywilny w Polsce. Należy podkreślić, że część z wytworzonych karabinków o numerach seryjnych od 1 do 100 stanowi edycję limitowaną nawiązującą do 100-lecia niepodległości, co stanowi wielką gratkę dla pasjonatów i kolekcjonerów.

– Grot S jest uzupełnieniem rodziny karabinków MSBS Grot, stanowiących obecnie wyposażenie Wojsk Obrony Terytorialnej. Konstrukcja karabinka niemalże w 100 proc. odwzorowuje karabinek automatyczny w zakresie obsługi, co pozwala użytkownikom rozwijać swoje umiejętności i pasje strzeleckie – powiedział Adam Suliga.

Standardowo karabinek wyposażony jest w mechaniczne przyrządy celownicze umieszczone na szynie standardu Picatinny, znajdującej się na komorze zamkowej. Szyna ta umożliwia montaż szerokiej gamy przyrządów optoelektronicznych poprawiających komfort i zakres prowadzonych strzelań.





Karabinek jest bronią w pełni dostosowaną dla strzelców prawo- i leworęcznych poprzez umieszczenie wszystkich manipulatorów (dźwignia przeładowania, zatrzask zamka, zatrzask magazynka, przełącznik rodzaju ognia) z lewej i prawej strony karabinka. MSBS Grot S16 FB-M1, podobnie jak jego automatyczna wersja, jest konstrukcją modułową, co pozwala na jej szybkie serwisowanie i wymianę podzespołów, takich jak moduł kolby, moduł mechanizmu spustowego.

– W przyszłości Fabryka Broni będzie się wsłuchiwać w uwagi i sugestie użytkowników i wspólnie z nimi wprowadzać udoskonalenia karabinka samopowtarzalnego, tak aby jak najpełniej był on dostosowany do ich potrzeb i wymagań – podkreślił Maciej Borecki, członek zarządu.

INTENSYWNY ROK DLA FABRYKI BRONI

W ocenie zarządu radomskiej fabryki kończący się rok był czasem pełnym wyzwań. W zakładzie została wymieniona większa część parku maszynowego, co znacząco zwiększyło jego moce produkcyjne. Stare, wysłużone maszyny zostały zastąpione przez bardzo nowoczesne i kosztowne urządzenia. Większość z nich to sterowane numerycznie centra frezarskie i tokarskie.

– Pomimo wymiany maszyn i związanych z tym procesem szkoleń załogi Fabryka Broni ani na chwilę nie przerwała produkcji, która rośnie z miesiąca na miesiąc – zaznaczył prezes Suliga.

Radomski zakład ma obecnie pełen portfel zamówień. Aktualnie spółka realizuje m.in. kontrakt na dostawę ponad 53 tys. karabinków MSBS Grot dla Wojska Polskiego. Wytwarza też broń dla innych formacji mundurowych, takich jak policja czy Służba Więzienna. Pod koniec listopada spółka podpisała umowę ze Strażą Graniczną na dostawę 122 kpl. 5,56 mm karabinków MSBS Grot. Kontrakt ma być zrealizowany do 21 grudnia 2018 r.

Wraz z rozbudową portfela zamówień i rozwojem techniczno-technologicznym spółki rośnie również jej zapotrzebowanie na pracowników. Zarząd zakładu poinformował, że aby realizować zamówienia, fabryka stale poszukuje nowych rąk do pracy. Obecnie zatrudnia ok. 550 osób, docelowo ma w niej pracować ponad 600 osób.

36/0818/F

eprasa.pl cf2a5688ce

2018 rokiem innowacji w branży cukierniczej

2018 rok w branży cukierniczej to innowacja, trend, silna marka. Kwestie związane z odżywianiem jeszcze nie miały takiego znaczenia w popkulturze – zdrowe, a zarazem słodkie przekąski są obecnie w centrum uwagi. Zdrowie i branża cukiernicza tylko pozornie nie idą z sobą w parze. Obecnie trend prozdrowotny przejawia się przede wszystkim w świadomości dotyczącej tego, co jemy. Dlatego coraz więcej konsumentów zwraca uwagę na etykiety i składy poszczególnych produktów, chcąc podjąć najlepszy możliwy wybór przed dokonaniem zakupu



Z Robertem Rudnickim, prezesem Fabryki Cukierków „Pszczółka" Sp. z o.o., rozmawia Anna Raciniewska

Jaki był 2018 rok dla rynku FMCG? Jak kształtował się handel? Jak zmieniały się firma, produkty, oczekiwania konsumenta? Jakie wyzwania stoją przed branżą/firmą?

Robert Rudnicki: Branża cukiernicza jest jedną z najbardziej dynamicznie rozwijających się branż w Polsce. Nasza firma zrealizowała szeroko zakrojoną inwestycję technologiczną, badawczo-rozwojową, a wszystko po to, żeby sprostać wymaganiom naszych konsumentów. Podążamy za trendami prozdrowotnymi i „wygodami", które są naturalnym wynikiem wdrażanych innowacji. Elastycznie dostosowujemy ofertę do zgłaszanego popytu rynkowego. Słodkie przekąski mają rację bytu w epoce fit i zdrowego trybu życia. Zmianie uległy tylko trendy ich spożycia. Rośnie w siłę grupa „inteligentnych klientów". Już nie cena, ale jakość oferowanych produktów oraz pochodzenie składników decydują o dokonywaniu zakupów. Konsumenci chcą słodyczy wysokiej jakości w różnorodnych smakach.

eprasa.pl cf2a

Popularnością w roku 2018 cieszyły się produkty wzbogacone zdrowymi składnikami, takimi jak witaminy czy minerały. Ograniczeniu uległa ilość sztucznych barwników, konserwantów i różnego rodzaju dodatków. Rosnąca świadomość konsumentów wymusiła na producentach uwypuklenie składu produktu. Popularna stała się tzw. czysta etykieta. Rok 2018 wymusił postawienie na innowacyjne i funkcjonalne produkty – konkretne wartości wspierające nasz organizm, od obniżenia stresu przez dodanie energii aż po zwiększenie libido. Reasumując: zmieniające się wzorce konsumpcyjne Polaków mają wpływ na kierunki i możliwości sektora słodyczy, który szybko reaguje na trendy oraz potrzeby konsumentów. Polscy konsumenci są wymagający, jeżeli chodzi o jakość słodyczy, poszukują naturalności i walorów prozdrowotnych, cenią dostępność i wygodę. Rozwój wyrobów cukierniczych jest ściśle związany z rozwojem eksportu do krajów UE i poszukiwaniem nowych rynków eksportowych, takich jak Bliski Wschód.

Co najchętniej kupujemy przed świętami?

Dla słodyczy sezon świąteczny rozpoczyna się już w listopadzie. Wówczas konsumenci zaczynają przygotowywać zapasy, którymi będą obdarowywać swoich najbliższych, partnerów biznesowych, kolegów i koleżanki z pracy/szkoły oraz z podwórka. W tym okresie najczęściej wybierane są świąteczne opakowania. W świadomości konsumenta słodycze są wyrazem uznania i sympatii. Słodycze służą konsumentom nie tylko jako słodkie upominki, lecz również jako szlachetne dodatki, piękne dekoracje na choinkę czy świąteczny stół. Przed świętami największą popularnością cieszą się nasze praliny, cukierki czekoladowe, owocowe galaretki i bakalie w czekoladzie.

Mija rok od otwarcia nowoczesnej fabryki. Jaka jest sytuacja Pszczółki?

Fabryka Cukierków „Pszczółka" Sp. z o.o. z Lublina powstała w 1952 r. i od 65 lat jest producentem znanych oraz cenionych słodyczy. Jesteśmy jednym z największych w Polsce producentów cukierków. Produkujemy cukierki czekoladowe, praliny, galaretki z płynnym nadzieniem, galaretki w czekoladzie, toffi, karmelki twarde, karmelki nadziewane i karmelki nadziewane oblewane czekoladą. Doskonały smak naszych wyrobów jest możliwy dzięki składnikom najwyższej jakości. Aktualnie w produkcji cukierków wykorzystujemy wyłącznie polski cukier, naturalne soki, bakalie, najwyższej jakości czekoladę. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom klientów, oferujemy produkty bezglutenowe, wzbogacone w kompleksy witaminowe i minerały.

Nasze cukierki powstają w jednej z najnowocześniejszych fabryk w Polsce, a nawet w Europie. Zautomatyzowane linie produkcyjne gwarantują dużą wydajność oraz powtarzalność produktów. Dysponujemy nowoczesnym laboratorium, w którym kontrolujemy proces produkcyjny. Poza zapleczem technologicznym ogromną wagę przywiązujemy do zespołu, który codziennie pracuje nad smakiem naszych produktów. Zatrudniamy specjalistów, których kwalifikacje oraz doświadczenie pozwalają na utrzymanie wysokiej jakości. Nasz nowoczesny zakład w Lublinie posiada certyfikaty ISO 22000, BRC i ISF.

W kwietniu 2017 r. zostały uruchomione trzy nowe linie produkcyjne. Linie te są jednymi z najnowocześniejszych w Polsce, a nawet w Europie. Charakteryzują się one dużą wydajnością produkcji i możliwością produkowania na nich produktów innowacyjnych, wysokiej jakości i doskonałego smaku. Dzięki tym liniom firma może zaproponować produkty czekoladowe, takie jak praliny wypełnione kremem czy cukierki czekoladowe typu michałki/trufle, galaretki z płynnym nadzieniem w cukrze, galaretki owocowe oblewane czekoladą, miękkie toffi i wiele innych innowacyjnych dla polskiego i europejskiego rynku produktów, o których na tę chwilę jeszcze nie mogę mówić.

Jakie są plany rozwojowe firmy?

Strategia, którą przyjęła Fabryka Cukierków „Pszczółka" Sp. z o.o., to wejście w cztery kanały dystrybucji, aby w pełni zagospodarować moce produkcyjne, jakie posiada zakład w Lublinie. Za określenie tych kierunków oraz zarządzanie nimi i sprzedaż produktów Fabryki Cukierków „Pszczółka" odpowiedzialny jestem osobiście.

Pierwszy kanał dystrybucji to rynek tradycyjny, na którym jesteśmy z naszymi produktami od 1952 r., tj. od roku, w którym powstała Fabryka Cukierków „Pszczółka" w Lublinie. Drugi kanał dystrybucji to rynek nowoczesny. Nasze produkty są w wielu sieciach sklepów, trwają prace nad implementacją nowego asortymentu. Jako że jest to dla nas bardzo ważny kanał dystrybucji, w drugiej połowie roku 2018 zamierzamy zdecydowanie zwiększyć w nim naszą aktywność. Trzeci kanał dystrybucji naszych produktów to eksport. Fabryka Cukierków „Pszczółka" Sp. z o.o. sprzedaje swoje wyroby do ponad 20 krajów na całym świecie.

Dzięki temu, że mamy nowoczesną fabrykę, wysokowydajne linie produkcyjne, możliwość produkowania wyrobów o wysokiej jakości, innowacji rynkowej, spotkaliśmy się z dużym zainteresowaniem producentów słodyczy krajowych oraz zagranicznych, którzy zwracają się do nas ze zleceniami produkowania produktów pod ich markami. To dla nas ten czwarty kanał, może już nie dystrybucji, ale samej produkcji, tj. outsourcing (produkcja usługowa). Na tę chwilę prowadzimy kilka takich projektów, również dla przedsiębiorstw spoza granicy naszego kraju.

Robert Rudnicki – prezes firmy FC „Pszczółka" Sp. z o.o., posiada wiedzę i ponad 20-letnie doświadczenie w sektorze FMCG. Wzmocnił wiele znanych marek, takich jak Hortex, Gellwe, Vitax, Perfetti Van Melle, Roshen. Obecnie pracuje nad Fabryką Cukierków „Pszczółka". W spółkach z branży FMCG wyniki nie zawsze są słodkie. Robert Rudnicki zjawia się, gdy jest czas na zmiany. Skutecznie przeprowadzał firmy przez zmiany restrukturyzacyjne oraz umacniał ich pozycję rynkową. To lider transformacyjny, mający jasny cel, ku któremu zmierza i go realizuje. To handlowiec z krwi i kości, innowator z otwartą głową, który wierzy, że konsument powinien być w centrum wszystkich działań trademarketingowych.

eprasa.pl cf2a5688ce

Kuba Rozpruwacz i Mozart

PIOTR SKWIECIŃSKI

Uczucie, że wyważyło się otwarte drzwi i odkryło coś, co ktoś mądrzejszy od ciebie odkrył już dawno, jest frustrujące, ale może też być źródłem satysfakcji. Przeżyłem teraz coś podobnego.

Otóż jakiś czas temu sformułowałem taką myśl: gdyby totalny wpływ na to, co się dzieje z ludzkością, wywierali jedynie mężczyźni, niemitygowani ani wpływem kobiet, ani względem na swe rodziny, zapewne już dawno ludzkości by nie było, bo wyrżnęłaby się w wojnach. Ale gdyby analogicznie totalny wpływ na drogi rozwoju ludzkości wywierały kobiety, tobyśmy dotąd nie wyszli z jaskiń. Bo o ile mężczyzna jest skłonny do abstrakcji i najczęściej motywowany własną ambicją), o tyle kobieta jest zanurzona w codzienności i motywowana dążeniem do zapewnienia bezpieczeństwa potomstwu. A postęp, zmiana są najczęściej niebezpieczne. Przynajmniej doraźnie. Wyjście z jaskini otwierało rozmaite możliwości, ale doraźnie, dla konkretnej kobiety i jej dzieci, mających oswojoną jaskiniową rzeczywistość, było po prostu niebezpieczne. Dlatego ludzkość sfeminizowana nie wyszłaby z jaskiń.



Pod władzą kobiet bylibyśmy gatunkiem skazanym na uwiąd lub zastój

I dopiero teraz dowiedziałem się, że czarna owca amerykańskiego feminizmu Camille Paglia sformułowała dużo przede mną podobną tezę. „Gdyby cywilizacja została pozostawiona w rękach kobiet, dotąd żylibyśmy w chatach z trawy" – napisała.

Przy czym jest Paglia ode mnie radykalniejsza. Ja bowiem widzę źródło sukcesu ludzkości, a zwłaszcza naszego zachodniego świata, w zachowaniu pewnego ekwilibrium – równowagi między pierwiastkiem męskim a żeńskim. Paglia natomiast uważa, że praźródłem owego sukcesu było zepchnięcie pań do roli podrzędnej. „Kultura Zachodu od początku odchodzi od kobiecości" – stwierdza. „Ostatnim zachodnim społeczeństwem, które czciło władzę kobiet, była Kreta Minosów. Znaczące, że upadła i nigdy się nie podniosła. Kobiety nie odgrywały żadnej roli w wysokiej kulturze Aten. Nie mogły głosować, chodzić do teatrów ani przechadzać się po agorze, dyskutując o filozofii. Ale męska orientacja kultury greckiej była nieoddzielna od jej geniuszu. Ateny były wielkie nie mimo, lecz dzięki swojemu mizoginizmowi".

Mocno powiedziane.

Istnieje pewien niespecjalnie nagłaśniany fakt statystyczny – otóż wśród mężczyzn jest, w porównaniu z kobietami, statystycznie więcej i geniuszy, i głupców (co oczywiście nie znaczy, żeby genialnych pań w ogóle nie było – zastrzegam to i podkreślam, bo niektórzy nie umieją czytać ze zrozumieniem; po prostu znacznie większy odsetek dam oscyluje wokół przeciętnej, a więcej panów – gdzieś tam het, w skrajnościach). Camille Paglia dostrzega i to, i coś jeszcze. „Nie ma żeńskiego Mozarta, bo nie ma żeńskiego Kuby Rozpruwacza" – pisze. Można by tę obserwację podsumować tak – kobiety są mniej skrajne. Nie tyle w kwestii dobra i zła, ile w innej – skłonności do przeróżnych obsesji lub jej braku. Obsesja jej zdaniem jest nierozdzielnie związana z geniuszem. A kobiety są do obsesji mniej skłonne, czego rewersem jest rzadkość wśród nich geniuszu.

Kobiecość, i skądinąd w środowiskach feministycznych modne jest to podkreślać, jest bliższa naturze niż męskość, jako się rzekło skłonna do abstrakcji. No tak, tylko że – jak stwierdza Paglia – „wszystko, co wielkie w zachodniej kulturze, jest przejawem walki z naturą. W każdym stuleciu, wygrywając lub przegrywając, zachodni umysł walczył, aby trzymać naturę w ryzach. Odejście od matriarchatu do patriarchatu to bunt wyobraźni przeciw naturze. Bez tego buntu bylibyśmy gatunkiem skazanym na uwiąd lub zastój".

Wiele radykalnych feministek uważa Paglię za zdrajczynię, pokrewną Żydom-antysemitom. To absurd, ta autorka na każdym kroku podkreśla siłę kobiet, choć w sposób, który, łagodnie mówiąc, feministkom nie może się spodobać (ta siła „jest potężna. Wiedzą o tym wszystkie kultury. Wiedzą o tym mężczyźni. Wiedzą o tym kobiety. Jedynymi niewiedzącymi o tym są feministki. Zdeseksualizowane neurotyczki. Najczęściej niewykształcone lub wykształcone bardzo wąsko").

I prowokuje te swoje „siostry" straszliwie. Bo już dawno wyśmiewała na przykład ideologię, która dziś wysublimowała w akcję #metoo i stojące za nią filozoficzne założenia. Wychodząc z tezy, która niektórych zwala z nóg: otóż seks jest nieodłączny od przemocy („Postrzegam impuls seksualny jako egoistyczny i dominacyjny"). Tacy po prostu jako homo sapiens jesteśmy i trzeba wyciągnąć z tego wnioski. To nie jest usprawiedliwienie gwałtu – prawdziwy gwałt powinien być ostro karany. Ale „wypijasz tuzin drinków na party, facet zaprasza cię do swojego pokoju, idziesz tam i jesteś zaskoczona, że dobiera się do ciebie? Każdy powinien być odpowiedzialny za to, co się dzieje w jego życiu". A tak w ogóle to „feministki nie zdają sobie sprawy, że część kobiet lubi igrać z niebezpieczeństwem – bo to jest po prostu kręcące".

W dobie narastającego szaleństwa warto czytać Camille Paglię. Osobę (znakiem czasów jest, że to raduje jako ewenement) – normalną.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cf2a5688ce

Bezrobocie spada, rosną pensje. Polakom żyje się coraz lepiej

Nie trzeba już wyjeżdżać z kraju, żeby godnie zarabiać i żyć. Jest praca, rosną pensje, a rząd wspiera polskie rodziny, dofinansowując otwieranie nowych żłobków i wypłacając świadczenie 500+ czy wyprawki szkolne. To najlepsza wiadomość, jaką możemy przesłać naszym rodakom za granicą. W projektowanej ustawie o rynku pracy znajdą się rozwiązania, które mają zachęcić ich do powrotu do kraju

Nasza gospodarka od pięciu kwartałów notuje wzrost w okolicach 5 proc. – w trzecim kwartale bieżącego roku PKB Polski wzrósł o 5,1 proc. Kolejne instytucje (np. OECD) i agencje ratingowe – jak ostatnio agencja Fitch – zdecydowały się podwyższyć swoje wcześniejsze prognozy wzrostu polskiego PKB, zarówno na bieżący, jak i przyszły rok. Słowem – jesteśmy rozpędzeni.

Doskonałą kondycję polskiej gospodarki widać na przykładzie rynku pracy. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w trzecim kwartale 2018 r. liczba pracujących osiągnęła rekordowo wysoki poziom, tj. ponad 16,6 mln osób. Z kolei ze wstępnych danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wynika, że w listopadzie br. stopa bezrobocia wyniosła 5,8 proc. Od 1990 r. wskaźnik bezrobocia w listopadzie nigdy nie był tak niski.

Z kolei z najnowszego badania Eurostatu wynika, że w październiku br. stopa bezrobocia w Polsce wynosiła 3,8 proc. To jeden z najlepszych wyników wśród wszystkich państw członkowskich (liderem zestawienia są Czechy ze stopą bezrobocia na poziomie 2,2 proc.) i znacznie poniżej unijnej średniej – 6,7 proc.

Obrazu dopełniają rosnące pensje – w październiku przeciętne wynagrodzenie było wyższe o 7,6 proc. niż przed rokiem, a płaca minimalna od stycznia 2019 r. wyniesie 2 250 zł i będzie o 500 zł wyższa niż jeszcze przed trzema laty.

– Dobra sytuacja na rynku pracy stwarza doskonałe warunki do aktywizacji osób długotrwale bezrobotnych i biernych zawodowo. Na tym koncentrujemy naszą uwagę. Takie potrzeby zgłaszają nam też pracodawcy, borykający się z zapełnieniem wakatów. Chcemy sięgać do zasobów, które do tej pory były niewykorzystane – mówi minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska.

NAJLEPSZA WIADOMOŚĆ

Inny cel to zachęcenie Polaków do powrotu do kraju. Cykliczne raporty dotyczące planów migracyjnych naszych rodaków pokazują, że niska stopa bezrobocia i coraz lepsze warunki zatrudnienia wyraźnie wpływają na ograniczenie chęci wyjazdu. Z najnowszej edycji raportu firmy Work Service wynika, że jedynie 8,6 proc. aktywnych lub potencjalnych uczestników rynku pracy rozważa wyjazd do pracy za granicą. Jak zauważyli autorzy raportu, to najniższy odsetek w czteroletniej historii prowadzonego badania.



Fot. Shutterstock | 38/1218/F

Z kolei z listopadowego badania CBOS poświęconego wyjazdom do pracy za granicę dowiadujemy się, że 86 proc. badanych nie jest zainteresowanych emigracją zarobkową.

– To najlepsza wiadomość, jaką możemy przesłać naszym rodakom. Nie trzeba już wyjeżdżać z kraju, żeby godnie zarabiać i żyć. Jest praca, rosną pensje, a rząd wspiera polskie rodziny, dofinansowując otwieranie nowych żłobków i wypłacając świadczenie 500+ czy wyprawki szkolne – mówi minister Rafalska.

Zachęt do powrotu będzie więcej, bo jednym ze sztandarowych projektów rządu Zjednoczonej Prawicy jest program Mieszkanie+, a w resorcie rodziny, pracy i polityki społecznej trwają prace nad ostatecznym kształtem nowej ustawy o rynku pracy. W projektowanych przepisach znajdą się rozwiązania dedykowane Polakom pracującym za granicą. Będą to m.in. ułatwienia przy zakładaniu firm.

– Zaproponowaliśmy narzędzie, które ma zachęcić obywateli polskich do powrotu z emigracji, w postaci niskooprocentowanych pożyczek na rozpoczęcie działalności, bez konieczności rejestrowania się w powiatowym urzędzie pracy. Chcemy, żeby Polacy wrócili do kraju i tutaj wykorzystywali oraz rozwijali swoje talenty – wyjaśnia minister Elżbieta Rafalska.

eprasa.pl cf2a5688ce

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Media i wybory



Gołym okiem obserwujemy dziś większy niż cztery lata temu pluralizm światopoglądowy w mediach

To media kształtują opinie, postawy, zachowania, a przez to często przesądzają o naszych wyborczych decyzjach. Z dużą pewnością można określić wyborcze preferencje tylko na podstawie wyboru mediów. Czytelnik „Gazety Wyborczej" nie zagłosuje na polską prawicę, a czytelnik „Gazety Polskiej Codziennie" nie zagłosuje na postkomunę ani obyczajową lewicę. Jakże szczere było wyznanie redaktora Tomasza Lisa, który po drugiej turze wyborów samorządowych ogłosił, że wynik dla opozycji w miastach byłby jeszcze lepszy, gdyby powiększono zasięg techniczny stacji TVN. Bo im więcej TVN, tym więcej zyska opozycja w samorządach. Na tę zależność zwrócili ostatnio uwagę redaktorzy Marek Pyza i Marcin Wikło. „Jeśli jesteś wyborcą PiS i oglądasz wyłącznie »Wiadomości«, nie masz zielonego pojęcia, jak świat widzi twój sąsiad, który ogląda tylko »Fakty«. I odwrotnie".

Rynku mediów w Polsce ukształtowanego w czasach złodziejskiej prywatyzacji lat 90. nie da się oderwać od beneficjentów tego okresu. Potęgę dzisiejszej „GW" zbudowali zwykli Polacy, dla których pismo to, u jego zarania, było związane z wielomilionowym ruchem „Solidarność" i sprzeciwem wobec komunistycznej dyktatury. Jaką rolę odgrywa dzisiaj? Taką jak „Trybuna Ludu" za komuny. Dziś znaczna część władzy medialnej pozostaje w orbicie wpływów dawnych elit rządzących. W zagraniczne ręce trafiły liczne tytuły prasowe, stacje radiowe, telewizyjne, portale internetowe, agencje reklamowe itd. O ile media publiczne są pod wpływem władzy państwowej, o tyle dominujące na rynku media prywatne, także te z przewagą kapitału zagranicznego, są w opozycji wobec obecnej władzy.

Nie rozumie tego ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce, gdyż nie było jej tutaj w latach 80. i 90., gdy z inspiracji tajnych służb komunistycznych powstawał telewizyjny koncern medialny, dziś własność amerykańskiej firmy medialnej, który nawet nie zaciera śladów ideologicznej przeszłości. Stacja ta tak jak była sprofilowana na utrzymanie w Polsce postkomunistycznego status quo, tak ten profil utrzymuje nadal. Najlepiej świadczą o tym jej stali goście, elita dawnego systemu, oraz nowi goście, których zadaniem jest krytyka partii rządzącej, a więc równocześnie legalnej władzy w Polsce.

Ostatnie badanie CBOS odnotowuje poprawę opinii obywateli o funkcjonowaniu mechanizmów i procedur wyborczych. Zwiększyła się bowiem możliwość prawdziwego wyboru, wzrosło nawet zaufanie do uczciwości przedstawicieli komisji wyborczych. Jeżeli to prawda, to jest to głównie zasługa Ruchu Kontroli Wyborów, a nie mediów. Ale porównując wybory z 2014 r. do wyborów z 2018 r., jedynym aspektem, który wypada gorzej, twierdzi CBOS, są treści telewizyjnych programów informacyjnych. Pytanie CBOS brzmiało: „Czy telewizyjne programy informacyjne faworyzują rządzącą partię?". „Zawsze i bardzo często" – tak odpowiedziało w 2014 r. 28 proc. badanych, a w kontekście ostatnich wyborów już 38 proc. badanych. Uważam, że to, co respondenci CBOS uznają za faworyzowanie, to nic innego, jak aktywne podjęcie zaniedbanej przez lata misji mediów publicznych w postaci polemiki z mediami krytycznymi wobec obecnej władzy. Jeżeli gołym okiem obserwujemy dziś większy niż cztery lata temu pluralizm światopoglądowy w mediach, to nie może on równocześnie oznaczać większego faworyzowania czy wręcz promowania partii rządzącej. Poza tym ta partia rządząca to po prostu oficjalna władza państwowa, która musi docierać ze swoim przekazem do obywateli, przez co tworzy się mylne wrażenie jakiejś przewagi, ale czy faworyzowania partii rządzącej, skoro w telewizyjnych programach mediów prywatnych jest zupełnie odwrotnie.

Pytanie trąci tendencyjnością, tym samym mało wiarygodne wydają się odpowiedzi respondentów. W 2014 r. wszystkie media w Polsce, publiczne i prywatne, stanowiły ideową i programową jedność. Nie tylko programy informacyjne, lecz wszystkie inne, od publicystycznych po sportowe i rozrywkowe, były takie same. Ponadto warto to przypomnieć, pod rządami koalicji PO-PSL pozbawiono pracy w mediach publicznych wielu dziennikarzy o prawicowych, konserwatywnych poglądach. Innych zastraszono. Wszyscy mieli „śpiewać" tę samą melodię.

To wtedy red. Lis mógł za swoje programy dostawać z mediów publicznych miliony publicznej gotówki. Czy dlatego, że nie ma go dziś w tych mediach, zwiększył się procent głosów przekonanych, że w telewizyjnych programach informacyjnych faworyzuje się obecną władzę?

Nie. To media w 2014 r. i lata wcześniej faworyzowały tamtejszą władzę, aż nastąpiło tąpnięcie i korekta wyborcza w postaci utraty władzy przez PO i PSL w 2015 r.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl cf2a5688ce

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Prawda wzbudza niepokój

Dziennikarstwo ma sens jedynie wtedy, gdy pokazuje ludziom prawdę. Co jednak, gdy ta prawda drastycznie godzi w utrwalone wewnątrz poglądy? Mam już trochę lat i właściwie wypadałoby myśleć o ciepłych bamboszach oraz cieszyć się tym, co jest. Czasem jednak spostrzegam coś, co osobiście mnie rani, co sprawia, że chciałbym tego nie widzieć, mam chęć natychmiast o tym zapomnieć.



Witold Gadowski

Tak się stało, gdy – wraz z ekipą realizującą film „Święci z Doliny Niniwy" – dotarłem do Karbali w Iraku. Nie chciałem słuchać świadectw ludzi, którzy opowiadali mi o bitwie polskich żołnierzy z bojownikami „armii Mahdiego". Nie chciałem, bo były to opowieści kłócące się z moim myśleniem o polskiej armii, o Polsce, o naszej najnowszej historii. Zaprowadzili mnie zatem na cmentarz, gdzie leżą ludzie, którzy w 2004 r. ponieśli śmierć z rąk polskich żołnierzy. Spojrzałem na zdjęcia realnych ludzi, czasem niedorostków. Nie zmieniło to mojego myślenia o polskich żołnierzach, których traktuję z szacunkiem. Oni bohatersko spełniali tam swoje wojenne obowiązki. Poczułem jednak ogromną odrazę do tych, którzy ich tam wysłali. Po co polscy żołnierze tam pojechali? Po co narażali swoje życie i zdrowie? Przyjechali do obcego kraju, wysłano ich na obszar, na którym mieszkali wrodzy Husajnowi szyici. Czy przynieśli tam wolność i dobro? Ludzie na południu Iraku żyją według swoich, często bardzo brutalnych praw. Tak chcą i tak potrafią. Doszło do konfliktu i po stronie okupantów walczyli tam polscy żołnierze.

Wyobraźcie sobie, że Unia Europejska przysyła do Polski sympatycznych Słowaków, aby brali udział w „misji ratowania w Polsce demokracji". Polacy buntują się, organizują zbrojne oddziały i wywiązuje się śmiertelna walka. Słabo uzbrojeni polscy bojownicy ponoszą ogromne straty. Czy dziś czcilibyśmy bohaterskich Słowaków?

Wiem, że to są sytuacje i sprawy nieporównywalne, jednak czy nie tak należy spoglądać na świat? Czy jeśli nasi biją, to dobrze, a jeśli biją naszych, to zbrodnia?

Powiedziałem o tym publicznie i... posypały mi się na głowę najcięższe oskarżenia. Wiedziałem, że tak będzie, wiedziałem, że najbardziej oberwę od swoich. Ale czy mam milczeć na temat tego, co widzę i czego doświadczam na własnej skórze?! Czy można kalkulować z kontakcie z prawdą?

Ani be, ani me, ani kukuryku

Chyba wszyscy już widzieli filmik z Lechem Wałęsą zagubionym w tłumie gości zebranych na pogrzebie prezydenta George'a W. Busha. Nikt z obecnych tam VIP-ów nie rozpoznał w starszym panu w koszulce z napisem „Konstytucja" niegdysiejszej legendy „Solidarności". Światowe elity uczestniczące w ostatniej drodze 41. prezydenta USA przezornie zignorowały ekstrawaganckiego „obciachowca". Cud, że nie interweniowały służby odpowiedzialne za porządek i godne zachowanie się uczestników uroczystości. Dziś, gdy bez krawata trudno się wcisnąć nawet do ekskluzywnej restauracji, trzeba być arcyćwokiem, by wykorzystywać pogrzeb do politycznych happeningów. Niestety, szacunek dla zmarłych nie jest mocną stroną totalnej opozycji, którą tak gorliwie wspiera nasz „noblysta".



Lech Makowiecki

Przykładem tego są rytualne tańce nienawiści od ośmiu lat urządzane na smoleńskich grobach przez totalnych harcowników. Pamiętam te niewybredne żarciki wrzucane tuż po katastrofie: o „zimnym Lechu", o „kaczce po smoleńsku". I te chamskie burdy na Krakowskim Przedmieściu zakłócające modlitwę pod krzyżem. Te opętańcze wycia podczas żałoby kolejnych miesięcznic. Nawet ostatni przegrany przez Wałęsę proces (za bezpodstawne oskarżanie Jarosława Kaczyńskiego o sprawstwo katastrofy tupolewa) nie spowodował głębszej refleksji. Pozwany już zapowiedział, że odwoła się do wyższej instancji, a gdy już ostatecznie przegra – i tak nikogo nie przeprosi! I co mu państwo zrobią?

PS A może ów „heros", co to sam (z niewielką pomocą „Mnietka") obalał komunę, nie ma się w co ubrać? Ależ nie! Na fotkach z pogrzebów gen. Wojciecha Jaruzelskiego czy prezydenta Borysa Jelcyna Wałęsa prezentuje się w stosownych garniturach. Z kolei na uroczystościach państwowych związanych z pochówkiem „Inki" i „Zagończyka" paradował już ostentacyjnie w luzackim kostiumie „safari". Świadomy wybór TW?

eprasa.pl cf2a5688ce

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

TV Kostnica



Aleksander Nalaskowski

Polityczne zombie przychodzą ochoczo do studia udawać mędrców. A przecież zero wiarygodności dać może wyłącznie zero wpływu

W latach mojego sztubactwa co i rusz pojawiało się hasło „Lenin wiecznie żywy". Teraz to brzmi jak hasło, że Kim Ir Sen jest dożywotnim przywódcą Korei Północnej, a wszyscy następcy są tylko jego inkarnacją. Ale i wtedy co trzeźwiejszym młodzikom zalatywało trupem, bo zakonserwowany watażka hucpy bolszewickiej spoczywa od lat na placu Czerwonym pozbawiony prawa do pochówku.

TVN, specjalista od „reportaży wcieleniowych" (przy czym chodzi chyba o przymiotnik odrzeczownikowy od „cielę"), bryluje w ożywianiu komunistycznych trupów i pospolitych łajdaków, którzy byli kiedyś u władzy i najwyraźniej z owym „kiedyś" nie potrafią się rozstać. Prowadzone przez Olejnik, Kolendę-Zaleską, Pochanke czy kogo tam jeszcze wywiady wywołują wrażenie, że oglądamy stare kroniki filmowe z okresu późnej PRL albo najwcześniejszych faz transformacji ustrojowej. Dziennikarscy czekiści tej stacji mogliby się bardziej postarać, gdyż przegląd osób pojawiających się w studiu wieczorami musi budzić posądzenie o amnezję i już dawno wzbudza zwykłe politowanie, bo już nie śmiech ani złość. To taki samowystarczalny układ – własna kadra dziennikarska, dla własnego odbiorcy i własnych autorytetów. W tym ostatnim rzeczowniku nie użyłem cudzysłowu, bo niemal we wszystkich mediach i przypadkach jego stosowanie powinno być powszechne. Polityczne zombie przychodzą ochoczo do studia udawać mędrców. I wszystko byłoby dobrze, gdyby się każdy z nich ileś lat temu nie skompromitował politycznie. Zapraszanie ich jest nie tylko polityczną reanimacją trupa, lecz i głupotą. Zero wiarygodności dać może wyłącznie zero wpływu. Bo to specjaliści od bicia piany, kombatanci socjalizmu z ludzką twarzą albo zdrajcy. Mentorzy nieistniejących tłumów. A wreszcie zgorzkniali outsiderzy, których siła odśrodkowa wyrzuciła poza jakiekolwiek przyciąganie.

Zatem wciąż jeszcze straszy w TVN Andrzej Olechowski. Najprzystojniejsze nieporozumienie polityczne wszech czasów. Kontakt operacyjny służb specjalnych, gość, który wyciągnął Klenczona z Czerwonych Gitar, mocno niejasny człowiek, który do ostatniej chwili chciał kimś być. Na przykład dwukrotnie zamarzył sobie być prezydentem RP. Był marnym ministrem spraw zagranicznych, marnym dziennikarzem muzycznym, kiepskim fachowcem od finansów i przekonanym o swej wyjątkowości frontmanem. Pamiętam, jak przekonywał, aby Polskę obsługiwały nie PKP, lecz „czyste i punktualne" Deutsche Bahn. Nic pożytecznego nie zrobił, ale o wszystkim chętnie mówi.

Rekordy bufonady bije komuszek i kolejny kapuś służb, Włodzimierz Cimoszewicz. Ten „żubr białowieski", z którego się pół Podlasia śmieje, wydaje się robić wrażenie osoby, która wyparła własną przeszłość albo zwyczajnie nie ma wstydu. Facet jakby wyjęty żywcem z muzeum socrealizmu w Kozłówce zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że jest przeszłością, niedobrą i niechlubną przeszłością Polski. To kolejny kandydat na prezydenta RP, kolejny minister, premier, a tak naprawdę pospolity aparatczyk.

Kimś innym jest natomiast polityczny trupposz Kazimierz Marcinkiewicz. To nie tylko błazen, lecz nade wszystko zdrajca. Wszak pamiętamy, jak się zachował wobec partii, która wyniosła go na niepojęte dlań szczyty władzy. Niestety pamiętamy też, jak skończył. Bodaj jako podrzędny urzędniczyna w londyńskim banku, wyznający publicznie swą chuć do jakiejś panienki. Człowiek, który do cna upokorzył urząd polskiego premiera. To, co wystarczyło, aby tu być szefem rządu, w Anglii było rekomendacją zaledwie do przekładania papierków i noszenia zarękawków.

Podobnym przykładem jest Roman Giertych. Niegdyś fan i pupil Kaczyńskiego, a dzisiaj zwykły przechrzta i podnóżek dawnych wrogów. Zdradził tyle swoich ideałów, że z powodzeniem może odgrywać rolę eksperta TVN.

Należałoby jeszcze wspomnieć o Leszku Millerze. Także częstym gościem rzeczonej stacji. To bodaj jeden z ostatnich członków Biura Politycznego KC PZPR, który jest z takim zapałem reanimowany w mediach. Wprawdzie wydawałoby się, że taka funkcja winna się okazywać miażdżącym argumentem dla pozostania w niebycie politycznym i medialnym, ale TVN uznaje inne oczywistości. I co rusz Miller „zachwyca" nas błyskotliwością oraz twardym, robociarskim akcentem.

Z tej trupiarni zalatuje wszystkim, co nieprzyzwoite, mierne, głupie i koniunkturalne. Rozumiem, że takie są prawa politycznej natury, rozkładowi musi towarzyszyć odór, ale po co go aż tak konfekcjonować i sprzedawać?

Nie napisałem o Lechu Wałęsie. Ale to felieton o trupach politycznych, a nie o przyrodniczych osobliwościach. Bo to chyba jedyny człowiek na świecie, który wzniósł sobie wysoki pomnik, by potem wraz z nim wylądować kilka metrów poniżej poziomu Rowu Mariańskiego.

1/1218/F

eprasa.pl cf2a5688ce

PRZEZ ŚWIETLIK

Biznes się kręci



Wiktor Świetlik

Demonstranci sami Paryż odbudują ze swoich podatków, a przy okazji paru „kapitalistów" się wzbogaci na odbudowie

Jeśli macie dość swojego samochodu i chcielibyście szybko uzyskać ubezpieczenie, jest na to niezawodna metoda. Trzeba pojechać do Paryża i zaparkować go w miejscu, gdzie odbywają się zamieszki. W przypadku posiadaczy aut luksusowych i sportowych zadziała w 100 proc. Ważne tylko, by wcześniej sprawdzić, czy autocasco jest opłacone i czy pokrywa 100 proc. W internecie obejrzałem właśnie film o tym, jak paryskie „żółte kamizelki", czyli wojowniczy demonstranci, niszczą białe Porsche 911 Cabrio. Tłuką szybę, przewracają samochód do góry nogami, skaczą po nim. Obrazek ciekawy, w końcu nasz przedwojenny felietonista Adolf Nowaczyński pisał, że „motłoch stawiający barykady jest równie malowniczy, jak biały menuet tańczony w lustrzanej Sali Ludwika XIV". Ciekawsze jest jednak to, że paryscy demonstranci – jak piszą media – walczą równocześnie z fiskalizmem, czyli wysokimi podatkami, i kapitalizmem. Trochę to sprzeczne, a najzabawniejsze jest to, że jednemu i drugiemu się przydadzą.

Teraz właściciel zniszczonego auta będzie musiał napisać wniosek do ubezpieczalni, zresztą jak ma porsche, to pewnie ma kogoś do zrobienia tego za niego. Człowiek zarobi. Potem ubezpieczalnia wypłaci odszkodowanie, facet (lub dama, biorąc pod uwagę kolor auta) kupi sobie nowe porsche, tamto było zjeżdżone, miało pewnie z rok i 4 tys. przebiegu, więc będzie zadowolony. Ubezpieczalnia, by pokryć paryskie straty, ściągnie pieniądze z miasta, które nie dość zabezpieczyło ulice, a miasto zapłaci z podatków demonstrantów i ich rodzin, może nawet nieco będzie musiało podnieść owe podatki i opłaty miejskie, by posprzątać Paryż. Pewnie paru urzędnikom przybędzie roboty, więc dostaną premie i będą mieli zapłacone nadgodziny, bo to w końcu Francja.

Na tym właśnie polega panująca we współczesnym świecie gospodarka mieszana, łącząca wspomniany fiskalizm i kapitalizm. Wszystko więc kręci się, jak trzeba. Tylko Paryża trochę szkoda, większość z nas ostatecznie raz na jakiś czas za uciułane pieniądze jeździła tam, by wysłać rodzinie fotkę z wieżą Eiffla w tle. Teraz trochę strach – jak nie terroryści, to „żółte kamizelki".

Ale jak mawiał Ryszard Ochódzki: „To się odbuduje". Demonstranci sami odbudują ze swoich podatków, a przy okazji paru „kapitalistów" się wzbogaci na odbudowie. Towarzysz Lenin mawiał, że kapitaliści sami sobie sprzedadzą sznur, na którym się powieszą. Jak widać, od tego czasu kapitaliści całkiem sporo się nauczyli, a następcy Lenina się z nimi dogadali.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



epresa.pl cf2a5688ce

Niezłomny



Jerzy Jachowicz

Czego to ludzie nie wymyślą. Wałęsa agentem. Większej bzdury nie słyszałem. To jasne, że papiery „Bolka" są spreparowane. Zrobili to do spółki Kiszczak i Kaczyńscy. Intrygę wymyślili bracia bliźniacy. Zaraz po tym, jak obu Wałęsa wyrzucił z Belwederu. Uratował wtedy Polskę. Bo przez następne 25 lat się pięknie rozwijała. Na początku nie wszyscy jego krok pochwalali. Nie wiedzieli, że Wałęsa wyprzedza swój czas. Zawsze był przenikliwy. Dzięki temu przeniknął do strajku w stoczni w sierpniu 1980 r. Nie wiadomo dokładnie kiedy ani jak. Zjawił się na szczęście w porę, żeby wszystko załatwić elegancko. Jak sobie robotnicy wymarzyli. I wolne związki wywalczył. I przyjęcie wielu z powrotem do pracy. Zawsze wstawiał się za kolegami. Już w grudniu 1970 r. odważnie wszedł w pojedynkę do komitetu wojewódzkiego partii, żeby się wstawić za skrzywdzonymi.

A już od 1980 r. rozpoczął walkę na całego. Najtrudniej było mu w czasie internowania w Arłamowie. Chciała go SB przekabacić. Nie dało się na trzeźwo, to próbowali go podejść inaczej. Alkohol zwozili kartonami. Musieli esbecy sami wypijać tę gorzałę, bo przewodniczący nie brał do ust. Był niezłomny. I tak w pojedynkę pokonał komunizm, bo nie dał się skusić. Amerykanie o tym wiedzieli i dlatego go zapraszali. I zapraszają do dziś.

Kaczyńskich bolało, że nikt ich nie zaprasza. A już po wywaleniu z Kancelarii Prezydenta postanowili się zemścić w perfidny sposób. Generał Kiszczak od początku żałował, że dał się wciągnąć w ohydny spisek. Gdy już przygotowali te fałszywki „Bolka", Kiszczak ze wstydu schował oryginały głęboko w domu. Bracia wcześniej je powielili i puścili kopie w obieg do Cenckiewicza i Gontarczyka. Do tej dwójki doszlusował Wyszkowski. Robili wszystko, żeby Wałęsę oczernić. Ale się nie udało. Toteż, gdy tylko umarł Kiszczak, Jarosław Kaczyński namówił zdziecinniałą wdowę do wyciągnięcia z szafy sfałszowanego oryginału i sprzedania go IPN, wmawiając jej, że za te papiery dostanie fortunę. Nie ją pierwszą i jedyną otumanił.

W jakie głupoty ludzie gotowi uwierzyć... Wierzyć się nie chce.

CO MNIE WZRUSZA

Czas przedświąteczny



Katarzyna Łaniewska

Czas przedświąteczny to dni i tygodnie przed najpiękniejszymi i radosnymi świętami Bożego Narodzenia.

Sięgam pamięcią do czasów przedwojennych i majaczy mi się, jak ojciec obsadzał w żelaznym stojaku ogromną choinkę. Bardzo pięknie pachniała. Ja przy niej byłam malutka i nie mogłam sięgnąć do ostatnich gałęzi. Potem pamiętam rodzinne piękne święta, ale i trochę smutne, bo była okupacja. Choinka także inaczej wyglądała. Ubrana w zabawki robione przez dzieci z pomocą mamy i babci. Łańcuchy z papieru glace. Anioł albo gwiazda na czubku. Przywieszone jabłuszka i cukierki. Były też naturalnie świeczki. Na szczęście udało się uniknąć pożaru.

Potem dość duże lampki oplatały choinkę. Bawiliśmy się z bratem, że on wykręcał którąś żarówkę a ja miałam zgadnąć, która jest wykręcona. Prezenty były skromne. Skarpetki, chusteczki, czekolada. Choineczki były natomiast zawsze prawdziwe i pachnące. Coraz więcej przybywało ozdób kupowanych.

I wszystko stało się bardziej komercyjne, jak na Zachodzie. Przestawało być tradycyjnie. Nie śpiewano kolęd, puszczano je z płyty. Teraz może nas to śmieszyć, ale w naszym domu moi wnukowie robili przedstawienia – szopki. Prezenty były zdobywane, a przed otrzymaniem prezentu każdy musiał powiedzieć wierszyk. To nas scalało i tworzyło rodzinę. W stanie wojennym na choince wieszało się symbole „Solidarności". A teraz to wszystko zbladło. Nie wiadomo, co kupić małym dzieciom, bo mają wszystko. Z czego się ucieszą?

Jak tylko lampki po wszystkich świętych znikną z domów towarowych, to już jest wystrój bożonarodzeniowy. A to jeszcze listopad. Może i oświetlenie ulic jest piękne, ale czasem już przesadne. Wygląda jak sklep z żyrandolami. Nie potrafiliśmy się zatrzymać. Teraz kupujemy żłóbki gotowe „made in China", a kiedyś czekało się na ruchomy żłóbek na Miodowej. Towary i reklamy świąteczne zalewają nas ze wszystkich stron.

Święta stały się przemysłem i dużo zależy od nas, od rodziny, co dla nas, Polaków, katolików, narodzenie tego Dzieciątka ma znaczyć. Podczas mojej pielgrzymki do Ziemi Świętej dotknęłam tego miejsca, gdzie Chrystus się narodził. I wtedy, a był październik, śpiewaliśmy kolędę „Bóg się rodzi". Tak piękną, tradycyjną i mocną. Niech nikt jej nie zmienia na nowoczesną.

Autopromocja

eprasa.pl cf2a5688ce

SIECI w prenumeracie!

Taniej
– oszczędzasz nawet 116 zł!

Pewniej
– dostawa prosto do domu

Z prezentami
– kalendarz 2019 r.
i magnetyczna zakładka do książki





Prenumerata Sieci: 3 miesiące - 69 zł • 6 miesięcy - 129 zł • 12 miesięcy - 229 zł

Zamów prenumeratę na **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata** lub opłać na poczcie, korzystając z przekazu poniżej, lub zrób przelew elektroniczny na konto **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290,** Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując rodzaj prenumeraty, np. „Sieci 12 miesięcy" i pełne dane adresowe do wysyłki.

Prenumerata: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata **Informacje:** 22 616 15 70, prenumerata@fratria.pl

nazwa odbiorcy

Fratria Sp. z o.o.
ul. Legionów 126-128
81-472 Gdynia

91124053541111001077136290

kwota

słownie

zleceniodawca

tytułem

opłata

podpis

nazwa odbiorcy
Fratria Sp. z o.o.

nazwa odbiorcy cd.
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia

nr rachunku odbiorcy
9 1 1 2 4 0 5 3 5 4 1 1 1 1 0 0 1 0 7 7 1 3 6 2 9 0

W P

waluta
P L N

kwota

nr rachunku zleceniodawcy(przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem

tytułem cd.

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

eprasa.pl cf2a5688ce

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Pilnujmy świąt

Europa stała się już tak nowoczesna, że aż przeszkadza choinka



Ryszard Makowski

Nam nie mieści się w głowie, by majstrować przy najpiękniejszych świętach, jakimi są – z całym szacunkiem dla profesora Jana Tadeusza Stanisławskiego – święta Bożego Narodzenia. Natomiast w krajach, z których wywodzą się unijni politycy, gorliwie wtryniający swoje trzy eurocenty w nasze sprawy, sytuacja nie już tak jasna jak śnieg.

W Belgii postanowiono tak zorganizować przedświąteczny jarmark, by nabrał cech neutralnych i nikogo nie urażał. Zwyczajowe jarmarki bożonarodzeniowe w kilku belgijskich miastach zastąpiono „zimowym rynkiem". Ostatnimi laty było parę okołoświątecznych eksperymentów. W szwedzkim Åmål władze szkolne zarządziły usunięcie z kolęd słowa „Chrystus" i zwrotów nawiązujących do chrześcijaństwa. Po przeróbkach trudno było te kolędy rozpoznać. W Danii na jednym z osiedli miasteczka Kokkedal, gdzie muzułmanie mają większość, radni zdecydowali, że choinka na miejscowym rynku będzie za droga. Sytuację uratował anonimowy darczyńca.

Dla nas takie euronowinki są szczęśliwie abstrakcją. Chociaż też możemy zaobserwować śmiałe wdzieranie się w naszą przestrzeń publiczną grudniowych zwyczajów innych kultur.

Łamiąc się opłatkiem i śpiewając kolędy w Wigilię, miejmy na uwadze, że jest to spotkanie wyjątkowe. To wyznanie naszej polskości, pokłon naszym ojcom przez wieki broniącym tej ziemi przed obcymi. Przed nami też trudne wyzwania i niech rodzący się Jezus Chrystus da nam siłę, byśmy im mądrze sprostali.

eprasa.pl cf2a5688ce

***Zawistowski prezentuje:* Strasbourg**



Wycinki z przeszłości

Donosił „Przewodnik Katolicki" w roku 1935 w dziale „Ze świata", że „jeden z dzienników zagranicznych urządził konkurs na najbardziej nieprawdopodobną historię". Pierwszą nagrodę konkursową otrzymał autor następującego opowiadania:

„Pewnego dnia, gdy polowałem w Afryce, usłyszałem żałosne jęki. Pobiegłem w tym kierunku, skąd dochodziły te skargi, i znalazłem się w obliczu młodego słonia. Jedna z jego łap była uwięziona między dwoma pniami drzew. Bez wahania, uderzeniami siekiery powaliłem na ziemię jedno drzewo i wyzwoliłem w ten sposób nieszczęsne zwierzę, które natychmiast uciekło. Miałem jednak czas zauważyć, że na trąbie słonia znajdowała się duża blizna. Niedawno obecny byłem na przedstawieniu cyrkowym, ponieważ zaś finanse moje są ograniczone, miałem krzesło w dziesiątym rzędzie. Nagle podczas przedstawienia, gdy pokazywano właśnie słonie, ujrzałem ze zdumieniem, jak jeden ze słoni, największy ze wszystkich, zbliża się do mnie... Trąbą swoją podniósł mnie delikatnie w górę i przeniósł na fotel w pierwszym rzędzie. Był to „mój słoń", chciał w ten sposób odwdzięczyć się człowiekowi, który oddał mu ongiś przysługę w lesie afrykańskim. Publiczność obecna na przedstawieniu w cyrku z podziwem przyglądała się tej scenie".



Cóż, dla nas taka historia to nic niezwykłego, w końcu media obozu III RP karmią nas jeszcze bardziej fantastycznymi opowieściami każdego dnia. Tylko śmiać się jakoś z tych kłamstw trudniej.

(mk)

Kantyczka mała

Pięknych, uśmiechniętych świąt Bożego Narodzenia 2018! – od autora, kompozytora tej kantyczki...



Leszek Długosz

Kantyczka mała

Kantyczka mała, lecz doskonała
Z ciszy się z mroku wyłania
Gdzie byś nie kluczył
Usłyszysz – wrócisz
– Znowu u szopy tej staniesz

Co za muzyka, że tak dotyka serca
I lód – że topnieje
Że w noc przepastną widzisz znów jasność
– Gwiazdę i Szlak, i Nadzieję

Snuj się, piosneczko, utulaj Dziecko
Jak śnieżna kulo, mknij Ziemio
W bezkresną noc ciemną

– Lampy krąg jasny
– Twarze, co zgasły
Serca dziecinną kołatką przywołaj
Zawołaj
Tu zaproś raz jeszcze

Lulaj nam, lulaj, piąstki roztulaj
– Siano niech pachnie jak wiosenne ziele
Moc czarodziejska przy tych jasełkach
– Że czas nie za późny, że trud nie napróżny
Spraw znowu
– Weź gorycz, a wiary, tej wiary daj wiele

Kantyczka śliczna – słów zwykłych kilka
Od zawsze znasz je na pamięć
Nagle zanucisz, a jakbyś wrócił
– W świat znowu pełen uniesień
Najpierwszych
Najszczerszych
– Co przecież
– Co jeszcze nie kłamią...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl cf2a5688ce

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Sztuczna jasność



Dziś w epoce nasyconej techniką o tym psychofizjologicznym wymiarze Bożego Narodzenia już nie pamiętamy

Przypomniał nam się motyw z krótkiej autobiografii napisanej przez kardynała Josepha Ratzingera. Przytaczamy to z pamięci, gdyż książeczka została w naszym toruńskim mieszkaniu.

Ratzinger zwrócił uwagę na pewien wymiar świąt Bożego Narodzenia, wymiar omal niewidoczny dla ludzi żyjących w naszej technicznej cywilizacji. Wymiar, by tak rzec, psychofizjologiczny i zarazem przyrodniczo-techniczny.

Cofnijmy się do czasów, gdy ludzkość jeszcze nie znała elektryczności albo gdy nie była ona jeszcze dostępna we wszystkich domach, a nawet gdy już była dostępna, to „prąd" kosztował tyle, że sztucznym światłem rodziny posługiwały się bardzo oszczędnie.

Boże Narodzenie na naszej półkuli przychodzi w takiej porze roku, gdy na Ziemię z każdym dniem dociera coraz mniej światła. Ratzinger, urodzony w roku 1927, prosi czytelnika – jeśli dobrze pamiętamy – by wyobraził sobie życie w epoce, gdy pory roku biegły swoim zwykłym torem (podobnie jak dziś, jeśli pominiemy kwestię zaburzeń klimatu), a światła sztucznego było na lekarstwo.

Październik, listopad, wreszcie grudzień – z każdym dniem było coraz ciemniej. Dni coraz krótsze, noce mocniejsze. I w ten gęstniejący mrok – który od zawsze niepokojem odkładał się na naszej wrażliwości, na samopoczuciu, witalności, na woli życia – przychodziło światełko betlejemskie.

Narodziny Chrystusa to opowieść skandaliczna – podkreśla Ratzinger w innym miejscu (już nie w autobiografii). Skandaliczna, gdyż według niej syn Boga rodzi się bezbronny, słaby, w warunkach właściwych dla ludzi z warstw ubogich. Zupełnie się z boskością niekojarzących.

Opowieść o Zbawicielu, który swoim nauczaniem, a potem śmiercią męczeńską sam jest światłem i każdemu pokazuje drogę ku światłu. Gęsty mrok naszych słabości, grzechów, upiornych czasem postępków potrafi zamieniać w światło dużą literą, w Światłość po prostu.

Przesilenie zimowe i duchowe się zbiegły: mrok przyrody i mroki naszej duszy zostają przezwyciężone. Dziś w epoce nasyconej (naszym zdaniem przesyconej) techniką o tym psychofizjologicznym wymiarze Bożego Narodzenia już nie pamiętamy.

Ludzie w najmniejszych wioskach nie muszą sobie skąpić światła żarówek. Wielkie miasta nie śpią prze całe noce. Ekolodzy mówią o zanieczyszczeniu światłem środowiska przyrodniczego.

Sztuczne światło daje poczucie bezpieczeństwa na ulicach. A „napędzane" przez prąd radia, telewizory, komputery, tablety, smartfony dają zgiełk bodźców, które nie pozwalają naszym umysłom odetchnąć. Jesteśmy wprost osaczeni przez światło.

Nawet gdy śpimy, „żyją" sygnalizatory ledowe, mrugają lampeczki różnych czujników.

Ratzinger wyraża obawę, czy dzisiejszy stechnicyzowany człowiek, wprost zalany światłem (reklam – dodajmy), jest w stanie dostrzec i docenić ten wymiar świąt, który był tak ważny, gdy to rytmy przyrody wyznaczały rytmy naszych organizmów.

Prawdziwa jasność nie pochodzi z techniki. Pochodzić może z naszej duchowości. Co zaś jest tej duchowości źródłem?

Formacja kulturowa, której dzisiejszy Zachód jest w pewnym sensie dzieckiem, to epoka oświecenia (wieki XVII i XVIII). Motyw światła, światłości widać w samej nazwie epoki, ruchu społecznego i projektu odmiany ludzkiego losu, który sam człowiek miał wziąć w swoje ręce bez oglądania się na jakiekolwiek siły wyższe.

Dla często otwarcie, gorliwie antyboskich filozofów tej epoki źródłem oświecenia ma być ludzki Rozum (duże „R" to nie literówka). Człowiek niejako ma oświecać się sam – jeśli tylko, jak mówiono, odważy się porzucić wszelkie poza- i ponadrozumowe autorytety.

Wierzący są przekonani, że naszą duchowość, a i duszę samą, zawdzięczamy Stworzycielowi, który jest większy niż jakiekolwiek ludzkie, najbardziej nawet rozumne poznanie.

Jordan B. Peterson, wybitny intelektualista, snując refleksje na temat świąt Bożego Narodzenia, mówi, że każde dziecko jest wieczną nadzieją. Dzisiaj zamiast rodzicielstwa lansuje się technoentuzjazm. Ale spowite światłami smart cities w miejsce nadziei przyniosą ocean chaosu.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 58/1118/F

eprasa.pl cf2a5688ce

JUŻ 27 GRUDNIA W TYGODNIKU SIECI

OSTATNI ODCINEK Z SERII DODATKÓW EDUKACYJNYCH

Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • Eugeniusz Kwiatkowski • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • Wojciech Kossak • Jan Kiepura • Januszy Kusociński • Władysław Grabski • Wincenty Witos • Roman Dmowski • Wojciech Korfanty • ks. Adam Sapieha • gen. Kazimierz Sosnkowski • gen. Józef Haller • Walery Sławek • i inni

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Bohaterowie Niepodległej" to opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci.



TOMASZ ŁYSIAK
pisarz, dziennikarz, publicysta

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

Bank Pekao

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl cf2a5688ce



Życzymy Wam ciepła, pokoju i radości
w te Święta Bożego Narodzenia
oraz nowych wyzwań, nowych horyzontów
i kumulacji sukcesów w nadchodzącym 2019 roku.

TOTALIZATOR
SPORTOWY

eprasa.pl cf2a5688ce